



ARS MAGICA

NEREA RIESCO

W 1610 roku przed trybunałem hiszpańskiej inkwizycji w Logroño stanęło ponad 50 osób oskarżonych o czary. Jedenaścioro z nich spłonęło na stosie podczas wielkiego autodafe. Wkrótce potem król Filip III wydał edykt łaski, by zachęcić ludność do pojednania się z Kościołem. Wydarzenia te są osnową pełnej dramatycznych zwrotów akcji powieści Nerei Riesco ARS MAGICA, w której nierozzerwalnie splatają się ze sobą historia, magia i fikcja literacka. Książki, dzięki której poznamy zaklęcia z różnych dziedzin życia, dowiemy się jak sporządzić „filtr miłości”, jak się odkochać, jak odczyniać złe uroki.

ISBN 978-83-7359-855-5



ARS MAGICA

NEREA RIESCO

Z hiszpańskiego przełożyła
TERESA GRUSZECKA-LOISELET



Tytuł oryginału: ARS MAGICA

Copyright © Nerea Riesco 2007 All rights reserved

Published by arrangement with Random House Mondadori S.A., Barcelona

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2009

Polish translation copyright © Teresa Gruszecka-Loiselet 2009

Redakcja:

Joanna Schoen

Zdjęcie na okładce:

Michał Karcz

Projekt graficzny okładki i serii:

Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-836-2 (oprawa twarda)

ISBN 978-83-7359-835-5 (oprawa miękka)

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.empik.com

www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2009. Wydanie I/op, miękka

Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

Dla Antonia, który wędruje ze mną

Magia jest mądrością, jest świadomym użyciem sił duchowych dla wywołania zjawisk widzialnych lub namacalnych, rzeczywistych lub ułudnych; jest dobroczynnym wykorzystaniem siły woli, miłości i wyobraźni. Jest najpotężniejszą siłą ludzkiego umysłu użytą w imię dobra. Magia to nie czary.

PARACELSUS

Spis treści

ZAMIAST WSTĘPU	13
I O tym, jakie zaklęcie rzucić, żeby czarownice nie porywały dzieci z łóżek, i jak odstraszyć czarownice .	29
II O tym, jak wykonać talizman chroniący od niebezpieczeństw i jak stać się niewidzialnym	40
III O tym, jak przerwać atak astmy, jak oczyścić świeżo udobre mleko, jak nastawić zwichniętą kończynę i jak uleczyć katar oraz różę	56
IV O tym, co trzeba zrobić, żeby czarownice nie dusiły noworodków i żeby nie wchodziły do porządnego domu	77
V O tym, jak osiąść magiczną moc, jak przyrządzić proszek do przycerniania oczu i co zrobić, żeby Inguma nie napadł nas we śnie.....	93
VI O tym, jak wyrwać mandragorę, nie narażając życia i jak sporządzić odtrutkę na czary toksyczne.....	113

VII O tym, co trzeba zrobić, żeby księżyc nie ukradł nam blasku oczu, żeby czarownice nie atakowały nas, kiedy śpimy, i żeby nasi wrogowie ujrzeli we śnie setki diabłów.....	128
VIII O tym, jak sporządzić maść, żebyśmy mogli latać, jak sprawić, żeby ludzie dobrze o nas mówili za naszymi plecami, i jak sprawdzić, czy się jest czarownicą ...	146
IX O tym, jak sporządzić zakłęcie, które chroni w podróży, jak odczarować człowieka zamienionego w osła i jak w okamgnieniu zamienić się w zwierzę .	163
X O tym, jak się uwolnić od mokrych snów, jak zaradzić bólowi podbrzusza, jak przewidzieć, co się urodzi: chłopiec czy dziewczynka, jak usunąć trądzik i ubarwić policzki oraz co zrobić, żeby leśne duchy użyły nam swej mądrości.....	185
XI O tym, jaka maść sprawi, że kobieta nie pokocha już innego mężczyzny, i jak doprowadzić kochanków do zwady.....	203
XII O tym, jak sporządzić środek, który złagodzi szkodliwe działanie trucizny, a zarazem przysporzy nam mądrości.....	220
XIII O tym, jak tworzyć i odczytywać ukryte informacje, jak zniszczyć plony sąsiadom i jak zachęcić czarownicę do zajmowania się domem.....	236
XIV O tym, jak sprawić, aby wszystko było w czarnym kolorze i żeby pokój napelnił się węzami.....	250
XV O tym, jak się robi i na czym polega rytuał ogniodporności	269
XVI O tym, jak zidentyfikować czarownika po znaku pozostawionym przez diabła na jego ciele	286

XVII O tym, jak zadbać o włosy, żeby się błyszczały, jak przygotować pastę wybielającą zęby i jak sporządzić amulet przyciągający miłość.....	298
XVIII O tym, jak rzucić na kogoś urok	315
XIX O tym, jak ostudzić zapal miłości, jak zapomnieć o ukochanym.....	329
XX O tym, jak usunąć brodawki	344
XXI O tym, jak ubłagać świętą Barbarę, żeby chroniła nas od burzy.....	356
XXII O tym, jak udobruchać czarownicę, ofiarując jej zęby mleczne dziecka	364
XXIII O tym, jak opanować czkawkę i jak obronić się przed leśnymi stworami, które mają niebezpieczne kaprysy	381
XXIV O tym, jak bezpiecznie podróżować morzem, jak uniknąć śmierci od pioruna, jak wyleczyć zatwardzenie i problemy nerek, jak wykorzenić strach i szaleństwo, jak stworzyć sztuczne gwiazdy ..	397
XXV O tym, jak czarownice przekazują swoją moc	416
EPILOG	439
WAŻNIEJSZE DANE	460
PODZIĘKOWANIA	462
BIBLIOGRAFIA	463

Zamiast wstępu

*Plac Świętego Jakuba, Logroño,
niedziela 7 listopada 1610*

Jedenaście osób skazanych na śmierć, oskarżonych o czary, prowadzono na miejsce kaźni w ponurym szeregu, który posuwał się chwiejnie pośród wzburzonego tłumu. Pięć z nich: María de Echalecu, Estevanía de Petrisancena, Juanes de Odiá, Juanes de Echegui i Maria de Zozaya, już dawno opuściło ten świat, ale sam fakt zgonu nie stanowił dla Świętego Oficjum przeszkody, aby ich podobizny — naturalnych rozmiarów kukły wyciosane w drewnie przez niejakiego Cosmego de Arellano — poddać oczyszczającemu działaniu ognia. Zamówienie inkwizycyjne zaskoczyło Cosmego. Niejeden raz zakonnicy odrzucili jego rzeźby, ponieważ tak realistycznie przedstawiał przejmującą boleść Matki Boskiej i ślady biczowania na ciele Chrystusa, że najwrażliwsze dewotki mdlały i długo potem miały nocne koszmary. Dlatego Cosme stał się bardzo nerwowy, kiedy na zlecenie Świętego Oficjum przystąpił do sporządzenia podobizn osób skazanych na autodafé.

Wreszcie miał wymarzoną sposobność. Całe miasto i tłum obcych przybyłych na tę uroczystość będzie podziwiał jego dzieło. Nawet w największych marzeniach nie liczył na tak ogromne audytorium, toteż oddał się tej pracy duszą i ciałem. Odwiedzał tajne więzienia, żeby porozmawiać ze strażnikami i towarzyszami z celi nieboszczyków. Pragnął dowiedzieć się wszystkiego o swych modelach: jakie mieli oczy, włosy, budowę ciała, wyraz twarzy w momencie opuszczania tego padołu łez... Nie chciał, aby te rzeźby były zwykłymi balami drzewa o ludzkim kształcie. Przez wiele dni świt zastawał go przy pracy nad poszukiwaniem rysów tragicznego realizmu, które byłyby najbardziej stosowne do sytuacji. Wyrzeźbił gesty skruchy, rozczochrane głowy, wytrzeszczone, spoglądające w nieskończoność oczy i dłonie z rozczapierzonymi palcami, które wznosiły się błagalnie ku niebu. Stworzył przeraźliwy kwintet porównywalny jedynie z obrazem dusz cierpiących w dniu Wszystkich Świętych. Cosme był zachwycony wstrząsającym efektem swego dzieła, ale nie mógł się nim nacieszyć i niestety musiał zasłaniać figury szmatami, dopóki były w pracowni, ponieważ jego roztargniona małżonka, przechodząc tamtędy w półmroku, zaczęła krzyczeć na widok poskręcanych w drewnie ciał, serce cierpło w niej z grozy, garnki leciały jej z rąk i w całym domu rozlegał się głośny trzask skorup, aż kotu jeżyła się sierść na grzbiecie. Cosme miał więc widomy dowód na to, że zadowolająco wywiązał się z podjętego zadania, i bardzo się rozczarował, kiedy trybunał powierzył wykonanie polichromii figur zawodowemu malarzowi, a nie jemu. Zamiarem Świętego Oficjum było surowe, ale nie szdercze przedstawienie zmarłych skazańców, Cosme zaś sływał z

krzykliwej palety kolorów i lubował się szczególnie w krwistych cynobrach i wściekłych barwach indygo. Za swą pracę otrzymał 142 reale.

Przyczyną tego, że piątkę skazańców musiały zastąpić kukły, była dziwna epidemia gorączki i ostrych bólów brzusznych, jaka zapanowała w tajnych więzieniach Świętej Inkwizycji na kilka miesięcy przed autodafé, zbierając żniwo wśród więźniów. Choroba powodowała delirium, obłąd i niezdatność do przesłuchań. Chwilami dolegliwości ustępowały, więźniowie budzili się niespodziewanie rześcy, ich policzki nabierały kolorów i wracał im apetyt, ale na widok inkwizytorów, gotowych wykorzystać tę nagłą poprawę zdrowia dla celów śledztwa, znów mdleli, dostawali silnej gorączki, cierpieli na zaburzenia pamięci i nic nie wychodziło z planów inkwizytorskich na dany dzień. Członkowie trybunału zaczęli coś podejrzywać.

W dniu autodafé pochód skazanych otwierała podobizna wdowy Marii de Echalecu, czterdziestoletniej praczki z Urdax. Dopóki żył jej mąż, Maria była radosna i roztrzepana. Kiedy nikt nie patrzył, lubiła zdzierać płyty wapna ze ściany i trzymała je w ustach łakomie jak dziecko, dopóki nie rozpuściły się pod językiem. Żuła też ziemię i ukradkiem obgryzała paznokcie. Zawsze mieszkała w tym samym miejscu, w rodzinnej posiadłości, którą odziedziczyła jako pierworodne dziecko, zgodnie z odwieczną tradycją mieszkańców Nawarry. Od zawsze przyjaźniła się z sąsiadką, która była dla niej jak siostra. Razem dokonywały pierwszych zadziwiających odkryć w dzieciństwie, opowiadały sobie o pierwszej miesiączce i co to może znaczyć, wspierały się

nawzajem w bólu po stracie ojców, którzy osierocili je w tym samym czasie, i razem umiały cieszyć się z dobrych chwil życia, dzieliły się tą radością i chłonęły ją wszystkimi zmysłami, bo widziały w tych chwilach dary nieba. Obie kobiety kochały się od zawsze, tak jak potrafią kochać się tylko niebo i słońce, drzewa i ziemia, toteż wzbudziły podejrzenia sąsiadów niezdolnych do uwierzenia, że istnieje bezwarunkowa przyjaźń. Aby uniknąć plotek, obie zgodziły się wreszcie wyjść za mąż. Ich mężowie początkowo żyli ze sobą dobrze, ale z czasem zaczęli spoglądać na siebie nieufnie, czując się zagrożeni przyjaźnią łączącą kobiety, aż wreszcie zabronili im jakichkolwiek kontaktów. Płot między zagrodami stał się granicą, którą jednego dnia obalano, a drugiego przesuwano o dwie piędzi dalej raz w tę, raz w tamtą stronę. Spór zakończył się wraz ze śmiercią męża Marii, albowiem mąż przyjaciółki skorzystał z okazji i natychmiast oskarżył wdowę przed Świętym Oficjum, że zaccarowała jego krowy, żeby dawały kwaśne mleko, i wywołała grad, który zniszczył mu całoroczne zbiory. Przyszli po nią pewnego dnia o świcie. Kiedy Maria rozchorowała się w tajnym więzieniu, lekarze inkwizycji uznali, że cierpi na brak pracy, świeżego porannego powietrza, którym tak lubiła oddychać, i na brak codziennej porcji świeżo wydojonego mleka. Dlatego podupała na zdrowiu. Jednak nie zaprzeczyli, że choroba może mieć również cechy nadprzyrodzone, ponieważ w ostatnich chwilach życia kobieta dziwnie opadła z sił, zanim zdążyła przyznać się do winy, ale zwlekła się jeszcze z barłogu i chwiejnym krokiem podeszła do smugi słońca, które zaglądało przez lufcik, rozświetlając mrok celi.

— Jest tu... za oknem... maj *. Mayo... jest blisko... Mayo — powiedziała, wpatrując się w sufit szklistymi oczami. — Już idę... już idę, już idę... — wyszeptwała.

* Gra słów: mayo to po hiszp. maj, a także imię dziewczyny.

Nikt nie rozumiał, o co jej chodzi, bo było to pod koniec sierpnia, toteż przypisano te nieskładne słowa majakom gorączki. Inkwizytor Becerra przysunął krzyż do jej ust, żeby sprawdzić, czy pogodzi się z Panem, zanim wyda ostatnie tchnienie, ale Maria spojrzała nań pogardliwie, odwróciła się i osunęła na ziemię, aby już więcej nie wstać ku wielkiemu zmartwieniu inkwizytora, który nie zdołał jej nawrócić.

Druga kukła miała tabliczkę z napisem Estevanía de Petrisancena. Mateo Ruiz, artysta odpowiedzialny za kolorystykę i strój figur, podkreślił jej naturalną urodę, nadając falującym włosom ładny, miedziany odcień. Estevanía dożyła trzydziestu siedmiu lat jako żona rolnika Juanesa de Azpilcuety. Kiedy po nią przyszli, mąż pomyślał, że to fatalna pomyłka, albowiem jego Estevanía była łagodna jak owieczka, słodka jak miód i nigdy się nie rozstawali. Później dowiedział się, że w środku nocy diabeł przychodził do jego żony, żeby zabrać ją na sabat, gdzie wielu sąsiadów widziało jej ohydne, niegodziwe czyny, w tym również lubieżne stosunki cielesne z inkubami o płonących oczach i penisach zimnych jak lód. Powiedziano mu, że w tym samym czasie diabeł podkładał mu do łóżka lalkę podobną do Estevanii jak dwie krople wody, ciepłą i pachnącą tak samo jak ona, żeby nie zauważył braku żony. W dniu, kiedy ją zatrzymano miała na sobie brązową spódnicę. W niej umarła i zaprzeczała do końca, że jest czarownicą. Mateo Ruiz

umieścił na piersiach figur krzyż liliowy dominikanów jako znak inkwizycji. Za całą pracę otrzymał łącznie 130 reali.

Tabliczka z napisem „Juanes de Odia” zwisiała z szyi trzeciej kukły. Przeżył sześćdziesiąt lat i też urodził się w Urdax, gdzie był węglarzem i sitarzem. Miał niewątpliwie najwyższe wykształcenie spośród wszystkich więźniów. Stał się znany dzięki temu, że próbował zaszczyć w umysłach sąsiadów teorię, jakoby wszelkie nieszczęścia zachodzące wokół nich brały się z ucisku wywieranego przez królów i panów. Mieszkańcy Urdax byli przypisani do ziemi, którą uprawiali dla klasztoru, podczas gdy w sąsiedniej wiosce Zugarramurdi żyli wolni chłopci i pasterze. To utwierdziło Juanesa w przekonaniu, że trzeba zniszczyć wszystkie stosunki własnościowe i dokonać redystrybucji bogactw Kościoła oraz państwa pośród biednych. Chętnie otaczał się dziećmi, żeby opowiadać historie o sprytnych myszach, które podjęły walkę z domowym kotem, bo uzmysłowiły sobie, że stanowią większość i mogą go pokonać, jeśli połączą swe siły. Był przekonany, że oddziaływanie na umysły młodych pokoleń jest najlepszym sposobem, żeby odwrócić nieszczęście ogarniające całe królestwo. Zajął się nawet szkoleniem grupy młodych chłopów do walki zbrojnej, nie zważając na taki drobny szczegół jak to, że chłopcy nie posiadali broni ani ducha bojowego i byli dość strachliwi. Juanes tłumaczył im z dobrze wyćwiczoną swadą, że Pan ukazywał mu się w snach, obiecując zwycięstwo. Nigdy nie doszło do bitwy, gdyż został on zatrzymany pewnego sobotniego poranka. Kiedy go obezwładniono, przytrzymując mocno pod pachami i wiążąc ręce na plecach,

wrzeszczał, kopał nogami w ziemię, pluł i miotał się jak szaleniec, powtarzając, iż nie zrobił nic złego. Ci, którzy go pojмали, nie mieli wątpliwości, że jest opętany. Sześć miesięcy później umarł nocą, nie przestając zapewniać, coraz słabiej, o swej niewinności. Wywieszki służące do zidentyfikowania kukieł wykonał Juan de Mongastón, który błędnie napisał nazwisko Juanesa, dodając niepotrzebnie H na początku. Same napisy kosztowały Święte Oficjum łącznie 31 reali.

Czwarta kukła wyobrażała Juanesa de Echegui. Błedego, chudego miłośnika polowań. Inkwizytorzy nadaremnie wysilali się, żeby uratować jego grzeszną duszę. Juanes miał wtedy sześćdziesiąt osiem lat, pole uprawne i dwadzieścia owiec. Kiedy przyszli po niego ludzie Świętego Oficjum, zbierał na wzgórzu dorodne kwiaty rumianku, żeby zrobić sobie napar na zgagę, która męczyła go od lat. Największym przeżyciem w życiu Juanesa był dzień narodzin jego córki, kiedy kobieta pomagająca przy porodach włożyła mu ją w ramiona. Pragnął obdarzyć tę istotę bezmierną czułością, irracjonalną miłością opartą na wspólnocie krwi i przodków, ale pierwsze, co przyszło mu w tym momencie do głowy, to myśl, że wątle tchnienie nowego życia, które walczyło o pozostanie na świecie, owinięte wstrętnym, niebieskawym i lepkiem flakiem, zaraz zgaśnie i nikt ani nic temu nie zaradzi. Ta nieszczęsna myśl towarzyszyła mu przez resztę życia i nabrała mocy przecucia, kiedy zachorował w więzieniu i zrozumiał, że umrze, nie wiedząc, co stanie się z tą córką, która również była uwięziona za czary.

Piąta kukła wyobrażała Marię de Zozaya. Nie dość że cała wioska oskarżyła ją o czary, to jeszcze ona sama przyznała, że jest czarownicą, i opisała ze wszystkimi szczegółami niegodziwości,

jakie wyprawiała. Figura, wyciosana przez Cosmego z twarzą pomarszczoną jak pergamin, musiała cierpliwie czekać pięć godzin na oczyszczenie przez ogień. Tyle bowiem czasu zajęło głośne odczytywanie jej straszliwych wyznań, które rozbrzmiewały echem po placu Świętego Jakuba wśród oznak przerażenia, wstrętu i kobiecych omdleń wywołanych długą listą nieprawości, jakie ciążyły na oskarżonej. Jakiś czas potem humanista Pedro de Valencia napisał dla inkwizytora generalnego Bernarda de Sandovala y Roja uczoną rozprawę pod tytułem *Acerca de los cuentos de las brujas**, w której dowodził między innymi, iż publiczne wymierzanie zbrodni czarowników, przedstawianych z niezwykle kunsztem oratorskim, jest poważnym błędem.

* *Acerca de los cuentos de las brujas* (hiszp.) – „O czym mówią czarownice”. Wielka wiedza książkowa o ludzkich słabościach pozwalała mu stwierdzić, że mówienie o niemoralnych czynach czasem niepotrzebnie rozbudza wyobraźnię maluczkich, którzy do tej pory nie mieli najmniejszego pojęcia o istnieniu takich perwersji. Zasugerował wręcz, że człowiek słaby na umyśle ulega większej pokusie naśladowania czynów złych niż dobrych, bo te ostatnie nie mają takiej siły przyciągania. Takiej pokusie uległa niewątpliwie María de Zozaya z Rentería. Miała osiemdziesiąt lat, kiedy dopadła ją więzienna choroba. Wszyscy wiedzieli, że od dawna była zatwardziałą czarownicą. Ona sama przyznała, że przystąpiła do sekty w wieku dziesięciu lat. W okamgnieniu pokonywała największe odległości, dzielące ją od miejsca sabatu, dzięki magicznej maści,

którą obiecała również inkwizytorom, jednak nigdzie nie pojawiła się wzmianka, że dotrzymała słowa. Latami wchodziła do domów wieśniaków, żeby znęcać się nad pozostawionymi bez opieki niemowlętami; przyciągnęła do sekty łącznie dwadzieścia osób i chępiła się przed trybunałem, że za sprawą długotrwałych konaszachtów z diabłem rzuciła urok na osiem osób, z których dwie zmarły. Pewnego razu Maria zamówiła sobie spódnicę u krawcowej z Rentería. Spódnica jej się nie spodobała i chociaż krawcowa chciała dokonać poprawek, czarownica tak się rozżłościła, że dała jej zatrute jabłko. Kobieta zjadła je i zmarła sześć miesięcy potem.

Nawet na młodym księdzu wypróbowała swą czarodziejską moc, rzucając na niego urok, kiedy udawał się na polowanie.

— Hej, proszę księdza! Niech ksiądz przyniesie dużo zajęcy, to sąsiedzi zrobią sobie z nich potrawkę — wołała uśmiechnięta, wychylając się z okna. Przyznała potem w czasie przesłuchania, że kiedy widziała go w pełnym rynsztunku myśliwego z ulubionym psem u boku, szybko zamieniała się w zającą i hasała po lesie, nie dając się dogonić ogarom. W takie dni ksiądz wracał z łowów wyczerpany, pełen wstydu i poczucia klęski, od których plątały mu się nogi.

Maria de Zozaya przyznała się również do utrzymywania regularnych stosunków cielesnych z diabłem w każdy poniedziałek, środę i piątek.

— Brał mnie zwyczajnie od przodu i od tyłu.... i zawsze było mi tak dobrze jak z normalnym chłopem, chociaż trochę bolało, bo jego członek był bardzo duży i twardy.

Słowa czarownicy zgorszyły inkwizytorów, toteż spuścili oczy i przeżegnali się parę razy.

Miejscowi zaczęli obrzucać ją kamieniami, a zgraja zuchwałych młokosów nie czuła żadnego respektu przed kobietą, która była w dobrych stosunkach z diabłem; wciąż ją prześladowali i przezywali „czarownicą”. Biorąc pod uwagę te okropne fakty i reperkusje postępków Marii w wiejskim społeczeństwie, postanowiono, że musi ona zginąć. Spośród wszystkich przyznających się do winy tylko ją skazano na śmierć, choć polityka inkwizycji wyraźnie mówiła, że *confitente* zostaje ceremonialnie na nowo przyjęty na łono Kościoła świętego i podczas autodafé ogłasza swoją skruchę, aby wszyscy mogli podziwiać wspaniałomyślność Świętego Oficjum. Niestety, przestępstwa Marii były tak poważne, że nie zasługiwała na przebaczenie. Przeklęta epidemia zabrała ją z tego świata trzy miesiące przed autodafé.

Inkwizytorzy Becerra i Salazar oświadczyli potem, że sam diabeł musiał być zamieszany w te tajemnicze choroby, którym nie mogli zaradzić najmędrsi lekarze, gdyż przestępcy, poddani kuracji i uznani za wyleczonych, wkrótce znów zapadali na gorączkę. Zresztą inkwizytorzy nie byli tym zdziwieni. Wiele czarownic wyznało, że nawet w więzieniu miały stosunki cielesne z diabłem, który przychodził do nich nocą. Było jasne, że to zły wywoływał chorobę, która je zabijała, zanim zdążyły wyznać coś, co mogłoby zagrażać integralności sekty. Zmarli więźniowie byli sądzeni *in absentia*. Ich szczątki, przechowywane pieczołowicie do dnia autodafé, umieszczono w trumnach i niesiono za kukłami. A następnie wrzucano do ognia. Inkwizycja zamówiła na ten dzień

trzydzieści partii drewna, za które zapłaciła 397 reali.

Sześciorgu skazanych na śmierć za czary udało się uniknąć złowieszczej mocy epidemii. Doprowadzono ich na plac w Logroño jako *negativos* *. * *Negativos* (hiszp.) – więźniowie inkwizycji, którzy nie przyznali się do winy mimo obciążających ich „dowodów”. María de Arburu i María Baztán, szwagierki z Zugarramurdi, w wieku sześćdziesięciu i sześćdziesięciu ośmiu lat, spędzały większość czasu przed uwięzieniem na plotkowaniu w progu swych domostw, zajmując się jednocześnie cerowaniem, przebieraniem soczewicy albo łuskaniem fasoli. Pierwsza była matką zakonnika Pedra de Arburu, druga – księdza Juana de la Bordy i oni też byli pozwanymi w tym procesie o konszachty z diabłem. Obaj zostali przy życiu, ale trybunał uznał, że trzeba ich przykładownie ukarać, i przez wiele lat po autodafé byli więzieni i poddawani różnym karom. Natomiast ich matki do końca twierdziły, że nie należą do diabelskiej sekty.

Kiedy w noc poprzedzającą autodafé obudzono Gracie Xarre, powiadamiając ją o wyroku śmierci, nie mogła w to uwierzyć. Spędziła tyle dni w tym więzieniu, że całkowicie zapomniała o życiu na wolności, zdążyła przyzwyczać się do mroku i wilgoci i myślała, że już zawsze tak będzie. Jej włosy, dawniej ciemnokasztanowe, zbieleły jak śnieg w ciągu zaledwie paru godzin, a twarz skurczyła się jak u staruszki. Padła na kolana i ze wszystkich sił starała się myśleć o Bogu chrześcijan w nadziei, że ulituje się nad nią.

Maria de Echachute, wprost przeciwnie, wybuchnęła śmiechem. Ubawiła ją protokolarna forma przekazywania tej

wiadomości, bo ostatnio miała do czynienia głównie ze złym traktowaniem. Uśmieła się z księdza, który został przy niej, czekając na jakikolwiek akt skruchy w tych ostatnich chwilach, i musiała zakryć usta rękami, żeby stłumić śmiech, gdy pomyślała, że oto nie może przeniknąć murów więzienia, żeby wyfrunąć na wolność, choć wszyscy sąsiedzi stwierdzili w czasie przesłuchań, że setki razy widzieli ją w takich sytuacjach. Przypomniała sobie, jak burmistrz potknął się w czasie uroczystości odpustowych, i to ją też rozśmieszyło, choć nie miało żadnego związku z obecną chwilą.

Domingo de Subildegui nie był zaskoczony wyrokiem. Już wiedział. Powtórzył tylko, że nie jest czarownikiem, choć oskarżenie zostało wsparte ewidentnymi dowodami, i zachował do końca nieulekłą postawę i grymas niezadowolenia na twarzy, nie zmieniając go ani na trochę nawet wtedy, gdy stanął przed górą drewna przygotowanego na stos.

Zakonnik towarzyszący Petriemu de Juangorena w drodze między placem, gdzie odczytywano wyroki, a miejscem, gdzie miał spłonąć na stosie, przez cały czas używał takich słów, jak: pokuta, ból, oczyszczenie, wina... i wciąż czekał na spowiedź grzesznika przekonany o sile swej perswazji. Ale Petri wydawał z siebie jedynie miauczące dźwięki, które zgromadzony tłum naśladował pośród głośnych wybuchów śmiechu. Jednym z głównych dowodów przemawiających najpierw za aresztowaniem, a następnie skazaniem Petriego, była jego zdolność do przemieniania się w dzikie zwierzę, kiedy tylko przysła mu na to ochota.

Biskup Pampeluny Antonio Venegas de Figueroa nie przybył na autodafé w Logroño. Twierdził uparcie, że diabelska sekta jest zwykłym wymysłem zbiorowego szaleństwa opartym na

złudzeniach i oszustwach. Z kolei monarcha włączył się w polityczny dyskurs epoki i powołał się na świętego Tomasza. Jego zdaniem król powinien mieć wiele cnót, z których jedna powinna przeważać nad innymi: sprawiedliwość pojęta jako karanie winnych i wynagradzanie niewinnych. Prawa ręka monarchy książę de Lerma odradził mu uczestnictwo, ponieważ każda kara, nawet zasłużona, budzi wśród ludzi lęk i nienawiść, jako że akt karania sam w sobie zawiera element władzy opartej na przemocy. Dlatego lepiej, żeby króla nie było na autodafé. Niech karaniem zajmują się ministrowie i sędziowie, a poddani podziwiają salomonową mądrość króla, który uznaje konieczność stosowania prawa, ale nie cieszy się z kary.

Nieobecność biskupa i wymówka, którą posłużył się Filip III, żeby w ostatniej chwili odwołać swój udział, nieco przyćmiły rangę wielkiego wydarzenia, choć i tak zgromadziło podobno ponad trzydzieści tysięcy widzów przybyłych ze wszystkich stron królestwa i z zagranicy. Tak wielkie rzesze ludzi tłoczyły się na ulicach Logroño, że miasto nie pomieściło wszystkich chętnych i wiele osób musiało zakwaterować się w pobliskich wioskach albo nawet spać pod gołym niebem. Całkowite koszty autodafé wyniosły 2541 reali, co nie było przesadną sumą w porównaniu z wydatkami, jakie inne trybunały zwykły ponosić w podobnych okolicznościach.

Z grupy trzydziestu jeden pozwanych, których wyroki odczytano owego 7 listopada na placu Świętego Jakuba, tylko osiemnastoro dożyło do tej chwili. Pomimo autodafé i wykonania orzeczonych kar jeszcze długo potem utrzymywało się podejrzenie, że diabelska sekta nadal jest zarazą dla tej części kraju i Najwyższy

Trybunał przyglądał się uważnie ziemi baskijsko-nawaryjskiej. Sto dwie osoby uwięziono już po autodafé i wciąż nowych podejrzanych osadzano w tajnych więzieniach inkwizycji. Przesłuchiwania trwały miesiącami, dopóki więźniowie nie wyznali do końca swych diabelskich knowań, a tymczasem rodzina i przyjaciele nie mieli najmniejszego pojęcia o miejscu odosobnienia swych bliskich.

Wśród pierwszych zatrzymanych znalazła się też Ederra *, kobieta znana z niezwyklej urody, która wcześniej wędrowała z wioski do wioski, oferując w zamian za ubranie, jedzenie lub dach nad głową terapeutyczne usługi jako znachorka, zielarka, uzdrowicielka, specjalistka od balsamowania zwłok i od perfum. Znała uzdrawiającą moc różnych roślin, umiała sporządzać wywary, syropy, maści i pigułki, wiedziała, jak to połączyć i o jakiej porze dnia i roku podawać, aby uzyskać najlepszy skutek. Posiadała też wiedzę o porodach przekazywaną z pokolenia na pokolenie od zarania dziejów. Zatrzymali ją w Zugarramurdi po denuncjacji złożonej przez pewnego lekarza, który poczuł się zagrożony obecnością kobiety zdolnej zaradzić męskiej impotencji i przeciwdziałać bólom porodowym skuteczniej niż on sam. To jest niezgodne z prawem bożym, oświadczył inkwizytorom. Przecież Księga Rodzaju mówi, że niewiasta ma rodzić w bólach. Jak ona śmie sprzeciwić się samemu Panu!

* Ederra (bask.) – piękna.

Od czasu aresztowania Ederry przez inkwizytorów wciąż szukała jej nieśmiała dziewczyna Mayo de Labastide d'Armagnac, która wcześniej wszędzie z nią chodziła, bo bez Ederry nie umiała

zrozumieć życia. Nie знаła nikogo, kto lepiej rozpoznawałby zwierzęta i rzeczy zakłète w olbrzymich głazach przydrożnych, nie mogła bez niej tańczyć nago z zamkniętymi oczami nocą przy pełni księżyca. Odnalezienie Ederry było dla niej kwestią życia albo śmierci.

Mayo de Labastide była na placu Świętego Jakuba podczas autodafé w Logroño i rozglądała się dokoła, usiłując dostrzec wdzięczne rysy Ederry pod spiczastą czapką i workiem okrywającym skazanych. A że jej nie zobaczyła, nie wiedziała do końca, czy to dobrze, czy źle. Może Ederrę nadal przetrzymują w którymś z tajnych więzień inkwizycji jako podejrzaną albo może umarła wskutek więziennej epidemii, o której tyle mówiono. Ale o tym Mayo nie chciała nawet myśleć. Gdyby Ederra umarła, ona by to przecież czuła... a może nie. Możliwe, że nic nie poczuła, bo nie jest jeszcze prawdziwą czarownicą, chociaż wszelkie referencje i znaki o tym świadczyły, odkąd przyszła na świat. Jednakże czary w jej wykonaniu działały połowicznie, a wróżby zazwyczaj okazywały się chybione.

Było jej smutno, że nie widziała Ederry na placu Świętego Jakuba podczas autodafé. Żal zabulgotał w gardle w znajomy sposób, serce zwinęło się w kłębek i w środku tego kłębka utworzyła się gorzka, włochata kula, której nie potrafiła przełknąć, choćby nie wiem jak chciała. Do ust zaczynała napływać gęsta, gorzka ślina, która przeszkadzała w oddychaniu. Ederra wyjaśniła, że u większości śmiertelników takie odczucia powodują wodnisty wyciek z oczu. Ale u Mayo nigdy w życiu — ani w słodkim okresie niemowlęstwa, ani wtedy, gdy Ederra próbowała rozwiązać ten problem, opowiadając przeraźliwe historie o porywaniu niewinnych dzieci przez złe istoty, które gotowały je na wolnym ogniu z

dodatkiem ziół, żeby kości były miękkie jak kapusta albo gdy miesiącami wcierała jej w powieki taki cuchnący i piekący płyn... — nigdy nie spłynęło jej po policzku coś, co przypominałoby łzę.

Nikt nie przejąłby się losem pięknej Ederry ani nie zauważono by jej braku, gdyby nie to, że Mayo de Labastide i Beltrán, mężczyzna zaklęty w osła, z niezwykłym uporem tropili jej ślady od czasu tego pamiętnego autodafé czarownic. Dla Mayo de Labastide póki życia, poty nadziei. Miała nadzieję... dużo nadziei i dużo czasu, żeby się nią karmić, zanim pryśnie. Mayo urodziła się piętnaście lat wcześniej pod najgorszą z możliwych gwiazd, ale bez żadnych skłonności do zniechęcenia.

I

*O tym, jakie zaklęcie rzucić,
żeby czarownice nie porywały
dzieci z łóżek,
i jak odstraszyć czarownice*

Słońce zaczynało strzepywać z pół ospalstwo nocy, kiedy Juana de Sauri poczuła przejmujący chłód i wstała zziębnięta, żeby rozpalic pod kuchnią. Ale najpierw, tknięta złym przecuciem, odwróciła ostrożnie głowę i wtedy ich zobaczyła. Byli tu. Milcząc, wlepiali w nią szeroko otwarte oczy i przybliżali się powoli z ceremoniałem typowym dla kresów piekła. Zamarła w bezruchu z ręką opartą na brzegu stołu i podnosiła powoli pogrzebacz, bardziej ze strachu niż dla pogroźki. Juana pojęła z całą jasnością, że stało się, co się miało stać i co przepowiadała od dawna, choć ani proboszcz, ani córka nie dawali wiary jej słowom. Był to logiczny odwet za zeznania, jakie w zeszlórocznym procesie czarownic złożyła przed trybunałem inkwizycyjnym. Od powrotu z Logroño nie mogła spać i nie zaznała ani chwili spokoju ludzi o czystym sumieniu. W środku nocy nawiedzały ją zjawy płonących sąsiadów, które

posepnymi głosami wołały o zemstę i zapowiadały nieuchronnie wieczną niedolę wskutek popełnionych przez nią kłamstw. Wtedy serce Juany zaczynało bić nierówno, sen odchodził i nie mogła już potem zasnąć. Tak było od miesięcy. Tkwił w niej bolesny i uporczywy niepokój zamieniający zwykłą codzienność w nieustanną trwogę. Jedyłą ulgę niosły słowa proboszcza, że jest usprawiedliwiona, bo wszystko to uczyniła dla Boga.

Ale w tym momencie kobieta była bardziej niż pewna, że Bóg jej nie pomoże. Przyszedł na nią kres. Wyszła z domu chwiejnym krokiem, nie patrząc za siebie i nie zamykając drzwi. Wiedziała, że i tak nie zamknie nieczystych mocy, które ją prześladowały. Biegła przez ugór przed domem tak szybko, jak pozwalały jej stare nogi i wciąż, wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem, czuła na sobie oddech złego. Potknęła się i upadła na ziemię. Leżała zadyszana z twarzą przy ziemi i czuła, jak zapach świeżo obudzonej trawy wypełnia bez reszty jej nozdrza. Przez chwilę było jej z tym dobrze, ale odgłos zbliżających się kroków wyrwał ją z zamyślenia.

— Nie uciekniesz nam.

Juana powoli podniosła głowę, a kojącą woń świeżej trawy przeniknął wstrętny zapach siarki. Rozpoznała go natychmiast, choć nigdy wcześniej nie miała z tym do czynienia. Był to zapach diabła, piekła, potępienia, nieodłączny zapach sabatów czarownic, ten sam, który tak dobrze opisała rok temu przed trybunałem inkwizycyjnym w Logroño. I wreszcie go poczuła. Już nie musiała sobie wyrzucać, że zeznając o sprawach, co do których nie miała

pewności, doprowadziła do śmierci kilku osób. Proboszcz miał rację: to byli naprawdę źli, zaprzędani diabłu... czarownicy. Wymacała na szyi drewniany krzyżyk, który zawsze ją chronił, i ścisnęła go mocno, czując, że rani sobie skórę i cierpi jak Jezus Chrystus przybijany do krzyża.

— Dodaj mi sił... nie opuszczaj mnie... Ojcie — jęknęła.

Podniosła oczy i zobaczyła czarne racice diabła jak z opisów Pisma Świętego. Dwie brudne kozie nogi wystawały z bioder olbrzymiego stworzenia — pół człowieka, pół zwierzęcia — które było całe pokryte szorstkim, czarnym włosiem i miało na łbie pięć rogów.

— Wszyscy muszą się o nas dowiedzieć — odezwał się zza bestii kobiecy głos. — Cokolwiek zrobicie, nic nie powstrzyma szatana. On zapanuje nad waszym miastem... nad całym królestwem... i światem — głos parsknął teatralnym śmiechem, w którym przebił się smutek.

Wciąż na czworakach Juana spojrzała w bok przez ramię. Był tam ten młody chłopak w lachmanach, ze sztywnymi włosami w kolorze słomy, z bielmem na oku, w którym można się było tylko domyślić mglistych, niebieskawych zarysów nieistniejącej źrenicy. Patrzył na nią głupkowato, wykrzywiając usta w sztucznym uśmiechu, który obnażał rzadkie przednie zęby. Obok śmiały się donośnie dwie kobiety z włosami zebranych w wielkie, stożkowate koki. Juana zadrżała. Nagle, nie wiadomo skąd biorąc siły, podskoczyła jak zając i zaczęła uciekać, słysząc wciąż za plecami śmiech czterech diabelskich postaci. Potykając się, dobiegła do rzeki, wpadła na potężny most i z zadziwiającą zręcznością wspięła się na szeroką poręcz. Zobaczyła powróz przywiązany do sporego kamienia, który ktoś musiał zostawić tam wcześniej. Zaczęła

owijać go sobie wokół kostki, a wtedy bies wraz z akolitami przestali się śmiać i podbiegli w stronę kobiety.

Trzęsąc się ze strachu, Juana wyprostowała się i przeżegnała. Z pięści, w której wciąż ścisnęła drewniany krzyżyk, płynęła strużka krwi i ściekała po przedramieniu, podczas gdy kobieta szeptała modlitwę z zamkniętymi oczami. Potrzebowała siły i odwagi, żeby zrobić to, co zamierzała, bo czarci prześladowcy byli już bardzo blisko.

— Stójcie, przekleć! — krzyknęła, zasłaniając się krzyżem jak obronną tarczą.

— Nie bądź głupia, to niczego nie zmie...

Zanim bestia zdążyła dokończyć zdanie, Juana zamknęła oczy i przechyliła się w pustkę. Kozioł próbował chwycić ją za nadgarstek, ale siła bezwładności była większa i pozostał z krzyżykiem w ręku, podczas gdy kobieta spadała z mostu i zniknęła w odmętach rzeki z głośnym pluskiem.

— Dalej! — wrzasnął białooki chłopak, nie bardzo wiedząc, czy w takiej sytuacji należy się śmiać, czy przybrać smętny wyraz twarzy.

— Co teraz? Nie mówiono nam, co robić ze zmarłymi — powiedziała starsza z kobiet.

Cała czwórka schylała się oszołomiona nad poręczą, próbując dostrzec w wodzie Juanę, ale doszli do wniosku, że z kamieniem przywiązany do nogi musiała pójść prosto na dno. Kozioł z wściekłością rzucił na ziemię zakrwawiony krzyżyk i wytarł ręce o kamienie na moście.

— Nic tu po nas — warknął niechętnie. — Znikamy.

xxx

Tego samego ranka, gdy ciało Juany de Sauri wypłynęło twarzą do dołu na powierzchnię rzeki, mijał jedenasty dzień od przyjazdu inkwizytora Alonsa de Salazara y Fríasa do Santesteban. On sam odnotował to wieczorem w dzienniku wizyty prowadzonym pewną ręką, nie podejrzewając nawet, że jego słowa przeleżą dwa wieki w piwnicy, zanim ktoś je przeczyta po obaleniu inkwizycji. Już od dłuższego czasu Salazar kwestionował prawie wszystko, ale był bardzo opanowany i mało skłonny do zwierzeń, toteż nikt tego nie zauważył i nadal darzono go zaufaniem w wysokich sferach inkwizycji. Najwyższy Sąd nie wahał się wysłać go na wizytację północnej części Nawarry i Guipúzcoa, gdy okazało się, że mimo autodafé w Logroño problem czarownic pozostał. Po długich rozważaniach sędziowie doszli do wniosku, że obecność surowego inkwizytora jest jedynym sposobem, aby położyć kres niegodziwej sekcje diabelskiej. A kto nadaje się do tego lepiej niż Alonso de Salazar y Frías, zawsze tak pewny siebie i panujący nad sytuacją. Postawny, z wysoko podniesioną brodą, robił wrażenie budową ciała z szerokimi plecami, długimi nogami i rękami o wyjątkowo szczupłych, delikatnych i lekko zaokrąglonych na końcach palcach. Maszerował równymi dużymi krokami, jak wojskowy, i tylko sutanna powiewała za nim na wietrze, a kto chciał porozmawiać z nim w takiej chwili, musiał biec truchtem obok, bo Salazar nie zwolniłby kroku za nic w świecie. Patrzył prosto przed siebie, przekonany, że nikt nie może zarzucić mu kłamstwa i kazać spuścić oczu. Słowo „inkwizytor” idealnie do niego pasowało. Szukał odpowiedzi, pytając nawet sam siebie raz po raz i zawsze

znajdował jakiś drobny szczegół, fakt czy okoliczność, które kazały mu wątpić we wszystko, nawet we własne istnienie. Dlatego inkwizytor generalny uznał, że nikt lepiej od Salazara nie wyjaśni niepokojących zjawisk.

Ostatnie wydarzenia odebrały spokój mieszkańcom tej ziemi i wyglądały tak dziwnie, że nawet panujących przyprawiały o gęsią skórę. Uprawy niszczały. Tam, gdzie dawniej rosły okazałe szparagi, teraz znajdowano zaledwie parę zwiędłych korzonków, na dodatek uszkodzonych przez gradobicie. Złowrogie wyładowania atmosferyczne utrwały w mieszkańcach przekonanie, że takie pioruny i iskry mogły powstać jedynie w kotłach Pedra Botero, a zwierzęta domowe zachowywały się doprawdy niezwykle. Kury z uporem wysiadywały niezapłodnione jajka, a kiedy gospodarzom udawało się zabrać im choć jedno, po rozbiciu wypływała lepka, czarniawa ciecz o zapachu śmierci. Pies przestał być obrońcą domu; zrobił się bojaźliwy, z lada powodu uciekał pod łóżko, gdzie leżał zwinięty w kłębek i siusiał pod siebie, kiedy próbowano go stamtąd wyciągnąć. Kot wpatrywał się nieruchomo nie wiadomo w co, po czym bez widocznej przyczyny wydawał przeraźliwe miauknięcia, stroszył sierść i pazury i wyginał grzbiet; krowy dawały często kwaśne mleko, które niezdatne było do niczego.

Rodzice wzywali pomoc, bo ich dzieci znów dostawały drgawek i opowiadały, że nocą, kiedy wszyscy spokojnie spali, podstępne czarownice zakradały się przez okna do alkowy, żeby zabrać maluchy na sabat. Dawały im wtedy różdżki i kazały pilnować stada żab przebranych za księżątka w miniaturowych strojach, którym one

składały pokłon jako aniołom stróżom. Przerażeni ludzie czuwali całe noce przy zaczarowanych maluchach, nie dając im zasnąć, ale i tak wszystko na nic, bo kiedy o świcie dorośli tracili czujność, a dzieci się zdrzemnęły, czarownice zawsze znalazły jakiś sposób, aby je porwać. Potem dzieci przyznawały z płaczem przerywanym czkawką, że były z czarownicami na sabacie, nawet jeśli sen zmógł je tylko na kilka chwil. Ludność zwróciła się do księży z prośbą o pomoc duchową, ale w krótkim czasie plaga urosła do tak cyklopowych rozmiarów, że duchowni nie byli już w stanie uspokoić mieszkańców mistycznymi wywodami.

Proboszcz parafii Vera napisał do trybunału w Logroño list z gorącą prośbą o wsparcie i posiłki, bo musiał już trzykrotnie zamykać ojców, aby nie dopuścić do zamordowania osób podejrzanych o czary lub podpalenia ich domostw z nimi samymi w środku. Poza tym zaproponował inkwizytorom zakłęcie własnego autorstwa, które miało zapobiec porywaniu dzieci przez czarownice, i prosił, aby trybunał uznał je oficjalnie i publicznie jako istotny sposób na siły nieczyste.

*Iesus + Nazareus + Rex + Iudeorum +
Verbwn caro factum est
Iesus, Maria, Joseph.*

Aby formuła przyniosła pożądany skutek, musi być napisana na papierze, który znajdzie się obok woskowej świecy, ziół, chleba i święconej wody w dziecięcej alkwie; dziecko powinno się przeżegnać przed snem i po przebudzeniu, podczas kiedy dorosły

kreśli mu krzyżyk na serduszku, wymawiając z mistycznym uniesieniem:

Iesus propitius esto mihi peccatorí.

Sprawy zaszły już tak daleko, że inkwizytor generalny Bernardo de Sandoval y Rojas rozważał możliwość przeniesienia trybunału na pewien czas do Pampeluny, bliżej terenów nawiedzanych przez czarownice. Co prawda mniemał, że większość oskarżeń o czary bierze się ze zwykłej zawiści i rywalizacji między sąsiadami, ale nie mógł sobie pozwolić, żeby w całym królestwie rozprowadano, jak to antychryst i jego przybocznicy szaleją w Nawarze, a inkwizytor generalny nawet nie kiwnie palcem. Napisał cztery listy z prośbą o radę do osób, które uważał za najlepiej zorientowane w kwestiach dotyczących diabelskiej sekty. Jeden z tych listów był skierowany do trójki inkwizytorów w Logroño z żądaniem raportu na temat aktualnej sytuacji; drugi dotarł do humanisty Pedra de Valencii, który cieszył się sławą i zaufaniem monarchy Filipa III, a trzeci do królewskiego bratanka księcia Lermy z zapytaniem, czy i w jakiej mierze kryzys wywołany przez sektę demona zagraża władzy królewskiej. Czwarty list otrzymał biskup Pampeluny Antonio Venegas de Figueroa, który w ostatnich czasach zyskał sławę niedowiarka, wygłaszając z przekonaniem uwagi, że całe to zamieszanie wokół czarownic opiera się w dużej mierze na złudzeniach i kłamstwach, o czym on biskup może zaświadczyć osobiście.

Inkwizytor generalny poczekał cierpliwie na odpowiedzi, po czym podjął ostateczną decyzję. Wydał edykt łaski z ważnością

na sześć miesięcy, obwieszczając, że wszyscy czarownicy, nawet ci z tajnych więzień inkwizycji, którzy się pokajają i *de levi* wyrzekną się swych poczynań, uzyskają odpust kościelny bez żadnych represji. W edyktie zakazywał wymuszania pod presją zeznań na podejrzanych i pozyskiwania świadków groźbami. Teraz potrzebował tylko zaufanego człowieka, który rozpropaguje ten edykt w strefie zagrożenia, i uznał, że nikt nie jest lepiej przygotowany do tej niebezpiecznej misji jak jego pupil Alonso de Salazar y Frías.

XXX

Proboszcz Santesteban Francisco Borrego Solano nie był zaskoczony pojawieniem się w rzece ciała utopionej Juany. Od momentu przybycia Salazara, czyli już prawie dwa tygodnie, krążyła po okolicy wieść o ułaskawieniach na mocy edyktu i rzesze czarowników ścigały do Santesteban, żeby ubiegać się o darowanie winy. Koczowali przed rezydencją Salazara, wzniesając okropny harmider, jakby tylko tego brakowało od dawna żyjącym w nerwach mieszkańcom. Przeciążony pracą inkwizytor musiał pozyskać nowych pomocników, których porozsyłał po sąsiednich wioskach, żeby przyjmowali zeznania od ludzi niemogących się przemieszczać. Zatem orszak złożony pierwotnie z dwóch sekretarzy inkwizycji i dwóch tłumaczy z baskijskiego, którzy oprócz tłumaczeń na przesłuchaniach musieli jeszcze przemawiać przy wywieszaniu edyktu łaski i uczestniczyć w aktach skruchy, rozrósł się do czterech ekip. Ludność Santesteban została zobligowana dekretem królewskim do udzielenia gościny śpiącym na ulicach pokutnikom.

Wkrótce nie było w miasteczku rodziny, która nie przyjęłaby pod swój dach skruszonego czarownika. Proboszcz Borrego Solano nie był tym zachwycony, zwłaszcza że obowiązek zakwaterowania pokutników w porządnym domu budził coraz większy niepokój wśród mieszkańców. Pojawiły się głosy, że tak naprawdę to czarownicy wcale nie czuli żalu i nie zasługiwali na ulaskawienie, tymczasem plaga czarów szerzyła się po wioskach niczym śmiertelna choroba.

Proboszcz Borrego Solano robił, co mógł dla pokrzepienia strapionych dusz swych pobożnych parafian, ukrywając przy tym swe własne rozterki. Ale nieszczęście było tak oczywiste, że nie pomagało żadne udawanie. Od pierwszych godzin tego tragicznego dnia, kiedy powiadomiono go o zwłokach utopionej Juany, proboszcz przeczuwał, że znów są zagrożeni. Jego kogut, zazwyczaj tak punktualny, zapał smętnie, fałszywie i nie w porę. Proboszcz dobrze wiedział, co to oznacza: w pobliżu są czarownicy. Inkwizycja nie zdołała zlikwidować wszystkich uczniów diabła pomimo aresztowań, tortur, autodafé, zapowiadania wiecznych katusz i obietnicy łaski z określoną datą ważności dla osób okazujących skruchę. Adepoci diabelskiej sekty wracali, żeby się zemścić, co do tego nie było wątpliwości.

Ubierając się w pośpiechu, żegnał się i mamrotał błagalne modlitwy. Zanim przestąpił próg domu, rzucił do ognia garść soli na osłabienie złowrogiej mocy czarownic. Płomień zaiskrzył wściekle niczym błędny ogień i proboszcz dostał gęsiej skórki, gdyż nie wróżyło to nic dobrego. Bezzwłocznie skierował się w stronę rzeki. Kiedy przybył na miejsce zdyszany bardziej z trwogi niż ze zmęczenia, ciało było już wyciągnięte z wody i bieląło pośród chaszczki.

Rozpoznał w topielicy parafiankę Juanę de Sauri i przeraził się jej wyglądem śniętej ryby.

— Wielki Boże! Jak można było to zrobić tej biednej kobiecie?
— wyjąkał i przeżegnał się. — Wezwijcie inkwizytora Salazara!
Szybko! Musi to zobaczyć.

II

*O tym, jak wykonać talizman
chroniący od niebezpieczeństw i jak
stać się niewidzialnym*

Salazar jeszcze spał, kiedy w atmosferze grozy załomotano do drzwi sypialni, żeby go zawiadomić, iż wedle wszelkich znaków zapowiedziane w Apokalipsie biblijne nieszczęścia zaczynają się spełniać właśnie w Santesteban. Słyszał ten łomot, nie do końca rozbudzony, bo długo w nocy siedział nad porządkowaniem zapi-sków z przesłuchań z minionego dnia. Choć bardzo się starał, nie znajdował sposobu na rozstrzygnięcie, czy brednie wypowiedane ustami skruszonych czarowników były rzeczywistością czy halucynacją megalomanów. Odkąd przybył do Santesteban, przynosząc obietnicę przebaczenia dla czcicieli diabła, gotowych wyrzec się swej winy, długie kolejki czarowników ustawiały się przed stołem inkwizytora i jego pomocników, cierpliwie czekając na swoją kolej, aby wyznać swe świętokradcze poczynania i otrzymać odpust, który zapewni im spokój ducha i szacunek w społeczeństwie.

Dla usprawnienia swych działań Salazar zmodernizował zawiły kwestionariusz stosowany dawniej przez inkwizycję, który składał się z czternastu podstępnych pytań z możliwymi odpowiedziami. Zebrane w ten sposób informacje posłużyły mu następnie po wnikliwej analizie do podzielenia zeznań na trzy grupy: omamy dzienne, sny nocne, przekonania duchowe i realia fizyczne. Te ostatnie interesowały go najbardziej, ale na razie, ku swemu niezadowoleniu, nie znajdował żadnych dowodów na obecność diabła w tym rejonie. Najpierw sprawdzał w archiwach procesu, czy dany czarownik zeznawał już wcześniej przed trybunałem, i jeśli tak, porównywał oba zeznania. Pragnął znaleźć bardziej skuteczny sposób oceniania zeznań i zarzucić stosowaną dotąd metodę inkwizycji, która sprowadzała się w zasadzie do osądzania na podstawie podejrzeń.

— Spotkaliście kogoś w drodze na sabat lub z powrotem? — pytał Salazar podsądnych, czekając, aż jego pomocnik, młody nowicjusz Íñigo de Maestu przetłumaczy te słowa na baskijski.

— Nie przypominam sobie, żeby spotkała kogoś znajomego... — odpowiedziała z wahaniem Ana de Labayen, która przybyła wraz z dwunastoma innymi osobami z wioski Zubieta, żeby skorzystać z prawa łaski — ale gdybym zobaczyła ponownie kogoś z tamtych ludzi, na pewno bym rozpoznała... i biada mu, gdyby próbował zaprzeczyć!... bo nikt mi się nie sprzeciwi, jeszcze tego by brakowało — dodawała z przekonaniem i kiwała twierdząco głową, chwytając się rękami za boki.

— Pamiętasz może szczekanie psa... albo bicie dzwonów... — tłumaczył dalej nowicjusz, a kobieta robiła zdziwioną minę — ...pianie koguta czy... bo ja wiem... jakieś inne odgłosy? Salazar

zataczał ręką koła i mówił coraz wolniej, licząc, że Ana przerwie mu w którymś momencie konkretną odpowiedzią.

— Hmm.... Nie.

— A jeśli pada podczas sabatu, to co? Ludzie mokną?

— Ona mówi — tłumaczył Íñigo de Maestu coraz ciszej na widok rozczarowania na twarzy Salazara — że wydaje się jej, że w czasie deszczu muszą zmoknąć.

xxx

Pukanie do drzwi było coraz głośniejsze i bardziej nagłaćce, aż wreszcie obudziło inkwizytora; westchnął z rezygnacją i powoli podniósł się z łóżka, przyzwyczajając wzrok do brzasku świtającego dnia.

— Kto tam?

— To ja, Íñigo, Wasza Wielmożność... proszę o wybaczenie. Proboszcz Borrego Solano czeka na was nad rzeką.

Salazar już wstał i otwierał drzwi, spoglądając w osłupieniu na nowicjusza.

— Mam teraz iść nad rzekę?

— Kazał się pospieszyć. Podobno czarownice znów zaatakowały. — Íñigo wzruszył ramionami.

xxx

Delikatny welon zielonkawej wilgoci utkany z nocnej rosy powoli zanikał pod jasnym słońcem poranka, kiedy inkwizytor Alonso de Salazar y Frías stawiał się wraz z asystentami przed proboszczem, który wciąż mocno poruszony przyglądał się tępo zwłokom Juany. Na widok inkwizytora ksiądz poczuł wyraźną ulgę. Znał Salazara ze słyszenia, zanim ten pojawił się w

Santesteban. Poprzedzała go bowiem sława najsurowszego i najokrutniejszego z trzech inkwizytorów przewodniczących autodafé w Logroño. Oschły ton i zachowanie Salazara w czasie przesłuchań, kiedy sceptycznie unosił lewą brew, parszkając w sposób wyraźnie obraźliwy, wywoływało przerażenie wśród oskarżonych, a podziw i szacunek protokołujących sekretarzy. Nawet jeśli Valle i Becerra, dwaj pozostali inkwizytorzy, byli usatysfakcjonowani zeznaniami więźnia, on nadal okazywał nieufność i podejrzliwość, ostro i z naciskiem domagając się tortur zdolnych zmusić przestępcę do wyznania każdej perwersji. Mówiono, że dzięki studiom na modnym, liberalnym uniwersytecie w Salamance nabrał doświadczenia i nauczył się nie popadać w konsternację albo zdumienie. Żaden z dwóch asystentów, towarzyszących inkwizytorowi tego smutnego poranka, nie widział wcześniej topielca.

— Co o tym sądzicie? — zapytał, pokazując spojrzeniem zwłoki kobiety.

— Ona... nie żyje — wybąkał brat Domingo z przerażoną twarzą.

— Ciekawe... Sam nigdy bym na to nie wpadł... — Nowicjusz Íñigo de Maestu rzucił mu krzywe spojrzenie i uśmiechnął się nieznacznie, pocierając brodę gestem erudyty.

— Nie teraz, Maestu... bardzo cię proszę, daj spokój — zganiał go Salazar i odwrócił się do Borrego Solano z pytaniem: — Kto ją znalazł?

— Dzieci — proboszcz wskazał na grupkę oberwańców, którzy patrzyli na nich nieufnie, ukrywając się pośród drzew. — Bawiły się na brzegu i widziały, że coś płynie z prądem. Rzeka robi tu

zakole i zwłoki zatrzymały się zaplątane wśród gałęzi.

— Wiadomo kto to?

— Och tak... To Juana de Sauri. Jedna z naszych najlepszych parafianek. Tak, tak... Juana...

— Nie żyje co najmniej od kilku dni. — Salazar postanowił działać ostrożnie. — Ciało topielca od razu idzie na dno, ale po jakimś czasie woda odkrywa, że ma do czynienia z dziwnym bytem... z czymś, co nie należy do środowiska wodnego... i wydała to z siebie tak po prostu. — Spojrzał na proboszcza i zapytał: — Miała jakieś kłopoty, które spowodowały tak nierozważną decyzję?

— Co to ma znaczyć? — odparł oburzony duchowny. — Pochojemy Juanę w poświęconej ziemi. Już mówiłem, że była jedną z najwierniejszych parafianek. Jeśli chcecie odkryć prawdziwą przyczynę jej śmierci, powinniście wiedzieć, że była bardzo dobrą chrześcijanką i rok temu złożyła przed trybunałem... w waszej obecności... donos na tych wszystkich złych czarowników, którzy szaleli w parafii i zagrażali naszej prawowitej wierze. Jeśli chcecie znać prawdę, szukajcie wśród osób, które ściągnęły tutaj, żeby ubiegać się o łaskę obiecaną przez Sąd Najwyższy. Na pewno ogromna większość to symulanci... kłamcy... na pewno są wśród nich adepti sekty demona. Chyba nie wierzycie, że wszyscy się już nawrócili? Przecież to jasne, że czarowników jest więcej niż tych, którzy stanęli przed sądem... więcej niż tych, którzy przybyli do naszego miasteczka. Oni są wszędzie, w całej Europie. Codziennie przekraczają granicę francuską, latając na tych swoich miotłach. Wciąż są wśród nas i teraz pragną zemsty. Będę musiał znów

zezwoić, aby dzieci spały w kościele, żeby wiedźmy nie mogły ich porwać i zabrać na te ohydne sabaty, gdzie zły każe podnosić dzieciom swój śmierdzący ogon i całować swoje intymne miejsca... gdzie czarownicy pokładają się ze sobą, nie bacząc na pleć ani stopień pokrewieństwa...

— Mówisz o kazirodztwie, ojcze? — spytał Íñigo, który łatwo dawał się oszołomić opisem diabelskich poczynań.

— Jakżeby inaczej! Mężczyzna z mężczyzną, kobieta z kobietą, brat z siostrą, matka z synem... a inkuby z członkiem długim i grubym jak wąż, który namawiał w raju do grzechu pierworodnego, wpychają go w szparę kobiecą tak głęboko, że...

— Íñigo... Íñigo... — Salazar zaczynał się niecierpliwić. — Íñigo!

— Tak?

— Podejdz do tamtych zarośli, zerwij kilka liści i przynieś mi szybko — rozkazał Salazar, podwijając rękawy.

Inkwizytor wziął liście i roztarł je mocno w dłoniach na zielonkawą masę, którą posmarował sobie górną wargę, tuż pod nosem. Na oczach zaskoczonych widzów w osobach proboszcza, Íñiga i Dominga pochylił się nad martwym ciałem Juany, do którego zlatywały się już muchy, i zaczął je badać. Kiedy odsunął liście przykrywające twarz topielicy, zdawało mu się, że rozpoznaje kobietę, która w zeszłym roku zeznawała przed trybunałem w Logroño, ale nie był całkiem pewien. Choć zawsze szczyił się, że doskonale pamięta wszystkich przesłuchiowanych, twarz denatki była zdeformowana przez opuchliznę. Obejrzał ubranie, pomacał szyję, dotknął głowy, jakby sprawdzał dojrzałość melona, i w momencie gdy proboszcz Borrego Solano, czerwony na twarzy,

szkował się do wybuchu, znalazł na dłoni prawej ręki ślad świeżej, głębokiej rany sięgającej niemal do kości.

— Czy to stygmat? — szepnęła Borrego Solano. — Święty Boże! — Przeżegnał się po trzykroć teatralnym gestem.

— Nie... nie sądzę — zaprzeczył Salazar, minimalizując odkrycie. — Wygląda to raczej tak, jakby kobieta ścisnęła coś bardzo mocno przed śmiercią.

— Ale... skąd wiadomo, że nie zrobiła tego jakaś gałąź, o którą denatka zaczepiła ręką, kiedy płynęła z prądem rzeki? — spytał brat Domingo.

— Bo rana jest zakrzepnięta. To znaczy, że kobieta jeszcze żyła w momencie skaleczenia. Poza tym to nie jest zwykłe zadrażnienie. Ta głęboka rana pochodzi od czegoś, co denatka ścisnęła w dłoni... zresztą ślad jest zbyt... doskonały. Jaki kształt ma rana? — zapytał Salazar swych uczniów, odsuwając dalej rękę Juany, jak ktoś, kto ogląda dzieło sztuki i szuka lepszej perspektywy.

— To przypomina krzyż. Z całą pewnością rana ma kształt krzyża — podkreślił Íñigo, próbując nadać swej wypowiedzi ton powagi.

— Czym się tak zraniła? — mruknął Salazar sam do siebie.

— Biedaczka! — Proboszcz był wstrząśnięty. — Nie wiem, jakie znaczenie może mieć ślad na dłoni. Dla mnie to znaczy tylko tyle, że... diabeł wciąż jest wśród nas i że uwziął się na Juanę.

— Nie powiedziałbym tego. Znaki otaczające zwłoki mogą wiele wyjaśnić — odparł tajemniczo Salazar. — Osoby zmarłe w dziwnych okolicznościach są, same w sobie, ogromną zagadką, którą trzeba zinterpretować. Są jak otwarte księgi, zapisane szyfrem i jeśli nikt ich nie odczyta, zabierają do grobu swój sekret,

który mógłby nadać pełniejszy sens ich istnieniu. A możliwe, że w tym przypadku, także i naszemu — zawyrokował smutno inkwizytor, po czym podniósł się, otrzepał kilkakrotnie sutannę i dodał na pozór obojętnym tonem: — Proszę przenieść ciało do mojej kwatery. Zamierzam zbadać je dokładniej.

— Na Boga! Co chcecie jej zrobić? — zaprotestował oburzony Borrego Solano. — Nie kwestionuję metod, którymi posługuje się lub nie Święta Inkwizycja dla wyjaśnienia swoich spraw, i być może w innych okolicznościach te metody mogą być drogowskazem na poplątanych ścieżkach, które doprowadziły do śmierci różnych osób, ale w tym przypadku wszystko jest jasne. To czarownice zemściły się na Juanie za to, że zeznawała przeciw nim w ubiegłym roku, a znak krzyża na jej dłoni jest stygmatem zesłanym przez Pana, żeby pokazać nam miłosierny charakter nieboszczki. Oto znaczenie rany i całej tej makabrycznej zagadki. Co powie jej córka, jak się dowie, że Wasza Miłość zabiera ciało, opóźniając moment chrześcijańskiego pochówku?

— Córka? Gdzie mieszkała nieboszczka? — Salazar był wyraźnie zainteresowany.

— Dom Juany znajduje się w górę rzeki. Godzina szybkiego marszu stąd. Mieszkała sama, bo córka wyszła za mąż, ale parę razy na tydzień zagląda do matki... to znaczy... chcę powiedzieć, że zaglądała. — Proboszcz spuścił wzrok i potrząsając głową, wyszeptał: — Biedna Juana, biedna Juana...

— Muszę porozmawiać z jej córką.

XXX

Mayo była tego ranka nad rzeką, kiedy usłyszała dziecięce głosy i ledwie zdążyła ukryć się wśród sitowia. Widziała, jak nadchodzą, bawią się w chowanym i popychają, widziała, jak szukają glist pod wilgotnymi kamieniami, żeby nadziać tę przynętę na swoje prymitywne wędki, słyszała wrzask, jaki podniosły, gdy ujrzały trupa i wyciągnęły go z wody. Widziała, jak początkowe zdziwienie zamienia się u dzieci w ciekawość i dźgają ciało kijami, popychają czubkiem buta, żeby je przekreślić. Widziała nawet to, że bez żadnego szacunku zadzierają zmarłej spódnicę, a potem jedno z nich zbiega wreszcie do miasteczka, żeby powiadomić dorosłych. Dzieci jej nie widziały, bo Mayo zawsze posiadała cechę bycia niewidzialną. Dzięki temu mogła swobodnie obserwować żałobny rytuał Salazara i jego świty. Inkwizytor był dla niej jedyną w tych trudnych chwilach nadzieją na odnalezienie Ederry. Gdyby nie przekonanie, że dotrze do niej, idąc po śladach Salazara, gdyby nie ten punkt oparcia, wąła nic trzymająca ją przy życiu, być może poprzestałaby na wytrwałym czekaniu, aż los sam naprawi to straszliwe cierpienie, jakim stało się dla niej życie w ciągu zaledwie kilku miesięcy. A może podjęłaby jednak jakąś bardziej drastyczną decyzję i legła gdzieś pod drzewem w oczekiwaniu na śmierć, która litościwie uśmierzy okrutny ból. Rozwiązanie jakiegokolwiek, choćby całkiem błahego problemu, bez mądrego wsparcia Ederry, wydawało się zupełnie ponad siły tej bezradnej istoty. Mayo nigdy nic nie zrobiła sama z siebie, więc uznała, że najprościej będzie, jak pójdzie za Salazarem, żeby trafić na ślad Ederry. Dlatego nie mogła pozwolić, żeby jakiś czarownik, demon,

lamia albo inna zła istota wyrządziła inkwizytorowi krzywdę, i postanowiła temu zapobiec.

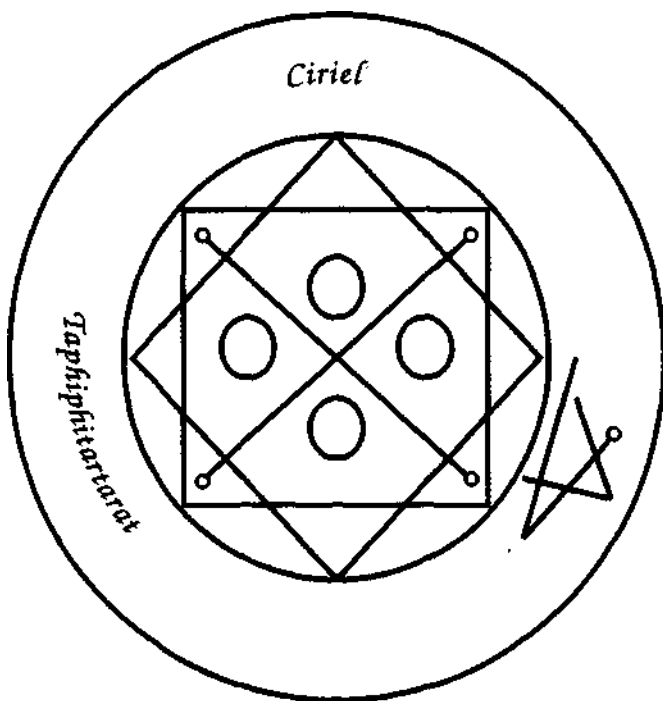
Zaczęła przygotowywać dla niego talizman ochronny, tak jak robiła to Ederra w sytuacjach wymagających szczególnej opieki. Talizman, mówiła Piękna, trzeba przyrządzić nadzwyczaj starannie. Winien chronić osobę, która go posiada, od złego uroku i zemsty, oddalać przeciwności, jak magnez zaś przyciągać szczęście, majątek i mądrość. Talizman będzie skuteczny, jeśli wykona go osoba doświadczona w tej materii. Kto nie ma czystej duszy i dobrych intencji, nie powinien sprawować tej magicznej ceremonii, moc talizmanu obróci się bowiem przeciw wykonawcy i zamieni go w łyżkę wazową albo mysz, jeśli kierują nim pragnienia nieczyste, wątpliwe lub złe. Kiedy już ma się pewność co do własnych intencji i przeświadczenie, że cel, jakiemu będzie służyć talizman, jest uczciwy i sprawiedliwy, wtedy można pokusić się o następny krok, mianowicie zdobyć:

- kawałek papieru,
- grafit,
- ścinek jedwabiu.

Papier był już gotowy w sakwach Beltrána, Mayo zrobiła go kilka dni temu. To jest ważne, gdy osoba sporządzająca talizman własnoręcznie przygotowuje papier, bo unika się błędów rzutujących ujemnie na efekty, ale trzeba ostrożnie dobierać magiczne składniki i nie dać się ponieść absurdalnym myślom, od których mąci się w głowie. Mayo ucieszyła się, że noc jest poniedziałkowa i na dodatek z pełnią księżyca, bo talizmany sporządzane w świetle księżyca chronią od epidemii, odpędzają złe duchy i strzegą w

podróży. Co prawda papier został zrobiony wcześniej, innego dnia tygodnia, ale to nie ma ani dobrego, ani złego wpływu na późniejsze działanie talizmanu. Mayo odcisnęła specjalnie w rogu papieru, kiedy masa była jeszcze świeża, magiczny znak lauburu *, który odbił się po wyschnięciu na wszystkich częściach zwoju.

Zaostrzyła grafit nożykiem i narysowała na kawałku papieru ósmy pentakel.



ÓSMY PENTAKEL

* Lauburu (bask. cztery głowy), znana też jako baskijski krzyż i baskijska swastyka — jeden z głównych oraz najstarszych symboli baskijskich.

Powszechnie wiadomo, że moc pentakli należy bardziej do porządku wiary niż logicznego rozumowania i podobnie jak w przypadku innych ceremonii magicznych przygotowanie pentakla wymaga wielkiej uwagi, a jego zdolność czynienia cudów zależy w dużej mierze od precyzji wykonania. Ósmy pentakel szczególnie przydaje się w podróży, bo dzięki niemu złe duchy stają się bezsilne i nie zwiódą podróżnych na manowce. Przydatny jest także dla rybaków, zapewnia bowiem obfite połowy.

Mayo od dziecka obserwowała, jak Ederra warzy kwiaty, zioła i bulwy, żeby wycisnąć z nich balsamiczną duszę. Uczyla się przy niej sporządzania talizmanów zgodnych z potrzebami i pragnieniami poszczególnych osób. Świetnie знаła cechy trzydziestu pięciu pentakli oraz symbole i słowa, które się nań składają. Choć nie umiała czytać ani pisać, potrafiła bezbłędnie odtworzyć wszystkie znaki. Ederra mocno wierzyła, iż każda bez wyjątku istota ludzka rodzi się z umiejętnością sporządzania magicznych filtrów, maści i wywarów, a u Mayo jest to na dodatek cecha dziedziczna, no i mogła się wiele nauczyć z codziennych obserwacji. Jak dotąd dziewczyna odznaczała się jednak wyjątkową nieporadnością w tym względzie, toteż teraz bardzo się przykładała, żeby niczego nie pominąć. Ten talizman musiał zadziałać.

Ukończywszy rysunek ósmego pentakla, Mayo owinęła go starannie skrawkiem jedwabiu w kolorze kości słoniowej, który odszukała w tobołku, końce zawiązała sznurkiem splecionym z grzywy Beltrána i przystąpiła do oczyszczenia talizmanu zgodnie z rytuałem konsekracji, zaklinając księżyc.

*Pozdrawiam cię i przyzywam,
piękny księżycu, śliczna gwiazdo,
błyszczące światło, które trzymam w dłoni,
przyzywam cię przez powietrze, którym oddycham,
przez powietrze, które jest we mnie,
przez ziemię, której dotykam,
przyzywam was przez wszystkie imiona duchów,
imiona książąt władających wami.*

Po tych słowach chuchnęła na talizman trzy razy, wkładając w te chuchnięcia całą swoją wiarę i prosząc, aby ten talizman zrobiony bez pomocy Ederry okazał się skuteczny.

W porze kolacji Mayo zbliżyła się do rezydencji, w której po przybyciu do Santesteban zatrzymał się Salazar ze swą swiłą. Poprzedniego wieczoru długo obserwowała budynek. Widziała, że w jednym z okien do późnej nocy migotało światło świecy, a na suficie pokoju mała i rosła cień Salazara. Policzywszy okna, sporządziła w myślach plan budynku; była przekonana, że jak już znajdzie się w środku, bez trudu trafi do alkowy goszczącej trzeciego inkwizytora Logroño. Uważnie prześledziła trasę wykonywaną przez stróża nocnego wokół rezydencji i kiedy w pewnym momencie mężczyzna zniknął za rogiem, pobiegła na palcach w stronę głównego wejścia. Choć włożyła do kieszeni kolorowe kamyki z gniazda dudka zapewniające niewidzialność, nie chciała trafić na kogokolwiek na swej drodze.

Przesuwała się cicho po pustych korytarzach, wsłuchana w dobiegający z jadalni słaby dźwięk łyżek stukających o talerze, i wdychała pikantny, słodkawy zapach gotowanych w kuchni porów, który mieszał się z zapachem strachu wydzielanym przez jej ciało.

Bez wielkiego wysiłku znalazła sypialnię Salazara. Zanim weszła, przyłożyła ucho do drewna i przekonawszy się, że wewnątrz nie ma nikogo, z trudnością przełknęła tkwiącą w gardle kulę strachu i przygryzając dolną wargę, powoli otworzyła drzwi. Na palcach skierowała się w stronę łóżka, a kiedy znalazła się przy nim, położyła się na podłodze i wyciągnęła rękę najdalej jak mogła, żeby umieścić pod łóżkiem talizman, prostopadle do poduszki, na której powinna spoczywać głowa Salazara w czasie snu.

— Będziesz mieć szczęście, jeśli jesteś sprawiedliwy, będziesz mieć szczęście, jeśli twoje intencje są czyste, nic ci się nie stanie i twoje kroki przywiodą mnie do Ederry, która mnie piastowała — uroczyście wyszeptła Mayo z przymkniętymi oczami.

Następnie wyszła z budynku równie ostrożnie, jak weszła, i gdy znalazła się dostatecznie daleko, wyjęła z kieszeni kolorowe kamyki, które czyniły ją niewidzialną, żeby czekający na końcu ulicy Beltrán rozpoznał ją z łatwością i nie przestraszył się. Chwyliła za lejce i ruszyli w stronę lasu; nawet nie zauważyła dwóch ponurych sylwetek, które czaiły się w cieniu krużganka.

Dwaj mężczyźni rozejrzeli się ostrożnie na wszystkie strony, żeby sprawdzić, czy nie ma nikogo, po czym przeszli przez ulicę i skierowali się do rezydencji Salazara. Jeden z nich, ten, który miał białe oko błyszczące w ciemności, zaczął wspinać się po ścianie, a drugi czekał pod oknem, przeczesując palcami gęstą brodę i wpatrując się niespokojnie w mrok.

Wspinający się już łapał za framugę, gdy wtem okno zamknęło się, przytrzaszkując mu palce tak mocno, że musiał puścić. Jak

szmaciana lalka upadł z jękiem na ulicę, a brodacz zaraz położył mu rękę na ustach, żeby go uciszyć.

— Kto idzie? — zawołał głos spod głównego wejścia.

Człowiek leżący na ziemi znów zajęczał, ponieważ brodacz chwycił go pod pachy i usiłował podnieść, pomagając sobie ramięm, a jednocześnie ciągle go uciszał. Z trudem wyciągnął go poza portal i schowali się w cieniu, żeby przeczekać niefortunny alarm nocnego stróża. Ten wysunął głowę, nadstawił ucha i wbił nieufny wzrok w ciemność, mrużąc oczy z wysiłku, ale zobaczył jedynie ponurego kota o zielonym, fosforyzującym spojrzeniu, który mruknął leniwie i lekceważąco odwrócił się w drugą stronę.

— Pójdziesz, ty czorcie! — wykrzyknął stróż i rzucił w niego kamieniem, ale nie trafił.

Kiedy wszem wobec było już wiadomo, że czarownicy powoli opanowują Europę za pomocą wszelkich możliwych środków, rozeszła się wieść, że nie tylko porywają istoty ludzkie, ale też potrafią wciągnąć w swe szeregi niektóre zwierzęta. Podobno z łatwością przemieniali się w kota, żeby jeszcze bardziej szkodzić swym sąsiadom, a jednocześnie unikać wszelkich podejrzeń. Ludzi ogarnął strach. Podejrzane stały się nawet małe kocięta, które ledwie przejrzały na oczy. Mimo nadzwyczajnych zdolności do polowania na gryzonie i inne szkodniki, które już dawno uczyniły z kotów najmilej widziane zwierzę domowe, teraz przepędzano je kamieniami. A jeśli przeżyły, ubierano w spiczastą czapkę i sambenito, uszyte specjalnie na tę okazję, i urządzano autodafé wzorowane w najdrobniejszych szczegółach, włącznie ze stosem, na ceremoniale Świętej Inkwizycji. Krążyły wieści, że gdy w nocy poturbowano jakiegoś kota, który przypadkowo przebiegał komuś

drogę, nazajutrz jedna z kobiet podejrzanych o czary miała rozbitą głowę, kulała albo narzekała na ból w plecach i nikt już nie mógł mieć wątpliwości, że to ona była tym kotem.

Fala prześladowań, jaka przetoczyła się w tych dniach, zdzięsiaćkowała koty, a gryzonie, uwolnione od swych najgorszych wrogów, rozpanoszyły się na ulicach i w domach wiosek oraz miast. Urosły do rozmiarów zajęcy, gryzły dzieci śpiące spokojnie w swych łóżeczkach i roznosząc choroby, zarażały dookoła zarówno bydło, jak i ludzi. Myszy i szczury nabrały takiej siły i wigoru, że nie dawano sobie z nimi rady. Dopiero wtedy zatroskane władze zreagowały rozporządzenie, które porozwieszano na placach wiosek i miast, heroldowie obwieszczali je na ulicach, a ksiądz odczytywał na głos obowiązkowo pod koniec każdej mszy. W rozporządzeniu nakazywano zostawić nieszczęsne koty w spokoju, jako że żaden wiarygodny dowód nie potwierdził ich rzekomych powiązań z diabelską sektą.

Mimo to nocny stróż wciąż nie ufał kotom. Patrzył podejrzliwie na małego drapieżnika, dopóki ten nie skręcił za róg i nie zniknął mu z oczu, po czym ziewnął głęboko i wrócił na swoje stanowisko przy głównym wejściu do gmachu. Dopiero wtedy dwie niewyraźne sylwetki odważyły się wyjść z ukrycia i podtrzymując się nawzajem jak pijacy, podążyły chwiejnie w kierunku lasu.

III

*O tym, jak przerwać atak astmy,
jak oczyścić świeżo udojone mleko,
jak nastawić zwichniętą kończybę
i jak uleczyć katar oraz różę*

Mayo de Labastide d'Armagnac zanurzyła tego ranka Beltrána w wodach rzeki z nadzieją, że wreszcie zdejmie z niego urok i spełni się to, na co od lat czekała razem z Ederrą. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem potrzebowała, żeby Beltrán odzyskał ludzką postać. Ale jak zwykle nic się nie wydarzyło. Kiedy myślała mu wielkie ośle uszy, przypomniała sobie dokładnie moment, gdy zrozumiała, że zgubiła się Ederze, i co wtedy poczuła. Serce poruszyło się gwałtownie w piersiach, jakby chciało wyrwać się na zewnątrz przez gardło, zrobiło jej się gorąco, a jednocześnie wystąpiły zimne poty w głowie i krzyżu, zaczęła nierówno oddychać jak koliber w agonii, na skutek tej duszącej choroby, której — zdaniem Ederry — nabawiła się dlatego, że zaraz po urodzeniu wystawiono ją na dwór. Z tego samego powodu miała płuca pomarszczone jak rodzynki i pełne flegmy.

Choroba dawała się we znaki od czasu do czasu, zwłaszcza wiosną, kiedy w powietrzu unosił się dokuczliwy, biały pyłek wytwarzany przez kwiaty. Czasem męczyła ją także w pochmurne dni albo gdy wyrządzono jej jakąś przykrość. Kiedy to się zaczynało, dziewczynka nie mogła złapać tchu, choć bardzo się starała i prostowała wątłe plecy. Zaraz zmieniała się na twarzy i dostawała drgawek, a przez otwarte usta wydobywał się niespokojny świst jak u ryby wyciągniętej z wody. Wtedy Ederra dawała jej do wypicia wywar z pokrojonej w ćwiartki cytryny, a gdy oddech dziewczynki stawał się bardziej miarowy, przytuliła jej głowę do swego serca, kazała wsłuchiwać się uważnie w jego bicie i próbować oddychać w tym samym rytmie co ona. Jednocześnie pocierała delikatnie jej plecy, żeby płuca ogrzały się od pieszczoł, których jej nie szczędziła; całowała ją za uszami, w nos i w szyję, bo według Ederry tylko czułość kochającej osoby potrafi uleczyć te dolegliwości, co zostało wielokrotnie udowodnione. Ale w tym straszliwym momencie, kiedy Mayo dowiedziała się o aresztowaniu Ederry, nie było nikogo, kto by ją przytulił, toteż szybko zaczęła się dusić z braku powietrza i o mało nie zemdląca.

— Nigdy dotąd się nie rozdzielałyśmy... nigdy nie powinnyśmy się rozstawać — szeptała.

Pamięta, jak i dlaczego przybyły do Zugarramurdi. Wybrały to miejsce zupełnie przypadkowo. Zwykle tak robiły. Ederra mawiała, że nieważne, jaką drogą idzie się przez życie, bo i tak na końcu jest Opatrzność, która czeka na każdego. Ta metoda była skuteczna i zawsze trafiały do jakiejś wioski, gdzie ich usługi okazywały się niezbędne. Staraly się nie wtrącać bezpośrednio w pracę lekarzy.

Ederra miała świadomość, że na uzdrowicieli i znachorki patrzono złym okiem, bo stanowili wyzwanie dla lekarzy. Studia medyczne były zarezerwowane dla wąskiej grupy uprzywilejowanych, którzy mogli sobie na to pozwolić ze względów finansowych, i nieraz gmina musiała zacisnąć pasa, chcąc wysłać na studia najzdolniejszego młodzieńca i zapewnić sobie na miejscu stałego lekarza. Dlatego medycy wołali o pomstę do nieba na wieść o tym, iż zwykła znachorka wyleczyła chorego na wściekliznę, robiąc mu na czole znak krzyża ze śliny i mamrocząc modlitwy w świetle księżyca. Znamienici doktorzy bronili na zabój modnej naówczas teorii filozoficznej, jakoby kobieta znajdowała się wśród innych stworzeń gdzieś pomiędzy mężczyzną a bezmyślnym zwierzęciem, bo gdyby posiadała choć szczyptę rozumu, to nie zakazano by jej wstępu na uniwersytet kilka wieków temu. No właśnie!

Ederra starała się nie wchodzić w drogę lekarzom, chyba że musiała. Twierdziła zresztą, że każda choroba ma swojego uzdrowiciela; na jedne dolegliwości najlepszy jest lekarz, na inne — ksiądz, a jeszcze inne są przypisane takim jak ona, ludzie zaś są wystarczająco inteligentni, żeby wiedzieć, kogo wezwać w danej chwili. Mayo i Ederra nigdy nie zostawały w jednej wiosce dłużej niż miesiąc; miały dostatecznie dużo czasu, żeby zająć się przypadkami, które lekarze i księża uznali za stracone, ale nie na tyle dużo, by spoufalić się z miejscowymi. Przyjmowały pieniądze, strawę i ubranie, wymieniały doświadczenia z innymi *astue**. * Czarownica baskijska.

Czasem władze gminy, gdzie w promieniu wielu kilometrów nie

było ani jednego lekarza, same zwracały się do nich o pomoc, płacąc ćwierć reala za wyrwanie zęba, dwa za upuszczenie krwi i pięć srebrnych reali za wyeliminowanie plagi, która siała zniszczenie na polach lub w zagrodach. Jednak Ederze największą satysfakcję z pracy dawała pewność, że każdy, kto odzyska zdrowie, urodę lub spokój dzięki ich staraniom, ma moralny obowiązek przekazania otrzymanego dobra innej osobie.

— Zobaczysz, Mayo, to jest jak kula śniegu — mówiła dziewczynce — i w końcu każdy człowiek uczyni bliźniemu coś dobrego w zamian za dobro, jakie od nas otrzymał. Nasze uczynki będą zataczać coraz większe kręgi, powiększać się i wszyscy odniosą z tego jakiś pożytek. Nie sądzisz, że to nadzwyczajne? Tak każe prawo pomagania sobie nawzajem ustanowione przez boginię Mari.

— Więc Mari widzi, co my robimy?

— Oczywiście, że widzi i zsyła kary za kłamstwo, kradzież, pychę i zarozumiałość oraz złamanie danego słowa.

Wszystko szło dobrze do czasu, ale na krótko przed przybyciem do Zugarramurdi sprawy zaczęły się komplikować. Kilka dni wcześniej Ederra przewróciła się i zwichnęła nogę w kostce. Delikatna, biała stopa przemieniła się najpierw w zielonkawą but, potem zrobiła się sina, a jeszcze później szerniała. Mayo wysłuchała uważnie wskazówek Ederry o leczeniu zwichniętych kończyn i podgrzała w garnku w równych ilościach olej, wino i sól, namoczyła w tym roztworze kawałek białego płótna, położyła na uszkodzonej kostce i owinęła bandażem. Następnie pomogła Ederze wsiąść na grzbiet Beltrána i wyruszyły w drogę, gotowe zatrzymać się w pierwszej napotkanej wiosce.

Okolice Zugarramurdi lśniły piękną zielenią. Krajobraz ulegał tu cyklicznym przemianom, gdy cudowne wiosenne słońce zamieniało w rzeczkę zimowe śniegi, wody rzeczki podlewały kwiaty, które piękniały w oczach i przyciągały owady, a te z kolei pobierały z nich pyłek potrzebny do zapłodnienia jabłoni, żeby człowiek mógł zrobić sobie jabłecznik i ogrzać się tym napitkiem podczas kolejnej śnieżnej zimy. Czekając, aż Ederra odzyska siły w nodze, Mayo obserwowała mieszkańców i ich nieufne zachowanie. Zugarramurdi przeżywało ciężkie chwile. Od kilku tygodni czarownice napastowały porządnych ludzi i rujnowały im życie z czystej złośliwości. Inkwizytor Valle, uważany przez wielu za prawdziwie świętego, wizytował ten region w zeszłym roku i rezultaty wizytacji ogłosił jako akt wiary, który odczytywano z kościelnych ambon w całej dolinie Baztán. Okazało się, że w noc świętojańską czarownicy wtargnęły z bębniami do kościoła w Zugarramurdi i śpiewały sprośne piosenki. Wiedźmy lubieżnie zadzierały spódnice w szalonym tańcu, zrywały i deptały krzyże, głośno się śmiejąc, a demon czekał spokojnie na zewnątrz, machając ohydny ogonem, żeby odgonić ćmy. Nic więc dziwnego, że mieszkańcy bali się obcych i szeptali coś po cichu na ich widok. Mayo była tym przestraszona i Ederra musiała jej obiecać, że odejdą stąd, jak tylko poczuje się lepiej. Tymczasem mogły usuwać wrzody, oferować lek na bolesne miesiączki i zagotować kilka litrów mleka z cebulą, bo na przeziębienie dobrze wypić przed snem kubek takiego gorącego napoju. Ale sprawy uległy pogorszeniu. Jeden z miejscowych ciężko zachorował na różę i żegnał się już z tym światem, kiedy

wezvano na pomoc Ederę, która — wierna zasadom pomagania bliźniemu — przeniosła się razem z Mayo i Beltránem do szopy w zagrodzie chorego. Do leczenia potrzebowała następujących składników:

- Gałązkę poświęconego lauru
- Rozmaryn
- Koper włoski
- Malwę
- Piołun
- Gałązkę orzecha
- Kwiat wrotyczu
- Prawoślaz
- Kosaciec/tritonia
- Róże
- Irysy
- Kwiaty pomarańczy

Chciała z nich zrobić wywar w glinianym kociołku, który w momencie wrzenia trzeba obrócić wraz z zawartością do góry dnem i wstawić do rondla. Na spodzie garnka kładzie się na krzyż nożyczki i grzebień, a na to igłę z nitką. Potem przykrywa się chorego kocem, żeby wdychał parę, dopóki woda z rondla nie wsiąknie z powrotem do glinianego garnka. Taki zabieg powtarza się co wieczór przez dziewięć dni przed snem. Ale ze składników potrzebnych do sporządzenia tego leku Ederra miała pod ręką tylko laur i wrotycz.

— Musisz przynieść mi resztę — powiedziała do Mayo z czułą stanowczością — bo wiesz, że ja nie mogę się ruszać, a jak noga się

zagoi, będzie już za późno i ten człowiek umrze bez lekarstwa, chyba tego nie chcesz, prawda? — Patrzyła na nią łagodnie tymi swoimi oczami, którym nikt by się nie oparł. — Zajmie ci to najwyżej trzy dni. Dobrze wiesz, gdzie szukać tych roślin. Nie bądź egoistką. Jesteś już duża. Weźmiesz Beltrána, z nim nie musisz się niczego bać. O mnie się nie martw, zostanę z tymi ludźmi. Idź już.

Chociaż Mayo nie grzeszyła intuicją i nie miała zdolności profetycznych, tym razem wiedziała to doskonale: nie powinny się rozstawać. Powiedziała to, przerażona, ale Ederra uśmiechnęła się tylko jak do dziecka, któremu przyśnił się koszmar, i poklepała po plecach na pożegnanie.

— Sądę, że nie powinniśmy się rozstawać — opierała się Mayo, robiąc płaczliwe miny.

Powtarzała to głośno przez całą drogę, szukając roślin leczniczych, po które wysłała ją Ederra. I mruczała to samo w drodze powrotnej. Bardzo się spieszyła, prawie nie spała, zerwała na górze cudowne zioła i wygrała wyścig z czasem. Nie było jej tylko dwa dni, ale po powrocie nie zastała Ederry.

W żadnym z nieszczęść, jakie wyobrażała sobie we śnie i na jawie, nie zakładała, że kiedykolwiek zostanie sama bez Ederry. Czasem atakowały ją bezlitośnie okrutne myśli, których nigdy nie wyrażała słowami ze strachu, żeby nie przyciągnąć złego losu, a także dlatego, że nie potrafiła ubrać ich w słowa. Były to niezgłębione doznania płynące z dna duszy, które zdawały się tam istnieć od dawna, jeszcze zanim ona przyszła na świat, zanim jakakolwiek

inna żywa istota pojawiła się na tym świecie, a nawet zanim powstał świat. Nigdy wcześniej nie czuła tak wielkiego strachu jak pod wpływem tych wstrząsających doznań, które kazały je zastanawiać się, kim tak naprawdę jest, skąd bierze się jej naiwność i kruchość wróbelka, i które pytały o tajemnicę istnienia wykradzonego śmierci. Nawet wilki, zamiast zrobić sobie z niej obiad, gdy jako niemowlę została porzucona w lesie, zlekceważyły tak nieistotną obecność. I nic się nie zmieniło mimo upływu lat. Rosła w górę i zarazem nikała w oczach zwłaszcza przy niezrównanie pięknej Ederze, a przecież zawsze były razem. Ederra całkowicie przesłaniała Mayo. Wszystko zaćmiewała swą urodą.

Wędrowały z wioski do wioski, po pastwiskach, dolinach i górach, przekraczały granice królestw w miejscach, gdzie nie było nikogo, kto zapytałby, skąd przychodzą, i wszędzie Ederra jawiła się ludzkim oczom niczym wróżka z bajki albo leśna nimfa, jakby cała przyroda zmówiła się, żeby przyozdobić swoimi darami jej doskonałość, choć i bez tego była nieskończenie piękna. Wiatr uporczywie próbował pofalować jej włosy, upiąć w szkarłatną kaskadę, która wiła się w spienionych splotach, a Piękna w ogóle nie zwracała na to uwagi. Wobec tego bryza wykorzystywała każdy jej ruch, żeby wykraść esencję wilgotnego mchu emanującą z jej ciała i roztoczyć ten zapach dookoła. Słońce rzucało olśniewające błyski, które odbijały się niewinnie w delikatnej jak u dziecka cerze tak jasnej, że widać było rytmiczne pulsowanie zielonych żyłek i perłowe zakończenia stawów. A w czasie deszczu krople rysowały na mapie jej ciała nieodkryte jeszcze rzeki i laguny. Miała delikatne, krwistoczerwone wargi radośnie okalające perłowe zęby,

które ukazywały swój idealny kształt, kiedy śmiała się śmiechem brzmiącym jak dzwoneczki... Brakowało tylko świetlistych skrzydeł, żeby wyglądała jak prawdziwa wróżka, jednak brzydota stworzeń, które wciąż holowała — smutnego, szarego osła i chudej dziewczynki o wielkich czarnych oczach i spiczastych uszach — sprowadzała Ederkę na ziemię, do prozaicznego świata.

Sama myśl o rywalizowaniu z taką piękną była czystym absurdem, dlatego Mayo nie dziwiła się, że nikt na nią nie patrzy. Zawsze tak żyła: niedotykalna, nieuchwytna, wiotka, zwiewna... Nie widziała w tym nic negatywnego, wręcz przeciwnie, zawsze myślała, że być niezauważalną to zaleta. Od dawna przesuwiała się jak cień, wchodząc ukradkiem do cudzych sadów, dowiadując się różnych rzeczy z rozmów, których wcale nie zamierzała podsłuchiwać, po prostu nikt nie zwracał na nią uwagi. Być niewidzialną w oczach ludzi przynosiło same korzyści. Tłumaczyło też w jej mniemaniu, dlaczego Bóg nie zauważył, że ona jeszcze żyje. Ona, córka spłodzona przez diabła ze zwykłą kobietą, na co wskazywały wszystkie znaki sprzed narodzin Mayo... ona wciąż jeszcze żyje. Siły dobra i zła toczyły wyrównaną walkę, z której dziewczynka wychodziła zwycięsko, wyrwana z rak śmierci dzięki Ederce. Niewątpliwie obie figurowały na bożej liście osób najbardziej poszukiwanych za sprzeciwianie się Jego woli. Niewątpliwie pewnego dnia je odnajdzie. Ale póki co, Mayo wciąż zadawała sobie pytanie, co czeka ją teraz, gdy Opatrzność już jej nie sprzyja. Nawet nie bardzo rozumiała, czy istnieje coś takiego jak przeznaczenie, które kieruje ludźmi i z którym nie można się targować, czy też

los zwykłych śmiertelników zmienia się w zależności od ich poczynań. A może te zmiany też są w planach Opatrzności? Może to Bóg o wszystkim decyduje...? W takich bolesnych myślach, które krążyły po jej głowie, w płonnych poszukiwaniach choć odrobiny światła, które kończyły się wyczerpaniem, kojonym jedynie przez sen, nie było nigdy nic, co zapowiadałoby nieobecność Ederry. Mayo wyobrażała sobie różne nieszczęścia, przekonana, że razem będą stawiać im czoła, bo przyrzekły nigdy się nie rozstawać aż do śmierci, która przyjdzie po nie tego samego dnia. Nie chciały żyć sama ani chwili dłużej, Ederra była dla niej wszystkim. To uczucie było więcej niż przywiązaniem, było uzależnieniem. Uzależniła się od oczu Ederry, które decydowały, na co warto patrzeć, od gestów, które naśladowała, od jej mądrości, znającej odpowiedź na wszystkie pytania świata, od ciepła jej ciała w środku nocy, od słodkich i gorzkich słów; sama o niczym nie decydowała, nawet jeśli chodzi o jedzenie czy oddychanie... we wszystkim od niej zależała. Dlatego nieobecność Ederry wywołała w Mayo uczucie zahamowania i strachu; patrzyła, nie widząc horyzontu, pragnęła obudzić się jak najszybciej z tego koszmarnego snu.

Wieśniaczka, która jej wyjaśniła, że inkwizycja przysłała po Ederrę w związku z podejrzeniami o czary i wywiozła w nieznane, musiała powtórzyć to zdanie trzy razy, zanim Mayo pojęła rozmiar swego nieszczęścia. A kiedy wreszcie to do niej dotarło, zaczęła kiwać się jak pijana i nie mogła złapać tchu, bo powietrze nie chciało przejść przez gardło, dopóki nie oparła się rękami o ziemię, wyginając plecy w pałąk, bo tylko w takiej pozycji płuca zaczęły oddychać.

Widząc ją w takim stanie, kobieta ulitowała się i wpuściła do domu. Dopiero co wydoiła krowę, więc zdjęła z paleniska dwa kamienie, zdmuchnęła z nich popiół i włożyła do wiadra z mlekiem. Na powierzchni wkrótce utworzyła się piana, co świadczyło, że mleko nadaje się do picia. Kobieta posadziła Mayo na krześle i podsunęła kubek, żeby dziewczyna nabrała trochę rumieńców. Odrętwiała z przerażenia Mayo nic nie mówiła, tylko kurczowo ścisnęła w rękę kubek z ciepłym mlekiem.

— Aresztowali dziewięć osób z Urdax i Zugarramurdi. Wynajęli Sebastiana de Odię „Golasa”, żeby przewiózł całą grupę w inne miejsce, bo on ma bryczkę — powiedziała kobieta, głaszcząc ją po policzku. — Zaczekaj na niego. Jak wróci, może powie, gdzie ich wywieziono.

— Miałyśmy zawsze być razem. Nie trzeba było się rozstawać. Nigdy — dodała z rezygnacją Mayo wpatrzona w kozuch śmietanki zbierającej się na powierzchni mleka.

xxx

Golas wrócił do Zugarramurdi po dwóch tygodniach. W całej okolicy znano go pod tym imieniem od czasu, gdy przydarzyła mu się pewna fatalna wpadka. To było pięć lat temu, ale wieś nie puszcza tak łatwo w niepamięć występków bliźniego; miło wiedzieć, że w każdej rodzinie trafi się czarna owca, która przynosi wstyd. Rzecz miała miejsce w Wielką Niedzielę. Sebastian nie zwracał uwagi na takie drobiazgi jak święta, ku niezadowoleniu żony i proboszcza; cały poprzedni dzień i noc spędził na piciu w gospodzie. Kiedy zachciało mu się spać, nie miał już sił, by dojść

do domu. Był tak pijany, że po drodze przewrócił się na twarz w szczerym polu, co uratowało mu życie, bo gdyby upadł inaczej, udusiłby się we własnych wymiocinach. Nazajutrz rano słońce obudziło Sebastiana w zenicie nad jego ogoloną głową. Podniósł się więc, wyprostował na całą wysokość i ruszył do domu, potykając się i przewracając co chwila, i jakoś nie zauważył, że w nocy ktoś rozebrał go do naga, zabierając koszulę, łapcie i resztę ubrania. Zatrzymał się przed wizerunkiem Najświętszej Panienki, Wspomożycielki Ubogich, i zaśpiewał piosenkę, wcale nie pobożną, a potem wygłosił jedną z tych swoich peror, których zazwyczaj nikt nie rozumiał, bo Sebastian miał skłonność do budowania skomplikowanych zdań. Niedługo potem żona musiała poinformować wszystkich sąsiadów, chodząc od domu do domu, że to sam diabeł upił Sebastiana, żeby skraść mu ubranie. Cała sprawa wyglądała dość tajemniczo, ale to nie przeszkodziło żartom i plotkom, toteż wkrótce przyłgnał do Sebastiana przydomek Golas, co bardzo rozgniewało jego żonę, która słusznie obawiała się, że jeszcze długo ich dzieci będą płacić w ten sposób za winę ojca.

Mayo postanowiła czekać cierpliwie na powrót Sebastiana w nadziei, że dowie się, dokąd zawiózł Ederre. Aby nie wzbudzać niczyich podejrzeń, zamieszkała po kryjomu w grotach Zugarramurdi. Od niepamiętnych czasów uznawano je za miejsce święte, terytorium wybrane przez boginię Mari. Powszechnie było wiadomo, że Mari, matka Słońca i Księżycy, upodobała sobie na siedzibę wewnątrz Ziemi i nie było do niej innej drogi jak ta, która wiodła przez otwory wydrążone przez naturę w skałach. Wiele osób widziało niejednokrotnie piękną, elegancko ubraną boginię,

jak wylaniała się z groty na grzbiecie barana i rozczesywała złotym grzebieniem długie, jasne włosy. Kiedy ktoś miał poważne kłopoty i pragnął prosić ją o pomoc lub radę, wystarczyło przyjść tu z ufnością, pamiętając o kilku prostych zasadach: mieć czyste serce, zwracać się do Mari po imieniu, nie siadać w jej obecności, a na koniec opuścić to miejsce, idąc cały czas tyłem z twarzą zwróconą do bogini. Jej wyrocznie zawsze sprawdzały się z korzyścią dla pytającego, a taniec przed jej siedzibą przy pełni księżyca zapewniał tańczącym dobre zbiory i ochronę przed gradobiciem. Obecność Mari zawsze była dobroczynna, dlatego mieszkańcy Zugarramurdi nigdy nie bali się grot. Ale ostatnio inkwizytorzy wyraźnie dali do zrozumienia, że bóstwa niechrześcijańskie są wrogami Jezusa Chrystusa. Ich czciciele byli w konflikcie z Panem Bogiem, bo pod postacią tych bóstw ukrywał się sam Szatan, gotów zwozić zwykłych śmiertelników, tak jak uczynił to z nieszczęsną Ewą. Odtąd zwyczaj składania darów i hołdów bogini Mari albo któremuś z jej leśnych numenów utożsamiano z czarami. Rok wcześniej inkwizytor Valle dokonał inspekcji terenu, żeby opanować sytuację. Jego wnikliwe śledztwo, żyła pulsująca mu na czole i nabiegłe krwią oczy przekonały ludność, jak wielkie nieszczęścia czekają tych, którzy zbliżą się do grot. Teraz było tu pusto, bo ludzie bali się przychodzić, z czego skorzystała Mayo. Zajęła górną półkę u wylotu groty, gdzie istniało coś w rodzaju okna, skąd, wedle inkwizycji, diabeł przemawiał do czarowników podczas sabatów. Choć Mayo była z natury strachliwa, nie obawiała się zbytnio spotkania z numenami lub diabłami, bo wiedziała, jak z nimi

postępować. Bardziej bała się ludzi gotowych zepchnąć w przepaść każdego podejrzanego o czary, wołając przy tym:

— Zepchnijmy wszystkich, a Pan rozpozna miłosiernych!

Mayo spała w dzień pod osłoną skał i korzystała z ciemności nocy, żeby znaleźć coś do jedzenia, nabrać wody z rzeczki płynącej pośród grot i nakarmić Beltrána. Przyzwyczaiła się do nowego trybu życia i miała wiele czasu na szczegółową analizę ostatnich chwil spędzonych z Ederrą, jakby to mogło coś zmienić i cofnąć nieszczęście, którego wciąż nie umiała zaakceptować.

W noc przed spotkaniem z Golasem Mayo miała jeden z tych swoich koszmarnych snów, które były jak rzeczywistość. Śniło jej się, że Ederry nie było, nigdy nie istniała, całe dotychczasowe życie stanowiło złudzenie i po prostu była samotną dziewczynką wędrującą po świecie, nikomu na niej nie zależało oprócz człowieka zamienionego w osła, który był dość mądry jak na swój stan, choć czasem bardzo uparty z racji swych oślich cech. Spocona i niespokojna obudziła się jeszcze przed świtem i zaczęła szukać w torbach Beltrána śladów realnej egzystencji Ederry.

xxx

Sebastian de Odia „Golas” ruszył w drogę powrotną do Zugarramurdi, pogrążając się w smutku kołysany stukotem kopyt dwóch szkap. Był wyczerpany absurdalnym poczuciem winy, które napadło go w momencie, gdy odstawił aresztantów na miejsce, i dotąd go męczyło. Nagle ujrzał na drodze dziwadło i otrząsnął się z zamyślenia.

— Musi mi pan pomóc! — krzyknęła zjawą, zatrzymując jego rozklekotaną dwukólkę. — Potrzebuję pomocy!

Golas struchlał i ściągnął lejce, jeszcze zanim zrozumiał, o co chodzi. Dopiero po chwili zorientował się, że to młoda dziewczyna ledwo odrosła od ziemi, i uspokoił się całkowicie, kiedy pomyślał, że jednym machnięciem ręki mógłby obezwładnić to stworzenie o głosie chorowitego ptaszka.

— Na Boga! Co pani wyprawia! Ma pani szczęście, że życie nauczyło mnie pertraktacji i rycerskości, bo dawniej, jak miałem słabe nerwy i silne pięści, już by było po pani.

Mayo spojrzała za siebie i na boki, żeby zobaczyć, z kim tak uprzejmie rozmawia woźnica, bo do tej pory nikt nie nazywał ją panią.

— Sebastian de Odia „Golas”, to pan? — mężczyzna zmarszczył brew; nie lubił, gdy tak go nazywano, ale Mayo była przekonana, że dobrze trafiła, i nie czekała na odpowiedź: — Słyszałam, że odwoził pan oskarżonych o czary. — Mayo udawała spokój, ale była coraz bardziej zdenerwowana. — Muszę wiedzieć dokąd! Widział pan Ederre? Błagam, niech pan powie, co się z nią stało? Gdzie ona teraz jest? No gdzie? — Zatupała nogami jak rozgniewane dziecko, tracąc resztki początkowej godności, i poczerwieniała na twarzy.

— Zaraz... A co mi tam! — odparł Golas, gotów zaakceptować najdziwniejsze rzeczy, bo ostatnimi czasy sytuacja temu sprzyjała. — Jesteś, o pani, zjawą czy stworzeniem z krwi i kości?

— Jasne, że z krwi i kości... przecież to widać... — wybąkała dziewczyna, trochę zasmucona, że musi się tłumaczyć. — Jestem

Mayo de Labastide d'Armagnac. Powiedziano mi, że jedyną osobą, która może coś wiedzieć o mojej piastunce, jest woźnica. Wasza Miłość nazywa się Golas, prawda...? Prawda...? Gdzie Ederra?

— Owszem, jestem Sebastian de Odia i oczywiście wiem, gdzie jest Piękna. Wsiadła na wóz w Zugarramurdi wraz z pięcioma innymi. Przedtem byliśmy w Urdax. Tam zatrzymaliśmy czworo czarowników. — Westchnął, spojrzął w niebo, podrapał się po łysinie i wyjaśnił: — Żeby było jasne, moja pani, to powiem, że mocno mnie niepokoi ta sprawa diabelskich zjazdów... W mojej rodzinie nigdy nie zadawaliśmy się z takimi, co zakłócają w wioskach spokój i stabilność emocjonalną ogniska domowego, więc kiedy zapytano, czy chcę przewieźć czarowników w inne miejsce, stanowczo odmówiłem... No bo ki diabeł każe mi się wtrącać w nie swoje sprawy... Dobrze mówię...? Co pani na to? — Ale nie dał Mayo czasu na odpowiedź i kontynuował swój monolog: — Jak wiadomo, czarownice mają moc nie z tego świata i dlatego są w dobrych stosunkach z Lewiatanem, bo to rodzina... Dowiedziałem się sporo nowych rzeczy, choć wcześniej też nie byłem ciemny — zaznaczył z przemądrzałą miną i podniósł do góry oczy. — Wiedziałem, że... potrafią latać w powietrzu... zamienić człowieka w kurę, polną mysz albo stracha na wróble, jak im się spodoba... Mogły przecież zaczarować moją bryczkę — zrobił pauzę, jednak zanim Mayo zdążyła wtrącić słowo, mówił dalej: — ...albo rzucić urok na moje zwierzęta... skrzywdzić dzieci i żonę... chociaż nie... ona by sobie z nimi poradziła, bo jest sprytna i ma charakter... więc nic by jej nie zrobiły... bo moja żona (pani mego serca i całej reszty... niech bym tylko śmiał mieć inne zdanie) od razu zawołała,

że nie ma mowy o przewożeniu sług Szatana po drogach boskich albo diabelskich (to drugie określenie lepiej pasuje do sytuacji), bo za to mogłaby nas czekać kara czyścowa... ale panowie inkwizytorzy powiedzieli, że dobrze zapłacą, więc żona dodała (tu Golas zmienił ton głosu na cieńszy, jak u kobiety): — Czarownicy wcale nie muszą być niebezpieczni, jeśli inkwizytorzy są w pobliżu i ich pilnują, a gdyby zamienili cię w mysz, to już ja znajdę kogoś, kto przywróci ci ludzką postać, zapłacę z pieniędzy, które da nam Święte Oficjum... i starczy jeszcze na naprawę dachu, bo porobiły się dziury... ale ty tego nie widzisz...

— Nie tak łatwo przywrócić zaczarowanemu ludzką postać... może mi pan wierzyć — dodała Mayo, patrząc smutno na Beltrána, lecz Golas ciągnął swoje.

— Ale czarownicy, których przewoziłem, nie zaczarowali mnie. Ktoś mógłby zawołać: „Ciesz się pan!”, i miałby rację... jednak... cały problem w tym, że... oni nic nie zrobili, rozumie pani? Nic a nic. Zupełnie nic. Nic... — Zaniknął oczy i powtarzał to swoje „nic”, młócąc rękami powietrze.

— Rozumiem. — Mayo złękła się, że woźnica postradał zmysły, i cofnęła się o parę kroków.

— Przez cały czas zachowywali się jak normalni ludzie. Jedli, pili... chodzili za potrzebą (rozumie pani, co mam na myśli)... jak każdy z nas. I jakby tego było mało... niech pani słucha... na dodatek widziałem, jak płakali... Płakali ze strachu przed tym, co ich czeka. Żaden nie odfrunął na miotle, nie zamienił się w kota, żeby uciec w nocy, a diabeł nie upomniał się o nich jako o swoje sługi. Widziałem, że się modlili... niech pani nie myśli, że do diabła, o

nie! Modlili się do Boga Wszchemogącego, choć podobno wyrzekli się Go, jak twierdzą różni ludzie. — Spojrzał w ziemię i dodał ci-szej: — Ja już nic z tego nie rozumiem.

Mayo bardzo mu współczuła w tym momencie. Mężczyzna miał wyrzuty sumienia, żal wylewał się z niego wszystkimi porami i skóra wydzielala słony zapach.

— Po prostu pyłek wpadł mi do oka, niech pani sobie nic nie wyobraża — wyjaśnił Golas, trąc powieki. — Chodzi o to, że na pożegnanie niektórzy wręczyli mi różne przedmioty z prośbą, żeby przekazać je rodzinie. — Mężczyzna zlął z kozła i zaczął szperać w tylnej części wozu. Znalazł drewnianą szkatułkę z metalowymi okuciami na rogach, otworzył i pokazywał jej zawartość, mówiąc: — Te Biblie dały mi szwagierki Maria de Arburu i María Baztán. Pragną przesłać je swoim synom, zakonnikom, którzy też są aresztowani, tylko nie wiem gdzie. — Następnie wyjął kosmyk złocistych włosów przewiązanych zieloną wstążką. — To dała Estevaniá de Petrisancena z Urdax... dla męża — powiedział i dorzucił z przykrością: — Szczerze mówiąc, nie mam śmiałości stanąć przed tym człowiekiem. — Zamknął z trzaskiem drewnianą szkatułkę z pamiątkami po aresztowanych i spojrział badawczo na Mayo. — Wie pani co, nie mam siły na żadne spotkanie i chyba już nie zwrócę tych rzeczy. Ale jak przyniosę szkatułkę do domu, to żona mnie zabije, bo jest przesądna. Zastanawiałem się nawet, czy nie wyrzucić by tego gdzieś po drodze i jak najszybciej o wszystkim zapomnieć, ale nie mogę, ścisza mnie za gardło, jak o tym pomyśle.

— Dokąd zawiózł pan aresztantów? Gdzie jest Ederra? — pytała Mayo najśłodszy gło-sem, jaki mogła z siebie wydobyć, żeby nie

zadręczać jeszcze bardziej tego nieszczęśnika.

— Zostawiłem ich w Logroño... w siedzibie inkwizycji w Logroño...

— Kiedy ostatnio widział pan Ederre... — Mayo zawahała się — to dobrze się czuła?

— No cóż, trochę kulała i miała obandażowaną nogę w kostce, ale była pogodna, wszystkim dodawała otuchy, nawet mnie pocieszała — uśmiechnął się. — Nie znam piękniejszej kobiety na świecie — szepnął — a dla pani spokoju powiem, że Piękna ani przez chwilę nie była sama. Zaprzyjaźniła się z jedną... z wdową z Urdax, która nazywa się Maria de Echalecu. I jeszcze coś — zawahał się, ale czuł potrzebę wypowiedzenia tego na głos. — Jak pojechaliśmy po wdowę, wydarzyło się coś dziwnego. Kiedy wsadziliśmy Marię na wóz, z pobliskiej zagrody wybiegła kobieta i rzuciła się jej w ramiona. Trzeba było rozdzielać je siłą. Sąsiadka błagała Marię o wybaczenie, a ta powiedziała, że nic nie szkodzi i nie ma do niej żalu, ale potem w drodze długo płakała. Myślę, że Ederre było jej żal i potem już się nie rozstawały. — Spuścił wzrok i szepnął sam do siebie: — Nie wiem, czy dobrze zrobiłem.

— Ederra nic panu dla mnie nie dała?

— Niestety, nie — powiedział cicho Golas.

— Jak pan chce, to wezmę te rzeczy i przekażę, gdzie trzeba. Będzie miał pan spokojne sumienie. — Mayo wyciągnęła ręce z determinacją, która ją samą zadziwiła, i czekała, żeby woźnica dał jej drewnianą szkatułkę z metalowymi okuciami na rogach.

Sebastian de Odia obejrzał dziewczynę od stóp do głów. Im dłużej na nią patrzył, tym bardziej wydawała się całkiem miłą. Nie wiedział, co zrobić, ale po krótkim wahaniu wyciągnął rękę z szkatułką i złożył ją w dłonie Mayo. Potem wspiął się na kozioł, usiadł i mocno chwycił lejce. Oboje milczeli, bo nie mieli już sobie nic do powiedzenia, więc Golas mrugnął do niej życzliwie i rzucił na pożegnanie:

— Życzę powodzenia. Przyda się pani.

Potem popędził konie, a Mayo odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie zniknął na horyzoncie.

xxx

Wspominając tego ranka spotkanie z Sebastianem de Odia, Mayo dokończyła rytualną kąpiel Beltrána w rzece i przyjrzała mu się z żalem. Tym razem też nie udało się go odczarować. Zaczęła zakładać mu uprząż i przerzucając przez grzbiet sakwy, wyczuła kanciaste kształty szkatułki z rzeczami skazanych. Przypomniała sobie, że kiedy wzięła ją po raz pierwszy do ręki, zrozumiała, że to jest koniec nitki, po której dojdzie do Ederry. Drewniana szkatułka z metalowymi okuciami dodawała jej siły do dalszej walki, pomagała uwierzyć w realność dotychczasowego życia, że to nie był sen, że ktoś ją kocha naprawdę i nie jest samotną dziewczynką, która wędruje po świecie, mając za całe towarzystwo zaczarowanego osła.

Wzięła szkatułkę do ręki, pogładziła wieczko i głęboko westchnęła na myśl o tym, że powrót tych przedmiotów do prawowitych właścicieli przybliży ją samą do Ederry. Nieważne, jak długo będzie szukać tych osób, bo samo szukanie, odnalezienie i

rozmowa, wypytywanie o każdy najdrobniejszy szczegół chwil spędzonych z Ederrą jest czymś, co podtrzyma ją przy życiu i pozwoli żyć nadzieję. Gdyby nie czuła się odpowiedzialna za zwrot tych pamiątek i nie potrzebowała odszukać Ederry, nie wiedziałaby, co począć z własnym istnieniem. Niewątpliwie najgorzej jest bać się strachu, cierpieć z obawy przed cierpieniem i zyskać taką niezależność, że nie potrzebuje się już nikogo.

IV

*O tym, co trzeba zrobić,
żeby czarownice nie dusiły
noworodków i żeby nie wchodziły
do porządnego domu*

Trybunał inkwizycyjny w Logroño miał swą siedzibę przy placu Świętego Jakuba. Był to solidny gmach na planie prostokąta wzniesiony z kamienia w kolorze jasnożółtym. Linie proste kończyły się w nim na framugach drzwi i okien, a potem skręcały, rozciągały i wykrzywiały się do niemożliwości, wnosząc element ruchu do surowej powagi budynku. Dodatkową ozdobą murów były figury uosabiające całą listę świętych, uczniów, aniołów i archaniołów, włącznie ze świętym Michałem, wodzem niebieskich zastępów, który groźnie dzierży miecz w dłoni. Dekorację uzupełniały azurowe ornamenty symbolizujące potępienie zła wyobrażone w wieloraki sposób, jakby chodziło o przedstawienie teatralne. Tak więc niepiśmienny lud mógł uczyć się na pamięć całej świętej historii, przypatrując się murom tego gmachu.

Z zewnątrz, przez wielką bramę główną, widać było kolumny

wewnętrznego patia i bluszcz wijący się wokół nich w bezwstydnym skrętach. To nieuchronnie przywodziło na myśl węzowate ruchy Złego z Księgi Rodzaju, jego związek z Ewą i z czerwonymi, soczystymi jabłkami, pokusy cielesne i słabość kobiet, które narobiły kłopotów całemu rodzajowi ludzkiemu. Aby zapobiec takim lubieżnym myślom i sytuacji, która musiałaby się zakończyć wycięciem bluszczu, umieszczono w rogach patia cztery surowe cyprysy, powszechnie bowiem wiadomo, iż cyprys i płacząca wierzbka to jedyne drzewa zdolne pobudzać do melancholii, czuć przy zmarłych i kość ogniste porywy.

Kilka dni wcześniej pojawiła się w siedzibie trybunału kamienna fontanna kolosalnych rozmiarów, prezent z Watykanu, i grupa robotników bez większego powodzenia usiłowała zainstalować ją pośrodku patia. Towarzysząca przesyłce notatka, sporządzona własnoręcznie przez Ojca Świętego, zapewniała, że śpiewne dźwięki krystalicznej wody ożywią ciszę inkwizycyjnych budynków, a przy okazji dadzą rześkość w upalne letnie wieczory. Pomimo wysiłków, jak do tej pory, usta zdumionych ryb z kamienia nie wypłyły nic innego oprócz błotnistej papki w kolorze czekoladowym, pełnej robaków, która wystraszała jaskółki i obryzgiwała ściany. Inkwizytorzy Valle i Becerra dyskutowali właśnie z robotnikami o przyczynach złego działania fontanny, kiedy niespodziewanie pojawił się na patiu Rodrigo Calderon.

Faworyt królewskiego ministra przybył tego rana sam, gnając co koń wyskoczy, i tętent końskich kopyt długo rozbrzmiewał echem po siedzibie inkwizycji. Zsiadł prawie w biegu; przełożył prawą nogę przez kark koński i zeskoczył niczym cyrkowy akrobata, jakby chciał udowodnić, że jest w doskonałej formie. Dobrze

znał gmach, więc od razu ruszył przed siebie i zdejmując po drodze czarne skórzane rękawice, skierował się do sali trybunału, która znajdowała się na prawo od fontanny. W tym momencie odezwały się rury dźwiękiem przypominającym burczenie w brzuchu i wypluły z siebie brudną pianę, opryskując błotem nowo przybyłego. Inkwizytorzy Valle i Becerra omal nie dostali apopleksji ze strachu, kiedy powiadomiono ich o tym incydencie.

— Na Boga! Trzeba było uprzedzić nas o swej wizycie! — zawołali, ocierając mu twarz z błota. Widać było, że jest zagniewany.

Plugawe (i nie tylko plugawe) języki mówiły, że Calderon wywodzi się z niskiego rodu. W Valladolid był paziem ojca księcia Lermy i wyrobił sobie dobrą pozycję na dworze księżęcym. Z czasem zyskał uznanie samego księcia, który mianował go swoim sekretarzem. Pokonując kolejne stopnie kariery, Calderon doszedł do stanowiska, na którym był odpowiedzialny za memoriały i listy przychodzące do króla lub do jego głównego ministra. Sprawując te obowiązki, stał się sławny jako zręczny orędownik i mediator w sprawach dotyczących osób, które sownie wynagradzały go za tę przysługę, co było jednym ze źródeł szybko rosnącego majątku Calderona. Księżę Lerma inteligentnie wykorzystywał go do prowadzenia takich audiencji, na których prośba petenta była załatwiana odmownie, nienawiść ludzka skupiała się bowiem na osobie odrzucającej petycję, a nie na królu bądź księciu. Wkrótce wiele osób zaczęło darzyć Calderona szczególną niechęcią, a dworzanie mieli go za zarozumiałego pochlebcę i pyszałka. Ożenił się z rozsądku — małżeństwo przyniosło mu tytuł i godność markiza

Sieteiglesias. Nawet Quevedo szydził publicznie z Calderona i jego żądy wybicia się, rozgłaszając na wszystkie strony, że sekretarz księcia Lermy kłamie o swoim pochodzeniu. Otóż Rodrigo Calderon twierdził, iż znalazł we Flandrii dokumenty, które dowodziły w sposób niewątpliwy, że jest on owocem przygody miłosnej don Fernanda Alvareza de Toledo, starego księcia Alba. Wolał zszargać reputację swej matki, niż mieć za ojca zwykłego kapitana regimentu piechoty we Flandrii.

Inkwizytorzy Valle i Becerra stracili sporo czasu, zanim zdolali udobruchać Rodriga Calderona po nieprzyjemnym zdarzeniu z fontanną i oczyścić jego szaty z błota. Kiedy im się to wreszcie udało, wzięli go pod ramię i odsunęli od fontanny, która wciąż wydawała groźne pomruki. Przeszli do wielkiej sali trybunału z drewnianymi zdobionymi gzymsami i podłogą wyłożoną czerwonymi płytami kastylijskimi, używanej zazwyczaj jako miejsce ważnych spotkań, i tam zaproponowali gościowi, żeby spoczął oraz wypił kielich miejscowego wina na uspokojenie.

— Przybyłem bez uprzedzenia, bo zmusiły mnie do tego nader ważne i niecierpiące zwłoki okoliczności — wyjaśnił oschle Calderon. — Czarownice! — dodał, zrywając się z miejsca, i walnął pięścią w stół, aż zadrżało szkło i obaj inkwizytorzy.

— Wiem, że staracie się zwalczać tę plagę w naszym kraju, choć jak widać, bez szczególnego powodzenia. — Calderon chodził wielkimi krokami w poprzek sali, chowając ręce za plecami. Obcasy jego butów wybijały miarowy rytm niczym zegar i stukwały denerwująco, z czego doskonale zdawał sobie sprawę. — Muszę was

uprzędzić, że konsekwencje tych niepomyślnych wydarzeń dają się odczuć w sporej części królestwa i przysparzają zmartwień księciu oraz Jego Królewskiej Mości, którzy przez całe życie służą szlachetnej sprawie obrony katolicyzmu.

— Rozumiem, ależ oczywiście — wtrącił Becerra z zatroskaną twarzą. — Domyślam się, że dwór już wie o tym nieprzyjemnym incydencie. W chwili obecnej kolega Salazar prowadzi śledztwo i zapewniamy, że...

— Jaki incydent? — Calderon stanął jak wryty, obrócił się na czubkach palców z gracją tancerza i utkwiał w Becerze pytający wzrok. — O czym wy mówicie?

— A więc nie to was tu sprowadza? — Valle był zaskoczony. Na ogół złe wiadomości błyskawicznie rozchodzą się po królestwie. — Kobieta, która w zeszłym roku pomogła nam w polowaniu na czarownicę, zginęła w dziwnych okolicznościach. Zwłoki wyłowiono z rzeki w Santesteban. Wygląda to na zemstę Szatana.

— Śmierć — mruknął Calderon w zamyśleniu. — Nie, nic o tym nie wiedziałem. Przybyłem porozmawiać z wielbnościami o gnusności inkwizytora Salazara. Tym razem jest za mało... jak by to powiedzieć... za mało stanowczy. Zechciejcie wziąć pod uwagę, że akurat teraz Bóg, Nasz Pan, wybrał Filipa Trzeciego i jego ministra księcia Lermę na swoich najlepszych rycerzy... na obrońców katolicyzmu. Wypędzamy morysków z ziem hiszpańskich. To dopiero początek.

— Wiemy, łaskawy panie — przerwał Becerra — czytaliśmy w kronikach o bożej misji, jaką otrzymał monarcha. Porównuje się ją z czynami wielkich wyzwolicieli biblijnych, jak Mojżesz, Jozue, Saúl, Dawid, Salomon...

— Zgadza się, podobnie jak oni, król, Nasz Pan, i w rezultacie my wszyscy jako jego poddani mamy obowiązek nie tylko uwolnić królestwo od naszych wrogów, ale również bronić je i strzec przed wszelkimi kontaktami z odrażającym pogaństwem. — Tu oświadczył: — Pan Nasz ma w tym względzie bardzo konkretne zamysły — zawiesił na chwilę głos, po czym kontynuował: — Tymczasem okazuje się, że coraz częściej dochodzą nas z północy niepokojące wieści o wywrotowej działalności diabłów, którzy hurmem przybywają do nas z Francji, umykając przed atakiem stanowczego inkwizytora Bordeaux, niejakiego Pierre'a de Lancre. On sam posłał w oczyszczające płomienie ponad trzy tysiące osób.

Dwa lata wcześniej pan Pierre de Lancre przewrócił kraj Lapurdi do góry nogami. Cieszył się opinią egzaltowanego gwałtownika, który gorliwie wypiera się swych nawarskich korzeni — musiał mieć jakiś dziwny uraz, skoro czuł niechęć do wszystkiego co kastylijskie. Został dominikaninem w Turynie i wkrótce potem dzięki swym kontaktom otrzymał nominację na radcę parlamentu Bordeaux. Szybko okazało się, że jest niezwykle zainteresowany światem czarownic. Chciał poznać ich sztuczki i pułapki, wypytywał o nocne loty i nieprzyzwoite tańce. Z upodobaniem analizował szczegóły magicznego rytuału, który pozwalał kobiecie spółkować ze śmierdzącym capem, jeśli najpierw pocałowała go pod ogonem. Znienawidził kobiety z całej duszy i bardzo się z tego cieszył, a jednocześnie chciał coraz więcej wiedzieć na ich temat, wynajdywał wciąż nowe powody do potępiania i podsycał tę swoją chorobliwą nienawiść, która zamieniła się w błędne koło. Miał wszelkie cechy mizoginisty. Był przekonany, że wśród czcicieli diabła

najwięcej jest kobiet, i cieszył się, gdy znajdował w książkach argumenty na potwierdzenie tej tezy.

Okazją do zastosowania w praktyce tego wszystkiego, czego nauczył się z podręcznika *Malleus Maleficorum* — napisanego przez dwóch niemieckich dominikanów, którzy dawali praktyczne wskazówki, jak rozpoznać czarownice i jak zmuszać je do wyznania winy — była propozycja króla Henryka IV, żeby Lancre objął funkcję mediatora w wieloletnim konflikcie między mieszkańcami Urtubia i San Juan de la Luz o prawa do mostu. Roszczenia jednych i drugich obfitowały w akty zemsty, denuncjacje, oskarżenia, kłótnie i lamentsy. Oskarżano się nawzajem o wszystko. Stwierdzenie jednej z donosicielek, że sąsiedzi zmusili ją do wypicia magicznego wywaru, dało Pierre'owi de Lancre asumpt do wykrycia diabelskiego wątku. Postanowił to zbadać i w ciągu czterech miesięcy zdemaskował trzy tysiące czarowników i czarownic, w tym mężczyzn, kobiety, dzieci i księży. Po jeszcze bardziej dogłębnym zbadaniu sprawy doszedł do wniosku, że winę za to wszystko ponoszą katolickie misje Hiszpanów w Indiach i Japonii. Misjonarzom udało się co prawda wypędzić diabłów z tamtych ziem, ale nie umieli zapobiec temu, że wszystkie demony schroniły się w Kraju Basków. Zdaniem tego mądrego człowieka pobłażliwość inkwizycji hiszpańskiej w kwestii czarów dała demonom ogromną swobodę działania na całym terytorium, skąd w każdej chwili mogły bezkarnie dostać się przez granicę do Francji. W tej sytuacji Lancre mianował się wybawcą swej nieszczęsnej francuskiej ziemi

dotkniętej baskijską plagą. Kiedy większość mężczyzn Lapurdi wypłynęła na połowy dorsza do odległej Terranova, skorzystał z okazji i natychmiast kazał spalić sześćset osób, w tym małe dziewczynki, widząc w nich zalążek strasznego niebezpieczeństwa. Doszło do niesłychanej rzezi i kto wie, czym by się to skończyło, gdyby nie powrót marynarzy do domu pod koniec sezonu. Kiedy odkryli, co ten człowiek zrobił z ich kobietami, o mało nie rozszarpali go żywcem. Lancre musiał w pośpiechu opuścić Lapurdi, przebrany za staruszkę, żeby go nie rozpoznali, bo został uprzedzony przez szpicla, że mieszkańcy szykują się do linczu.

Francuski inkwizytor przebywał właśnie w Bordeaux, zajęty redagowaniem książki, którą zamierzał zatytułować: *Traktat o baskijskim czarownictwie. Opis niestałości złych aniołów i demonów*. Chciał, żeby była punktem odniesienia dla przyszłych inkwizytorów.

— Nie możemy pozostać w tyle za Francuzami — uniósł się Calderon i z tego zacierzewienia zaczęła mu pulsować żyła na czole. — Mamy informacje, że czarownicy, którzy uciekli przed karą we Francji, znaleźli schronienie w naszych królestwach. Trzeba wszystkich o tym zawiadomić, zwłaszcza miejscowości przygraniczne.

— Ale... — zająknął się Valle — to może zwiększyć popłoch, ludzie i tak są wystraszeni...

— Dobrze, że się boją. Sprawa jest bardzo poważna. Bardzo, bardzo poważna — podkreślił Calderon.

— Oczywiście... bardzo poważna.

Calderon utkwiał wzrok w oczach inkwizytora Vallego na kilka długich jak wieczność sekund, w czasie których zniknął z jego twarzy

szkarłatny kolor i napięcie. Usiadł ponownie i nie patrząc, macał ręką po stole, aż trafił na kielich z winem, opróżnił go jednym haustem i głośno westchnął z pobłażliwością.

— Nie zostawię was bez oparcia — dodał protekcyjnie. — Osobiście udam się do Bordeaux, żeby porozmawiać z tym Lancre. Podobno jest w posiadaniu niekwestionowanego dowodu na realne istnienie czarownic i demonów i obali tę głupią tezę, której zwolennicy sprowadzają wszystko do halucynacji i szaleństwa. Zapytam go o ten dowód i poproszę, żeby zrobił mi listę z nazwiskami zbiegłych z Francji czarowników, którzy okopali się na terenach przygranicznych Królestwa Kastylii.

— Nie wiedziałem, że nasze stosunki z Francuzami są na tyle dobre, żeby zwracać się do nich o taką przysługę — zauważył Becerra.

— Jesteśmy na etapie... nazwijmy go okresem spokoju w stosunkach z sąsiednim krajem — wyjaśnił Calderon — co nie znaczy, że mamy im na wszystko pozwalać. Oni tylko patrzą, jak pozbyć się swoich czarowników i wepchnąć ich do naszego królestwa. Na to się nie zgodzimy, prawda? — spojrzał kątem oka na obu inkwizytorów, którzy pokręcili przecząco głowami. — Chrześcijaństwo rozprzestrzenia się na cały świat... jak każe prawo boże... Ale wciąż rosną w siłę pogańskie wierzenia i bałwochwalcze obrzędy, które trzeba wykorzenić. Henryk Czwarty na pewno by się ucieszył (niech Pan da mu to, na co zasłużył), gdyby wierzenia ludności z terenów graniczących z Francją zatruły nasze pobożne królestwo. Wtedy on stałby się najważniejszym królem katolickim w Europie

— meł w ustach niewyraźne słowa. — Zasiadł na tronie tylko dlatego, że podpisaliśmy traktat w Vervins i oddaliśmy mu wszystkie ziemie francuskie, które prawnie nam się należały. I jeszcze mu mało.

Calderon westchnął i zapatrzył się w pusty kielich. Becerra pośpiesznie napełnił go na nowo. Sekretarz księcia Lermy wziął kielich w obie ręce, trzymając za podstawę, i podniósł do góry pod światło, żeby podziwiać purpurowy napój z miną znawcy oceniającego szlachetny kamień. Potem zatoczył kielichem koła i podsunął pod nos, wciągając głęboko zapach szlachetnej madery, który umiał rozpoznać pośród innych winnych zapachów. Zamknął oczy i sączył z kielicha, delektując się winem jak prawdziwy smakosz.

— Jeszcze jedno — powiedział Calderon z zamkniętymi oczami — chciałbym mieć plany podróży Salazara z datami i miejscami, które zamierza wizytować. Muszę wiedzieć, gdzie jest w każdej sekundzie.

— Zaraz przyniosę, łaskawy panie — powiedział Valle.

Pożegnali się pod arkadami centralnego patia, stojąc w bezpiecznej odległości od kamiennych ryb fontanny, które wciąż pluły błotem. Calderon obiecał inkwizytorom sowite wynagrodzenie, jeśli sprawa czarownic szczęśliwie dobiegnie końca, na co Valle i Becerra uśmiechnęli się skromnie i wręczyli gościowi plan podróży swojego kolegi Salazara, zapewniając, że natychmiast poinformują o zmianach z ostatniej chwili.

— Ciekawe, po co mu tak dokładne informacje o wszystkich miejscach pobytu Salazara — powiedział Becerra do inkwizytora

Vallego, patrząc, jak Calderon oddala się i znika w głównej bramie. — Nie mam pojęcia.

xxx

Calderon posuwał się konno na północ już ponad dwie godziny, zatrzymując się chwilami tylko po to, żeby rzucić okiem na mapę, którą trzymał pod kaftanem, zawiniętą w kawałek pożółkłego pergaminu, aż wreszcie trafił na wąską, piaszczystą ścieżkę ukrytą wśród gęstych sosen. Skręcił w tę ścieżkę i jechał dalej, w przekonaniu, że niewiele osób zapędzi się tak głęboko bez konkretnego celu. To go cieszyło. Ściemniało się już, kiedy dojrzał migoczące wśród drzew światło lampki wskazujące drogę do karczmy.

Na drzwiach rozpadającego się domku wisiała wiązka kwiatów ostu. A był to dowód, że gospodarze zostali niedawno pobłogosławieni narodzinami dziecka i teraz chcą je strzec przed czarownicami. Jak głosi miejscowa legenda, czarownice uwielbiają zamieniać się w mrówki albo muchy, żeby wejść niemowlętom do buzi i udusić. Dlatego wieszka się na drzwiach domu wiązkę ostu, bo prawo czarownic nakazuje najpierw policzyć wszystkie płatki fioletowego kwiatka, dokładnie i bez pomyłki, zanim przekroczą próg domu. A że dookoła jest ciemno i muszą liczyć w myślach, co rusz się mylą i rozpoczynają od nowa. Tak mija noc, a z pierwszym porannym brzaskiem muszą zniknąć, bo gdyby wschód słońca zastał je przy tych czynnościach, skamieniałyby na miejscu. Tak oto dzieci były bezpieczne i nigdy żadna czarownica nie przekroczyła strzeżonego w ten sposób progu.

Usłyszawszy tętent konia, karczmarz wyszedł powitać gościa. Barczysty mężczyzna przytrzymał konia za uzdę, pomagając Calderonowi zsiąść, i zaprosił do środka. W niewielkim pomieszczeniu, ze ścianami i podłogą z drewna, stało sześć stołów ozdobionych glinianymi dzbanuszkami z bukietem leśnych kwiatków. Oprócz tego widać było drzwi do kuchni i okno z zasłonkami w biało-niebieską kratkę wychodzące na drogę. Kominek pośrodku sali dawał miłe ciepło, a na ścianach tańczyły złociste płomienie.

— Rozgoście się, panie, gdzie wam się podoba. Żona upiekła mięso, zaraz przyniosę — powiedział karczmarz, klękając przed kominkiem, żeby wrzucić do ognia polana, zioła i skórę jeża.

Był to jeszcze jeden sposób na odpędzanie czarownic. Calderon uśmiechnął się skrycie: strach dotarł nawet tutaj. Usiadł przy stole w kącie, gdzie był mało widoczny, schował twarz za ramieniem i w milczeniu pochłaniał łykowate mięso, którym nie pogardził tylko dlatego, że od rana nie miał nic w ustach. Skończywszy, wyczyścił talerz z resztek, zapominając o zasadach dobrego wychowania, którym zazwyczaj się podporządkowywał, ale w tej chwili czuł się wolny od przymusu. Odetchnął z ulgą i zaczął delektować się smakiem madery; miał czas.

Nadejście szajki poprzedziły głośnie wybuchy śmiechu i wrzaski dobiegające z oddali, toteż nie musiał patrzeć na wchodzących, żeby wiedzieć kto to. Chłopak z białym okiem wszedł pierwszy, objając się o drzwi jak zwykle, gdyż miał zwyczaj wodzić zdrowym okiem dookoła, tylko nie przed siebie.

— Spóźniliście się — mruknął niechętnie Calderon na przywitaniu, zadowolony jednak, że nikt go nie widzi w takim towarzystwie.

— Wybaczcie, łaskawy panie. — Wysoki brodacz z długimi włosami miał kapelusz w rękach, nie odważając się podnieść oczu. — Mieliśmy drobny kłopot... nic poważnego.

— Nic poważnego — mruknął Calderon, rozciągając usta w uśmiechu, na co cała czwórka zareagowała podobnie, spoglądając po sobie z radością. — Nic poważnego — powtórzył tym razem bez uśmiechu, zmarszczył groźnie brwi i wrzasnął: — Nic poważnego? Kobieta nie żyje. To ma być ten drobny kłopot? Dlaczego mnie nie zawiadomiliście?

Zaalarmowany głośną rozmową karczmarz wyszedł z kuchni, ocierając ręce o nogawki pludrów. Calderon spojrział nań koso i poprosił o nowy dzban wina oraz cztery kieliszki.

— Nie chcieliśmy jej zabić, łaskawy panie... — wybąkał brodacz, kiedy karczmarz zniknął za drzwiami — ale ona się przestraszyła... skoczyła do wody... my... ja...

— Wszystko jedno — uciął Calderon — nie musisz nic wyjaśniać, chcę tylko wiedzieć, dlaczego nie zostałem od razu poinformowany. To takie trudne? Macie mnie natychmiast powiadamiać o wszystkim, co się dzieje, gdzie jesteście i co robi inkwizytor... Jest was czworo... Na miłość boską, przecież jeden z was może do mnie przyjechać i wrócić z powrotem w jeden dzień! Po to dałem wam konia i wóz. Czy to tak trudno pojąć? Mogę poszukać kogo innego na wasze miejsce.

— Nie, nie... to się więcej nie powtórzy. Mieliśmy właśnie powiedzieć wam o tej kobiecie.

Karczmarz wyszedł z kuchni, postawił na stole dzban wina i

szklanki, i spojrzał niechętnie na przybyszy zakłócających spokój jego domu. Cała piątka milczała, dopóki mężczyzna znów nie zniknął za drzwiami kuchni.

— Mamy bardzo dużo pracy, łaskawy panie — odezwała się starsza z kobiet, udając pewną siebie — cały czas śledzimy inkwizytora, jak pan kazał, i zebraliśmy wszystkie potrzebne informacje.

— No to mówcie, na co czekacie! — warknął Calderon, nalewając wina.

— Salazar wciąż przyjmuje ludzi, odkąd przybył do Santesteban — ponownie zabrał głos brodac — wchodzą smutni, udęczeni, a wychodzą weseli. Widać, że czują się lepiej po tym wyznaniu winy... Wszystko odbywa się bez kary, bez żalu ani łez... Wszyscy wychodzą uśmiechnięci... tylko ten pan Salazar ma bardzo nieprzyjemną minę...

— Tak, tak... bardzo nieprzyjemną, zgadza się — roześmiał się białooki wpatrzony w swoją szklankę, ale nikt nie zwrócił nań uwagi.

— Co on takiego mówi ludziom? Jak przebiegają przesłuchania? — spytał Calderon.

— Tego nie wiemy.

— Jak to nie wiecie?! — Calderon uderzył pięścią w stół. — To tak się śledzi inkwizytora? Wy to nazywacie zdobywaniem informacji?

— Przesłuchania odbywają się przy zamkniętych drzwiach, wchodzą tylko ci, którzy proszą o ułaskawienie...

— No to niech jedno z was uda skruchę i wejdzie do środka — Calderon przerwał, zastanawiając się, czy dobrze zrobił, wynajmując te niedorajdy. — Macie przynajmniej dokumenty?

— Staraliśmy się, łaskawy panie, ale rezydencja inkwizytora jest strzeżona w dzień i noc, nie da się wejść po kryjomu...

— Banda nierobów! Udało wam się jedynie zabić tę kobietę i na dodatek niechęć.

— Zdobędziemy dokumenty, łaskawy panie, zapewniam, daję wam słowo, przysięgam... — brodacz z każdym słowem pochylał się coraz niżej.

— Mam nadzieję, bo inaczej Pryncypał nie zapłaci ani grosza. Na razie daję wam tylko tyle — rzucił cztery monety na stół — nie zasługujecie na więcej, bo to ja wykonałem całą pracę. Oto mikstura, o której wam mówiłem. — Podał małe zawiniątko i podczas gdy oglądali zawartość, mówił dalej: — Trzeba tym posmarować stopy od spodu, pod pachami i w pachwinach, jeśli ma przynieść skutek. W chusteczce jest szklana tuba z proszkiem. Lekarz jest pewien działania nasennego. Wystarczy wsypać szczyptę na język, żeby osoba zasnęła na kilka godzin. Dam wam znać, kiedy macie tego użyć.

Calderon upił duży łyk wina, po czym rzucił na stół mapy ze szczegółami wizytacji Salazara, które otrzymał kilka godzin wcześniej od inkwizytorów Vallego i Becerry.

— Macie! Tu jest plan zajęć Salazara punkt po punkcie — wyjaśnił Calderon — a teraz wracajcie do Santesteban.

Chcę wiedzieć o każdym jego kroku, weźcie się poważnie do roboty, bo jak Pryncypał dowie się, co zrobiliście do tej pory — przerwał i pokręcił głową — to nie wiem... no, nie wiem, jak zareaguje... Czekam w tym samym miejscu za dwa tygodnie.

xxx

Czwórka uczestników spotkania z Calderonem w karczmie długo nie mogła zasnąć tej nocy. Przy ognisku, które rozpalili w środku lasu, gdzie rozbili swój obóz, starsza kobieta rozłożyła dokumenty od Calderona. Choć bardzo się starała, mrużyła oczy i ustawiała kartkę papieru pod różnymi kątami, nie widziała nic oprócz łańcuszka dziwnych kresek i znaków.

— Ciekawe co to — spytała po dłuższej chwili.

— Skąd mam wiedzieć, kobieto — odparł brodac — jakieś obrazki, pewnie dotyczą trasy podróży Salazara ze świtą.

— Tu jest cała trasa? — Białooki wziął do ręki jedną z kart i oglądał z przodu i z tyłu, próbując sobie wyobrazić, że cały jego świat mieści się na tym kawałku papieru.

— Dlaczego nie poprosiłeś o wyjaśnienie — burknęła niezadowolona kobieta, zwracając się do brodacza.

— Bo nie chciałem się przyznać, że nie umiemy czytać. I tak był już na nas zły. Wystarczy, jak pójdziemy za Salazarem. Będziemy pytać, dowiemy się, gdzie się zatrzymał... Jakoś to będzie... Coś wymyślimy.

— Jestem pewna, że się nie uda. — Kobieta pogardliwie odsunęła mapy.

— W ostateczności zawsze możemy kogoś zabić — powiedział białooki, śmiejąc się brzydko. — Czuję, że to się spodoba Pryncypałowi.

— Nie wygłupiaj się!

V

*O tym, jak osiąść magiczną moc,
jak przyrządzić proszek
do przyczerniania oczu i co zrobić,
żeby Inguma nie napadł nas we śnie*

— Gdzie to wam położyć? — zapytali dwaj zasapani młodzieńcy, dźwigając ciało Juany jak worek warzyw.

Salazar rzucił okiem po sali, polecił Domingowi opróżnić z papierów, kałamarzy i piór długi stół, przy którym spisywali zeznania skruszonych czarowników, i kazał tam ją położyć. Traf chciał, że był przy tym obecny proboszcz Borrego Solano. Przyszedł wcześniej do rezydencji Salazara z wiadomością, iż nazwisko Juany de Sauri figuruje na liście mieszkańców przyjmujących pod swym dachem skruszonych członków sekty, którzy czekali na przebaczenie. Podobno więcej niż tydzień temu Juana przyjęła do siebie cztery osoby, które znikły bez śladu po tajemniczej śmierci gospodyni. Dwaj mężczyźni i dwie kobiety...

— Znikli, nie czekając na ułaskawienie... — mruknął Salazar.

— Przecież to jasne, że nie przyszli po przebaczenie. Co innego mieli na celu... Zemstę! — wypalił proboszcz, stając twarzą w twarz z inkwizytorem. — Diabeł ma bardzo posłusznych wyznawców. Żal i pokuta to nie dla nich. Są jak dzikusy. Wszędzie wejda. Wszędzie ich pełno! A moi parafianie muszą się nimi zajmować, bo dekret królewski tak każe — Borrego Solano podniósł głos i oczy zaiskrzyły mu się gniewnie. — Sami otworzyliśmy im drzwi. Wpuściliśmy do naszych domów!

— Po co się tak gorączkować — Salazar mówił cichutko, próbując uspokoić proboszcza. Nie chciał, żeby Borrego Solano wykrzyczał w gniewie z ambony, że skruszeni czarownicy to mordercy, bo wtedy mogłoby dojść do zbiorowego linczu na ulicach Santesteban. — Nadal nie wiemy dokładnie, co się stało. Może to był wypadek. Może te cztery osoby zobaczyły, że Juana nie żyje, i uciekły w strachu, że obciążymy ich winą za tę śmierć... Zważywszy na sytuację, wcale bym się nie dziwił, gdyby tak pomyśleli.

— Na Boga! Nie udawaj, że nie widzisz, co się tu dzieje. — Proboszcz Borrego Solano krążył wokół inkwizytora, wymachując rękami i wzruszając ramionami. Salazar czuł się trochę nieswojo, kiedy nie miał go przed sobą. — Demon nasłał na nią tych czworo, żeby się zemścić. Ślad w kształcie krzyża na dłoni Juany to odwrócony krzyż. Oni lubują się w takich alegoriach. Żegnają się na opak, przyjmują czarną hostię w czasie swoich komunii, odprawiają satanistyczne msze o północy w poniedziałki, środy, piątki i w wigilię świąt katolickich. A Juanę znaleziono właśnie w czwartek rano. To znaczy, że...

— Nie wiemy, kiedy nastąpiła śmierć — przerwał Salazar — mogło upłynąć trochę czasu, zanim ją znaleziono.

Ale proboszcz Borrego Solano nie słuchał; ciągnął swój monolog, modulując głos jak aktor komediowy i poruszając groźnie oczami.

— ...Zaczynają zlatywać się w nocy i kończą przed pierwszym pianiem koguta. Zostawiają dwie czarne kury na skrzyżowaniach dróg, bo to jest sposób na pozyskanie magicznej mocy — wyjaśnił — a zanim wyruszą na sabat, smarują sobie ciało cuchnącą, zieloną maścią i mówią — proboszcz odchrząknął i wyrecytował: — „Ja jestem Demon, odtąd stanowią jedno z Demonem. Ja muszę być Demonem i nie chcę mieć nic wspólnego z Bogiem”. Potem wsiadają na miotły i wylatują... Sam to widziałem — poświadczył. — Przed czarną mszą wyznają swoje grzechy, czyli wszystkie dobre uczynki, jakie zrobili, i te złe, których nie popełnili przez zapomnienie. Następnie diabeł ubiera się cały na czarno, w brudne, cuchnące szaty, a wierni śpiewają strasznymi głosami hymny na cześć Szatana. W czasie kazania demon upomina, żeby wytrwali w tej wierze i nie szukali innych bogów, bo nikt nie da im tego wszystkiego, co może dać im on. Komunikantem jest czarna hostia w kształcie podeszwy buta, na której wryty jest wizerunek Szatana. Demon podnosi tę hostię i mówi: „Oto ciało moje”, a czarownicy odpowiadają na klęczkach „*Aquerragoiti, aquerrabediti*”. — Salazar spojrzał pytająco na nowicjusza Íñiga de Maestu, żeby przetłumaczył te słowa.

— Kozioł na górze, kozioł na dole — wyjęczał chłopiec w odpowiedzi.

Proboszcz kontynuował, nie zwracając na niego uwagi.

— ...a wino mszalne przechodzi im przez gardła, nie przynosząc ulgi, za to mrozi serce i pokrywa szronem duszę, aż stają się niezdolni do miłosierdzia. — Na koniec tego wywodu Borrego Solano orzekł: — Zabili Juanę w ramach jakiegoś rytuału i wrzucili ciało do rzeki. — I dodał stanowczo: — Znak na jej dłoni to odwrócony krzyż... nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

— No cóż... — Salazar wiele razy już słyszał, na czym polega czarna msza, ale nie przerywał proboszczowi. Odniósł wrażenie, że ten człowiek potrzebuje się wygadać. Potem podszedł do stołu, na którym leżały przyniesione przez chłopców zwłoki Juany, i zauważył: — Moglibyśmy godzinami dyskutować o tym, co się stało, a co się nie stało, ale prawdziwą odpowiedź zna tylko ona.

Nie dodając nic więcej, wyjął nożyk do ostrzenia piór i przeciął jednym cięciem sznury spowijające lniany całun. Z rozchylającej się powoli tkaniny wychynęła kobieta z tęsknym wyrazem twarzy jak wieprzek na Świętego Marcina. Na ten widok proboszcz Santesteban zaczął gwałtownie cofać się do wyjścia i żegnał się żarliwie, dopóki nie uderzył ramieniem o zawiasy, bo źle odmierzył odległość od drzwi. Zanim przestąpił próg, wygarnął inkwizytorowi zaczerwieniony z wściekłości:

— Niech Bóg nam przebaczy!

— Na pewno przebaczy — odparł obojętnie inkwizytor na pożegnanie.

Już jakiś czas temu Salazar stracił wiarę, ale nikt tego nie zauważył. Zwątpienie przyszło w chwili, gdy wszystko układało się wspaniale i wydawało się, że posiada magiczną formułę na osiągnięcie tego, co tylko zamierzy. Pewnego pięknego dnia

zakielkowała w nim drobna myśl, która podstępnie wkradała się we wszystkie wartości, jakie przyswoił sobie od dzieciństwa. Salazar nie znajdował słowa na określenie tego zamętu w głowie. Było to coś w rodzaju przecucia, pustka duchowa, doznanie samotności i całkowitego opuszczenia. Coś, co pojawiała się najpierw we snach, potem po przebudzeniu, jeszcze potem zawładnęło jego umysłem w porze obiadu i po obiedzie, aż wreszcie towarzyszyło przez cały dzień we wszystkim, co robił i o czym myślał. Najpierw sądził, że to reakcja na ciągłą walkę o rozwój, która pochłaniała w ostatnich latach całą jego wolę. Jednak po głębszej analizie odkrył, że życie mijało mu dotychczas na wpatrywaniu się we własny pępek i niewidzialny parawan oddzielał go od rzeczywistości. Oczywiście wiedział co to nieszczęście, ból, nędza, ludzkie cierpienie... ale to wszystko było dalekie, obce, zawoalowane... Teraz zapaliła się w nim ostrzegawcza lampka oświetlająca tę część życia, o której dotąd nawet nie pomyślał, pogrążony w mroku prozaicznych spraw codziennych. Było to tak, jakby nagle otworzył szerzej oczy, ujrzał ziemską niedolę intensywnie żrącą i cuchnącą i bał się zadać pytanie, jakie plany ma Bóg, aby zaradzić nieszczęściom.

Niewątpliwie wpłynęła na to sytuacja społeczna zaistniała w owym czasie. Dżuma zaatakowała ziemie na północy. Zapchłone szczury biegały po ulicach, głód i rozpacz szalały wśród ludzi. Rodziny opuszczały swe domostwa, aby nie mieć kontaktu z chorymi, i uciekały w wielkim przerażeniu. Straciwszy bydło i zbiory, ludzie wlekli ze sobą po drogach tobołki i cierpienie, tłoczyli się w drzwiach kościołów, błagając o pomoc, o kawałek miłosiernego

chleba, trochę mleka dla dziecka, pracę dla ojca rodziny, wygłodzonego suchotnika, który nie miał innego wyboru, jak żebrać, kiedy nie dostawał pracy. Miasta wypełniły się natarczywymi żebrakami, a trochę później — dziećmi o długich rękach, które w okamgnieniu oskubywały osaczoną ofiarę wśród wrzasków i przepychanek i nikt nie mógł dać sobie z nimi rady. Ludzie bali się wychodzić na ulicę, żądali zapewnienia bezpieczeństwa przez rządzących, ale ci byli zbyt zajęci dyskusjami, czy lepiej obchodzić święta królewskie w Madrycie, czy też przenieść niektóre z nich do Valladolid.

Jakby jeszcze było mało, zima przyniosła silne mrozy, co pociągnęło za sobą nowe szkody. Bogacze mieli co prawda uciechę, podziwiając przez okno mleczone krajobrazy i lepiąc bałwany w swych ogrodach, ale biedacy trzęśli się z zimna i z żalu, patrząc, jak ich dzieci budzą się co rano ze zsiniałymi wargami. Zresztą i tak mogli uważać się za szczęśliwców. Nie dali się straszliwej epidemii dżumy, która pochłonęła pół miliona ofiar śmiertelnych. W wielu miejscach Kraju Basków i Nawarry ludzie umierali w męczarniach, ból rozsadzał im głowy albo szarpał mięśnie, w trzewiach rosło lodowate zimno, zamieniając się powoli w ogień i lawę, którą wymiotowali, dusza uchodziła z nich przez usta, a w pachwinach, pod pachami i na szyi gromadziły się różowawe wrzody. Coś, co wyglądało początkowo na nieszczęście, które dotknęło głównie wieś, z czasem zaczęło przybierać rozmiary biblijnej kłątwy. Pojawili się kaznodzieje mówiący o gniewie bożym i karach boskich za grzechy obżarstwa, pijaństwa i rozpusty. Połączyli to z całkowitym brakiem wiary u ludności z terenów północnych, która uporczywie czciła pogańską boginię Mari i całą zgraję

leśnych duszków będących niewątpliwie koleżkami demona. Odżyły tradycje stowarzyszenia biczowników zakazanego przez papieża podczas dżumy, która spustoszyła Europę w połowie XIV wieku, i znów wylegli na ulice posępni mężczyźni o ponurych twarzach i nagich torsach, biczując się na oczach przerażonych przechodniów dla przeblągania za grzechy swych braci.

Salazar nie lękał się dżumy, ale i tak był niespokojny. Zaczynał wątpić w podstawowe dogmaty, na których dotąd opierała się jego etyka, ponieważ uświadomił sobie, że zasady ustanowione przez Jezusa Chrystusa dotarły do niego w formie przetworzonej przez innych ludzi. Pomyślał o wróblach, takich słabych i wątpliwych w oczach człowieka, a tak silnych i potężnych z punktu widzenia robaka. Zaczął się zastanawiać, jaki naprawdę jest wróbel. Jaki naprawdę jest Bóg. Doszedł do wniosku, że człowiek widzi tylko pozory, że istota rzeczy nie sprowadza się do tego, jak je widzimy, ponieważ w rzeczywistości zarówno fizyczność, jak i duchowość jest postrzegana przez każdego indywidualnie. Zaczął wątpić we wszystko: w niebo, piekło, w Pismo Święte i w świętych pisarzy, którzy utrwalili je dla potomności. Zwątpił w ludzką percepcję. Spotykając osobę pobożną, nie mógł już nie zadawać sobie pytania, czy ten ktoś byłby równie pobożny, gdyby nie istniała groźba ognia piekielnego dla niegodziwców. Nawet dobroć jawiła się Salazarowi jako swoista hipokryzja i godna potępienia pycha.

Tak przesiąknął tymi wątpliwościami, że już nie pamiętał, czym kierował się w młodości, kiedy uwierzył, że Wyższa Istota stworzyła świat i wszystkich jego mieszkańców. Teraz myślał, że jeśli ta Wszchemogąca Istota rzeczywiście istnieje, to musi być bardzo

okrutna, takie duże dziecko, które bawi się swoimi lalkami w wielkim domku świata. Zadręczał się, próbując ustalić, gdzie przebiega subiektywna linia między tym co dobre a tym, co uważa się za złe. Czyż nie twierdzono, że łatwiej biedakowi wejść do Królestwa Niebieskiego niż bogaczowi? A co jeśli biedak złorzeczy Bogu w swym nieszczęściu, płacze i przeklina swój los, jeśli z głodu ukradnie kurę...? Czy znajdzie usprawiedliwienie w oczach Pana złodziej kradnący po to, żeby nakarmić swoje głodne dzieci? Nie kradnij, głosi przykazanie boże, lecz jeśli nie ukradnie, cała rodzina umrze z głodu, tak więc przestrzeganie tego przykazania może być równoznaczne ze zgodą na coś w rodzaju samobójstwa. Tak czy inaczej — grzeszysz. Jak będą sądzeni ludzie w dniu Sądu Ostatecznego, jeśli nie wszyscy wystartowali do wielkiego biegu życia z jednakowymi szansami? Niektórzy rodzą się w rynsztoku, nie mają co jeść, chodzą obdarci i wciąż są narażeni na pogardliwe spojrzenia takich, którym niczego nie brak. Nie mają szansy na edukację, która otworzyłaby ich umysły, prędzej czy później naruszają jakieś nakazy, choćby po to, by przeżyć. Czy Bóg oceni ich taką samą miarą jak monarchów i ludzi dobrze urodzonych, którzy odziedziczyli swój majątek wraz z krwią, którzy raz w miesiącu okazują swą dobroć i wspaniałomyślność wobec potrzebujących, żeby uciszyć sumienie i chępić się przed dworzanami? Nie ulega wątpliwości, że łatwiej być dobrym i zasłużyć na niebo, kiedy los uśmiecha się do człowieka.

Salazar ukrywał swe rozterki, zwłaszcza że w tym czasie był prawą ręką Bernarda de Sandovala y Rojasa, ówczesnego

arcybiskupa Toledo. Wyczuwał, iż mimo najlepszych stosunków, jakie ich łączyły, protektor nie zrozumie tych świętokradczych myśli, które zaległy mu się w głowie. Zresztą Salazar podziwiał Bernarda de Sandovala. Jego dobroć, miłosierdzie, uprzejmość i poczucie sprawiedliwości podtrzymywały w inkwizytorze słabnącą wiarę w ludzi. Był to dobry człowiek, który wspierał kulturę, opiekując się poetami i pisarzami. Wśród jego protegowanych znajdował się między innymi niejaki Miguel de Cervantes, który w owym czasie z mozolem odkrywał sens słów i daleko mu było do chwały. Salazar nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby zaniepokoił arcybiskupa swoimi rozterkami, i dlatego wołał udawać. Udawał skupienie podczas uroczystości kościelnych, ulgę po spowiedzi, choć uzyskał rozgrzeszenie, nie wyznawszy całej prawdy, udawał, że szuka pocieszenia w słowie bożym; cały czas udawał. Wkładał w to tyle zapału, że prawie przekonał też i samego siebie, i przestał cierpieć.

xxx

Salazar obserwował z uwagą wyciągnięte na stole martwe ciało Juany; był tak samo skupiony jak w czasie sporządzania notatek z przesłuchań. Jednym rzutem oka ocenił, że okoliczności śmierci tej kobiety były co najmniej nietypowe. Na pewno nie chodziło tu o wypadek, choć nie odważyłby się stwierdzić, że została zamordowana, jak insynuował proboszcz Borrego Solano. Odpowiedzi może udzielić tylko ona sama. Salazar kierował się własnymi zasadami etyki, które były mieszanką poglądów humanistycznych, i nie wierzył w nic, czego by nie mógł dotknąć, posmakować,

zobaczyć, powąchać lub usłyszeć. A nawet jeśli mógł, to i tak miał wątpliwości.

Jakiś czas temu, w okresie gdy Salazar rozpaczliwie i bezskutecznie poszukiwał Boga w każdej szczelinie życia, postanowił, nie chcąc tracić do końca nadziei, odnaleźć w śmierci jakiś przejaw bożego istnienia. Pojechał więc do Walencji, która naówczas przodowała w wiedzy o anatomii ludzkiej, i zapisał się na seminarium z sekcji zwłok w tamtejszym szpitalu głównym. W zajęciach brali udział nie tylko lekarze i specjaliści od anatomii, lecz również spora liczba artystów, zwłaszcza malarze i rzeźbiarze, którzy wytrwale zgłębiali tajniki ludzkiego ciała po to, by tworzone przez nich dzieła były żywą reprodukcją rzeczywistości. Mówiono, że zanim takie kursy stały się dostępne dla wszystkich, artyści tej miary co Leonardo da Vinci chodzili nocą na cmentarze rozkopywać groby i przenosili zwłoki do swych pracowni. Tam je kroili, zdejmowali skórę, żeby zaobserwować, jak precyzyjnie mięśnie grzbietu krzyżują się między sobą, przytrzymując szkielet, i jak sprawnie wyginają się mięśnie bliźniacze ułatwiające nam chodzenie.

Choć uczestnicy seminarium w Szpitalu Głównym w Walencji stanowili bardzo różnorodną grupę, najbardziej wyróżniał się wśród nich Salazar. Człowiek Kościoła zainteresowany sprawami anatomii, to musiało budzić zdziwienie. Z tego kursu Salazar zapamiętał szczególnie metodę przeprowadzania sekcji zwłok i oto zamierzał wypróbować swą wiedzę, praktykując na zwłokach Juany. Zaprosił więc Íñiga i Dominga do swojego pokoju, kazał im długo stać i czekać cierpliwie, podczas gdy szukał czegoś, kłęcząc przy wielkim kufrze z ciemnego drewna hebanowego, który taszczył

z Logroño po tych pańskich drogach, nie bacząc na trudy podróży. Wypełniały go papiery, pióra, kałamarze i uczone księgi.

— Jest to kufer wiedzy — wyjaśnił Salazar z głową zanurzoną w papierzyskach.

— A mówią, że wiedza nie zajmuje dużo miejsca — zauważył ironicznie Íñigo.

— Byłem pewien, że to nam się przyda. Trzymaj, Domingo. — Salazar podał mu habit karmelitanek i księgę zatytułowaną *Quaderni di anatomia* autorstwa Leonarda da Vinci. — No to możemy zaczynać.

— Co zaczynać? — spytał brat Domingo z przestrachem.

— Mamy podręcznik — wyjaśnił Salazar, pokazując na księgę. — Leonardo da Vinci zawarł w nim sekrety ludzkiej morfologii. Wykonał ponad siedemset rysunków anatomicznych. Prawdłowo naszkicował aorty wieńcowe, zastawki trójdzielną i aortalną oraz mięsień sercowy. Aby zbadać przepływ krwi w tętnicy głównej, skonstruował szklane serce, umieszczając membrany jako zastawki. Dzięki własnym eksperymentom przeprowadzanym w ramach sekcji zwłok znakomicie potrafił przedstawić narządy ludzkie. Wykonał wielopłaszczyznowe przekroje wewnętrzne i otrzymał topograficzną perspektywę kończyn. — Inkwizytor nie ukrywał swego podziwu. — Ta książka podpowie nam, jak mamy kroić.

— Kroić? Co będziemy kroić?

— Zlituj się, Domingo, nie bądź taki obłudny — gderał Salazar z niezadowolaniem.

— Ale... przecież... nie... — Íñigo zająknął się, spoglądając niepewnie na inkwizytora, jakby się zastanawiał, czy warto kończyć

zdanie. — „Czyż nie rzekł Pan do Mojżesza: Mów do kapłanów i powiedz im: [Kapłan] nie będzie się narażał na nieczystość z powodu zwłok zmarłego krewnego”?

Salazar przypomniał sobie, że młody nowicjusz z uporem szuka w Biblii odpowiedzi na wszystkie pytania pojawiające się w życiu codziennym. Ale w tym momencie nie miał czasu ani ochoty wdawać się z nim w dyskusję, czy powoływanie się na Lewitę jest w takim kontekście zasadne, czy nie.

— Jeśli wiesz na pewno, że Pismo Święte zakazuje krojenia zwłok w takiej sytuacji jak ta, kiedy próbuje się wykryć przyczyny śmierci, która nastąpiła w niezrozumiałych okolicznościach, to pokaż mi taki fragment, bardzo proszę, a jeśli nie wiesz, to lepiej nic nie mów. Nie znoszę bigotów! — Obserwując reakcję swych pomocników, Salazar zrozumiał, że posunął się za daleko. Spróbował ich uspokoić. — Wesaliusz, człowiek uczony i lekarz przyboczny Karola Piątego, poszedł tym samym tropem co Leonardo da Vinci, ale nie dawało mu to spokoju. Dlatego skonsultował się z teologami z uniwersytetu w Salamance, którzy odpowiedzieli, że jeśli krojenie zwłok służy pożytecznej sprawie, to na pewno nie jest zabronione. Obecność Boga przenika całe stworzenie i nie ma nic złego w tym, że chce się to obserwować.

Wziął trzy chusteczki, polał na nie kilka kropel esencji cypryjskiej, zawiązał sobie jedną na twarzy tak, żeby zakrywała mu nos i usta, a dwie pozostałe podał swym pomocnikom, radząc im zrobić to samo. Następnie wręczył Íñigowi lichtarz, a Domingowi kazał usiąść i notować.

Salazar wiedział, że chłopcy będą tym wstrząśnięci, ale chwilo-
wo nie miał komu zaufać oprócz nich. Reszta pomocników oraz
mieszkańcy miasteczka nie powinni dowiedzieć się o tym, co na-
stąpi; mało kto bowiem zdołałby zrozumieć, iż człowiek Kościoła
rozpruwa zwłoki pobożnej parafianki, aby zinterpretować wolę
bożą. Dlatego Salazar zamknął drzwi na wszystkie spusty i zasło-
nił okna. Pokój pograżył się w ciemnościach rozjaśnianych jedynie
chwijnym blaskiem świec.

Domingo wolał nie patrzeć. I tak był zbyt zajęty walką z ponu-
rymi myślami przychodzącymi mu do głowy na widok olbrzymie-
go cienia Salazara na przeciwległej ścianie, który sprawiał wraże-
nie potwora. Nie pojmował, dlaczego taki poważny, niezłomny
inkwizytor stosuje nieortodoksyjną metodę szukania śladów cza-
rownic. Z kolei Iñigo czuł się zbyt przygnębiony rzeczywistością,
aby mieć jakiegokolwiek zastrzeżenia natury moralnej. Nagie mar-
twe ciało i wielki nóż rzeźniczy, który Salazar położył na stole,
prawdopodobnie z zamiarem rozkrojenia brzucha tej pani, wy-
warły nań wstrząsające wrażenie.

— Notuj, Domingo. — Głos Salazara wyrwał ich obu z zamyśle-
nia. — Na prawej dłoni denatki głęboka, zakrzepnięta rana w
kształcie krzyża z wyraźnie zaznaczonymi granicami. To nie jest
krzyż odwrócony — podkreślił. — Zanotowałeś?

— Tak... ojciec wielebny... zanotowałem.

— Na prawej nodze przy kostce głębokie obtarcie. — Pochylił
się, żeby obejrzeć pod lupą, i wyrwał pincetką kilka obcych włó-
kien. — Uszkodzenie nastąpiło prawdopodobnie wskutek tarcia
sznura konopnego. — Przesunął lupę nad nadgarstki i opuszki

palców. Podłożył pod dłoń zmarłej kawałek papieru i patyczkiem podłubał pod paznokciami. — Tak jak podejrzewałem — mruknął. — Przywiązała sobie sznur do nogi.

— Po co? — zdziwił się Domingo.

— Rana od sznura jest głęboka, więc najwyraźniej na drugim końcu musiało być coś ciężkiego. Dlatego nie znaleźliśmy sznura. Nie wypłynął na powierzchnię razem z ciałem, ponieważ sam się odwiązał. Myślę, że miał przyczepiony kamień.

— Sama przywiązała sobie kamień do nogi? — Brat Domingo raczej zastanawiał się głośno, niż pytał. — Dlaczego?

— Żeby pójść na dno — odpowiedział Íñigo.

— To jasne! — Brat Domingo nie ukrywał swego rozdrażnienia. — Ale coś mi tu nie pasuje. Proboszcz Borrego Solano mówił, że była bardzo pobożną kobietą. Sama nie mogła więc tego zrobić. Powinniśmy wziąć pod uwagę jego sugestie. Może faktycznie czarownicy zastosowali wobec niej jakiś magiczny rytuał, a potem ją zabili. Żeby pozbyć się ciała, przywiązali kamień do nogi i zepchnęli do rzeki.

— Drogi Domingo — Salazar mówił, nie odrywając oczu od trupa — podoba mi się, że rozważasz różne możliwości, ale myśl logicznie, używając do tego rozumu. Jeśli ktoś chce, żeby ciało poszło na dno rzeki, jeziora lub innego zbiornika wody, i planuje to zrobić za pomocą kamienia, to powinien obwiązać sznurem obie nogi. Tymczasem tutaj mamy obtarcie tylko na jednej. Powiesz, że są wyjątki od reguły... zgadzam się... ale wszystko wskazuje na to,

że ta kobieta sama przywiązała sobie kamień. Drobne włókna sznura, którym była owinięta noga przy kostce, znajdują się także pod jej paznokciami. — Wziął papier z resztkami wygrzebanymi spod paznokci Juany i położył obok włókien wyciągniętych z rany na nodze. — Widzicie! Są takie same. Zatem — inkwizytor zdawał się mówić sam do siebie — należałoby teraz zapytać, dlaczego to zrobiła. Kontynuujmy. Juana może nam jeszcze udzielić wiele informacji na temat swej śmierci.

Taka poufałość z denatką wydała się Domingowi w złym tonie. Salazar odsunął się od trupa, prosząc Iñiga, żeby oświetlił mu stronę z książki Leonarda da Vinci z wizerunkami ludzi, którzy stali wyprostowani i uśmiechali się, co powinno świadczyć o ich dobrym zdrowiu, ale ciała mieli przecięte z góry na dół, otwarte jak szkatułka z wieczkiem na zawiasach, które można rozsunać, żeby pokazać zawartość. Iñigo pomyślał, że wewnątrz ludzkiego ciała wygląda okropnie. Tymczasem Salazar znów podszedł do denatki, wziął do ręki nóż i delikatnie przesunął nim od piersi do pępka, jakby coś sprawdzał. Następnie, ku zdumieniu swych pomocników, wykonał zdecydowane cięcie, które rozpoczynało się u nasady szyi i kończyło na wzgórku łonowym. W blasku świec ukazały się wnętrzności Juany. Iñigo westchnął przeciągle, a Domingo odruchowo podniósł oczy do góry i zobaczył ciało rozciągnięte na stole, który zazwyczaj służył mu za biurko. Juana lekko przechylała głowę w jego stronę i wydawało mu się, że na moment otworzyła oczy, patrząc na niego z zakłopotaniem, jakby błagała o trochę szacunku dla siebie. Domingo zacisnął zęby, zgniótł pióro w spoconych palcach i szeptał całą litanię modlitw do swego Boga,

żeby ochronił go od nienawiści do Salazara, który wyprawiał takie rzeczy.

— Notuj, Domingo. Płuca pełne wody. — Brat Domingo dostrzegł błysk satysfakcji w oczach Salazara, który dodał: — Jeszcze żyła, kiedy wpadła do rzeki. Przyczyną śmierci było utonięcie.

— Ile ma żeber? — spytał zaintrygowany Íñigo, porównując ciało Juany z obrazkami z książki Leonarda.

— Mężczyźni i kobiety mają z reguły po tyle samo żeber. Odezwij się wreszcie od Księgi Rodzaju! To jakaś obsesja! Zobaczmy, co tu mamy... Aha! Żołądek jest pusty... zupełnie pusty.

— Co to znaczy? — Íñigo zainteresował się szczegółami badania.

— To znaczy, że ona nic nie jadła przez cały dzień albo że umarła wcześniej rano, zaraz po przebudzeniu. Osobiście skłaniam się do tej drugiej tezy. Tym samym upada teoria rytualnego mordu dokonanego o północy przez zwolenników Szatana. To, że znaleziono ją w czwartek rano, nie oznacza, iż śmierć nastąpiła poprzedniego dnia, jak sugerował proboszcz Borrego Solano. Nie wiemy, ile czasu przebywała pod wodą, zanim sznur odczepił się od nogi i ciało wypłynęło na powierzchnię. Nie wiemy również, jak długo płynęła z prądem rzeki, zanim dotarła do tego miejsca, gdzie znalazły ją dzieci. Ze względu na stan rozkładu ciała powiedziałbym, że śmierć nastąpiła co najmniej trzy dni wcześniej.

Salazar wsunął jelita z powrotem do jamy ciała, połał wnętrzności octem jabłkowym i zaszył brzuch zakrzywioną igłą tapicerską tak sprawnie, że najlepsza krawcowa nie zrobiłaby tego lepiej.

Potem umył ręce aż po łokcie, a tymczasem Íñigo usuwał z ciała Juany resztki krwi i ubierał ją w habit karmelitanki wyciągnięty z kufra inkwizytora. Kiedy skończyli, nic nie wskazywało na to, że przed chwilą odbyła się sekcja zwłok, ale Domingo przeżegnał się, gdy zobaczył żalostny wyraz oczu Íñiga, który był cały poplamiony krwią. Na szczęście Salazar nie pozwolił chłopcom zamartwiać się myślami.

— Íñigo, jutro pójdziesz do domu tej kobiety, rozejrzysz się w środku i na zewnątrz, może coś znajdziesz. Szukaj sznurów, krzyży, kartek papieru... może jakiś list pożegnalny lub inny symbol. Cokolwiek, co pozwoli nam zrozumieć, jak do tego doszło, że taka pobożna kobieta odebrała sobie życie.

— Dobrze, mój panie.

xxx

Podczas gdy w rezydencji inkwizytora trzej mężczyźni próbowali dociec prawdy, szperając w zwłokach Juany, młoda Mayo odpoczywała pod drzewem w lesie, z sercem przepelnionym żalostí większą niż ona sama. Na kolanach trzymała małą drewnianą szkatułkę z rzeczami oskarżonych o czary. Otwierała ją i zamykała, zastanawiając się, jakie myśli chodziły po głowie tym kobietom, kiedy rozstawały się z Biblią albo kosmykiem włosów przewiązanych zieloną wstążką, żeby pozostawić najbliższym jakąś pamiątkę po sobie. Może dlatego Ederra nic jej nie przekazała. Piękna wiedziała, że ani Mayo, ani Beltrán nie potrzebują takich rzeczy, żeby o niej pamiętać. W ustach poczuła znów gorzki smak płaczu, ale nic z tego nie wyszło, jak zwykle. Dopiero teraz Mayo

zrozumiała, dlaczego Ederra za wszelką cenę starała się naprawić tę anomalię związaną z brakiem łez. Gdyby mogła rozplakać się jak dziecko w takiej chwili jak ta, na pewno poczułaby ulgę, uwalniając serce od ciężaru bezradności, który ją przytłaczał.

Odkąd Ederra zaopiekowała się Mayo jeszcze w niemowlęctwie, zawsze rozmawiała z nią normalnie, nie używając zdrobnień ani innych wyrażen typowych dla języka dziecięcego. Uznała bowiem, że jako córka diabła Mayo przyszła na świat z dużą wiedzą o sprawach ziemskich, boskich i podludzkich, więc nie musi przechodzić przez etapy gugania i gaworzenia jak mało rozgarnięte dziecko. Tak więc jeszcze nie miała wszystkich ząbków, a już przestała popiskiwać, jęczeć i narzekać. Potrafiła bawić się godzinami kawałkiem drewna, raczkowała, podpierając się na rękach, ale nigdy nie uroniła ani jednej łzy. Na początku Ederra nie zwracała na to uwagi, jednak z czasem stwierdziła, że normalną rzeczą jest, aby dziecko płakało, i postanowiła do tego doprowadzić.

— Znajdę sposób na łzy — mówiła Ederra. — Płacz dobrze robi od czasu do czasu.

Wypróbowała wszystko. Ucierała w moździerzy uncję bieli cynkowej, szczyptę łajna jaszczurki i kamień cukru i tak otrzymaną emulsję smarowała dziewczynce oczy na dwie godziny przed obiadem i na dwie godziny przed kolacją, trzymając ją bez jedzenia. Nie poskutkowało, więc spaliła biel cynkową w tyglu, powtarzając tę czynność dziewięć razy, a następnie wrzuciła do długo stojącej wody różanej, zmieliła wszystko i przecedziła przez gęste sito, a maść wtarła dziewczynce w powieki. Łzy nie wypłynęły, za

to źrenice zrobiły się czarne jak węgiel, błyszczące jak muszle mięczaków i tak wielkie, że prawie nie było widać tęczówki i tak pozostało mimo upływu lat. Szklisty połysk ciemnych oczu w drobnej twarzyczce w połączeniu ze spiczastymi uszami i długimi, chudymi nogami nadawał jej wygląd młodziutkiego jelonka.

Wysiłki Ederry, żeby wycisnąć choć jedną łzę z oczu małej, stały się męczarnią dla nich obu. Na widok niani z tygielkiem w rękę dziewczynka zaczynała krzyczeć jak opętana i dostawała spazmów. Serce pękało Ederze z bólu i nie chcąc, aby w Mayo pozostał uraz na tym tle, odstawiła maści na oczy, a dla odmiany zaczęła ją straszyć bajkami o Ingumie, który dusił śpiące dzieci, ściskając mocno ich szyje. Ta metoda też nie wywarła pożądanego efektu, co gorsza, powodując u Mayo bezsenność. Przez tydzień nie zmrużyła oczu, bojąc się, że przyjdzie Inguma i ją udusi. Wreszcie Ederra przekonała się, że te lekarstwa nie tylko nie pomagają, lecz na dodatek doprowadzają małą do hysterii, a zresztą czy łyż są tak naprawdę konieczne do normalnego życia? Jeśli ich nie ma, to znaczy, że Mayo może się bez nich obyć. Nauczyła ją przeto modlitwy strzegącej przed Ingumą i innymi złośliwymi stworami, które nachodzą dzieci we śnie.

*Inguma, enauk ire bildur
Jinkoa et Andre Maria
Artzientiat lagun,
Zeruan izar, lurrean, belar, Rostan hare
Hek guziak Kondatu arte
Ehadiela nereganat ager.*

Teraz Mayo nie bała się już Ingumy ani ciemności, ani tego, że ojciec-diabeł przyjdzie po nią i zabierze, nie bała się piekących mikstur Ederry... ale zdarzały się sytuacje takie jak ta, gdy dusza tak bardzo boli, że Mayo dałaby nie wiadomo co, aby rzęsiстыми łzami wypłakać z siebie ten ból, zanim nadejdzie nowy świt.

VI

*O tym, jak wyrwać mandragorę,
nie narażając życia, i jak sporządzić
odtrutkę na czary toksyczne*

Íñigo de Maestu wyruszył rano w kierunku domostwa Juany. Był najmłodszym z pomocników Salazara, co stawało się oczywiste, gdy patrzyło się na jego gładką, pozbawioną zarostu twarz cherubina i naiwne zachowanie młodego człowieka, który nie dostał jeszcze od życia żadnego ciosu. Włosy koloru pszenicy, niemal popielate, wygładzone i zdyscyplinowane, w chwilach nieuwagi spadały gęstą grzywką na czoło. Z powodu nieskazitelnej cery i oczu błękitnych jak niebo, z długimi, kręconymi rzęsami w dzieciństwie często brano go za dziewczynkę. Wywodził się z zamożnej rodziny z małego miasteczka w prowincji Alava. Był najmłodszym synem i rodzice wybrali dla niego karierę zakonną, a okazały posag pomógł mu w realizacji tego wyboru. Na początku zdawało się, że nie miał szczerego powołania, ale służył Bogu duszą i ciałem, z ojcowską wręcz troską opiekował się najmniejszym stworzeniem bożym. Uporczywie szukał niepodważalnego boskiego rozkazu, na

mocy którego cała ludzkość poczułaby się zobowiązana do szczerego zaangażowania w pomoc najbardziej potrzebującym, dlatego wybierał z tekstów Nowego Testamentu stosowne wersety, słowa i zdania. Łatwo można go było znaleźć w ustronnym miejscu ze świętą księgą, jak uczył się na pamięć cytatów i mamrotał łacińskie litanie. Salazar podziwiał go za wytrwałość, choć czasem mówił, żeby go podrażnić, że księgi nie naprawią nieszczęść tego świata i zamiast tracić niepotrzebnie czas, lepiej od razu zejść na dół, na samo dno, gdzie można upaprać się w paskudztwie po same uszy.

— Jestem gotów — mówił Íñigo ze szczerością w głosie, bo był odważny z natury — ale zanim zanurzę się w błocie, o którym mówicie, chciałbym najpierw mieć podstawową wiedzę, jak z nim walczyć.

Mimo wszystko trudno było zaliczyć Íñiga de Maestu do kategorii mnichów kontemplacyjnych, ponieważ młodzieńcze porywy nader często przeważały w nim nad dobrymi intencjami. Miał niespokojny charakter i taki nadmiar optymizmu, że inkwizytor Salazar z trudem powstrzymywał się od śmiechu, obserwując nerwowe reakcje brata Dominga na mało ortodoksyjne uwagi nowicjusza, Íñigo potrafił nudzić się solennie, gdy słyszał w czasie mszy opowieści o niebie i piekle wzięte z życia; musiał się bardzo starać, żeby nie przysnąć albo nie ziewać. Jednak zaraz potem mocno ubolewał nad brakiem należytej uwagi, narzucał sobie absurdalną pokutę, której zapominał odprawić, co z kolei kazało mu obwiniać się jeszcze bardziej, więc postanawiał poprawę i tak się zapamiętywał w tym oczyszczaniu, że wszystko mu się plątało i sam już nie wiedział, za co ma pokutować i przeproszać. Śmieszyło

go prawie wszystko, choć równie łatwo wzruszał się do łez, słuchając *Te Deum Laudamus*, Íñigo nie nauczył się jeszcze panować nad emocjami i w każdej chwili groziły mu przykre konsekwencje nadmiernej wrażliwości. Codziennie rano postanawiał: modlić się, słuchać mistrza i nabrać dystansu do niezwyklej opowieści ludzi, którzy pragnęli skorzystać z edyktu łaski... jednak, chociaż bardzo się starał, natura była silniejsza. Czasami Salazar musiał kopnąć go pod stołem, żeby młodzik nie robił oczu jak talerze i nie otwierał ust, tylko spokojnie tłumaczył lubieżną historię kobiety, która z detalami opowiadała o bezwstydnym stosunkach z diabłem. Inkwizytor dopiero od niedawna współpracował z Íñigem, ale już zdawał sobie sprawę z destrukcyjnego wpływu takich opowieści na młodociany umysł. Po przesłuchaniu nowicjusz snuł się jak nieprzytomny i potrząsał głową tak mocno, że Salazar przy odrobinie wysiłku mógł usłyszeć jego myśli.

Íñigo lubił żuć młode źdźbła trawy i był ekspertem w katalogowaniu ptaków. Ojciec od małego przyuczał go do polowania i spędzali w lesie tyle czasu, że już jako dziecko potrafił rozpoznać każde zwierzę po śladach na ziemi. Wiedział, czy było młode, czy stare, poruszało się powoli czy biegło, było samo czy w stadzie. Zawsze wytropił zwierzę, ale kiedy ojciec wyciągał arkebuz i składał się do strzału, mały Íñigo de Maestu zachowywał się skandalicznie, krzycząc do zwierzęcia, żeby uciekało i ratowało życie. Błagał, żeby ojciec nie zabijał stworzenia bożego, bo co jest winne biedne zwierzę, że ma futro albo mięso atrakcyjne dla ludzi: „Nie zabijaj go ojczu, nie zabijaj... bo przestanę oddychać, uduszę się i umrę...”. Na koniec od tych nerwów dzieciak dostawał gorączki i cały

spocony, z rumieńcami na policzkach, kurczył się pod gniewnym spojrzeniem ojca, zjadając na kolację zupę z rzodkwi. Rodzice szybko pojęli, że Íñigo jest zbyt wrażliwy na nieprawości tego świata, i postanowili skierować go w stronę religii.

Salazar lubił chłopca. Było w nim coś takiego, że inkwizytor chętnie szukał jego towarzystwa, zwłaszcza gdy czuł się przygnębiony. Nowicjusz go rozśmieszał. Poza tym tak świetnie władał kastylijskim i baskijskim, że jego pomoc stała się nieodzowna przy przesłuchaniach w czasie tej wizytacji.

xxx

Młody nowicjusz wstał tego rana bardzo wcześnie, zanim dzień zdążył rozgościć się na dobre i na horyzoncie świeciły jeszcze niebiesko-szafirowe barwy nocy. Idąc za wskazówkami proboszcza Borrego Solano, szybko odnalazł dróżkę do domu nieboszczki Juany de Sauri. Chudy, zapchlony pies o wyliniącej sierści podniósł jedno ucho, kiedy wyczuł jego kroki, przeciągnął się leniwie, uprzejmie pozwolił przejść obok siebie, po czym ruszył za nim, wściekle ujadając. Íñigo musiał się odwrócić, żeby powiedzieć mu parę miłych słów tonem, który działa uspokajająco na zwierzęta, i dodatkowo podrapać go za uszami. Widząc, że nowicjusz nie wystraszył się jego ofensywy, skoro idzie dalej, pies ziewnął szeroko, położył się na ziemi i wrócił do łapania pcheł.

Wkrótce miasteczko pozostało z tyłu i Íñigo wszedł w gęsty sosnowy las. Co chwila kręcił złocistą głową, robił nieufną minę i wyęczał niebieskie oczyska, wpatrując się w horyzont niby pies myśliwski, bo wyczuwał czyjąś nieuchwytną obecność.

Od początku tej wizytacji miał wrażenie ciągłego osaczenia. Domingo twierdził, że to muszą być czarownice wysłane na przespiegi, które chcą wiedzieć, co się knuje przeciwko nim. Kiedy o tym pomyślał, włosy stanęły mu dęba. Od pół godziny szedł krętą ścieżką, zadowolony, że nie pada, bo w czasie deszczu ta mialka, spieczona ziemia zamieniłaby się od razu w bajoro. Zatrzymał się, żeby sprawdzić, czy w pobliżu skał nie rosną gdzieś pod drzewami eperretxikos — delikatne w smaku grzyby, które zbiera się na wiosnę w leśnej głuszcy. Znalazł kilka i ostrożnie schował do torby.

Nocna rosa unosiła się z ziemi, tworząc delikatną mgłę, w której rozpływały się drzewa i rośliny; Íñigo miał przez moment uczucie, jakby płynął na chmurze. Co chwila wracało wrażenie czyjejś obecności. Czuł, że ktoś za nim idzie krok w krok, niemal deptając mu po piętach, lecz chociaż bardzo się starał, robił błyskawiczne zwody, natężał słuch i wstrzymywał oddech — nikogo nie dostrzegł. Zastanawiał się nawet, czy to aby nie duch dziadka zmarłego przed paroma miesiącami, jednak szybko odrzucił tę myśl, bo starzec ostatnio nie rozpoznawał własnych dzieci, a cóż dopiero wnuków, którymi nigdy się zbytnio nie interesował. Poza tym intuicja mówiła mu, że jest to obecność rodzaju żeńskiego i ma zdolność ulatniania się, zanim muśnie ją wzrokiem. Poczul drżenie w kręgosłupie i doszedł do wniosku, że musi się opanować, bo inaczej postrada zmysły.

Kiedy wreszcie dostrzegł w oddali dach domu Juany za ostatnim zakrętem, odetchnął z ulgą. W progu drzwi zobaczył lauburu, prastary znak opiekuńczy Basków wyryty na kamieniu w kształcie krzyża. Uważnie zlustrował okolicę.

Odkrył ślady końskich kopyt, ale nic nie wskazywało na to, aby Juana miała stajnię, szopę albo żłób, i nie było żadnych innych oznak obecności zwierząt. Nie podchodząc za blisko, spróbował zorientować się w rozkładzie domostwa i postanowił iść dalej brzegiem ścieżki tak, aby nie zatrzeć ludzkich śladów, które zaczynały się w drzwiach domu i biegły w kierunku małego, kamiennego mostu nad rzeką. Wkrótce się przy nim znalazł. Stwierdził, że rzeczka wezbrała po ostatnich ulewach i miała wystarczająco dużo wody, aby przykryć ciało. Rozglądał się uważnie. Na ścieżce znajdowało się pełno śladów ludzkich stóp i coś jakby odcisk kopyt barana kroczącego na tylnych łapach. Doliczył się śladów trzech kobiet i dwóch mężczyzn. Nie miał kłopotu z rozpoznaniem śladów Juany, ponieważ poprzedniego dnia, kiedy Salazar zlecił mu udać się do domu tej kobiety, Íñigo pobrał miarę z jej stóp. Trochę dalej dostrzegł na ziemi drewniany krzyżyk na skórzanym rzemyku z resztkami zaschłej krwi.

— Krzyż! — wykrzyknął uśmiechnięty, zakładając go sobie na szyję.

Poszedł z powrotem do domu Juany i lekko popchnął drzwi. Były tylko przymknięte, więc szybko ustąpiły. Serce waliło mu w piersiach z całych sił.

— Jest tu kto? — zawołał od progu. Miał nadzieję, że nikt nie odpowie, bo chyba umarłby ze strachu. — Przybywam w pokojowych zamiarach. Wchodzę! — krzyknął i ostrożnie przekroczył próg.

Nic nie słyszał. Poruszał się powoli, czekając, aż wzrok przyzwyczai się do słabego światła, które wpadało przez otwór w kształcie krzyża zdobiący okiennice. Zaczynał odróżniać kontury

mebli; był to ubogi dom z klepiskiem zamiast podłogi, prosto z dworu wchodziło się do niewielkiej kuchni, która była głównym i największym pomieszczeniem. Miała dwoje drzwi prowadzących prawdopodobnie do innych izb. Pośrodku kuchni zobaczył stolik i dwa toporne krzesła z nieheblowanego drzewa. Pomyślał, że gospodyni bardzo dbała o czystość, choć ściany czerniły się od dymu i sadzy i wszędzie czuło się zapach wędzonej ryby. Na jednej ze ścian wisiała żelazna, na pół zardzewiała patelnia, a na wygasłym palenisku stał garnek z resztkami zupy, na której zbierała się pleśń. Sprawdził, że popiół nie został wygarnięty, czyli córka zmarłej jeszcze nie przyszła posprzątać. Zaniepokoił się, że narusza cudzą intymność. Pomyślał, że nikt oprócz niego tu nie wchodził od czasu tragicznej śmierci właścicielki. Uznał to za zły omen. Przeszedł do drugiej izby i uderzył go stęchły zaduch. Cuchnęło kozłem. W kącie zobaczył porzuconą kozią nogę. Wziął ją ze wstrętem w dwa palce, żeby wsunąć do torby. Już miał przejść do ostatniego pomieszczenia, kiedy zorientował się, że nie jest sam. Przestraszył się, bo tym razem zjawa była realna, a na dodatek tuż za nim. Chciał się odwrócić, ale nie zdążył, bo nagle coś trzasnęło i poczuł dziwny ból w górnej części głowy. Potem wszystko zapadło się w wibrującą ciemność i ciszę.

Wrócił do rzeczywistości z poczuciem, że jego ciało maleje, ale tylko od środka. Zauważył, że skóra zwisa na nim jak za duży garnitur, a organizm się skurczył. Przez usta wyszedł ze swej powłoki nabłonkowej. Spojrzał na brzuch i zobaczył konstrukcję z żeber, a dalej różowe płyty płuc, ciemną plamę wątroby, rytmicznie bijące

serce, zwoje kiszek... Wszystko było tak samo jak na rysunkach Leonarda da Vinci, które Salazar pokazywał im poprzedniego dnia. Skóra leżała na ziemi bez życia, pomarszczona, zwiotczała jak pusty bukłak. Ínigo zląkł się, że się zmarnuje, ktoś może nadepnąć albo zniszczyć; spróbował zatem złożyć ją starannie i schować do torby, ale nie dał rady. Był zbyt mały, zresztą poczuł nagle, jak coś go unosi z podłogi za nogi i potrząsając bezlitośnie, wypycha z domu; przelatując przez drzwi, uderzył się mocno o framugę. Zabolały go oczy od jasnego światła, stracił zupełnie poczucie czasu i przestrzeni. Frunął, z niewyobrażalną szybkością unosił się ku niebu, ścisnęło go od tego lotu w żołądku. Opuszczony przed chwilą domek stawał się maleńkim punktem na ziemi; miał wrażenie, że wznosi się zbyt wysoko i w każdym momencie może spłonąć od uderzenia w słońce, które już paliło w oczy, próbował zasłonić się ramionami, ale nie mógł, słońce go oślepiało, zacisnął mocno powieki, bał się, unosił się coraz wyżej i wyżej...

Rytmiczne echo kopyt ściągnęło go na ziemię. Uchylił powieki i zobaczył las przesłonięty lekką, niebieskawą mgłą. Ujrzał wyraźnie aksamitny pysk zgrabnego rumaka, który potraçał go w czoło i targał włosy. Kiedy przestało mu wirować w oczach, spostrzegł, że zwierzę jest trochę mniejsze od konia: srebrna grzywa sięgała mu prawie do pęcin, a z czoła wystawał jeden salomonowy róg. Widział już takie mitologiczne zwierzę w *Księdze Snów*, ale to, które miał przez oczami, posiadało dodatkowo z obu stron grzbietu parę pierzastych skrzydeł. Był to najpiękniejszy i najbardziej wzruszający z widoków, jakie podziwiał w życiu, nie pomijając malowanego złotego ołtarza w klasztorze San Silvestre czy zakazanej księgi

Praestigiis Daemonum, Incantationibus na dnie hebanowego kufra Salazara, w której medyk Johan Weyer dowodził, że czarownicy są zwykłymi ludźmi, chorymi na umyśle. Inkwizytor pozwolił raz nowicjuszowi zajrzeć do tej księgi, ale przykazał nikomu o niej nie mówić, bo w przeciwnym razie obaj znaleźliby się w poważnym niebezpieczeństwie.

W chwilę potem Íñigo dostrzegł, że na jednoroźcu siedzi piękna dziewczyna, cała utkana z niebieskiej przezroczystej materii, z narzuconą na ramiona lekką gazą, która przykrywała grzeszne miejsca jej nagiego ciała. Wyglądała jak kobiety z jego nocnych, skandalicznie zmysłowych majaków, z których budził się wyczerpany na skraju łóżka, bez tchu, zadyszany jak meduza porzucona na piaszczystej plaży. Nigdy nie spowiadał się z tych snów, bo wstyd przed spowiednikiem był większy niż potrzeba bożego przebaczenia. Postać młodej damy wydawała się utkana z blasku niebieskiego ognia, wiatr rozwiewał jej długie włosy, które łączyły się w kosmyki, zwijały jak ślimak, prostowały, a potem układały się wokół głowy niby korona. W pogodnej twarzy błyszczały czarne źrenice oczu z ledwie widoczną białą otoczką.

Ta cudowna istota zeskoczyła z jednoroźca i tanecznym krokiem szła przez wilgotny las. Íñigowi wydawało się, że ziemia jęczy z żalu, kiedy dziewczyna podnosi lekko nogę, żeby zrobić następny krok. Niebieska panna przykucnęła tuż przy jego twarzy. Íñigo widział z bliska włosy koloru indygo i takie same brwi, niebieskawy odcień skóry oraz łagodną wypukłość fioletowych warg, ale widział też drzewo przez jej ciało, gdyż była przezroczysta. Uśmiechnął się nieśmiało, a ona odpowiedziała na ten uśmiech

gestem przyzwolenia. Przysunęła dłoń do bladej twarzy chłopca i wyczuł delikatny aromat. Ten zapach kwiatu pomarańczy i świeżej trawy przywodził mu na myśl dłonie matki.

Dziewczyna zdjęła mu sandały i skarpetki, lekko pomasowała stopy, połaskotała pod pachami, ujęła jego głowę, żeby podrapać za uszami. Niebieska dłoń ześlizgnęła się, badając subtelnie każdy cal jego ciała. Íñigo leżał nieruchomo, mając wrażenie, że kiedyś już to przeżył, że była to powtórka przyjemnego snu, który zapamiętał i wiedział, jak się skończy. Z niezwykłą delikatnością musnęła palcami jego uda. Upajał się tą chwilą, czując słodycz w ustach. Nie musiał się już niczego bać i zasnął.

XXX

Tego rana Mayo i Beltrán śledzili pomocnika Salazara z rozsądnej odległości, ukrywając się raz po raz, ponieważ nowicjusz Íñigo de Maestu ciągle oglądał się do tyłu i patrzył podejrzliwie. Zdawać by się mogło, że wyczuwa subtelność Mayo. Przez ponad godzinę deptali mu po piętach, podążając ścieżką pełną kamieni, chaszczki, krzaków jeżyn i zwodniczych rozwidleń, w które młody nowicjusz wciąż skręcał i zawracał. Na koniec zatrzymał się w pobliżu czegoś, co dawniej było chyba ogrodzeniem, a teraz — cztery pale wetknięte w ziemię, każdy z innej strony, pokryte zielonym mchem od północy. Widać już było zagrodę z kolorowego kamienia, która z tej odległości, skąpana w porannej mgle, wyglądała bajkowo.

Mayo i Beltrán przyczaili się w zaroślach, skąd mogli patrzeć na młodzieńca, który przystanął przed domem. Przez dłuższą

chwilę kręcił się dookoła, dotykał murów, ziemi, badał ślady na ścieżce wydeptanej przez ludzi i zwierzęta, aż doszedł do małego kamiennego mostu zawieszzonego nad rzeką. Przeszedł nim w tę i z powrotem, wrócił na środek, przystanął i długo spoglądał w dół, potem podrapał się w głowę, rozejrzał się jeszcze raz dookoła i schylił, żeby coś podnieść z ziemi tuż przy poręczy. Następnie znów skierował swe kroki ku domostwu, otworzył ukradkiem drzwi jak złodziej i krzyknął do środka:

— Jest tu kto? Przybywam w pokojowych zamiarach. Wchodzę!
— I wszedł.

Wtedy Mayo usłyszała czyjeś kroki zbliżające się z drugiej strony, więc ukryła się głębiej za krzakami, żeby nikt jej nie widział. Zobaczyła ogromnego stwora pokrytego futrem od stóp do głów, z maczugą w ręku. Wzięła go najpierw za Basajauna, ducha mieszkającego w głębi lasu, który nocami chronił się w jaskiniach. Wiele osób twierdzi, że Basajaun był pierwszym rolnikiem na świecie; nauczył człowieka uprawy zbóż, ale ludzie, którzy chwycą całą rękę, kiedy poda się im palec, wykradli mu w chwili nieuwagi sekret wytwarzania piły, oś koła młyńskiego i technikę spawania metali. Mimo to Basajaun nie był zawistny, nadal pomagał pastorzom, uprzedzając głośnym krzykiem przed burzą i watahami wilków. Odznaczał się wielkim wzrostem i gęstym futrem, które pokrywało mu całe ciało. Dlatego Mayo pomyślała, że to on.

Po krótkiej chwili konsternacji zauważyła, że kosmaty olbrzym jest w towarzystwie niezdarnego stworzenia, które wciąż o coś się potyka, i już wiedziała, że to nie może być Basajaun, bo on ma naturę samotniczą. Zresztą ci dwaj nie odznaczyli się elegancją

właściwą leśnym numenom. Stąd Mayo wydedukowała, że to zwyczajni ludzie, choć nadal nie była pewna ich intencji. Ten, którego pomyliła z Basajaunem, był bardziej korpulentny. Długie włosy sięgały poniżej ramion i łączyły się z gęstą brodą opadającą na piersi. Drugi był dużo młodszy, wysoki, szczupły, z włosami koloru słomy i wadą jednego oka. Obaj mieli na sobie szarawe futro z królika, bez wyraźnie zaznaczonych rękawów czy nogawek, które luźno okrywało ich ciało, przywiązane skórzanymi paskami. Mayo pierwszy raz widziała takich dziwaków.

Weszli do domu na znak dany przez olbrzyma, który wyglądał na szefa.

Zostawili otwarte drzwi, toteż Mayo zobaczyła, jak uderzyli nowicjusza w głowę i jak upadł nieprzytomny. Ściągnęli mu ubranie i buty, potrząsali jak workiem, obracając na wznak i na plecy, smarowali zielonkawym mazidłem pod pachami, za uszami, na spodzie stóp i na podbrzuszu, wcierając je równie mocno, jak robiła to ona, kiedy chciała pomóc cierpiącym na bóle kości. Potem zobaczyła, że wynoszą nieprzytomnego młodzieńca, trzymając go brutalnie za nogi i ramiona. Zanieśli go na polanę w pobliskim lesie, tam założyli mu byle jak ubranie, zabrali jego torbę myśliwską i spokojnie poszli w swoją stronę, robiąc głupie miny, popychając jeden drugiego i potykając się tak samo jak przedtem, ale teraz śmieli się pełną gębą, bo wiedzieli, że chłopak tak szybko się nie obudzi.

Mayo poczekała, aż owłosieni mężczyźni zamienią się w ledwo widoczne punkty w oddali, i odczekała jeszcze trochę, aż nic nie będzie widać. Potem czekała, żeby przekonać się, czy Íñigo

naprawdę jest nieprzytomny, a kiedy nabrała pewności, że żaden ludzki organizm nie zniósłby bez uszczerbku podobnego traktowania, odważyła się podejść bliżej. Młodzieniec leżał z zamkniętymi oczami, rzucając się na boki i wzdychając co chwila, a między jednym i drugim westchnieniem mamrotał coś niezrozumiale. Mayo doszła do wniosku, że jest pogrążony w letargu na skutek zielonkawego mazidła, którym go wysmarowali. Zbliżała się ostrożnie, siedząc okrakiem na Beltránie, gotowa w każdej chwili do odwrotu, gdyby nowicjusz obudził się znieuważa. Kiedy byli już tak blisko, że osioł potrafił go pyskiem, młodzieniec otworzył na moment oczy i uśmiechnął się do nich ławo.

Mayo zeskoczyła na ziemię i klękając przy chłopcu, przytrzymała go za brodę, żeby nie rzucił głową, i wymierzyła siarczasty policzek, chcąc się przekonać, czy odzyska przytomność, ale jedyłą reakcją było ponowne uchylenie powiek i przeciągły jęk. Powąchała go. Íñigo pachniał lekko mydełkiem chypre'owym, ale przede wszystkim czuło się przy nim nieprzyjemny zapach jakiejś dziwnej substancji. Mayo szybko odgadła, że to mandragora. Ci osobnicy wiedzieli, co robią. Niełatwo zdobyć tę roślinę. Aby bezpiecznie wyrwać mandragorę z ziemi, najlepiej przywiązać do niej psa i postraszyć go głośnym hukiem, żeby szarpnął się do ucieczki. Człowiek musi się trzymać z daleka, żeby nie zginął od patetycznych pisków wrywanej mandragory, która zachowuje się jak rozwścieczona czarownica.

Mayo wyprostowała się, poszukała kawałka czystej tkaniny w sakwach zwisających z Beltrána, zwilżyła ją w rzece i zaczęła

usuwać zielonkawą maść z ciała nowicjusza, zdjawszy mu najpierw ubranie. Przetarła podeszwy stóp, pod pachami i skórę za uszami, które odchyłała w jedną i w drugą stronę, żeby dokładnie wyczyścić, aż zrobiły się błyszczące i czerwone. Następnie z najwyższą starannością i bez fałszywego wstydu wytarła jego uda, delikatnie jak matka albo jak żona pielęgnująca męża, z którym przeżyła wiele lat. Znów zajrzała do sakw Beltrána, żeby poszukać składników niezbędnych do sporządzenia leku odwracającego działanie środków toksycznych.

ANTIDOTUM NA CZARY TOKSYCZNE

- Mała jasnobłękitna torebka
- Dwa kwadratowe skrawki czystego jedwabiu
- Igła do szycia złamana w siedmiu miejscach
- Guzik będący własnością otrutej osoby od co najmniej trzech lat
- Kawalek paznokcia z kciuka lewej ręki poszkodowanego

Mayo włożyła do jasnobłękitnej torebki dwa kwadratowe skrawki czystego jedwabiu i połamaną igłę, a następnie urwała guzik od spodniej koszuli Íñiga, mając nadzieję, że ta część odzieży stanowi jego własność od trzech lat i spełnia warunki skutecznego zaklęcia. Podniosła do ust kciuk lewej dłoni chłopca, zacisnęła zęby na paznokciu i odgryzła kawałek w kształcie półksiężyca. Íñigo westchnął, mamrocząc coś o przeznaczeniu, snach i spotkaniach, ale Mayo nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Zawiązała

różową nitką jasnobłękitną torebkę, potarła nią twarz zaczarowanego i wsunęła pod jego ciało.

— Myślisz, że się uda?

Beltrán zarżał potakująco.

— No to odejźmy stąd, zanim się obudzi.

Mayo wzięła Beltrána za lejce i oddaliła się, radośnie podśpiewując.

VII

*O tym, co trzeba zrobić, żeby księżyc
nie ukradł nam blasku oczu,
żeby czarownice nie atakowały nas,
kiedy śpimy, i żeby nasi wrogowie
ujrzeli we śnie setki diabłów*

Zanim Mayo ruszyła śladami Salazara i jego świty, jeszcze zanim dowiedziała się o istnieniu Salazara i nawet zanim w pełni pojęła, co to znaczy wpaść w sieci inkwizycji jak jej ukochana Ederra, zaraz potem jak Golas wręczył jej szkatułkę z rzeczami skazanych i zobaczyła, że znika na horyzoncie, właśnie wtedy poczuła się samotna jak nigdy dotąd. Długo jeszcze siedziała na kamieniu z drewnianą szkatułką na kolanach i milczała, wsłuchując się w oddech Beltrána zmieszany z jej własnym oddechem. Była bardzo przestraszona. Po raz pierwszy przyjdzie jej zmierzyć się z życiem samotnie, nie licząc towarzystwa Beltrána, który nie zawsze rozumował logicznie, odkąd został zamieniony w osła i trudno było z nim rozmawiać w sposób cywilizowany. Dużo podróżowała od dziecka, przemierzyła wiele dróg, ale zazwyczaj niczym się nie

zajmowała, bo to Ederra dbała o sprawy materialne i wiedziała, jaką drogę przeznaczył im los. Ederra wybierała miejsce na nocleg i decydowała, która wioska skorzysta z ich potężnych zaklęć. Mayo tymczasem śniła na jawie i nuciła melodyjki, powstające w jej głowie, przekonana, że nie ma na tyle rozumu ani mądrości, żeby decydować o tak doniosłych sprawach. W chwili gdy po raz pierwszy znalazła się sama, otoczona bolesną ciszą, rozejrzała się dookoła i poczuła przeraźliwą bezradność. Jedyłą pociechą była dla niej myśl, że nie musi się zastanawiać, dokąd skierować swe kroki: pójdzie do miasta Logroño, bo tam po raz ostatni widziano Ederę. Wbiła wzrok w bliźnię ziemi wyżłobioną w gęstwinie chaszczy przez koła powozów, która widniała tuż koło jej stóp. Przekręciła głowę w prawo i zobaczyła, że bruzda ta ciągnie się daleko, aż po horyzont za pagórkiem. Tędy wracał Golas z Logroño. Mayo postanowiła zatem otrząsnąć się z tego poczucia osierocenia, które ścisnęło ją za gardło. Zerwała się z miejsca i nie odrywając oczu od drogi, przygryzając nerwowo dolną wargę, schowała w torbach Beltrána drewnianą szkatułkę z rzeczami od skazanych.

— Tędy — powiedziała, pokazując brodą na horyzont.

Będzie mieć jeszcze czas, żeby użalać się nad sobą, teraz musi wyruszyć, żeby znaleźć Logroño na drugim końcu drogi.

Postanowiła podróżować nocą. Figlarne okrucieństwo nocnych duszków przerażało ją mniej niż ryzyko spotkania za dnia wieśniaków wrogo nastawionych do obcych. Nie chciała budzić ich podejrzeń. Zresztą Mayo była od dziecka przyzwyczajona do widoku kryształowych numenów i pięciogłowych węży, które

pojawiały się bez uprzedzenia, albo czerwonych jałówek ryczących zaraźliwą, łatwo wpadającą w ucho melodię, której nie wolno zanucić, bo to grozi niemotą. Wilgotny chłód nocy przenikał do kości, a chwilami, gdy samotność mocniej dokuczała, czuła go nawet w duszy. Aby go oszukać, owijała się w chusty i popędzała Beltrána, przytulona do jego szyi, szepecząc mu do ucha zmyślane historie i prosząc, by nie spoglądał na księżyc, bo jak wiadomo, od tego można stracić blask oczu.

Podróżując nocą, unikała kontaktu z ludźmi, ale obserwowała znamienne przejawy strachu szalejącego po wioskach. Proboszczowie nie nadążali ze święceniem gałązek laurowych, ponieważ ludzie chcieli je mieć u wezglowia, żeby odpędzić czarownice atakujące w środku nocy. Te zaś poczynały sobie coraz śmielej i wlażyły przez okna, żeby rozmazać na twarzy śpiącego krew z dudka, bo wtedy zobaczy on we śnie setki tańczących diabłów. O świcie Mayo słyszała *irrintxi*, okrzyki przewiercające się przez góry, którymi pasterze nawoływali się nawzajem w czasie pracy, żeby pokonać dręczącą samotność. Te wołania były teraz drżące, nieśmiałe i coraz rzadsze, bez śladu dawnej werwy, bo wiadano, że jeśli na *irrintxi* odpowie czarownica, pasterz padnie ofiarą złego uroku na resztę życia.

Mayo przybyła do Logroño w środę, na dwa tygodnie przed autodafé wymierzonym przeciwko czarownicom. Świt kreślił na niebie pierwsze błyski dnia, które miarowo ześlizgiwały się na dół, wydobywając miedziane iskry z dachów i zamieniając w migotliwe światełka rosę perlącą się na liściach drzew, które wyglądały jak wielkie kamienie szlachetne. Mayo kroczyła zakłopotana po wąskich, ciemnych uliczkach, aż wyszła na plac Świętego Jakuba i

poczuła się bardzo mała w tej otwartej przestrzeni. Przelknęła ślinę, patrząc na wyłaniający się z mroku gmach inkwizycji. Fasa-
da skojarzyła się jej z pyskiem wielkiego potwora wykutym w ka-
mieniu: okna przypominały oczy, a drzwi wejściowe — wielkie
usta gotowe połknąć ją w każdej chwili. Przyłgnęła do Beltrána i
na pół ukryta w cieniu kolumnady asystowała przy budzeniu się
miasta. Ulice wypełniały się powoli codziennym zgiełkiem. Kupcy
otwierali swe sklepy, golarze przyjmowali pierwszych klientów,
kobiety dźwigały kosze brudnej bielizny do prania, piec pracował
od paru godzin pełną parą i w powietrzu unosił się charaktery-
styczny zapach świeżo upieczonego chleba...

— Spokojnie... spokojnie... tu mieszka wielu ludzi. Możliwe, że
nikt nie zwróci na nas uwagi — pocieszała Beltrána, który od wej-
ścia do miasta nie przestawał żałośnie porykiwać.

Siedziba trybunału mieściła się w gmachu, gdzie były sale prze-
słuchań, archiwa, biblioteka, kaplica i rezydencja inkwizytorów
wraz z gabinetami. Mówiło się, że kto przekroczy próg tego bu-
dynku jako podejrzany, wpada w labirynt lochów i biurokracji i
najczęściej już stąd nie wychodzi. Wystarczyło, by sąsiad doniósł
na sąsiada, że ten bluźni po cichu albo podważa jakiś dogmat, aby
Święte Oficjum podjęło decyzję o uwięzieniu. Zatrzymanych nie
informowano o zarzutach, jakie na nich ciążyą, namawiano jedynie
do wyznania win przeciwko wierze. Ci nieszczęśnicy łamali sobie
głowę, żeby odgadnąć, o co są oskarżeni, i na torturach przyzna-
wali się do tysięcy przewinień, byle im dano spokój. Po tym jak
zostali zadenuncjowani, znikali z powierzchni ziemi na rok albo

dwa, w zależności od długości procesu — dopóki sprawa pozostawała otwarta i nie odczytano wyroku na autodafé, inkwizycja nie miała obowiązku ujawniać nazwisk osób przetrzymywanych w tajnych więzieniach ani tym bardziej informować, czy są wśród żywych, czy umarli.

Dlatego Mayo nie odważyła się podejść do stróża pilnującego wejścia do trybunału inkwizycji i zapytać o Ederre. Usadowiła się z drugiej strony placu pod arkadami, naprzeciwko bramy z kutego żelaza strzegącej wejścia. Z tego miejsca widziała jedynie młodego wartownika, który chodził wte i wewte, oraz ogrodników walczących z krnąbrnym bluszczem, który owijał się wokół kolumn centralnego patia. Mayo żałowała, że nie ma takiej mocy, aby przebić wzrokiem mur z kamienia i zobaczyć, co jest w środku.

Przez trzy dni prawie nie ruszała się z miejsca, starając się zapamiętać każdego, kto wchodził lub wychodził z gmachu. Zadawała dyskretne pytania przechodniom na temat pracy inkwizycji, ale wszyscy patrzyli na nią z przerażeniem i szeptali:

— Ze Świętą Inkwizycją nie ma żartów.

Mimo to Mayo dowiedziała się, że z gmachu wychodzili i wchodziłi strażnicy więzienni, sekretarze, medycy, kapelani, urzędnicy sądowi i wielu świeckich współpracowników zwanych *familiars*, którzy donosili na sąsiadów, przeznaczali swe domy na więzienia, poczytując to sobie za zaszczyt, a w zamian nie podlegali zwyczajnej jurysdykcji i mogli wyręć herb inkwizycji na drzwiach swych domostw, co miało dodać blasku ich nazwiskom.

Trzeciego dnia wyszedł z gmachu mężczyzna z trąbką na szyi; pod pachą miał rulon papierów, a w ręku wiadro ze szczotką. Od

razu zaczął smarować klajstrem mury sąsiednich ulic i przyklejał jakieś afisze, pogwizdując wesoło.

— Dzień dobry, łaskawy panie — przywitała się Mayo z nieco obłudnym uśmiechem, bo nie przywykła zadawać się z nieznanymi — czy moglibyście mi powiedzieć, co tu jest napisane.

Mężczyzna obejrzał ją z góry do dołu z taką miną, jakby wdepnął w końskie łajno, jednak Mayo nie przestawała uśmiechać się zalotnie i tylko w duchu oburzała się na los, że nie obdarzył ją choćby cząstką urody Ederry, bo wtedy mogłaby wywierać większy wpływ na mężczyzn.

— Zawiadamia się, że autodafé — powiedział, nie przerywając swej pracy — odbędzie się w przyszłą niedzielę, siódmego. Miejmy nadzieję, że się uda i przyciągnie tłumy, a to zawsze korzyść dla miasta... Od jedenastu lat nie było tak wielkiej uroczystości na tym placu.

— No tak... — Mayo udawała, że infrastruktura inkwizycji i publiczne reperkusje tego wydarzenia bardzo ją interesują — powszechnie wiadomo, że Logroño jest najlepsze... inne miasta będą zazdrościć... ale tutaj jest pięknie i wszystko dobrze urządzone... nikt mu pod tym względem nie dorówna. No tak... ale... — zakasłała parę razy — czy Wasza Miłość wie, kto jest wśród skazanych?

— ...podobno ksiązę Lerma dowiadywał się o datę uroczystości — mężczyzna nie zwrócił uwagi na pytanie Mayo — bo gości u siebie monarchę, wiesz? To jeden dzień stąd! Mówię ci, prawdopodobnie sam Filip Trzeci zaszczyca nas swą obecnością... Takie autodafé bardzo podnosi rangę miasta... Spodziewamy się trzydziestu tysięcy gości!

— No proszę — Mayo uznała, że zdobyła już zaufanie rozmówcy,

który dwukrotnie odstawił wiadro ze szczotką pochłonięty swymi wywodami — takie korzyści! A.... hm, hm... podano nazwiska skazanych?

Mężczyzna rzucił jej porozumiewawcze spojrzenie i pochylił się, żeby szeptem odpowiedzieć do ucha. Mayo zobaczyła, że brak mu wielu zębów, a te, które zostały, nie utrzymują się długo. Bagienny odór z jego ust owionął jej twarz.

— Nazwiska nie są znane... Mówi się, że było trzydzieści jeden osób pozwanych, z czego jedenaście skazano na stos, a pięć przeszło już do lepszego życia. — Odsunął się od dziewczyny i kontynuował swą pracę. — Tym lepiej dla nich, bo płomienie są bardzo... bardzo gorące. — Wybuchnął śmiechem, który obnażył bezzębne dziąsła i wzmógł desperację Mayo.

— Gdzie się znajdują?

— Kto?

— Skazani... no bo przecież muszą gdzieś przebywać.

Mężczyzna zmarszczył nieufnie brwi, więc Mayo zatrzepotała rękami najlepiej jak umiała.

— To cię nie powinno obchodzić, wiesz?... Ale skoro prawie wszyscy znają ten sekret... — Rozejrzał się na wszystkie strony, zanim dodał szeptem: — Ostatnio kaci wchodzą i wychodzą z tego gmachu w pełnym ekwipunku i czują się jak u siebie w domu... Wjeżdżają wozy pełne mężczyzn i kobiet, którzy już tu zostają. Ludzie nie są głupi, prawda? — Puścił do niej oko i cmoknął językiem, po czym dodał z uśmiechem: — A podziemia są pełne aresztowanych.

Tak oto Mayo dowiedziała się, że być może Ederra jest jeszcze w gmachu inkwizycji, i zaczęła obmyślać plan, żeby ją stamtąd

uwolnić. Obserwując uważnie rozkład budynku, odkryła zakratowane dziury i pomyślała, że to chyba otwory wentylacyjne prowadzące do celi. Zauważyła, że nie wszystkie wychodzą na ulicę, większość znajdowała się bowiem na centralnym patiu. Zadając wiele pytań, dowiedziała się, że celi zakonników z Zugarramurdi oskarżonych o czary mieści się w tylnej części budynku i można z nimi porozmawiać, jeśli przytknie się ucho do zakratowanego okna tuż nad ziemią, przy ulicy. Zaczekała do nocy, żeby wyjąć z drewnianej szkatułki z metalowymi okuciami Biblię podarowaną przez matki zakonników, bo chciała dotrzymać słowa danego Golasowi.

Cela była wąska, zimna, wilgotna i ciemna. Jedyne światło wpadało przez małe okno umieszczone wysoko ponad głowami dwóch mężczyzn. Wskutek dziwnego zjawiska optycznego zakonnicy mieli na suficie obraz ludzi przechodzących ulicą, odbijały się nawet kolory odzienia. To była ich jedyna przyjemność w tym okresie. Celę zaplanowano pierwotnie dla jednej osoby, a że proces o czary zaowocował tyloma podejrzanymi, tak wiele osób aresztowano, trybunał musiał dostosować możliwości do potrzeb, umieszczając więźniów najpierw po dwóch, a potem po czterech w jednej celi. Zakonnicy na szczęście znaleźli się razem i nawzajem dodawali sobie otuchy.

— Psyt... psyt... Czy to ojcowie Juan de la Borda i Pedro de Arburu? Jesteście tam? — Mayo przyłgnęła do ziemi i mówiła przez tubę z dłoni rozstawionych wokół ust, żeby przekazać wiadomość do celi, nie budząc niepokoju wśród sąsiadów.

— Słyszycie mnie? — powtórzyła.

— Tak, tu jesteśmy. Kto mówi? — odważył się zapytać Pedro de Arburu.

— Nieważne kto. Ważne, że mam coś dla was. Coś, co was rozczuli i ulży w nieszczęściu. To prezent od waszych matek. Stańcie pod oknem. Uwaga, rzucam!

Wyjęła ze szkatułki obie Biblie zawinięte dla bezpieczeństwa w kawałek materiału i wsunęła przez szparę między oknem a murem. Usłyszała stukot spadających ksiąg i zaczęła na reakcję zakonników.

— O mój Boże! Dziękujemy, dziękujemy — mówili jeden przez drugiego — to istny cud, widać, że anioł stróż nie opuszcza nas w niedoli.

— O nie... żaden cud ani anioł. Jestem Ziemianką — wyjaśniła Mayo — ale wy też możecie coś dla mnie zrobić. Potrzebuję wiedzieć, czy jest wśród więźniów kobieta nazywana Ederrą... Jest tam Piękna?

— Bardzo nam przykro, że nie możemy ci pomóc — odparł Pedro de Arburu. — Mężczyźni i kobiety są w osobnych celach. Nam nie pozwolono nawet porozmawiać z matkami. Wiemy, że w więzieniu szaleje epidemia, która pochłonęła już wiele ofiar. Baliśmy się o nasze matki, czy coś się im nie stało, bo są w podeszłym wieku, ale ten cudowny prezent pozwala mieć nadzieję, że one żyją. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni.

— Dobrze was tu traktują?

— Różnie bywa. Inkwizytorzy są niezwykle surowi. Zwłaszcza jeden. Nazywa się Alonso de Salazar y Frías. To on domaga się tortur i kar. Okropny człowiek.

— Alonso de Salazar y Frías — powtórzyła Mayo. — Zapamiętam to sobie.

Wtedy po raz pierwszy usłyszała nazwisko inkwizytora, który teraz był jej jedyną nadzieją. Pod wpływem słów zakonników wytworzyła sobie ponury obraz człowieka budzącego strach i nienawiść i dalej obmyślała ucieczkę zaplanowaną na dzień autodafé. Jeśli Ederra znajdzie się wśród skazanych, wszystko pójdzie jak z płatka. Kiedy Piękna będzie kroczyć w procesji ulicami Logroño, w sambenito, spiczastej czapce i ze świeczką w dłoni, Mayo przygalopuje na Beltránie, rozwiąże ją, wsadzi na grzbiet osła i znikną błyskawicznie, zanim ktokolwiek zorientuje się, co zaszło. Pozostało jej tylko dopracować parę szczegółów i potrenować z Beltránem, ale nie traciła nadziei.

Dni pozostałe do autodafé przeżyła w przygnębieniu, obserwując przygotowania do uroczystości, jakby chodziło o teatr lub korridę. Ustawiano rusztowania, trybuny, flagi i miejsca dla władz... patrzyła na stosy drewna zwożonego na quemadero. Mayo była zdenerwowana, prawie nie jadła, spała zwinięta w kłębek w bramach koło placu, żeby się nie oddalać, nie przeoczyć żadnego ruchu w gmachu i nauczyć się na pamięć twarzy wszystkich wchodzących i wychodzących włącznie z inkwizytorem Salazarem.

Jednak rano w dniu autodafé rozwiały się wszystkie nadzieje, jakie Mayo wiązała z planem ucieczki. Poczowała przeraźliwy strach w całym ciele. Zwały się wielkie tłumy, a ona była zbyt mała, żeby cokolwiek dostrzec spoza pleców ludzi, którzy zakrywali jej całe pole widzenia. Nie mogła nawet przyjrzeć się dobrze skazanym, a na dodatek Beltrán był wolniejszy i bardziej niezdarny niż zwykle.

— Jesteś okropny! — szepnęła do kosmatego ucha, ale zaraz

pożałowała, bo widziała, że się przejął. — To nie twoja wina. Coś wymyślimy... nie martw się.

Wszelkie kłopoty zeszyły na drugi plan, kiedy stwierdziła, że nie ma tam Ederry. Przez te wszystkie dni miała setki pomysłów i wielokrotnie wyobrażała sobie wzruszające spotkanie z Ederrą, ale ani przez moment nie pomyślała, że może jej tam nie być. Z jednej strony ucieszyła się, że niania nie będzie cierpieć, ale z drugiej — naszyły ją wątpliwości, bo przypomniała sobie, co zakonnicy mówili o więziennej epidemii.

Obserwowała trzech inkwizytorów, którzy przewodniczyli uroczystości ze specjalnego podium ustawionego na placu ponad głowami reszty śmiertelników. Siedzieli tam na tronach, wyniosli jak bogowie, i głośno odczytywali przewiny skazańców. Wtedy zobaczyła po raz pierwszy Salazara. Od razu była pewna, że to on, bo okazywał wyzłość i surowość tak, jak podejrzewała. Wysoki, chudy, nieprzejednany, z krzywym uśmiechem na poszarzałej twarzy i te jego dłonie o długich palcach z wielkimi paznokciami. Poczula przed nim lęk. Miała wrażenie, że mimo odległości i tłumów, które ich rozdzielały, inkwizytor dostrzeże diabelską naturę Mayo, odczyta jej myśli i przejrzy plany. Wolą odejść, zanim padnie rozkaz, żeby ją aresztowano.

Autodafé trwało dwa dni. Kolejne dwa dni zużyte na tłumienie oczyszczających płomieni i uwalnianie miasta od obcych. Mayo miała więc dużo czasu, żeby pojąć, iż nitka, której postanowiła się trzymać, odkąd Golas powiedział, że zostawił Ederrę w siedzibie inkwizycji w Logroño, urwała się i znów została z niczym. Znów poczula bezradność i niepokój tym większy, że nie wiedziała, czy

Ederra zmarła od epidemii, czy nadal żyje w jakiejś celi. A że Mayo zgubiła jedyny trop, jaki miała, nie pozostawało jej nic innego, jak uzbroić się w męstwo, przejść przez plac Świętego Franciszka i stanąć oko w oko z wartownikiem pilnującym wejścia do trybunału. Nie wiedziała, skąd weźmie tyle odwagi. Wszelkimi sprawami, które wymagały choć odrobinę śmiałości, zajmowała się zawsze Ederra, ale teraz Mayo nie miała wyboru. Była pewna, że nikt oprócz tego wartownika nie potrafi jej odpowiedzieć, czy Ederra wyszła przez tę bramę, żywa albo martwa.

Mayo wychynęła z ukrycia w cieniu kolumn, milcząc, przeszła przez plac z Beltránem drepzczącym tuż za nią i stanęła przed mężczyzną, który zmierzył ją niechętnym wzrokiem, z miną niewróżącą nic dobrego.

— Gdzie jest Ederra? — wypaliła niezbyt subtelnie, bo już na niczym jej nie zależało. Zaciskała pięści i patrzyła pod nogi, nie odważając się spojrzeć wartownikowi w twarz.

— Kto ty jesteś? — spytał tonem najwyższego lekceważenia.

— Przywieziono ją tu. Parę miesięcy temu... ale nie było jej na autodafé... nie wiem, gdzie przebywa i jak mam jej szukać. — Mayo zamrugała oczami i zatrzęsa się jej dolna warga.

Wartownik rozejrzył się na boki. Nie chciał, by ktokolwiek zobaczył go z tą dziwną istotą.

— Sporo więźniów rozchorowało się i pomarło — szepnął, patrząc w dal.

A wtedy coś w Mayo pękło i wybuchła długo powstrzymywanym żalem, kopała nogami w ziemię, zaciskała pięści i prychała jak dziki kot.

— Już dobrze... uspokój się! — powiedział wartownik, bardziej przejęty obawą przed skandalem niż żalostí dziewczyny. — Mówisz, że jak nazywa się ta osoba?

— Ederra. Nosi takie imię, bo jest bardzo piękna — odparła, próbując złapać oddech.

Wartownik od razu wiedział, o kogo chodzi, nie musiał nawet zaglądać do archiwum. Tamta kobieta była piękna jak tchnienie Boga i pełna wdzięku, rozsiewała wokół siebie jasność i zapach zielonego gaju... Z rozmarzenia wyrwał go lament tej łachmaniar-ki.

— Przestań ryczeć! — skarcił ją ostro, bo przechodnie zaczęli zwracać na nią uwagę i bolały go uszy od jej krzyków. — Pięknej już tu nie ma. Wypuścili ją dawno temu. Nie było dowodów przeciw niej. Posiedziała jakieś dwa tygodnie.

— Na pewno, łaskawy panie?

— Jak mógłbym to zapomnieć? Miałem akurat wartę, kiedy wychodziła. Słyszałem, że w więzieniu pojawiły się wszy i musieli obciąć więźniom włosy. Wyszła z ogoloną głową przykrytą jakimś szalem. Myślę, że nie chciała pokazywać się bez włosów, łysa jak kolano. Szkoda jej rudych włosów, były takie...

— Dobrze się czuła? — Mayo przerwała mu w momencie, gdy podnosił oczy ku niebu na wspomnienie włosów Ederry.

— Miała obandażowaną nogę i trochę kulą. Bardzo się spieszyła... nawet na mnie nie spojrzała — powiedział wyraźnie rozczarowany.

— Którędy poszła?

Wartownik pokazywał palcem na północ, kiedy dał się słyszeć jakiś hałas. Bramy siedziby inkwizycji otwarły się szeroko przed

powozami wyjeżdżającymi z ogromnego patia. Wartownik ledwo zdążył odepchnąć Mayo, żeby nie wpadła pod koła. Klapnęła na poślądki, ale natychmiast się podniosła, żeby dojrzeć, kogo wiozą, ale okienka były zasłonięte purpurowym aksamitem i chociaż parę razy podskoczyła, nic nie mogła zobaczyć. Powozy zniknęły w ulicy naprzeciwko.

— Kto jechał w karecie? — spytała Mayo, otrzepując siedzenie.

— Jeszcze jesteś?

— Tak.

— Napytasz sobie biedy, jak będziesz taka wścibska. Sam mógłbym cię zamknąć za przeszkadzanie w pracy.

— I miałbyś całkowitą rację, Wasza Miłość, bo co mnie może obchodzić, kto jedzie albo nie jedzie karetą. Może to ktoś... bo ja wiem... — Mayo była szczęśliwa. Ederra znajdowała się na wolności, opuściła tajne więzienie i teraz wystarczyło znaleźć kolejną nitkę, która do niej poprowadzi. — Może to... jakiś więzień... albo ważna osobistość... a może karoce jadą puste, żeby kogoś przywieźć... albo...

— Alonso de Salazar y Frías, inkwizytor Logroño — wypalił wartownik, pragnąc, aby to męczące stworzenie zaniemówiło raz na zawsze. — To on był w głównej karecie. Jadą na północ, bo tam zostały jeszcze czarownice i trzeba się z nimi rozprawić. A teraz wynoś mi się stąd, bo dostaniesz kopniaka w ten chudy tyłek i wylądujesz w celi.

— Alonso de Salazar y Frías — powtórzyła Mayo szeptem, odalając się od bramy uśmiechnięta. — Znowu on.

Musiała się pospieszyć. Wskoczyła na grzbiet Beltrána i postanowiła jechać za inkwizytorem wszystko jedno gdzie.

Dobrze znała Ederę i wiedziała, że ona będzie martwić się o nią i Beltrána, kiedy dowie się, że Święte Oficjum planuje polowanie na czarownice na północy. Nieślubna córka demona i mężczyzna zakłęty w osła to dla inkwizycji wystarczający powód do nowego autodafé. Ederra zacznie śledzić orszak inkwizytora, żeby ich ochronić, i szybko się odnajdą, Mayo była tego pewna. Już jej nie przeszkadzało, że Salazar jest okrutny i niebezpieczny. Teraz on i jego świta nabrali dla niej szczególnego znaczenia — dzięki nim spotka się ponownie z ukochaną nianią.

Odtąd przez wiele tygodni nie odstępowała Salazara ani na krok i dziwiła się jego niezbyt ortodoksyjnym zachowaniom. Ułaskawiając ludzi, którzy przyznawali się do obcowania z diabłem, Salazar próbował im udowodnić, że wcale nie widzieli Szatana ani żadnego z jego sług, tylko tak im się wydawało, bo cierpią na zbyt wybujałą wyobraźnię. Pewnego razu widziała, jak inkwizytor pogłaskał po głowie pięcioletniego, spłakanego chłopca, któremu rodzice kazali wyznać, że jest poplecznikiem diabła. Salazar pocałował go w czoło, dał garść cukierków, a rodzicom powiedział, że jeśli jeszcze raz postraszą malucha opowieściami o czarownicach i demonach, to osobiście zadba, aby znaleźli się w więzieniu i zobaczyli, czym jest prawdziwy strach.

Mayo nie wiedziała dokładnie, kiedy Salazar zaczął się jej podobać, ale teraz, po tylu tygodniach przebywania w jego cieniu, już się go nie bała.

xxx

Íñigo odzyskał przytomność, kiedy słońce schylało się ku zachodowi. Stanął niepewnie na nogi z potwornym bólem głowy i

przytrzymał się rękami drzewa, które służyło mu za oparcie cały ten czas. Musiał się mocno wysilić, żeby przypomnieć sobie, kim jest, co robił i dlaczego znalazł się nieprzytomny w środku lasu. Instynktownie odnalazł drogę powrotną i zataczając się, dotarł do rezydencji w Santesteban w momencie, gdy grupa mężczyzn miała wyruszyć na poszukiwania, bo niepokojono się, że tak długo go nie ma.

— Widziałem niebieskiego anioła — wybąkał ślamazarnie, uśmiechnął się niemrawo i padł zemdłony w ramiona Salazara. Nie udało się wydusić z niego nic więcej, dopóki nie przespał czternastu godzin i nie zjadł na śniadanie jajecznicy z dwóch jaj na boczku i kawałka szarlotki, popijając to wszystko dobrym winem. Brat Domingo uznał, że nowicjusz wykazuje nadmierną skłonność do wina i dlatego opowiada takie bzdury.

— Nie mów takich rzeczy, przecież wiesz, że zwykle nie piję wina — zaprotestował Íñigo.

— Nie? A co robiłeś przed chwilą? He? — odparł Domingo urażonym tonem, bo wszyscy zajmowali się nowicjuszem.

— Musiałem zebrać siły, a ty się złościś, że anioł ukazał się mnie zamiast tobie. Jesteś zazdrosny!

— Dość tego! — zdenerwował się Salazar. — Nawet Hiob straciłby przy was cierpliwość. Mów, co odkryłeś, Íñigo.

— Ślady. Końskie i pięciu różnych osób. W tym również ślady Juany. Widać wyraźnie, że wyszła z domu, potknęła się, upadła na ziemię, ale wstała i szła dalej, aż do mostu. Myślę, że miała jakiś problem z prawą nogą. Chyba kulą lub coś w tym rodzaju, bo co dwa, trzy kroki prawa stopa wykręcała się jej na bok.

— A te inne ślady? — zainteresował się brat Domingo. — Może pochodzą od tej czwórki czarowników, którzy zatrzymali się u niej w domu... Jestem pewien, że ją zaatakowali, obezwładnili, przywiązali kamień do nogi, zepchnęli do rzeki i...

— Mam coś jeszcze — przerwał mu Íñigo. — Ślady tylnych kopyt barana.

— Kopyta barana? — zainteresował się Salazar.

— Raczej kozła — mruknął Domingo de Sardo. — Jest to najlepszy dowód, że Szatan zabił Juanę de Sauri.

— Bardzo dziwne ślady — próbował wytłumaczyć Íñigo, widząc konsternację na twarzach Salazara i Dominga — to znaczy... nie tyle odciski kopyt, ile raczej... wyglądało to tak, jakby ten baran nie poruszał się o własnych siłach, tylko go wleczono. Na dodatek te odciski są idealnie równoległe do śladów ludzkich stóp... tych największych. I jeszcze jedno... Znalazłem w domu kozie kopyto.

— Szatańskie znaki, szatańskie znaki... Dla mnie to nie ulega wątpliwości. — Domingo chodził w kółko z zatroskaną miną.

— Powinno być w torbie.

— Wróciłeś bez torby — zauważył Domingo — musiałeś ją zgubić.

— Nie zgubiłem. — Íñigo zaczął intensywnie myśleć. — Na pewno wziął mi ją niebieski anioł.

— Ciekawe, po co aniołowi twoja torba—zakupił Domingo.

— Nie wiem... może chciał coś włożyć....

— Co włożyć? Aureolę, jak znów zejdzie na ziemię, żeby ci się ukazać? Myślisz, że aniołowie nie mają nic innego do roboty, tylko kraść śmiertelnikom torby?

— Przestańcie wreszcie! — Salazar był zmęczony. — Masz wielkiego guza na głowie, Íñigo. Co się stało?

— Nie pamiętam — odpowiedział i podnosząc rękę do głowy, syknął z bólu.

— Twoje ubranie jest poplamione jakimś tłuszczem. Co to może być?

— Nie wiem.

Po każdej odpowiedzi Íñiga Domingo kręcił głową z posępną miną.

— Nie martwmy się — powiedział Salazar, pragnąc zaprowadzić spokój. — Wysłałem twoje ubranie do aptekarza. On będzie wiedział co to.

— Aha! Krzyż! — przypomniał sobie Íñigo. — Miałem go przy sobie, nie w torbie! — Wymacał na szyi skórzany rzemyk, szarpnął i wyjął na światło dzienne drewniany krzyżyk. — Proszę bardzo... jest tutaj! — krzyknął z nerwowym uśmieszkiem. — Znalazłem go na ziemi, koło poręczy mostu.

Salazar chwycił krzyżyk, nie czekając, aż Íñigo zdejmie rzemyk z szyi. Nie dał mu nawet czasu na podniesienie się z krzesła, tylko pociągnął za sobą do miejsca, gdzie odbywało się czuwanie przy zwłokach Juany. Tam, w obecności licznie zgromadzonych osób, nie bacząc na oburzenie proboszcza Borrego Solano, wziął rękę denatki i porównał ślad na dłoni z krzyżykiem, który wciąż był na szyi jego pomocnika. Pasował jak ulał.

VIII

*O tym, jak sporządzić maść,
żebyśmy mogli latać, jak sprawić,
żeby ludzie dobrze o nas mówili
za naszymi plecami, i jak sprawdzić,
czy się jest czarownicą*

Na tym etapie większość mieszkańców Santesteban żywiła pewne zastrzeżenia co do dziwacznych metod inkwizytora Salazara, ale po tym, co się stało w trakcie czuwania przy zwłokach Juany, wszyscy uznali, że to człowiek niespełna rozumu. Tego dnia zgromadzili się prawie wszyscy. Ciało wystawiono w domu córki zmarłej i cała procesja przyjaciół, sąsiadów i znajomych, a także nieznanym podchodziła, żeby ją pożegnać. Na zewnątrz kłębili się mężczyźni z odpowiednio ponurym wyrazem twarzy i szeptali między sobą w poczuciu bezradności, bo wiedzieli, że nie potrafią obronić swoich matek, żon i córek przed podobnym atakiem. Ktoś rzucił propozycję, żeby utworzyć nocne patrole; młodzi mężczyźni, uzbrojeni aż po zęby w kije i motyki, chodziliby z pochodniami, żeby wystraszyć złoczyńców i pomóc biedną Juane. Nawet jeśli

nikogo nie złapią, to przynajmniej uwolnią się od tego poczucia bezsily i wyładują swój gniew. Wszyscy wyrazili zgodę.

Kobiety, odziane na czarno od stóp do głów, wyglądały jak stado kruków. Ustawily krzesła wokół sosnowej trumny strzezonej przez cztery gromnice i tak siedziały godzinami, to odmawiając różaniec, to poplakując, bo wiele z nich myślało w tym czasie o swych własnych zmartwieniach, niemających nic wspólnego ze śmiercią Juany ani z zagrożeniem ze strony czarownic. Natomiast córka zmarłej siedziała sztywno na krześle, sprawiając wrażenie obojętnej, i w milczeniu patrzyła w dal bez jednej łzy ani westchnień nawet wtedy, gdy proboszcz Borrego Solano podszedł złożyć jej kondolencje i chwycił za ramię, żeby się podniosła. Podprowadził ją do drzwi w nadziei, że dobrze jej zrobi łyk świeżego powietrza, i ciągle powtarzał szeptem, że matka jest już w niebie. Na szczęście nie było ich przy trumnie, kiedy Salazar wtargnął do domu jak burza, ciągnąc za sobą Iñiga, i nie musieli patrzeć, jak inkwizytor bierze rękę denatki, przykłada drewniany krzyżyk i uśmiecha się z satysfakcją.

Tym samym Juana awansowała niemalże do rangi męczennicy; jej zalety rozmnożyły się po pogrzebie, a słabostki poszły w niepamięć i wszystko, czego za życia dotyczyła, stało się przedmiotem kultu. Nie dość, że sąsiedzi przez tydzień nosili się na czarno, to jeszcze na balkonach zawieszali czarną krepę na znak żałoby, pocięli jej ubranie na szkaplerze i zapalali świece w kościele, prosząc o wstawiennictwo i ratunek przed gniewem Szatana, jakby była świętą.

Salazar miał do czynienia z rozegzaltowanym proboszczem i społecznością gotową do zamieszek, która otwarcie manifestowała nieufność wobec jego metod walki z demonem. Zaczynano szemrać, że w niczym nie przypomina on inkwizytora, który był tu kilka lat temu, i z pewnością bardziej nadawał się do tego rodzaju pracy. Bez pytania wyrzucano za drzwi obcych, którzy czekali na ułaskawienie na mocy edyktu, zapanowało bowiem przekonanie, że to właśnie oni albo ich słudzy ponoszą odpowiedzialność za śmierć Juany i za wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na tę okolicę. Choć dekret królewski nakazywał udzielać gościny przybyłym, ludzie nie chcieli już tego respektować. Skruszeni czarownicy przenieśli się więc do jaskiń na obrzeżach osady, bo zaczynały się deszcze i gdzieś musieli się schronić w oczekiwaniu na ceremonię pojednania. To jeszcze bardziej oburzało mieszkańców, ponieważ patrzyli w nocy na drżące światła rozpalonych w lesie ognisk i wyobrażali sobie, co też ci czarownicy wyprawiają w tak bliskim sąsiedztwie wioski. Pełni trwogi otaczali się w domach krzyżami, świętymi relikwiami i obrazami i przynosili dzieci na noc do kościoła, wprawiając tym proboszcza Borrego Solano w jeszcze większy niepokój i zakłopotanie.

— Tracimy tylko czas, próbując się dowiedzieć, jak umarła Juana de Sauri — zapewnił Domingo Salazara. — Jest martwa i tego się już nie zmieni. Trzeba nam raczej skupić się na złapaniu czarowników, którzy ją zamordowali. Ci mają na pewno duszę bardziej zbrukaną niż cuchnący ogon diabła. Nie ulega wątpliwości, że to byli czarownicy. Ludzie ich widzieli... Zresztą nieraz słyszałem o takich rzeczach. Ja ich znam i wiem, do czego są zdolni.

Brat Domingo nie był nowicjuszem w kwestiach dotyczących sekty szatańskiej. Dwa lata temu towarzyszył inkwizytorowi Vallemu w czasie wizytacji w tym rejonie i przez całą zimę wygłaszał kazania potępiające czarowników przed każdym, kto miał na tyle silne nerwy, żeby wysłuchać do końca jego mrozących krew w żyłach opisów. Ten franciszkanin nie miał wielu przyjaciół. Był wybuchowy i cierpiał na różne natręctwa, które próbował ukrywać przed otoczeniem. Nie przekraczał progu domu bez wypowiedzenia słowa „amen”, nie zasnął bez pokropienia pościeli święconą wodą, połykał każdy kęs chleba w całości, bez gryzienia, bo uważał chleb za ciało Chrystusa, nawet jeśli nie był poświęcony. Jeśli z jakiegoś powodu nie mógł dopełnić tych rytuałów, przeżywał niewypowiedziane męki, bojąc się, że zaraz przydarzy mu się coś złego. Tusza i lekko łysiejące zakola dodawały mu lat, choć nie był jeszcze taki stary, na jakiego wyglądał. Salazar mu imponował. Wiele o nim słyszał, zanim doszło do bezpośredniego spotkania, wyobrażał go sobie jako człowieka dumnego, stanowczego, budzącego podziw i autorytet niczym Wszechmogący Bóg z jego marzeń. Ale niekiedy ciężko mu było zrozumieć i zaakceptować racje, które kazały Salazarowi mówić i czynić rzeczy zupełnie dla Dominga niepojęte.

— Drogi bracie Domingo — Salazar mówił powoli — historia zgonu Juany zawiera jakąś tajemnicę. O ile jestem przekonany, że w ostatnich chwilach swego życia nie była sama, o tyle mam powody, by myśleć, że sama skoczyła do rzeki, nikt jej nie zepchnął — wyjaśnił i dodał: — przynajmniej w sensie fizycznym. Nie sądzę też, aby wpadła do wody przez przypadek. Dlatego jest rzeczą

ważną poznać okoliczności tej śmierci i odkryć, czyje ślady widnieją obok śladów Juany na moście. Nie ma w tym absolutnie straty czasu.

Domingo de Sardo poczerwieniał na twarzy z wściekłości, ale postarał się, żeby nie zdradził go ton głosu.

— A czyje to mogą być ślady? Jasne, że czarowników! To oni ją zepchnęli. Są też ślady kozła. Czego wam jeszcze trzeba? Nie wiem, co zamierzacie dalej, ale myślę, że sami nie wierzycie w te argumenty, bo gdyby tak miało być... Gdyby pobożna Juana dobrowolnie rzuciła się do rzeki... Jeśli sama odebrała sobie życie, to ktoś taki jak wy... czcigodny panie — zaakcentował ostatnie słowa, patrząc znacząco na szaty inkwizytora — nie powinien pozwolić, żeby tę kobietę za dwie godziny pochowano w święconej ziemi.

— Ktoś taki jak ja... — wymamrotał zasepiony Salazar. — A kimże ja jestem, jeśli nie tym, który żyje po to, żeby nadać sens życiu zwykłych ludzi. Mam obowiązek przekonać ich, że otrzymają życie wieczne, jeśli będą zachowywać przykazania, wzbudzić w nich ufność, że sprawiedliwych czeka nagroda, a złoczyńców kara. A przecież jestem człowiekiem, tylko człowiekiem... oto kim jestem. I czasem dochodzi do konfliktu między tą moją ludzką kondycją a losem, który sobie wybrałem i który często sprawia mi ból, bo czuję się odpowiedzialny za udrękę człowieka myślącego, kiedy odkrywa, że rodzimy się po to, by umierać... Dlatego mówię ludziom o wieczności i nieśmiertelnej duszy. Chyba nie sądzisz, Domingo, że odbiorę rodzinie Juany pociechę, jaką daje wiara w nieśmiertelność i ponowne spotkanie w przyszłym życiu? Nie, ja tego nie zrobię, Domingo... nie ja.

Salazar odwrócił się i oddalił powoli, pozostawiając w tyle oszołomionego pomocnika. Przypomnił sobie, co spowodowało, że postanowił przyjąć tę pracę. Przed laty, kiedy pojawiły się w nim pierwsze wątpliwości duchowe, zaczął czytać filozofów i zgodził się z Sokratesem, że nie można być szczęśliwym, postępując wbrew własnym przekonaniom. Wtedy to zapragnął uwolnić się od przesądów i przyzwyczajzeń, które miał od najmłodszych lat, i zaczął zastanawiać się poważnie, jaka jest jego wiara. Sięgnął do skarbcza mądrości przodków po odpowiedzi na pytania, które ludzie zadawali sobie przez wieki, ale żadna z nich nie przywróciła mu tego światła, tego spokoju ducha, w jakim żył, dopóki nie ogarnęło go zwątpienie. Sięgnął nawet do książek, których nie powinien był przeczytać. Do listów literatów, którzy głowili się nad tymi samymi problemami i dlatego zostali skazani na ostryzm lub śmierć razem ze swoimi książkami. Zdobył ich teksty mimo wielkiego strachu, że ktoś się o tym dowie, ale ciekawość była silniejsza niż strach. Jednak im więcej czytał, tym więcej rodziło się w nim pytań i wątpliwości. Świat stał się dla niego zbyt mały, aby zrozumieć kruchość ludzkiej istoty w tym uniwersalnym, bezkresnym wszechświecie, gdzie on sam był tylko nic nieznaczącym pyłkiem. Co było przed powstaniem świata, ile czasu to trwało i co wtedy robił Bóg? Poszedł w swych pytaniach jeszcze dalej: do zarania czasów, początków samego Boga, tej boskiej istoty, która wszystko stworzyła, lecz sama też kiedyś musiała zostać stworzona. Poczul się wstrząśnięty tą myślą i tak zaczął się dlań szary okres rozważań, że skoro wszechświat jest nieokreślony, to ludzie mają całkowitą wolność wyboru drogi i człowiek jest tylko

tym, co sam z siebie robi, a świat zaczyna się i kończy wraz z narodzeniem i śmiercią każdej żywej istoty. Ta myśl wyrządziła mu tyle szkody, że wołał nie zastanawiać się więcej nad boską naturą i skupić się na badaniu natury diabelskiej. Lucyfer „niosący światło”, umiłowany przez Boga anioł został wypędzony za to, że zadawał sobie zbyt wiele pytań, podobnie jak on. Odepchnięty przez Boga zamienił się w Szatana, „przeciwnika”. Salazar identyfikował się bardziej z tym wątpliwym antagonistą niż z istotą boską, od której nie miał żadnych znaków. Kiedy inkwizytor generalny Bernardo de Sandoval y Rojas powiedział mu o sytuacji, w jakiej znaleźli się inkwizytorzy Valle i Becerra, i zapoznał z rozpaczliwymi doniesieniami o diabelskiej sekcie, która dręczyła ludność, kiedy Salazar usłyszał, co demon tam wyczynia, dowiedział się o dżumie, głodzie, gradobiciach i statkach rozbijających się o skały w czasie burz... poczuł, że jest dla niego nadzieja. Nie zdołał znaleźć śladów Boga, ale ma jeszcze szansę spotkać demona. Jeśli Zły istnieje naprawdę, jeśli jego władza jest wyjaśnieniem wszelkich nieszczęść spadających na ziemię, jeśli w tej odwiecznej, zacieklej walce między dobrem i złem Szatan odnosi chwilowe zwycięstwo, to znaczy, że jest jeszcze nadzieja. Bo jeśli istnieje diabeł, to istnieje dlatego, że istnieje Bóg, a jeśli Bóg istnieje, Salazar na nowo w Niego uwierzy; zaakceptuje bez pytań niezbadane wyroki boskie i stanie na czele bożej ofensywy przeciwko złu. Tego był pewien.

Ale póki co rozumiał tylko tyle, że większość ludzi widzi, co chce widzieć albo, co inni każą im widzieć. Szukanie prawdy w pojedynkę zdawało się dość ryzykowne, bo jeśli szuka się jej długo

i uporczywie, to prędzej czy później się znajduje. Salazar był wytrwały i gotów nie rezygnować nawet za cenę potknięć i błędów, chociaż jak dotąd nie tylko niczego nie znalazł, ale nabierał coraz większych wątpliwości. Położył się spać przekonany, że nic tak nie wpędza w przygnębienie jak pytania, na które nie ma odpowiedzi.

Następnego dnia Salazar poszedł do córki Juany. Przeglądając notatki z wizytacji w poszukiwaniu nazwisk czwórki podejrzanych, zauważył bowiem, że na tydzień przed zgonem Juana de Sauri prosiła o rozmowę z inkwizytorem i wyznaczony termin przypadał akurat w dniu jej tragicznej śmierci. To bardzo zaintrygowało Salazara, zwłaszcza że sekretarz, który ją przyjął, nie pamiętał, czy powiedziała, o co dokładnie chodzi. Juana de Sauri nie należała do grupy podejrzanych o czary, wręcz przeciwnie, toteż jej prośba o rozmowę nie mogła mieć nic wspólnego z ułaskawieniem na mocy edyktu.

Zapukał parę razy do drzwi córki Juany — nikt nie odpowiadał. Jednak w oknie poruszyła się zazdrostka i jakiś cień przesunął się ostrożnie, żeby spojrzeć na niego przez szybę.

— Przyzwoita chrześcijanka nie zamyka drzwi przed przedstawicielem Świętej Inkwizycji — zganiał ją głośno Salazar. — To nie wypada. Wiesz o tym, prawda?

Szczupła, mniej więcej czterdziestoletnia kobieta otworzyła drzwi. Bez słowa zaprowadziła go do pokoju i pokazała, żeby usiadł przy stole. Sama usiadła naprzeciwko.

— Matkę zabiły czarownice — wypaliła niespodziewanie.

— Dzień dobry — przywitał się z nią Salazar. — Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

— Chcecie się czegoś napić? — Kobieta spuściła z tonu.

— Przede wszystkim chciałbym zadać kilka pytań.

— Rok temu matka zeznawała w procesie przeciwko czarownikom i od tego czasu jej życie zamieniło się w koszmar.

— Dlaczego twoja matka chciała się ze mną zobaczyć?

— Nic o tym nie wiem.

— Nazajutrz po moim przybyciu zapisała się na rozmowę. Przyjąłbym ją, gdyby nie to, że wcześniej Pan powołał ją do siebie. Nie wiesz, co chciała mi powiedzieć?

— Nie.

— Dlaczego kłamiesz?

Kobieta milczała, wpatrując się w czubki palców u nóg, jakby nie usłyszała pytania.

— Nie kłamię — wyszeptła.

— Poznajesz?

Salazar położył na stole drewniany krzyżyk znaleziony przez Iñiga na moście przy balustradzie, który pasował do rany na prawej dłoni zmarłej. Chciał się dowiedzieć, czy był własnością Juany, czy napastników, którzy dali go jej w celach rytualnych i kazali ścisnąć. Kobieta spojrzała i oczy napełniły się jej łzami.

— Matka nigdy się z nim nie rozstawała — wyszeptła.

— Pewnie ucieszy cię wiadomość, że miała go w ręku w chwili śmierci. — Córka Juany ukryła twarz w dłoniach, szlochając jak dziecko. Salazarowi wydało się, że rozumie jej niepokój, i próbował znaleźć jakieś słowa na pocieszenie. — Twoja matka poleciła duszę Bogu tuż przed śmiercią. Taki akt skruchy oznacza, że

wszystko zostało jej darowane. Pan ma ją w swojej chwale. Nie martw się.

Salazar wstał z krzesła i skierował się do wyjścia. Zanim otworzył drzwi, obrócił się i zapytał:

— Jeszcze jedno. Czy matka miała jakieś kłopoty z chodzeniem?

— Nie rozumiem.

— Pytam, czy miała wadę stopy? Czy utykała na prawą nogę? Może okulała po jakimś wypadku, bo ja wiem...

— Nic podobnego. Matka chodziła normalnie.

Inkwizytor opuścił dom, niczego nie wyjaśniewszy, lecz w głębi ducha czuł, że córka Juany coś przed nim ukrywa. Był zawiedziony. Na szczęście przed wejściem do rezydencji czekał na niego aptekarz z Santesteban z wynikami analizy tłustych plam z ubrania, które miał na sobie Íñigo w dniu swego spotkania z aniołem. Nie uległa wątpliwości, że na ubraniu były resztki:

- cykuty
- mandragory
- ruty
- solanum
- blekotu
- sadła wieprzowego

— Wszystkie te rośliny należą do rodziny psiankowatych i w zależności od dawkowania mogą działać odurzająco, wywołują zaburzenia pamięci, uczucie nieważkości i złudzenia wzrokowe — poinformował go aptekarz. — Z tego ubrania zebrałem tyle, że można by odurzyć byka.

— A sadło wieprzowe? — spytał Salazar.

— Żeby lepiej rozsmarowywać. Rośliny takie jak blekot, bieluń czy mandragora służą do znieczulania pacjentów przed bolesnym zabiegiem. Po przebudzeniu opowiadają niesłychane historie. Mówią, że polecili na księżyc albo że tańczyli do białego rana... choć nie ruszyli się z łóżka ani na chwilę — dodał aptekarz z uśmiechem. — Wystarczy zagotować te rośliny, utrzeć na miazgę, wymieszać z sadłem wieprzowym i posmarować tym chorego. To wszystko. Substancje wchłaniają się przez skórę i człowiek traci poczucie rzeczywistości.

— Kto zna się na działaniu tych roślin?

— Lekarze... aptekarze jak ja... znachorzy... uzdrowiciele... to żaden sekret.

— Ciekawe!

xxx

Chociaż wszystkie znaki przed, w trakcie i po urodzeniu Mayo świadczyły, że jest nieślubną córką diabła, dziewczynka nigdy nie przejawiała zdolności do czarów, zaklęć czy zamawiania chorób.

— Wdałaś się w matkę — stwierdziła Ederra z lekkim rozczarowaniem w głosie. — Wielka szkoda, jeśli wziąć pod uwagę, czym się zajmujemy.

Zdaniem Ederry, jakiś szczególny dar, na przykład lalkarstwo albo wróżbiarstwo, przyniosłby im dodatkowe dochody na wiejskich jarmarkach. Ale jedyne, co Mayo potrafiła ze spraw najbliższych magii, to zapamiętywać i doskonale odtwarzać stosowane przez Ederrę sposoby na leczenie przeziębień, bólów krzyża i zębów, niegojących się ran, tuszowanie braków w urodzie kobiet i

żeby ludzie mówili dobrze o nieobecnych. Mayo lubiła to proste zaklęcie polegające na tym, żeby zerwać nagietek w pierwszej połowie września, zawinąć w liść wawrzynu, dodać wilczy ząb zerwany w piątek o świcie, a potem zapakować to wszystko w zieloną taftę i zawsze nosić przy sobie. Mayo miała od dawna takie taftowe zawiniątko, choć ludzie nigdy o niej nie mówili ani dobrze, ani źle. Była tak nieznacząca, niewidzialna i niegroźna, że chwilami wątpiła, czy aby naprawdę jest córką hałaśliwego i awanturniczego Szatana, jak utrzymywała Ederra. Czasem sama wystawiała się na próby. Szła do kościoła i siadała w ciemnym miejscu w ostatnim rzędzie. Zaciskała dłonie, które pokrywały się zimnym potem, i tak czekała na rozpoczęcie nabożeństwa ze wzrokiem wbitym w podłogę. Kiedy ksiądz kładł na ołtarzu otwarty mszał na znak, że żadna czarownica obecna na mszy nie zdoła opuścić świątyni, Mayo zbliżała się do wyjścia, trzęsąc się ze strachu. Ostrożnie wysuwała najpierw prawą stopę, potem podnosiła nogę i pomagała sobie biodrami... dopóki nie znalazła się na zewnątrz, niezatrzymywana przez żadną nadludzką siłę. Mimo wszystko Ederra twierdziła z całym przekonaniem, że Mayo jest córką diabła. Tysiąc razy opowiadała dziewczynce historię jej rodziny, której towarzyszyły przerażające znaki.

Młodziutka matka Mayo, kiedy brzuch zaokrąglił się jej ponad miarę, wyznała rodzicom i sąsiadom, że Szatan zaczął się na nią w lesie niedaleko osady Labastide d'Armagnac, gdy zbierała drwa. Wziął ją siłą i zaszła w ciążę. Wtedy zaczęły ją dręczyć koszmary i halucynacje, o świcie słyszała rozmowy, które perfidna istota w jej

brzuchu prowadziła ze swym diabelskim ojcem. Mówili, że ściągną na osadę nieszczęścia, zwaśnią rodziny, zepsują wodę w źródle, otrują zwierzęta i zniszczą plony. Dziewczyna opowiadała ludziom, że dziecko rosnące w jej brzuchu było płci żeńskiej, co poznała po piskliwym głosie, kiedy zapewniało ją pośród wybuchów śmiechu, że jedna z nich umrze w dniu porodu. Na dodatek strasznie kopało w brzuch, kiedy leżała spokojnie, i robiło to tylko po to, żeby ją przestraszyć.

Cała okolica była tym poruszona. Powstał komitet sąsiedzki, żeby przedyskutować, co należy zrobić w tak zawikłanym przypadku, i postanowiono zabić diabelski pomiot zaraz po urodzeniu, zanim zdąży wypełnić te swoje przeraźliwe obietnice. Skorzystano z obecności Ederry, która w owym czasie sprzedawała nieopodal swoje balsamy, lekarstwa i usługi uzdrowicielki; mieszkańcy namówili ją, żeby przyjęła poród i zajęła się zlikwidowaniem dziecka.

Ederra nigdy dotąd nie miała takiego zamówienia. Przyjmowała porody, te normalne i te bardziej skomplikowane, zarówno od ludzi, jak i od zwierząt. Próbowwała ratować życie kobiet, którym „babka” — na ich własną prośbę — wsunęła między nogi kropidło z octem jabłkowym, żeby uwolnić je od problemu donoszenia dziecka przed ślubem. Niektóre wołały zejść z tego świata, niż zhańbić się urodzeniem dziecka bez ojca, i wybierały takie rozwiązanie, że życie uchodziło z nich w strumieniach krwi; w takich przypadkach Ederra nie mogła już najczęściej nic pomóc. Ale nigdy nie zetknęła się z podobnym dylematem moralnym. Po zastanowieniu uznała, że może się tym zająć. Spojrzawszy w oczy wystraszonej dziewczynie, która przerywała błagania o pomoc żarliwymi modłami o zbawienie duszy, upewniła się co do szczerości

dziewczyny i konieczności usunięcia diabelskiego pomiotu. Postanowiła utopić go w najbliższym wodopoju, jak tylko usłyszy pierwszy krzyk.

Kiedy zaczął się poród, Ederra wiedziała już, co ma zrobić. Rodząca skręcała się z bólu, jęczała cała spocona... stworzenie nie chciało z niej wyjść. Jakby odgadło plany, które ludzie powzięli wobec niego, trzymało się z uporem łona matki, kopiąc japo żebrach tak silnie, że brzuch zdawał się pękać powoli jak bańka mydlana. A że nadal pozostawało w ukryciu, kobiety przyjęły to jako wyzwanie i zaczęły wyciskać je siłą z brzucha nieszczęsnej matki, która wyła z bólu. Dziecko tymczasem uczepiło się wnętrzości i rozrywało ją od środka.

— Położenie pośladkowe — orzekła Ederra, ocierając wierzchem dłoni pot z twarzy. — Dlatego wszystko się komplikuje.

Natarła sobie rękę wieprzowym sadłem, wsunęła do krocza dziewczyny i grzebała w środku, dopóki nie złapała małej za nóżkę. Wreszcie udało się jej wyciągnąć zaczerwienione stworzenie z pępownią owiniętą wokół szyi. Zgromadzenie uznało to za znak, że dziecko ma umrzeć przez uduszenie. Ściszone szepty przeniknęły przez ściany i rozeszły się błyskawicznie po ulicach osady, docierając do ostatniego domostwa. Wynikało z nich, że noworodek ma na główce zaczątki diabelskich rogów, kończyny osłonięte gadzią łuską i oczy czerwone jak ogień. Ale Ederra zauważyła jedynie gęste, czarne futerko na plecach, przez co mała przypominała bardziej dziecko jeżozwierz niż ludzkie stworzenie. Nie była ładna, ale też nie miała w sobie nic diabelskiego.

Ederra chwyciła ją za nóżki i wyniosła z domu głową na dół jak świeżo złowioną rybę, nie chcąc dłużej na nią patrzeć, i nawet nie dała dziewczynce klapsa w tyłek, żeby ta zaczęła walczyć o życie. Podeszła do wodopoju i już miała wrzucić do wody to diabelskie nasienie, kiedy zobaczyła, że się rusza. Malutkie piąstki były zakończone drobnymi paluszkami, które miały ledwo widoczne paznokcie. Przysunęła palec prawej ręki do ust małej, a ta zaczęła leciutko ssać. Ederra poczuła nagle ukłucie w sercu i zmieniła plany. Zaniósła dziewczynkę do pobliskiego lasu, zawinęła w czerwony szal i zostawiła pod drzewem, żeby przyroda dokończyła za nią to, czego sama nie miała odwagi zrobić. Po powrocie do domu zobaczyła, że położnica nie żyje; umierając w potwornych bólach, znalazła się na samym dnie otchłani piekielnej, tak jak przepowiedziała.

W nocy Ederra nie mogła spać. Nie przestawała myśleć o Bogu chrześcijan, o historii diabelskiego poczęcia i władzy Szatana. Doszła do wniosku, że jeśli jest na świecie diabeł, to dlatego, że Bóg mu na to pozwala, jako że On i tylko On jest odpowiedzialny za wszystko co stworzone. Kiedyś Bóg postanowił wykreować sobie przeciwnika, żeby mieć z kim walczyć, a teraz ludzie muszą toczyć tę walkę zamiast Niego. To niesprawiedliwe. W każdym razie ona, Ederra, nie zamierza wykonywać brudnej roboty za Najwyższego.

Przemyślawszy to sobie dokładnie, wyskoczyła spod koca i pobiegła do lasu, gdzie porzuciła dziecko. Gnał ją strach, że wydała taką małą istotę na pastwę wilków, chłodu i głodu i nie wiadomo, co zostanie na miejscu. Pocieszała ją tylko myśl, że przecież to córka demona i co ma być, to będzie. Z daleka dojrzała w mroku

czerven śsza i słabe ruchy dziewczynki, więc pobiegła jeszcze szybciej, żeby wziąć małą w ramiona, a łzy leciały jej z oczu jak groch.

— Dziękuję, dziękuję, dziękuję — wyszeptwała.

Rozchyliła ostrożnie szal, dziewczynka była jeszcze ciepła. Przynęła nos, żeby ją powąchać, i pogłaskała brudną buzię, a wtedy dziecko rozszlochało się bez łez, wyczuwając obecność drugiej istoty ludzkiej. Ederra zrozumiała, jak wiele je łączy: obie są same na tym świecie który odrzuca je dlatego, że są inne. Nikt nie chce bowiem mierzyć się z istotami naprawdę wyjątkowymi. Otuliła małą i wsiadły na grzbiet Beltrána, żeby oddalić się z tego miejsca i nigdy tu nie powrócić.

— Dałam ci na imię Mayo, bo urodziłaś się w maju, a na nazwisko Labastide d'Armagnac, bo tak nazywa się osada, z której pochodzisz — przypominała czasem Ederra. — Nie chciałam, żeby spotkało cię to co mnie, że nie mogę obchodzić swych urodzin, bo nie wiem, kiedy się urodziłam ani gdzie. Ty przynajmniej nie zapomnisz o swoich.

Ederra pamiętała tylko tyle, że od dziecka tak na nią wołali, bo miała urodę dzikiego zwierza, włosy koloru miedzi i perłową skórę. Mogłaby uchodzić za niebiańską istotę, gdyby nie ciało Madonny o kształtach działających na zmysły.

— Piękno zewnętrzne nie ma wartości — mówiła Ederra — bo dzięki balsamom i maściom każda kobieta może wyglądać ślicznie i pięknie pachnieć... na zewnątrz. Wewnątrz zaś wszystkie jesteśmy bardzo brzydkie, Mayo. Nic tylko krew i kości. Dobre uczynki, oto co tak naprawdę czyni nas pięknymi bez balsamów. O wewnętrzne piękno trzeba walczyć, bo czasem w życiu tak się układa,

że trudno nie pobrudzić sobie rąk. Ludzie często zadowolają się tym, żeby „być”, a to za mało. Trzeba „być człowiekiem”, rozumiesz, Mayo? To taki rodzaj zobowiązania. Jesteśmy jak statki z płonącymi żaglami, które płyną donikąd. Kiedy znikniemy, pozostaną tylko nasze uczynki. Źli ludzie tego nie widzą. Cieszą się, gdy mogą skrzywdzić innych. Dlatego lepiej się ich wystrzegać. Nikomu nie ufaj, skarbie. — Widząc przerażenie dziewczynki, mówiła, żeby ją uspokoić. — Ale nie martw się. Nie pozwolę cię skrzywdzić. Ja cię obronię... Zawsze będę przy tobie. Obie mamy sekretne imiona, tych prawdziwych nikt nie zna, tylko my. I to nas chroni. Nie znając naszych prawdziwych imion, wrogowie nie mogą nam zaszkodzić ani przekląć. — Całowała Mayo w czoło i dodawała: — Ten, kto cię kocha, wybiera dla ciebie imię. Robi to dlatego, żeby cię przywołać, gdy zapragnie, i żebyś odpowiedziała na to wołanie. Nadaje ci imię, bo jesteś dla niego ważna.

Musiała zatem odnaleźć Ederre, bo tylko ona wiedziała, jak ją chronić, tylko ona знаła jej prawdziwe imię i tylko dla niej nieznaczająca Mayo była naprawdę ważna.

IX

*O tym, jak sporządzić zaklęcie,
które chroni w podróży,
jak odczarować człowieka
zamienionego w osła i jak
w okamgnieniu zamienić się
w zwierzę*

— Chcecie powiedzieć, że doznałem halucynacji na skutek tego śmierdzącego mazidła? — Íñigo nie mógł wprost uwierzyć w wyjaśnienia Salazara. — To niemożliwe. Czuję wyraźnie, że moje ciało się kurczy, że wznoszę się do góry. Omal nie dotknąłem nieba... niebieski anioł mnie głaskał. Doskonale pamiętam. — Otworzył szerzej oczy i podniósł głos: — To był niebieski anioł.

— Już dobrze, drogi Íñigo — przerwał mu brat Domingo, uśmiechając się ze źle skrywaną satysfakcją — sam przyznajesz, że ta historia jest trochę... jakby to powiedzieć... trochę niezwykła. — Íñigo spojrzał nań poirytowany. — Powinieneś się cieszyć, bo to dowodzi twojej czystości i niewinności. Nawet w zamroczeniu masz rozanielone myśli.

Domingo wciąż się uśmiechał, Íñigo zaś poczerwieniał, bo zląkł się, że ktoś się dowie, iż jego niebiańskie spotkanie nie było takie niewinne, przynajmniej w sferze pragnień.

— To dowodzi jeszcze czegoś innego — zauważył Salazar. — Widać wyraźnie, że magiczne maści, którymi nacierają się nasi czarownicy przed zlotami, powodują uczucie nieważkości i omyamy... Stąd bierze się ich przekonanie, że potrafią się skurczyć, wydostają się z domu przez komin i lecą na sabat. Tak jak Íñigo zobaczył niebieskiego anioła, tak samo im może się wydawać, że stają twarzą w twarz z diabłem, który przybiera postać kozła, podczas gdy w gruncie rzeczy przez całą tę noc pozostają w domu. Co więcej — dorzucił poruszony — może się okazać, że donosy na sąsiadów, przyjaciół i członków rodziny o udział w *akelarre* też są efektem zamroczenia wywołanego jakąś maścią.

Íñigo i Domingo milczeli zaskoczeni. Nigdy dotąd nie widzieli Salazara tak podekscytowanego. Gdyby ta niesłychana teza okazała się słuszna, należałoby zrewidować wszystkie dowody, na jakich dotąd opierała się Święta Inkwizycja w swoich procesach o czary. Oskarżenia, aresztowania, przesłuchania, tortury, autodafé, a nawet ta wizytacja i sam edykt łaski... to wszystko nie miałoby żadnego sensu.

— Wasza Miłość dobrze wie, że to absurd — zaprotestował brat Domingo. — Nie ma żadnych wątpliwości, że sekta diabelska istnieje naprawdę. Szkoda, że wy nie widzieliście tego, co ja dwa lata temu. Dobrze wiem, do czego jest zdolny diabeł, wiem to nie tylko z Biblii. Za dużo by mówić. Ja to wszystko widziałem na własne oczy, bez środków halucynogennych... Byłem całkowicie przytomny.

Widziałem kobiety z nogami jak kaczka, diabły informujące za-
przyjaźnionych czarowników, kiedy sprowadzą burzę, żeby na
polu zostało tylko bydło sąsiada... Widziałem wiedźmę zamienio-
ną w kamień, bo słońce ją zaskoczyło i nie zdążyła wyzbyć się
atrybutów swej niegodziwej profesji.

Brat Domingo ani myślał pozwolić, by niszczycielskie skutki
plagi, która spadła na królestwo, tłumaczyć działaniem jakiejś
dziwnej maści. Ze zdenerwowania drgała mu lewa powieka. Czyż-
by czcigodny inkwizytor Salazar zamierzał podać w wątpliwość
istnienie samego diabła?

— Wiecie, dlaczego spotkanie czarowników nazwano sabatem?
— zapytał Salazar jak gdyby nigdy nic, Íñigo i Domingo spojrzeli
na niego ze zdziwieniem. — Słowo „sabat” nawiązuje do żydow-
skiej tradycji świętowania sobót. Od wieków używamy słów he-
brajskich na określenie wszelkich obrzydliwości, naszych naj-
skrytszych lęków i naszej wewnętrznej nędzy... do której przed
nikim się nie przyznamy. Ostatnio nie mówimy już „sabat” tylko
akelarre, co też ma swoje wyjaśnienie. Termin ten został ukuty
podczas poprzedniej wizytacji na ziemiach baskijsko-nawarskich,
którą odbył dwa lata temu inkwizytor Valle... Miałeś przyjemność
go poznać — dorzucił, patrząc na Dominga. — Jak przetłumaczysz
słowo *akelarre*, Íñigo?

— Pastwisko kozła.

Wtedy Salazar wyjaśnił, że tradycyjnie utożsamiano diabła z
tym zwierzęciem, ponieważ Kościół katolicki pragnął zdemonizo-
wać pogańskie wierzenia. Niezliczone przedchrześcijańskie bós-
stwa związane z kultem płodności posiadają typowe dla kozła
atrybuty, nawet grecki Pan.

— To nie wszystko — ciągnął Salazar. — Znacie powiedzenie

„koziół ofiarny”? — Chłopcy przytaknęli. — To wzięło się ze starego rytuału hebrajskiego, w którym występowały dwie kozy: czysta i nieczysta. Tę pierwszą ofiarowywano Bogu, a drugą wysyłano samotnie na pustynię, by zginęła z głodu i pragnienia na odkupienie ludzkich grzechów.

— Ale Lucyfer... on ma przecież kształt kozła — przerwał Íñigo.
— Tak mówi Pismo Święte.

— Nieprawda, drogi Íñigo. Historycznie rzecz biorąc, Lucyfer był najpierw przedstawiany jako piękny anioł... piękny jak jutrzienka, promienny jak słońce. Słowo „Lucyfer” znaczy po łacinie „niosący światło”. Ale około czterysta czterdziestego siódmego roku sobór w Toledo postanowił zająć się opisem fizycznego aspektu diabła i doszedł do wniosku, że taki nieczny charakter i niemoralne postęпки mogą być uosabiane jedynie przez postać wyjątkowo nieprzyjemną dla oczu i węchu. Przydano mu zatem rogi, pazury i odór siarki. Zresztą nie od razu słowo „Lucyfer” stało się synonimem diabła.

— Stało się to dopiero w piątym wieku — wyjaśnił Salazar — wskutek błędnego tłumaczenia z greki na łacinę, którego dokonał święty Hieronim.

— Gdy tak słucham Waszej Miłości, to... proszę mi wybaczyć, ale... — wtrącił brat Domingo, nie odważając się podnieść oczu — mam wrażenie, że nie chcecie spotkać diabła w tych stronach.

— Wprost przeciwnie, Domingo — Salazar przymknął oczy i ściszył głos, w którym pobrzmiwały melancholijne nuty — bardzo pragnę spotkać go twarzą w twarz. Szukam go codziennie, chcę go zobaczyć, dotknąć, powąchać... Móc zaświadczyć o jego złej mocy.

Zapewniam cię, Domingo... byłbym wtedy najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Dwa stukania do drzwi oznajmiły przybycie kuriera. To położyło kres tej dziwnej rozmowie, która wprawiała w niemałe zakłopotanie Iñiga i Dominga. Salazar poprosił, żeby zostawili go samego, bo chciał przejrzeć korespondencję. Jego protektor, inkwizytor generalny Bernardo de Sandoval y Rojas, odpowiadał na list, w którym Salazar prosił o pozwolenie wysłania forpoczty złożonej z kilku współpracowników, którzy spowiadaliby skruszonych czarowników w wioskach położonych na trasie wizytacji. W ten sposób można by zapobiec niekończącym się kolejkom do konfesjonału, jakie wystąpiły w Santesteban, co spowodowało już duże opóźnienie w podróży. Po przybyciu na miejsce Salazar zajmowałby się przede wszystkim aktem pojednania, nie tracąc więcej czasu na długie spowiedzi. Inkwizytor generalny udzielił mu pozwolenia, zapewniając jednocześnie, że zawsze pokłada całkowitą ufność w nim i jego mądrych decyzjach.

Otrzymał również list od towarzyszy z trybunału w Logroño. Inkwizytorzy Valle i Becerra donosili o spotkaniu z Rodrigiem Calderonem i o tym, że książe Lerma oraz monarcha pragną, aby francuski inkwizytor Pierre de Lancre, który przed dwoma laty urządził jeden z największych w ostatnich czasach procesów o czary, przekazał im dowody, na których oparł swój traktat o czarownikach baskijskich. Dowody te świadczą podobno w sposób niewątpliwy o realnym i fizycznym istnieniu czarownic i demonów. Jednocześnie Rodrigo Calderon zamierzał wystąpić do francuskiego inkwizytora o listę z nazwiskami czarowników, którzy

ucieając przed jego prześladowaniami, schronili się na ziemiach Korony Hiszpańskiej.

Salazar nie lubił oceniać ludzi, których nigdy nie spotkał osobiście, ale w tym przypadku nie miał żadnych wątpliwości: czyny Pierre'a de Lancre mówiły same za siebie. Podobno jego dziadek był znakomitym winiarzem z Dolnej Nawarry, zanim wyemigrował do Bordeaux, gdzie zmienił nazwisko na Lancre. Pan Pierre de Lancre, przekonany, że Kościół popełnia straszliwą zbrodnię, pozwalając czarownicom uniknąć stosu, osobiście zamierzał temu zaradzić. Od ponad dwóch lat nie zajmował się niczym innym. Proces, któremu przewodził, stał się sławny w całej Europie. Aresztowano trzy tysiące osób, spalono sześćset, w tym również małe dzieci.

Odłożył list ze wstrętem i wtedy dostrzegł kopertę wyróżniającą się spośród innych. Zawsze ją rozpoznawał, nawet nie patrząc na znaczek. Serce zabiło mu szybciej i wyostrzyły się zmysły. Wiedział, od kogo pochodzi ten list, tym bardziej starał się zapanować nad gwałtownym pragnieniem natychmiastowego otwarcia koperty. Wymagało to sporej dyscypliny, którą już dawno sobie narzucił. Trzymał kopertę w rękach, badał temperaturę, sprawdzał, czy jest gładka, czy chropowata, wdychał niewyczuwalny aromat pozostawiony przez jej dłonie na papierze. Odczuwał słodko-gorzka przyjemność w odkładaniu lektury listów od tej cudownej kobiety na sam koniec dnia, kiedy to w ciszy nocnej lepiej słyszy się własne myśli, problemy zasnuwają się mgiełką i gwiazdy zamieniają marzenia w rzeczywistość. Był to doskonały sposób na powolne smakowanie każdego słowa listu.

Salazar przypomniał sobie moment, kiedy otrzymał jej pierwszy

list. Minęło już dziesięć lat, ale pamiętał jak dziś ten najbardziej wzruszający moment swego życia. Jeden list... zwykła kartka papieru zapisana atramentem... niby nic, a jednak tak wiele. Chwila ta wszystko zmieniała... całe jego życie i życie po życiu. Niczego nie zapomniał, bo był to okres bolesnych zwątpień duchowych. Salazar skończył wtedy trzydzieści pięć lat, mógł poszczycić się opinią bez skazy i miał przed sobą obiecującą przyszłość. Wiele się napracował, żeby to osiągnąć. W wieku zaledwie piętnastu lat poszedł na studia do Salamanki, gdzie zdobył tytuł bakałarza prawa kanonicznego. Podczas gdy jego rówieśnicy zajmowali się sprawami przyziemnymi, ale i bardziej przyjemnymi, Salazar wybrał małe spokojne Burgos na przygotowanie się do licencjatu. Nawet krótkie chwile odpoczynku od nauki i pracy sprawiały, że dręczyły go wyrzuty sumienia, poczucie straty czasu, toteż rzadko sobie na nie pozwalał. Nie przeszkadzał mu brak przyjaciół, bo w gruncie rzeczy ich nie potrzebował. Był mało towarzyski i nietolerancyjny. Jednym rzutem oka potrafił ocenić, z kim ma do czynienia, i kiedy stykał się z taką osobą, która nie pasowała do jego kryteriów intelektualnych, natychmiast przestawał się nią interesować, nie znośił bowiem przeciętności. Miał przy tym świadomość, że grzeszy pychą, starał się pohamować, ale nie zawsze mu się udawało.

Wstąpił na służbę do biskupa Jaen. Rok później biskup mianował go kanonikiem, a niedługo potem wizytatorem generalnym. Do jego obowiązków należała wizytacja kościołów w okręgu jurysdykcji biskupstwa Jaen. Szybko pokonywał kolejne stopnie kariery: wikariusz generalny, wykonawca testamentu biskupa po jego

śmierci... W wieku trzydziestu jeden lat był uznanym adwokatem, a w liście nuncjusza papieskiego do kapituły w Jaen można było przeczytać, że Salazar jest skuteczny, wytrwały i ma talent dyplomaty, czyli posiada cechy wielkiego męża Kościoła.

Zmarłego biskupa Jaen zastąpił Bernardo de Sandoval y Rojas i choć krótko pozostał na biskupstwie, między nim a Salazarem nawiązała się braterska przyjaźń na dobre i na złe. Dzięki wpływom swojego bratanka, księcia Lermy, Bernardo de Sandoval y Rojas został wkrótce arcybiskupem Toledo i wyznaczył Salazara na oskarżyciela generalnego biskupów kastylijskich w Madrycie. Tydzień po objęciu tej funkcji przy dworze królewskim, który właśnie, decyzją księcia Lermy, miał się przenieść z Madrytu do Valladolid, Salazar otrzymał jej pierwszy list.

— Proszę przekazać tę kopertę arcybiskupowi Sandova-lowi — powiedziała tajemnicza kobieca postać z twarzą przesłoniętą cienkim tiulem, która umyślnie zderzyła się z nim na ulicy i wsunęła do ręki kopertę bez adresu. — To bardzo pilne. Proszę dostarczyć do rąk własnych. — Zanim Salazar zdążył zareagować, dama w zielonej sukni znikła za rogiem.

W owym czasie Salazar zajmował się na dworze biskupa korespondencją, toteż bez skrupułów otworzył ten list. W pierwszej czystej kopercie była druga, zalakowana cynobrową pieczęcią ze znakiem królewskim. Złamał ją ostrożnie i wyjął kartkę tak nieskazitelnie białą, że od razu było wiadomo, skąd pochodzi. Papier na użytek domu królewskiego i Świętego Oficjum poddawano bowiem specjalnym zabiegom, żeby dokumenty wysyłane z tych miejsc miały niewątpliwe znamiona świętości. Przytrzymał kartkę

w rękach przekonany, że słowa listu stanowią same w sobie istotę misji, jaką ma do spełnienia na tym świecie.

Był to list napisany własnoręcznie przez królową Małgorzatę. Salazar ujrzał ją po raz pierwszy w dniu, gdy przybyła z Austrii na swój ślub. Widział ją wtedy z daleka i niezbyt wyraźnie. Zapamiętał tylko, że była bardzo młoda. Trzymając w rękach jej list, próbował sobie przypomnieć, jakie wrażenie zrobiła na nim królowa tamtego pierwszego dnia, a że nie uzyskał odpowiedzi, postanowił wyrobić sobie zdanie na podstawie charakteru pisma. Wdzięk pochyłych liter w stylu monastycznym poruszył go dużo bardziej niż wielce poufna treść, jaką zawierały. Królowa Małgorzata prosiła arcybiskupa o interwencję wobec księcia Lermy, ponieważ czuła się przez niego osaczona. Książę ustanowił barierę komunikacyjną, która odcinała ją od najbliższych i przyjaciół. Kobięca intuicja podpowiadała Małgorzacie, że memoriały i pamflety, a nawet dzienniki były cenzurowane i niszczone, zanim para królewska zdążyła je zobaczyć. W ten sposób książę chciał ukryć przed nimi swoje poczynania.

Salazar był upoważniony do odpowiadania na listy do arcybiskupa, ale tym razem poczuł się jak intruz. Ta kobieta otworzyła swe serce przed Bernardem de Sandovalem y Rojasem, a Salazar bezkarnie to wykorzystał. Uznał zatem, że na list królowej powinien odpowiedzieć sam arcybiskup, i wybrał się do Toledo tylko i wyłącznie w tym celu.

— Muszę porozmawiać z bratankiem — powiedział zadumany Sandoval po przeczytaniu listu.

— Odpiszecie królowej, żeby ją uspokoić? — spytał Salazar, martwiąc się o zatroskaną kobietę.

— Nie ma takiej potrzeby, kochany Alonso. Zbyt duże ryzyko.

I podyktował mu list do księcia Lermy, w którym ostrzegał, że dotarły doń wieści, jakoby królowa była niezadowolona z wtrącania się księcia w nie swoje sprawy. Upominał bratanka, żeby nie mieszał się do spraw dworskich i decyzji personalnych godzących w prywatność tak delikatnej damy, bo ona z pewnością nie jest wrogiem. Podpisał, przyłożył pieczęć i kazał Salazarowi osobiście doręczyć księciu ten list. Tak też się stało.

Ale potem Salazar pozwolił sobie na pewną swobodę. Chociaż arcybiskup nie zamierzał odpisać królowej, on poczuł się w obowiązku zadbać o jej spokój, ponieważ dużo ryzykowała swą szczerością. Salazar sporo wiedział o bólu istnienia, więc wyobrażał ją sobie nieszczęśliwą, samotną, udręczoną uczuciem pustki... i wystąpił wobec niej jako kierownik duchowy, podszywając się oczywiście pod arcybiskupa. Nie mógł pozwolić, żeby dowiedziała się, że jej poufny list dostał się w niepowołane ręce. Odpisując królowej Małgorzacie, zamierzał użyć słów pocieszenia i wsparcia duchowego, których nauczył się na studiach kościelnych, jednak pod wpływem emocji zaczął mówić o lęku, przemijaniu życia, o samotności człowieka wśród ludzi... mówił o sprawiedliwości boskiej i doczesnej... o niesprawiedliwości boskiej i doczesnej. Wyciągnął z zapomnienia szereg sentymentalnych myśli i uczuć, których już postanowił nikomu nie ujawniać i które nie miały nic wspólnego z intrygami księcia Lermy. Zwierzył się pięknej nieznanym ze swych najskrytszych myśli, ale nie zdradził własnej tożsamości. Na zakończenie listu oddawał się królowej do usług i

ofiarował gotowość wsparcia duchowego i finansowego w każdej chwili i w każdej potrzebie. Podpisał się imieniem arcybiskupa Toledo i przybił pieczęć z jego znakiem jak zwykle, gdy chodziło o sprawy administracyjne. Przez moment poczuł się uwolniony od ciężaru, jaki spadł na niego w ostatnim czasie. Przepisał dokładnie swą odpowiedź, ponieważ lubił mieć kopie wysłanych listów, i dołączył do listu od królowej. To trwało już dziesięć lat. Wszystkie listy od Małgorzaty trzymał w hebanowym kufrze, który wszędzie zabierał ze sobą i nie rozstał się z nim do końca życia.

Po tym pierwszym liście Salazar postanowił wykorzystać swoją funkcję na dworze, by jak najczęściej przebywać blisko królowej. Nie umiał tego wyjaśnić, ale odkąd przeczytał ten list, poprawiła się jego kondycja duchowa. Odpowiedzialność za cudze problemy sprawiła, że sam poczuł się dużo lepiej. Pragnął chronić królową z ukrycia. Stwierdził, że rzeczywiście miała powody do narzekań, ponieważ ksiązę Lerma kontrolował życie monarchów w najdrobniejszych szczegółach. Ich przyjaźnie, lektury, spotkania małżeńskie... Zwalniał natychmiast każdego dworzanina, który mógłby go zdradzić. Pewnego razu spowiednik królewski Diego Mardones postraszył monarchę i księcia, że w piekle jest specjalnie zarezerwowane miejsce dla królów, którzy nie wypełniają należycie swoich obowiązków, i dla wasali uzurpujących sobie królewskie atrybuty. Przerażony ksiązę popadł w jedną z tych swoich głębokich depresji i wkrótce potem zmieniono spowiednika, a nowy, Jerónimo de Javierra, był mniej kategoryczny w swych wypowiedziach i starał się oszczędzać zdrowie królewskiego ministra.

W oczekiwaniu na nowego spowiednika Salazar zajął miejsce w

konfesjonale przeznaczonym dla królowej. Na początku był tak zdenerwowany, że nie śmiał się poruszyć ani spojrzeć na nią przez zasłonki w zakratowanym okienku, obawiając się, że królowa wyczuwa paralizujący go lęk. Ale stopniowo nabierał śmiałości, podnosił wzrok i obserwował zielone oczy kobiety, które rozświeślały się, kiedy mówiła o radościach, i znów ciemniały, kiedy poruszała smutniejsze sprawy. Nadszedł taki moment, że oboje nie potrzebowali już konfesjonału ani *Ave Maria Purísima* *, żeby prowadzić te mistyczne rozmowy w cztery oczy. Nie czuli przed sobą wstydu, a wszystko, co mówili, podlegało tajemnicy spowiedzi. Ona widziała w nim świętego i otwarcie mu to powiedziała.

* *Ave Maria Purísima* (łac.) – Niech będzie pochwalona Maryja Najczystsza!

Godziny spędzone na tych zwierzeniach pozwoliły Salazarowi lepiej poznać królową Małgorzatę i szybko przekonał się, że to wyjątkowa kobieta. Jej głęboką religijność widać było w każdej fałdzie sukni, w tym jak patrzyła i jak chodziła, w ruchu białych rąk delikatnie pieszczących powietrze, kiedy szukała właściwego słowa. Uważała, że śmierć jest wyjątkowym etapem przejścia do pełnej szczęśliwości, czytała raz i drugi żywoty świętych, szukając w nich inspiracji, bo sama też dążyła do świętości. Spędzała całe popołudnia z zakonnicami na szyciu ubranek dla dzieci z sierocińca i z zapalem gromadziła święte relikwie. Zamawiała średnio tysiąc mszy na rok za dusze w czyśćcu cierpiące i przejmowała się losem inwalidów wojennych, którzy nie otrzymali renty i żyli w największej nędzy, z uporem odrzucając pomoc Zakonu Świętego

Jana Bożego. Salazar pomógł jej znaleźć i wyposażyć dom dla tych ludzi, żeby mogli godnie spędzić resztę życia, bez ujmy dla swego honoru. Była tak pełna miłosierdzia, że Salazar poczuł, że nie zasługuje na zaufanie, i bał się, że ją oszukuje. Miała go bowiem za człowieka bez skazy, a on, choć bardzo się starał, nie potrafił uwierzyć w to, w co ona wierzyła.

Kiedy dwór przeniósł się do Valladolid, Salazar pojechał razem z nimi. W kularach mówiono o manipulacjach księcia Lermy: że próbuje przeciągnąć Filipa III na swoją stronę, że Filip III patrzy na wszystko jego oczami i nie ma własnego zdania, że przeprowadzka dworu była księciu na rękę, bo to są jego włości i może jeszcze bardziej wzbogacić swą rodzinę... Później Salazar dowiedział się, że Lerma nalegał na przeprowadzkę między innymi z powodu królowej. Chciał ją odsunąć od Marii Austriaczki, siostry Filipa II, która była w Madrycie, w klasztorze Descalzas Reales*.

* Descalzas Reales (hiszp.) – karmelitanki bose.

Obie damy bardzo się zaprzyjaźniły i młoda królowa spędzała dużo czasu w towarzystwie sędziwej cesarzowej. Małgorzata regularnie ją odwiedzała i rozmawiały po niemiecku, czego Lerma bardzo nie lubił, bo nie wiedział, o czym mówią. Choć starał się otaczać królową Małgorzatę damami do towarzystwa i sekretarkami, które nie spuszczały z niej oka ani na chwilę i o wszystkim mu donosiły, wciąż nie miał pojęcia, o czym te dwie tak szepczą między sobą i dlaczego się uśmiechają; podejrzewał, że śmieją się z niego. To stanowiło wyłom w jego polityce sprawowania pełnej kontroli.

Przeprowadzka dworu do Valladolid oznaczała duże wpływy dla skarbcza książęcego. Królewski faworyt przygotowywał się do tego wydarzenia od kilku lat: skupywał ziemię i domy w mieście nad Pisuergą, nabył między innymi cały kompleks budynków na wprost klasztoru Świętego Pawła, które zamierzał przekazać na siedzibę dla rodziny królewskiej i instytucji dworskich, oczywiście za sowitą opłatą. Wybudował wspaniałą rezydencję na prawym brzegu rzeki przy Puente Mayor * i podsunął władzom magistratu, żeby zaoferować monarsze znakomite warunki do zamieszkania w Valladolid: pałace, winnice, ogrody i sady. Dzięki Lermie miasto zaczęło błyskawicznie rozwijać się i modernizować, wypiękniało od góry do dołu: ulice zostały wybrukowane, uporządkowano parki i ogrody, doprowadzono wodę ze źródeł Argales. Wybudowano sieć podziemnych przejść łączących domy królewskie z kościołami i klasztorami tak, że podziemia miasta przypominały ser grujère, po którym swobodnie krążyła królowa, odwiedzając pobliskie klasztory. Nie zaniechała bowiem pobożnego zwyczaju szycia do spółki z zakonnikami i z upodobaniem przebierała swe lalki za mniszki z San Quirce.

* Puente Mayor (hiszp.) — most główny.

Valladolid zwiększyło liczbę swoich mieszkańców pięciokrotnie. Ulice wypełniły się ministrami, przeoryszami, admirałami, skrybami, artystami, gwardzistami, sługami, rzemieślnikami, damami, majordomusami, opatami, paziami, prostytutkami i handlarzami niewolników. Lerma tak to wszystko urządził, żeby król ani przez moment nie żałował decyzji o przeprowadzce do Valladolid. Sprowadził najsławniejsze w królestwie trupy

komediantów, które wystawiały na scenach pałacu królewskiego lub w cieniście ogrodzie króla sztuki Lope de Vega i Tirso de Molina. Organizował wystawne przyjęcia i maskarady, na których serwowano błyszczące prosiaki z czerwonym jabłkiem w pysku i pieczone woły nadziewane ptaszkami z rodzynkami. Te królewskie przyjęcia trwały cały dzień. Rankiem przygrywały zespoły smyczkowe, strategicznie porozmieszczane wśród krzewów w ogrodach pałacowych, żeby umilić spacerującym gościom, a po obiedzie odbywały się widowiska tauromachii, ku niezadowoleniu królowej Małgorzaty, która — gdy po raz pierwszy zobaczyła korridę, przesyconą zapachem okrutnej śmierci — padła zemdlna. Im dłużej jej tłumaczono, tym mniej pojmowała, na czym polega przyjemność dręczenia biednego byka aż do krwi. Nocą puszczano sztuczne ognie rozświetlające ciemne niebo, a biedni poddani króla zbierali się po drugiej stronie pałacowej kraty, patrzyli, jak fosforyzujące iskierki znikają w ciągu zaledwie kilku sekund, i zastanawiali się, ile kosztują te niepotrzebne błyskawice i ile rodzin można by za to wyżywić.

Lerma był szczęśliwy. Szybko zgromadził olbrzymi majątek w gotówce, gruntach i posiadłościach, wiążąc się z najlepszymi rodzinami w okolicy, między innymi z Enriquezami. To był niewątpliwie najlepszy okres w jego życiu.

Tymczasem Madryt pozostał bez opieki. Skutki demograficzne takiego stanu rzeczy były fatalne. Utrata prerogatyw stołecznych spowodowała wielką depresję gospodarczą, pociągając za sobą spektakularny spadek cen gruntów i budynków.

Książę Lerma natychmiast skorzystał z okazji i kupił posiadłości położone w najlepszych dzielnicach niedawnej stolicy, takich

jak Prado de Atocha albo Prado de San Jerónimo, gdzie planowano w przyszłości duże zmiany urbanistyczne. Za wszelką cenę unikał kontynuowania wojen, w które Hiszpania uwikłała się już dawno temu, i nie robił tego ze względu na swe pacyfistyczne upodobania; królewski skarbiec nie zniósłby nowej bitwy, o czym książę dobrze wiedział. Z tego samego powodu nalegał na zawarcie pokoju z Holandią. Badał przyczyny kryzysu gospodarczego i społecznego, ale nie dostrzegał możliwych rozwiązań. Nie chciał wiedzieć, że finanse królestwa szły głównie na opłacanie ludzi, których książę uważał za przydatnych dla siebie, a także na tytuły oraz ziemię dla licznych członków książęcego rodu. To była jego największa przywara.

Wkrótce stało się jasne, że złoto Ameryki nie starcza na potrzeby królestwa i utrzymanie królewskiego dworu. Zaczęto mówić o konieczności zwiększenia podatków, ale Kastylia była już pod tym względem mocno wyeksploatowana i nie dało się z niej więcej wycisnąć. Książę rozważał wywarcie presji podatkowej na inne prowincje. Jednak Nawarra i Portugalia miały swoje własne finanse i nie widziały potrzeby dzielić się nimi z Lermą.

Na początku Salazar nie interesował się zbytnio prawdziwymi pobudkami księcia przy zmianie siedziby dworu. Nie widział w tym nic złego. W Valladolid miał rodzinę ze strony matki, wciąż pozostawał na służbie don Bernarda de Sandovala y Rojasa, zresztą poszedłby za dworem wszystko jedno gdzie, byle nie odstępować królowej Małgorzaty, bo taką miał wewnętrzną potrzebę. Salazar robił to z czystego egoizmu. Ona była balsamem na jego rany. Tylko wtedy, gdy wiedział, że jest w pobliżu, uspokajał się i łagodniał.

Lubił wiedzieć, że oddychają tym samym powietrzem. Był szczęśliwy, że może od czasu do czasu zamienić z nią kilka słów, a nawet posłużyć za spowiednika, gdy okoliczności temu sprzyjały. W takich chwilach koncentrował się nie tyle na znaczeniu wypowiedzianych słów, ile na samym dźwięku jej głosu przypominającego morskie fale. Nadszedł jednak taki moment, że nie mógł nie zareagować na to, co szeptała mu w sekrecie.

— Nie boję się represji — wyznała królowa pewnego dnia. — Zamierzam wystąpić jako obrończyni sprawiedliwości. Czy jesteście gotowi mi pomóc?

— Zrobię wszystko, co Wasza Królewska Mość powie — wyszeptał.

Tak oto Salazar zrozumiał, że jeśli chce naprawdę pomóc tej kobiecie, musi dać jej coś więcej niż frazesy o obietnicy rajów dla dobrych chrześcijan i mękach piekielnych dla złoczyńców. Należało przejść do działania. Salazar zebrał informacje o ludziach gotowych przyłączyć się do sprawy królowej Małgorzaty i umówił się na spotkanie z burmistrzem Gregorio Lópezem Madera, który z kolei skontaktował go z niejakim Juarą znajdującym wiele ciemnych sekretów księcia i jego sekretarza. Plany królowej na rzecz zdemonstrowania głównego ministra weszły w życie.

Odwaga Małgorzaty wprawiła Salazara w zakłopotanie. Wpatrywał się w jej portrety jak urzeczony, skupiając wzrok na twarzy, bo nie lubił modnych królewskich strojów przeladowanych precjozami i falbankami, które, był tego pewien, nie licowały z usposobieniem Małgorzaty. Ona powinna raczej nosić zwiewne białe tuniki, mieć rozpuszczone włosy, bez tej ciężkiej korony, i dłonie wolne od wielkich pierścieni.

Jej słodycz, delikatność i niewinność kontrastowały z niezwykłą siłą wewnętrzną młodej królowej. Był z niej bardzo dumny i pewnie dlatego zgodził się zostać trzecim inkwizytorem trybunału w Logroño. Kiedy jego protektor Bernardo de Sandoval y Rojas zaproponował mu to stanowisko, zastanawiał się początkowo, czyje przyjąć, bo jedyne, czego chciał w tym okresie, to pozostać jak najbliżej królowej, na wypadek gdyby go potrzebowała. Ale nieuczciwością byłoby udawać, że nie miał w tym własnego interesu. W głębi serca pragnął bowiem, żeby słowa pocieszenia, jakie mówił codziennie królowej, okazały się pomocne również dla niego. Nie powinien poprzestawać na biernym przyglądaniu się, podczas gdy ona starała się ulepszyć ten świat. Właśnie wtedy uznał, że w świecie, w którym ona żyje, musi istnieć również Bóg miłosierny, i postanowił go poszukać. Dlatego przyjął stanowisko trzeciego inkwizytora w Logroño, bo był pewien, choć to może wydać się niestosowne, że nie znajdzie Boga, dopóki nie stanie twarzą w twarz z diabłem. Pożegnał się z królową Małgorzatą, przyrzekając jej pisać jak najczęściej, a ona obiecała to samo. Uzbroił się w powagę duchownego i w swój powściągliwy uśmiech, nie dając po sobie poznać żadnego zmartwienia, jak zwykle podczas rozmowy z nią, ale na koniec, kiedy nie mogła już widzieć jego twarzy, poczuł wielki ból w sercu i przeczucie nieszczęścia, które przypisał początkowo rozterkom pożegnania. Później zrozumiał, że to intuicja mówiła mu, iż nigdy więcej się nie spotkają.

Słońce zaczynało zachodzić nad Santesteban i chęć zapoznania się z listem od królowej stawała się coraz większa. Opanował się jeszcze na chwilę i poszedł porozmawiać z Iñigiem i Domingiem, żeby zlecić im przygotowania do ceremonii przebaczenia, która

miała się odbyć nazajutrz. Czterem innym pomocnikom kazał wyjechać wcześniej rano do Elizondo i od razu rozpocząć spowiadanie, żeby nie tracić czasu. To wszystko, co chciał im powiedzieć, i życzył dobrej nocy.

Salazar przeszedł do swej sypialni z pokrzepiającym poczuciem dobrze spełnionego dnia. Nalał sobie lampkę wina, wciągnął w nozdrza słodkawy zapach, westchnął i usiadł wygodnie na krześle. Rozerwał pałacową kopertę, zanim przełknął ostami łyk bursztynowego płynu, i ucieszył go dźwięk rozdieranego papieru, jego aksamitna miękkość. Te drobne, nic nieznaczące szczegóły sprawiły mu prawdziwą radość. Nareszcie mógł przeczytać list.

Z trudem rozszyfrowywał niektóre słowa. Choć królowa Małgorzata spędziła już w Hiszpanii wiele lat, wciąż miała kłopoty z tym językiem. Ale w zasadzie posługiwała się nim w sposób jasny i zrozumiały. Znowu była w ciąży. Spodziewała się kolejnego potomka we wrześniu. Pisała, że poświęci trochę czasu nowo narodzonemu dziecku, bo chce sama się nim zająć, podobnie jak zajmowała się poprzednimi, mimo to nie zaniecha walki z księciem Lermą i jego sekretarzem Calderonem, którzy nieustannie coś knują. Małgorzata stwierdziła, że jest nie tylko matką dzieci, które wyszły z jej łona, ale również matką swoich poddanych, matką sprawiedliwości.

„Błagam waszą dostojność o modlitwę za mnie, bo z pewnością jesteście bliżej Boga niż ja, pokorna służka” — prosiła królowa na zakończenie listu.

Salazar ukląkł przy łóżku pod krzyżem. Spojrzał na krzyż błagalnie, prawie z lękiem, że usłyszy na swój temat coś złego. Złożył

dłonie, oparł na nich czoło, przymknął oczy i pomodlił się za Małgorzatę i maleńką królewską istotę, która rosła w jej łonie. Modlił się z całą gorliwością, na jaką go było stać, chociaż wciąż jeszcze nie spotkał demona i nie zaznał pocieszenia, które umocniłoby jego słabą wiarę.

XXX

Mayo dowiedziała się, że Salazar i jego świta zakończyli już przesłuchania i lada dzień ogłoszą ułaskawienie. Zaraz potem wyjadą z Santesteban, więc ona też musi się przygotować do dalszej drogi. Narwała trawy zwanej artemisa, żeby upleść z niej długi sznur, którym obwiązała się w pasie. Zamierzała nosić go przez dwa dni, aż przesiąknie wyziewami jej ciała, a potem włoży go do wody i ugotuje. W tak otrzymanym wywarze wymoczy sobie nogi, żeby nie męczyły się w marszu. Wzięła za uzdę Beltrána i poprowadziła do kolejnej rzeki w pobliżu Santesteban. Nie mogła pominąć żadnego źródła wody, jeśli chciała, żeby osioł odzyskał swoje ludzkie ciało.

Jak daleko Mayo sięgnie pamięcią, Beltrán zawsze był obecny w jej życiu pod postacią tego głupiego zwierzęcia, które nie pasowało do jego prawdziwej osobowości. Pierwsze, co Ederra i Mayo robiły zaraz po przybyciu do nowej osady, to szukały najbliższej rzeki, jeziora lub strumienia, żeby zanurzyć Beltrána, choć ten się nie dawał, bo upór był jedyną ośłą cechą, jaka się w nim rozwinęła. Ederra mówiła, że prawdopodobnie również jako człowiek Beltrán będzie uparty.

— To typowo męska cecha — wyjaśniała.

We dwie wpychały go do wody pokrywającej mu grzbiet aż po

szyję, ale nigdy nie udało się przerwać zaklęcia choć na chwilę i przywrócić mu ludzkiej postaci.

Ederra tysiąc razy opowiadała jej, jak do tego doszło. Podobno Beltrán urodził się człowiekiem i pierwsze dwadzieścia lat życia spędził jako kuglarz. Podróżował od wioski do wioski, zarabiając na życie piosenkami i opowiadaniem, aż pewnego razu zatrzymał się na noc w gospodzie prowadzonej przez dwie bezzębne staruchy, które dały mu sera na kolację. Ledwo ugryzł, poczuł nagłą słabość, izba zaczęła wirować. Wyszedł na zewnątrz i z trudem dotarł do szopy, gdzie padł jak rażony piorunem. Na drugi dzień rano obudził się, przeciągnął i zamiast ziewnięcia wydał z siebie ryk osła, a jednocześnie poczuł niepowstrzymany apetyt na wiązkę siana. Takie były pierwsze skutki nadzwyczajnych czarów uprawianych przez dwie staruchy, które zamieniały najsilniejszych gości w osłów, zostawiając im ludzki rozum, lecz odbierając zdolność mowy. Wiedźmy wykorzystały umiejętności Beltrána, prowadząc go od wioski do wioski w dni targowe, żeby pokazywał swe kuglarskie sztuczki.

Podczas gdy jedna przygrywała na bębenku, druga prosiła publiczność o wybranie dwóch liczb od jednego do dziewięciu, a Beltrán dodawał je do siebie i przedstawiał wynik stukaniem kopyta w ziemię. Nigdy się nie mylił i ludzie bili mu brawa, aż bolały ich ręce.

Dzięki zamienionemu w osła Beltránowi czarownice miały dużo pieniędzy i innych korzyści. Pewien bogaty sąsiad zapragnął mieć dla siebie to niezwykle zwierzę i postanowił je kupić. Staruchy zgodziły się, ale uprzedziły nowego właściciela, że nie można wpuścić Beltrána do wody, bo zaklęcie przestanie działać. Tak się

złożyło, że gdy Ederra wyleczyła żonę bogacza z ciężkiej choroby, w zamian dostała w prezencie cudownego osła wraz z wyjaśnieniem jego niezwykłych umiejętności. Zrobiło jej się żal Beltrána i od razu zanurzyła go w pierwszej napotkanej po drodze wodzie, ale nic się nie stało. Ederra знаła magiczną formułę, żeby człowiek mógł zamienić się w zwierzę, kiedy tylko zechce, ale na czas określony. Trzeba rozebrać się do naga, położyć na lampie dwie cząstki kadzidła, a następnie wezwać księżyc, powtarzając: *aker, aker, aker*, i jednocześnie nacierać całe ciało od czubka głowy po koniec dużego palca u nogi oleistym płynem z cykuty. Wkrótce potem wyrasta człowiekowi czarny dziób i ogromne skrzydła i wzbija się do góry z głośnym krakaniem.

Jednak Ederra zorientowała się, że staruchy wypróbowały na Beltranie o wiele potężniejsze zaklęcie. Musiał je tego nauczyć sam demon, ona nie знаła takich silnych czarów. Doszła zatem do wniosku, że nie każda woda nadaje się do odwrócenia zaklęcia, problem polega na tym, żeby trafić na właściwą, więc zanurzała Beltrána w każdej rzece, kałuży czy stawie napotkanym po drodze, przekonana, że któregoś dnia znajdzie tę cudowną wodę i nastąpi metamorfoza.

Sam Bertrán zdawał się pogodzony ze swym stanem, pozostała mu jednak mania liczenia i stukania kopytem w ziemię, gdy słyszał dwie liczby jedną po drugiej. Dzięki temu Mayo nabyła niezwykłej sprawności w dodawaniu i od dziecka umiała dobrze liczyć.

X

*O tym, jak się uwolnić od mokrych
snów, jak zaradzić bólowi
podbrzusza, jak przewidzieć, co się
urodzi: chłopiec czy dziewczynka,
jak usunąć trądzik i ubarwić policzki
oraz co zrobić, żeby leśne duchy
użyły nam swej mądrości*

Minął już ponad tydzień od chrześcijańskiego pochówku Juany de Sauri, ale Salazar dobrze wiedział, że mieszkańców Santesteban pod wodzą proboszcza Borrego Solano nadal intryguje, jak umarła. Tyle o tym mówili, że wreszcie okoliczności jej śmierci uległy przeinaczeniu i nabrały cech nierealnych. Każdy szanujący się sąsiad musiał zahaczyć o ten temat w rozmowie, nawet w obecności dzieci... No bo czemu maluchy nie mają się dowiedzieć o złych czarownikach, przynajmniej nie dadzą się zaskoczyć. Każdy sąsiad miał własną wersję wydarzenia i nie ukrywał jej przed nikim, kto chciał słuchać, a prawie wszyscy chcieli. Wkrótce wszyscy wiedzieli, kto ją zamordował, jak znaleziono ciało i jakie

diabelskie znaki zapowiadały dalsze nieszczęścia dla osady.

Cieśla Pedro opowiedział, że Juana już wcześniej wspominała o hordach czarowników zamienionych w wilki, które napastowały ją po nocach, wyjąc jak opętane, ale nikt nie chciał tego słuchać, ileż musiała się nacierpieć, biedaczka! Z kolei szlifierz Diego oświadczył, że czworo rzekomo skruszonych czarowników, którzy kwatrowali wraz z rodziną u Juany w oczekiwaniu na ułaskawienie na mocy edyktu, przyniosło mu do naostrzenia wielki nóż ze śladami ciosów, jakie bezlitośnie zadawali nieszczęsnej kobiecie. Na nic się zdały tłumaczenia, że Juana zmarła przez utonięcie; nikt nie widział w tym sprzeczności z wersją Diega. Jednak najdziwniejszą historię opowiedziała krawcowa Madalen: widziała Juanę przelatującą nad wioską na miotle razem z czarownicą, która trzymała ją za włosy i bez litości zepchnęła w dół, kiedy znalazły się nad rzeką. Potem czarownica zaczęła, żeby sprawdzić, czy Juana nie wypłynie, i odleciała, kręcąc na niebie piruety, a twarz miała wykrzywioną i parskiała śmiechem, od którego stawały włosy na głowie.

Krzepcy młodzieńcy, którzy zaraz po śmierci Juany zorganizowali się w sąsiedzkie patrole, chodzili w nocy trójkami po ulicach uzbrojeni po zęby w kije i widły. Nawet najwięksi tchórze czuli się bezpieczniej, widząc światła pochodni poprzez szpary okiennic i słysząc głosy mężczyzn, którzy od czasu do czasu porozumiewali się między sobą gwizdami, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Mimo to Salazar obawiał się, żeby jakiś obcy, oczekujący na akt pojednania, nie wpadł przypadkiem na nocny obchód, bo

wtedy jedno zwykłe spojrzenie mogłoby rozpętać lawinę zemsty i odwetu, włącznie z rozlewem krwi. A że wszystkie osoby z listy zostały już przesłuchane, postanowił wyznaczyć jak najszybciej datę aktu pojednania, choć w głębi serca miał poczucie klęski. Dobiegał końca pierwszy etap podróży, a on w dalszym ciągu niczego nie udowodnił.

Przez pięć tygodni od urzędzenia w Santesteban swojego sztabu generalnego Salazar zapisał prawie sto kartek papieru, notując szczegółowo, minuta po minucie, wszystko, co się zdarzyło od jego przybycia. Robił to nadzwyczaj starannie. Rejestrował każde pytanie, każdą odpowiedź, wszystkie gesty podsądnych i zachowanie proboszcza, któremu wytknął brak tolerancji, nigdzie jednak nie znalazł dowodu na rzeczywiste istnienie sekty satanistycznej. Zawiadomił o tym listownie inkwizytora generalnego i swoich kolegów w Logroño.

To, co na pierwszy rzut oka mogło wydawać się pozytywne, sprawiało Salazarowi wielką przykrość. Pragnął zobaczyć na własne oczy, jak człowiek zamienia się w kruka, wieprzka albo inne zwierzę, miał nadzieję, że ujrzy pewnej nocy na niebie kobietę latającą nad wioską na miotle i znajdzie choć jedną z tych diabelskich ropuch, o których wszyscy mówili, że noszą księżące szaty skrojone na miarę żabich kształtów... i nic z tego nie wyszło. Diabeł nie zjawił się osobiście ani razu i Salazar nie widział jego owłosionych łap ani nie czuł zapachu siarki wydzielanej z każdym oddechem. Doznał z tego powodu rozczarowania, bo nie spełnił celu swojej wizyty.

Dzień wyznaczony na akt pojednania rozpoczął się pięknym porankiem. Lipcowe słońce szybko przegoniło resztkę chmur

pozostałych po ostatnich deszczach; miłe ciepłko wyciągało ludzi na ulice, którzy wylęgali z domów jak ślimaki w pierwszych dniach wiosny. Postanowiono, że najlepszym miejscem na uroczyste zamknięcie procesu ułaskawień w Santesteban będzie sala posiedzeń. Wydawała się dostatecznie przestronna i odpowiednio skromna, aby zadowolić miejscowe władze, tłum gapiów, zakonników z pobliskich miejscowości, grupę proszących o przebaczenie i Salazara z pomocnikami.

Jeszcze przed świtem inkwizytor posłał krzepkich młodzieńców do kościoła, żeby przynieśli do sali posiedzeń wielki drewniany krzyż spod ołtarza i wszystkie ławki. Kiedy tak szli z ławkami za krzyżem, ludzie wychylali się z okien i odprowadzali ich wzrokiem jak procesję w święto patrona wioski. Íñigo i Domingo ustawili świece w rogach sali i zrobili zaimprovizowany ołtarz na dużym stole dębowym, który służył im za biurko w czasie przesłuchań, a Salazarowi — do krojenia Juany. Przykryli stół obrusem z białego płótna sięgającym aż do podłogi, z boku umieścili świece, a na środku wazon z żółtymi margerytkami.

Już na dwie godziny przed rozpoczęciem ławki były pełne. Wiele osób stało pod ścianami i z tyłu sali, a ci mniej sprytni tłoczyli się na zewnątrz pod drzwiami i przekazywali sobie z ust do ust wiadomości o tym, co się dzieje w sali. Konwertyci zajęli miejsca w pierwszym rzędzie, oddzieleni wąskim przejściem od miejscowych władz; zapadła cisza i Salazar zaczął przemawiać, dziękując władzy za przybycie, zainteresowanie i opiekę w minionych tygodniach.

— Po akcie pojednania — zapewnił — wszystkie nieszczęścia nękające tę miejscowość znikną raz na zawsze. Zło istnieje, jeśli

pozwalamy mu istnieć — zakończył enigmatycznie.

Brat Domingo de Sardo odprawił mszę i Salazar poprosił skruszonych, aby wstawali z miejsc, kiedy będzie ich wywoływał po nazwisku. Zaczął głośno odczytywać ich zeznania, a potem dał im trochę czasu na zastanowienie się i potwierdzenie tych deklaracji. Wszyscy oświadczyli, że przybyli tu z własnej woli, bez przymusu, kierowani jedynie pragnieniem uzyskania przebaczenia. Salazar objął spojrzeniem resztę sali i zachęcił, aby za przykładem tych skruszonych mężczyzn i kobiet inni także publicznie przyznali się do winy, jeśli niesłusznie zadenuncjowali swych sąsiadów. Proboszcz Borrego Solano zakręcił się niespokojnie na krześle. Nikt się nie podniósł. Następnie odbyła się ceremonia pojednania, podczas której czarownicy wyrzekli się swych błędów, biorąc za świadków wszystkich zgromadzonych. Zdjęto z nich ekskomunikę i Salazar odczytał kary.

— Mężowie i niewiasty, powróciliście do trzody Naszego Pana, Ojca Wszechmogącego — rzekł uroczyście. — Przez Jego boskie miłosierdzie udzielam wam przebaczenia i jako pokutę nakazuję odmawiać codziennie przez dziewięć miesięcy dziesięć razy Ojcie Nasz i dziesięć Zdrowaś Mario, a w każdy piątek pościć, upraszając Boga o darowanie wam waszych licznych win.

Na koniec pojednani usłyszeli ostrą naganę i przestrożę, że w razie powtórnego upadku nie będzie dla nich litości, prawo zaś potraktuje jak najsurowiej ich samych oraz ich mienie.

— A to oznacza... — Salazar zawiesił głos, przymknął powieki i przebiegł surowym wzrokiem po zgromadzonych.

Ludzie wstrzymali oddech, ktoś niespokojnie zakasłał, dziecko rozplakało się w głębi sali. — To oznacza stos! — zawołał głośno, wyrrywając z zamyślenia tych, którzy woleli wpatrywać się w podłogę niż w inkwizytora. — Oczyszczające płomienie i oczywiście konfiskata mienia!

Trybunały inkwizycyjne powiększały swoje finanse o wpływy z majątków oskarżonych. W pewnym okresie Święte Oficjum zajmowało się głównie bogatymi konwertytami. Każdy potomek żyda lub muzułmanina był podejrzewany o herezję. A że obecnie zaczynało ich brakować, inkwizycja wzięła się do bigamistów, nawiedzonych, luteranów i czarowników. Oskarżony musiał przekazać Świętemu Oficjum swe mienie i pokryć koszty pobytu w więzieniu.

Salazar wyjął srebrne kropidło i zaczął nim kropić. Nie żałował wody święconej synom marnotrawnym ani mieszkańcom wioski i proboszczowi Borrego Solano, który też znalazł się w pierwszym rzędzie. Kilka kropel wody wpadło księdzu do oka i piekło jak ocet. Salazar przeszedł przez salę, machając kropidłem we wszystkie strony. Skierował się w stronę drzwi, a potem na zewnątrz budynku, gotów przemierzyć wszystkie główne ulice Santesteban razem z Domingiem, który cały czas dreptał za nim z tyłu, dźwigając kubel z oczyszczającą wodą. W ten sposób chronił ludzi przed niebezpieczeństwem ataku demona, wszyscy zostali oczyszczeni z win i przyjęci na nowo na łono Kościoła świętego, jak potem wyjaśnił inkwizytor. Bóg Wszechmogący wygrał bitwę, synowie marnotrawni i grzesznicy wracali do trzody. A Pokój Pański był z nimi.

Oficjalnie ogłoszono, że nie ma już diabła w Santesteban; został ostatecznie wypędzony i wszyscy wyglądali na szczęśliwych.

— Dobrze wypadłem?... Przekonywająco, prawda? — powiedział z dumą Salazar i nie czekając na odpowiedź Iñiga i Dominga, dorzucił, zanim zniknął w drzwiach swej sypialni: — Możecie zacząć się pakować, za kilka dni wyjeżdżamy.

xxx

Iñigo nie mógł zasnąć. Wciąż myślał o swoim niebieskim aniele, że jest on tu gdzieś w pobliżu. Na próżno Salazar zadał sobie wiele trudu, tłumacząc, że to tylko efekt hipnotyzujących ziół, ugotowanych, posiekanych i wymieszanych z wieprzowym sadłem — nowicjusz nie dał się przekonać i uznał takie wyjaśnienie za prostackie: tłuszcz pospolitej świni nie mógł wywoływać doznań o znamionach cudu. Odkąd to zwykłe sadło wieprzowe może unieść człowieka tak blisko nieba? Wciąż miał w pamięci obraz swojego anioła, kształt jego ud, łydki, podbródek... a jak się mocniej skupił, czuł jedwabistość anielskich włosów na swych ramionach, ciepło rąk, wilgoć ust muskających owocowym oddechem jego twarz. Poczul ukłucie w podbrzuszu, nagle ciepło między nogami, zaschło mu też w gardle i poruszał wargami jak ryba wyciągnięta z wody. Pościel była źródłem szumiących pieszczot, które odbierał wszystkimi porami skóry; owijały się wokół niego, obejmowały i tuliły w ciemnościach, żeby poddać go tyranii gestów, które niosą ulgę, choć z nadejściem nowego dnia — o czym dobrze wiedział — będzie się tego wstydził sam przed sobą. Zawsze bardzo żałował,

gdy ulegał pokusie cielesnej, i obiecywał sobie, że to się więcej nie powtórzy.

Przypomniawszy sobie, co babcia aplikowała jemu i braciom, żeby nie mieli lubieżnych snów. Uprowadzała ich, że nocne praktyki grożą ślepotą, wrzodami albo jednym i drugim, nie mówiąc już o wiecznym potępieniu. Babcia brała cienką tabliczkę wosku, rysowała na niej krzyż, przycinała brzegi i na noc kładła chłopcom na brzuchu, żeby mocno trzymali i modlili się do Boga. Íñigo nie miał teraz pod ręką woskowych krzyży, aby przepędzić za ich pomocą mokre sny, a zresztą wcale nie spał. Niepokój, jaki odczuwał, był nieznośnie realny.

Wstał z łóżka i otworzył okiennice. Było jeszcze ciemno. Wiejskie patrole już nie chodziły po ulicach z pochodniami, nie było słychać gwizdania. Po ponownym przyjęciu na łono Kościoła Świętego zamiejscowi ruszyli w drogę powrotną do swoich domów i pogasły ogniska na skraju lasu. Salazar miał rację: w wiosce zapanał spokój, a wszyscy byli zadowoleni i pogodzeni. Świat spał jak dziecko, które przez pewien czas cierpiało na kolkę i poczuło ulgę dopiero po wypiciu herbatki z rumianku i tymianku ususzonych na strychu i poświęconych podczas porannej mszy na Świętego Jana. Ale Íñigo nie miał tyle szczęścia.

Miotany niepokojem otworzył okno na oścież. Nocny wiatr kąsał mu policzki, jednak ciało wciąż trawił wewnętrzny ogień. Postanowił pójść na spacer, żeby wyciszyć grzeszne myśli, w które wplątywał niebieskie byty. Wyszedł z rezydencji na palcach i wybrał drogę prowadzącą w góry. Srebrzyste światło księżyca sączyło się przez gałęzie drzew jak wosk wokół świecy i napełniało las iluzorycznym światłem, co w innych okolicznościach zrobiłoby na

nowicjuszu duże wrażenie, ale nie tej nocy. Szedł bez celu, kierując się instynktem myśliwego, jak uczył go ojciec w dzieciństwie; deptał liście wciąż jeszcze mokre po niedawnych ulewach i wdychał woń leśnego poszycia i mchu, która nocą ma intensywną zieleni.

Początkowo nic nie zauważył, ale po chwili ucho przyzwyczało się do ciszy i dotarł do niego śpiew świerszczy, pohukiwanie puchaczy, lekkie kroki gryzoni poszukujących szyszek i orzechów... Nagle usłyszał jakąś melodię bez słów, nuconą ludzkim głosem, przytłumionym przez otaczającą roślinność i szum drzew. Posuwał się ostrożnie od, drzewa do drzewa, bojąc się, że trafi na czarownice, które urządzają tu sabat przed opuszczeniem wioski. I wtedy go zobaczył. To nie była halucynacja wywołana jakąś diabelską maścią, jak zapewniał Salazar. Naprawdę go zobaczył: niebieski anioł kołysał powoli swe nagie, wiotkie ciało oblane światłem księżyca, wznosił do góry ramiona, obracał się i podśpiewywał do rytmu z zamkniętymi oczami pilnowany przez mitycznego wierzchowca. Był taki, jakim go zapamiętał.

xxx

Podczas gdy inne dziewczynki w jej wieku uczyły się prząść, gotować i obsługiwać przyszłego męża, Mayo uprawiała się w transcendentalnej sztuce poznawania imion wszystkich leśnych duchów i właściwości księżyca. Gdzieniedzie nazywano go „światłem umarłych”, ale Ederra zawsze się z księżycem liczyła, bo był podstawowym komponentem wielu czarów.

— Księżyc oświetla nieboszczyków — wyjaśniała dziewczynce — a śmierć w czasie nowiu jest nieomylnym znakiem pomyślności w życiu pozagrobowym... nawet jeśli nieboszczyk nie zaznał szczęścia w tym życiu.

Ederra potrafiła przewidzieć płeć zwierząt i ludzi jeszcze przed narodzeniem na podstawie informacji, w jakim momencie cyklu lunarne go zostali spłodzeni. Gdy w pierwszej kwadrze — to urodzi się samiec, gdy w ostatniej — samica. Dzieciństwo Mayo upłynęło na obserwowaniu znaków na niebie, które potem można z powodzeniem wykorzystywać na ziemi. Razem z Ederrą i Beltránem wędrowały po drogach Pańskich, leczyły choroby i ludzkie nieszczęścia. Wędrowki przeplatały się z dniami odpoczynku i wytchnienia w wioskach, gdzie nigdy nie zdążyła poznać kogoś bliżej, bo nie było na to czasu. W jej życiu liczyła się jedynie Ederra i Beltrán. Nikt więcej nie budził w niej cieplejszych uczuć. Nie poruszały jej cudze cierpienia i kłopoty ludzi napotykanych po drodze. Jej rodziną była Ederra i Beltrán, ale czasami ta, zdawałoby się, atrakcyjna ekscentryczność dawała straszliwe poczucie wykluczenia ze świata ludzi, zwłaszcza wtedy gdy Mayo słyszała, jak jej rówieśnicy śmieją się, bawią razem w kole, gdy oglądała ich pokoje i łóżeczka, obserwowała ojców całujących, a choćby nawet i strofujących swoje córki. Ederra nie pozwalała jej na przygnębienie.

— Rodzice są okropni — mówiła — zwykle żądają, żebyś osiągnęła w życiu to, czego im się nie udało osiągnąć, albo budzą w tobie takie poczucie winy, że wszystko cię boli, nawet oddychanie. Niektórzy rodzą dzieci tylko po to, żeby mieć opiekę na starość.

Zapewniam cię, skarbie, że najlepsza jest wolność... Trzeba samemu wybierać swą drogę. Tak jak my.

Stopniowo Mayo wyzbywała się tęsknych myśli o rodzicach i zabawie z rówieśnikami.

Rzadko zagłędały do kościołów. Ederra mówiła, że bóstwa i duchy, które naprawdę pomagają ludziom, mieszkały kiedyś w głębokich lasach i grotach gór, ale chrześcijaństwo wypłoszyło je stamtąd i nikt już o nich nie pamięta. Mówiła, że bogowie panujący nad światem od zarania dziejów skazali się na wygnanie, gdy zaczęto budować świątynie; ukryli się ze strachu pod ziemią, bo nie mogli wytrzymać nieprzyjemnego, przenikliwego dźwięku kościelnych dzwonów. Od czasu do czasu obie chodziły na mszę dla zachowania pozorów i Mayo była pod wrażeniem takich rzeczy jak muzyka organów, ogrom kamiennych murów, delikatnie migocące światło świec, słodkawa woń kadzidła, surowa powaga księdza i wizerunki cierpiących Chrystusów, pokutujących za winy podłych grzeszników. Lubiła nabożeństwa z udziałem sióstr klauzurowych ukrytych w głębi nawy za romańską kratą tak gęstą, że nic nie było widać oprócz skupionych na modlitwie bogobojnych cieni. Idea pracy, poświęcenia swojego życia Bogu w ramach zadłużenia za grzechy świata, wydała się jej romantyczna. Widząc, jak siostry przyjmują komunię w ciszy za kratami, z dala od wszelkiego zła, Mayo czuła mistyczne uniesienie i poruszenie duszy, która zazdrościła zakonnicom tego zamknięcia i życia konsekrowanego. Była pewna, że one pierwsze wejdą do Królestwa Niebieskiego, o ile chrześcijańskie prognozy o końcu czasów okażą

się trafne. Gdyby nie Ederra, Mayo z ochotą poświęciłaby się medytacji jak one, bardziej ze względu na uczucie spokoju, które budziła w niej myśl o takim życiu, niż z powodu rzeczywistego powołania religijnego.

— Nie gadaj głupstw! — protestowała oburzona Ederra. — Naszym jedynym obowiązkiem wobec świata jest zostawić go lepszym, niż go zastałyśmy, a nie sądzę, żeby one jakoś szczególnie do tego dążyły w swych klasztorach. Człowiek zawsze stara się zaspokoić własne potrzeby. Jesteśmy egoistami i gdy nadchodzi chwila prawdy, szukamy własnego szczęścia kosztem szczęścia innych. Te wrony są szczęśliwe, gdy siedzą z założonymi rękami, wypiekają ciasteczka i mają spokojne sumienie. Popołniają grzech pychy, wiesz dlaczego? Bo uważają, że są lepsze od tych, którzy ciężko pracują codziennie, tak jak my. Lubią wygodę. Ludzie na ogół są wygodni, zadowolają się byle czym, nie zależy im na ulepszeniu świata i widzą tylko własny pępek. Nam to nie grozi, skarbie, nasze życie będzie inne, bardziej owocne.

Mayo zawsze była przekonana, że gdyby nie Ederra, ona też pogrążyłaby się w lenistwie i pospolitości. Dziwaczne życie nomady nie było jej marzeniem, ona tylko dostosowała się do takiego dziwnego życia tułaczego, które wybrał dla niej ktoś inny. Do czasu aresztowania Ederry i jej zaginięcia w labiryncie Świętego Oficjum, dopóki konieczność nie zmusiła Mayo do zmierzenia się z własnym losem, nigdy wcześniej nie decydowała sama za siebie.

Młodość przyszła nagle bez uprzedzenia. Mając tak mało wiadomości o swych rodzicach, wciąż się dziwiła, skąd u niej taka

wiotkość i nieśmiałość, bo nie miała okazji porównać się z matką. Jedyne, co mogła zrobić, to obserwować z ukrycia złoty czarownic, żeby zobaczyć swojego rzekomego ojca — demona i sprawdzić, czy jest do niego podobna. Nie znalazłszy żadnego podobieństwa, nadal czuła się małym, nieważnym stworzeniem.

Pewnego dnia dostała pierwszej miesiączki. Odtąd miała doznawać już przez całe życie czegoś tak wstrętnego, brudnego i bolesnego, bo jak wiele innych ważnych rzeczy, również miesiączka podlegała fazom księżyca. Ederra wyjaśniła jej, że każdego miesiąca przez tydzień będzie słaba i rozdrażniona, urosną jej piersi, wyskoczą pryszcze na twarzy i stanie się podatna na różne ziemskie pokusy, źródło wszystkich grzechów i rozwiązłości.

— Też mi przyjemność! — zaprotestowała Mayo.

— Musisz teraz bardzo uważać w kontaktach z mężczyznami — przestrzegala Ederra — bo jak cię dotkną, spuchniesz jak balon i urodzisz dziecko.

Nie musiała tego powtarzać dwa razy. Mayo wiedziała, że jej matka umarła przy porodzie, i widziała kobiety zwijające się w bólach rodzenia. To wystarczyło. Odtąd gdy przechodziła obok mężczyzn, odwracała wzrok w drugą stronę i cieszyła się, że oni też jej nie widzą. Jako dziecko nigdy nie była szczególnie zgrabna, ale z czasem zaczęła nabierać coraz bardziej kobiecych kształtów i Ederra musiała zamówić u krawcowej prawdziwą sukienkę jak dla panienki. Potem ściągnęła jej włosy w kok, obejrzała z matczyną dumą i pocałowała w czoło, roniąc łzę.

— Usunę ci te pryszcze. Będziesz śliczna, zobaczysz — powiedziała, trąc oczy.

Odtąd codziennie rano, zaraz po przebudzeniu, Ederra odprawiała rytuał, do którego potrzebowała:

- Cytrynę
- Sól
- Sproszkowany imbir

Należało odciąć czubek cytryny i wyrzucić, włożyć owoc do posolonej wody, gotować do białości, potem przemyć tym płynem twarz osobie, którą chce się wyleczyć z pryszczy, i przypudrować imbirem.

W zapale upiększania dziewczyny Ederra szorowała jej policzki sodą i znalazła w starych kronikach znachorskich przepis na usunięcie owłosienia z ciała. Trzeba do tego wziąć:

- Sok z dwóch cytryn
- Białko jajka
- Wosk pszczeleli
- Sproszkowany imbir

Ubiła na pianę białko z sokiem z dwóch cytryn, usunęła włosy z nóg Mayo za pomocą wosku pszczelego, delikatnie rozprowadziła przygotowaną pianę i wmasowała w skórę łydek aż do wchłonięcia. Na koniec przyprószyła sproszkowanym imbirem. Powtórzyła tę czynność jeszcze trzy razy ku niezadowoleniu dziewczyny, która strasznie cierpiała przy usuwaniu włosków z korzonkami. Ale efekt był wart cierpienia. Skóra na nogach Mayo wydelikatniała i błyszczała jak wypolerowane drzewo.

Daleko jej było do oszałamiającej urody Ederry, ale dzięki magicznym receptom na piękność stała się niezwykłą, zwiewną istotą o włosach delikatnych jak nitki jedwabiu, spod których wystawały spiczaste uszy. Miała drobną twarz z zadartym noskiem i przepiękne czarne oczy, niezdolne do łez, ale za to pełne nadzwyczajnego uroku. Niewątpliwie ojciec zaplanował dla niej bardziej brutalny wygląd w dniu, w którym zdecydował się ją splodzić. W wieku szesnastu lat Mayo wyglądała wciąż jak wróbelek i przypominała raczej leśnego skrzata niż zwykłą ludzką istotę, na dodatek zamiast słów wychodziły z jej gardła ciche, piskliwe trele, bo była nieśmiała i powściągliwa, głos zaś rzadko używany rozstraja się podobnie jak muzyczne instrumenty. A że taki wygląd mógł ją narażać na ludzkie zaczepki, od czasu zniknięcia Ederry unikała terenów zamieszkałych. Nie chciała wzbudzać podejrzeń.

Mayo też nie mogła zasnąć tej nocy. Czuła się przeraźliwie samotna. Brakowało jej ciepłych ramion, kołysanek, pocałunków, brakowało czulej obecności drugiego człowieka... tęskniła za swą nianią. Dawniej opatulona kocami lubiła obserwować wieczorny rytuał Pięknej, jak przed snem rozczesywała długie, rude włosy sto razy, które za każdym pociągnięciem grzebienia nabierały życia, unoszone niewidzialną falą płonęły jak ognisko. Jednocześnie Ederra podnosiła do nieba półprzymknięte oczy, wystawiając twarz na powiew nocnego wiatru. Trwało to dłuższą chwilę. Mayo wyczuwała w niej smutek i melancholię, więc żeby je rozproszyc, prosiła o opowiedzenie niezwykłej historii o bezkresnej ziemi, której zawsze słuchała z wielkim wzruszeniem.

— Jest faktem, tak samo jak to, że ty i ja jesteśmy tu w tej chwili — rozpoczynała Ederra z właściwą sobie swadą — że ziemia nie ma granic. Absurdalna jest myśl, że kiedyś dojdziemy do końca ziemi.

— Nawet gdybyśmy szły przez całe życie? — pytała zdziwiona dziewczynka.

— I trzy życia nie wystarczą. Nawet słońcu nie udaje się dotknąć granic ziemi, choć widzimy, że co wieczór zanurza się w morzu. Spytasz pewnie: a gdzie ono wtedy idzie? — Mayo przytakiwała. — No cóż, jak już znajdzie się w morzu, wchodzi do wnętrza matki (bo ziemia jest matką słońca i księżycy) i tak dociera do kraju, gdzie ludzie co rano uderzają kijami w skały, żeby zmusić słońce do wyjścia, bo ono jest bardzo leniwe.

— A co widzi słońce, kiedy jest pod ziemią?

— Ach, jak tam cudownie... Zamknij oczy, Mayo — dziewczynka posłuchała — musisz się bardzo skupić, żeby to sobie wyobrazić. Żadne słowa tego nie oddadzą. W głębi ziemi, po której chodzimy, są ogromne krainy z rzekami pełnymi mleka. Tam chowają się burze i czarne chmury brzemiennie deszczem, na polach rosną rzadkie kwiaty pomagające na wszystkie dolegliwości, a tęcza jest czymś tak powszednim, że nikt nie zwraca już na nią uwagi. Oto, co znajduje się pod naszymi stopami. Widzisz? — Mayo przytaknęła, nie otwierając jeszcze oczu, uśmiechnięta od ucha do ucha.

Ukończywszy rytuał szcزتkowania włosów, Ederra milkła, pozwoli zbliżyć się do miejsca, gdzie Mayo rozłożyła dla nich spanie, i wsuwała się pod koc. Przekręcała się na bok, żeby wziąć dziewczynkę za rękę, a Mayo zanurzała nos w rude włosy Ederry i

wdychała głęboko ich zapach: pachniały zielenią. Czasami, w letnie noce przed snem, obie tańczyły nago w świetle księżyca, żeby zabawić mądre leśne duchy, które w zamian obdarzały je swoją mądrością.

Mayo rozmarzyła się pod wpływem tych wspomnień, zapragnęła się odprężyć i zamknęła oczy. Nieświadoma, co czyni, podniosła się i zanuciła ptasim głosikiem melodię, której dobrze nie знаła. Ściągnęła koszulę i rozpięła spódnicę, która pieśczośliwie ześlizgnęła się po jej nogach. Zostawiła ubranie na ziemi, śpiewała i tańczyła między drzewami, pod rozgwieżdżonym niebem, a światło księżyca lizało jej plecy i delikatnie pieściło linię pośladków.

Nagle poczuła, że ktoś ją obserwuje. Była tego tak pewna, że aż zaschło jej w gardle ze strachu. Pobiegła po ubranie, żeby przykryć swą nagość. Nawet Beltrán zaczął się niepokoić.

— Jest tu kto? — spytała drżącym głosem z duszą na ramieniu.

Nie było odpowiedzi. Dziewczyna chwyciła za nóż i powoli, bezszelestnie, przesuwała się między drzewami. Serce łomotało jej w piersiach jak szalone, dopóki nie zobaczyła, że jakiś cień ucieka, biegnie pędem do wioski.

Mayo postanowiła poszukać bezpieczniejszego miejsca na nocleg.

xxx

Íñigo wpadł zadyszany do rezydencji, zanim pierwsze promienie jutrzeńki przeszły niebo. Na szczęście nikt nie zauważył jego nieobecności. Zamknął drzwi swojej celi i rzucił się na łóżko. Leżał na plecach, zakrywając oczy ramieniem. To nie była ułuda... Sama

prawda. Niebieski anioł istniał naprawdę, ale Íñigo nikomu o tym nie powie. Zanim zmorzył go sen, przyszło mu na myśl biblijne zdanie z Księgi Liczb, rozdział 22, werset 31, które brzmiało:

Wtedy otworzył Pan oczy Balaama i zobaczył on anioła Pana stojącego na drodze z obnażonym mieczem w ręku. Ukląkł więc i oddał pokłon twarzą do ziemi.*

* Wszystkie cytaty z Biblii przytoczone za: Biblia Tysiąclecia wyd. Pallottinum Poznań – Warszawa 1980.

XI

*O tym, jaka maść sprawi, że kobieta
nie pokocha już innego mężczyzny,
i jak doprowadzić kochanków
do zwady*

Pewnego ciepłego poranka w początkach lipca Rodrigo Calderon złożył ponowną wizytę Vallemu i Becerze w siedzibie inkwizycji w Logroño. Przybył bez uprzedzenia zapowiedziany jedynie szelestem peleryny i brzękiem szpady dzwoniącej przy zamaszystych krokach, w butach z brązowej skóry, które sięgały powyżej kolan, w zamszowym kapeluszu z szerokim skrzydłem skrywającym pół twarzy, na czele grupy mężczyzn wystrojonych, jakby mieli wystąpić na scenie teatralnej. Miał ponurą minę, co obaj inkwizytorzy odczytali jako rezultat ostatnich wiadomości, które krążyły tak szybko, przekazywane z ust do ust, że dotarły już nawet do Logroño. Mówiły o niegospodarności administracji, o problemach ekonomicznych, nękających cały kraj, i o tym, że główny minister starał się ukrywać to wszystko w zgiełku komediantów i coraz bardziej wystawnych przyjęć.

W tych dniach zwołano w Escorialu obrady pod przewodnictwem księcia Lermy, na których mówiono o sytuacji finansowej. Podobno królowa Małgorzata namówiła króla, żeby zażądał od swego ulubieńca wyjaśnień na temat zarządzania złotem ze skarbcza królewskiego, poprosiła również, żeby mogła być przy tym obecna, a małżonek wyraził zgodę.

W milczeniu królowa obserwowała przedstawienie odegrane przez księcia: wszedł do pałacowej sali audiencyjnej z wielkodusznym uśmiechem, z setkami dokumentów urzędowych pod pachą, z drewnianym kijkiem zakończonym kredą, którym wymachiwał przed sobą jak laską, i z sekretarzem Rodrigiem Calderonem u boku. Ten ostatni dźwigał tablicę, którą ustawił pośrodku sali.

Lerma zaczął gryzmolić cyfry przyprawiające o zawrót głowy i bez przerwy coś plótł. Najpierw mówił o tysiącach, które potem urosły do milionów, dodawał, odejmował, mnożył, dzielił, przedstawiał i dalej liczył, dopóki nie uzyskał zadowolającej kwoty, którą nabazgrał na środku tablicy wielkimi cyframi, wziął w kółko i dwa razy podkreślił, po czym głośno odczytał, przeżuując radośnie każdą sylabę. Zdaniem Lermy Filip III miał ogromną nadwyżkę i nie było się czym martwić. Wtedy podniosła się królowa Małgorzata i wygłosiła mowę, która potem zostanie przytoczona przed sądem i pozwoli zrozumieć, dlaczego książę Lerma i jego sekretarz Rodrigo Calderon zapalali do niej taką nienawiścią, że mogli pragnąć jej śmierci.

— Z przykrością muszę zaprzeczyć waszym słowom, Ekscencjo — rozpoczęła. — Te dwadzieścia cztery miliony idą w całości na pokrycie długów. A te czternaście milionów nadwyżki to kłamstwo — zakończyła, nie tracąc spokoju.

Książę o mało nie dostał apopleksji z wrażenia. Czego, u licha, chce ta kobieta, która zabiera głos, choć nikt jej o to nie prosił? Co ona tu robi? Kto jej pozwolił uczestniczyć w zebraniu poświęconym sprawom państwowym, na których się nie zna? Po co komu takie opinie, niech się nie miesza w sprawy mężczyzn! Kto jej pozwolił tu przyjść, na litość boską?! Wziął trzy oddechy, żeby pokryć wewnętrzną kontuzję, i postanowił nie ustępować.

— To nie jest moja opinia, tylko możliwy do udowodnienia fakt — kontynuowała niez mieszana królowa. — Pragnę zauważyć, że jeśli mamy w królestwie dochody rządu dwudziestu czterech milionów dukatów, jak Wasza Ekscelencja twierdzi, a do tego czternaście milionów zysku, to po co w takim razie ciągle brać pożyczki obciążające skarbiec, które wystawiają nas na łaskę i niełaskę bankierów i spekulantów bez skrupułów? Toż to czyste szaleństwo.

Książę Lerma po raz pierwszy w ciągu swej wieloletniej służby koronie dostrzegł błysk nieufności w oczach monarchy. Zaczął gwałtownie myśleć, kogo by tu obciążyć odpowiedzialnością za ewentualne uchybienia administracyjne, aby uwolnić siebie od podejrzeń. Zasugerował, że rada i komisja do spraw skarbu nie mają czystych rąk. Reakcje nie dały na siebie długo czekać. Członkowie rady poczuli się urażeni insynuacjami księcia. Oznajmili, że nie mają nic do ukrycia. Prowadzą przejrzystą taktykę zarządzania, a rozwiązania problemu nie należy szukać w obwinianiu innych za własne błędy, ale w zwiększaniu podatków w królestwie Kastylii, które i tak ledwo zipie finansowo. Najrozsądniejszym wyjściem będzie redukcja ogromnych wydatków na zaspokajanie kaprysów monarchii, w większości wypadków zupełnie

niepotrzebnych lub graniczących z przesadą. Rada zaproponowała ustanowienie rocznych limitów na luksusowe wydatki dworu królewskiego.

Lerma się z tym nie zgodził. Monarchii nie można podporządkować sprawom tak prozaicznym jak pieniądz. Król i jego dwór są reprezentantami królestwa i nie można pozwolić, aby stracili splendor, który przez wieki sytuował Hiszpanię na czele innych krajów europejskich olśnionych tym blaskiem. Zasugerował zwiększenie presji podatkowej zamiast obcinania królewskich wydatków, lecz oczywiście nie w królestwie Kastylii, które jest nadmiernie obciążane w związku z niedawnym uchwaleniem nowych świadczeń w wysokości siedemnastu milionów dukatów płatnych do 1617 roku, nie mówiąc już o płatnościach z tytułu podatków zwykłych i nadzwyczajnych. Trzeba więc szukać rozwiązań strategicznych, przekonać inne królestwa, poza Kastylią, do współpracy w ratowaniu finansów monarchii i trzeba działać szybko, bo kryzys strukturalny zagraża wszystkiemu i każdemu z sektorów społecznych: wieś się wyludnia, szlachta popada w ruinę, zaciągając coraz to większe długi, a kler patrzy bezradnie na rozpad klasztorów.

Na madryckich ulicach pojawiły się paszkwile autorstwa pewnego kronikarza obdarzonego lekkim piórem, który napisał, że Kastylia i cała hiszpańska monarchia przypomina jako żywo giganta o złotej głowie, srebrnym tułowiu, nogach z gliny, i przepowiedział kompletny upadek w ciągu najbliższych czterdziestu lat. Dwa tygodnie potem znaleziono go martwego w stołecznym zaułku, ze sztyletem w plecach i nikt nie widział, jak zginął ów kronikarz prorok. Oficjalna wersja mówiła, że napadli go bandyci,

ale nie zginął ani jeden z dukatów, które miał przy sobie.

Zaczęto krytykować nie tylko Lermę, ale i Rodriga Calderona. Francisco de Mendoza, admirał Aragonii, oskarżył go o sprzeniewierzenie funduszy, płatną protekcję i prześladowanie osób sprzeciwiających się roli sekretarza w rządzeniu monarchią. Komentarze wkrótce ucichły, a sam admirał został oskarżony o zdradę stanu. Odtąd zamiast głośnych protestów pojawiały się szeptaki, a intelektualiści zorientowali się, że za odważną krytykę poczynań głównego ministra i jego sekretarza groziło więzienie, potwarz lub sztylet w plecy w ciemnym zaułku. Szeptano nawet, że królowa Małgorzata utworzyła po cichu opozycję wobec Calderona spośród swych najbliższych przyjaciół i przeciwników głównego ministra. Ludzie na ulicy robili zakłady, kto odejdzie pierwszy z pałacu: piękna królowa czy sekretarz — szarlatan.

Tak stały sprawy tego rana, kiedy Becerra i Valle przyjęli Rodriga Calderona w sali posiedzeń.

— Jak tam nasze plany, szanowni ojcowie? — przywitał się Calderon, podnosząc teatralnie jedną brew.

— Wciąż próbujemy udowodnić, że to wszystko, co wiąże się z tematem czarownic, jest prawdą, a nie wymysłem czy inną fantazją — odpowiedział Valle — ale niech Wasza Miłość weźmie pod uwagę, że trudno wykonywać z entuzjazmem tak skomplikowane zadanie, skoro nawet inkwizytor generalny nas nie popiera. Ślepo ufa swojemu protegowanemu, którym jest Alonso de Salazar y Frías i jego absurdalne argumenty przedkłada nad nasze dowody. Salazar robi wszystko, żeby nas ośmieszyć.

— Nie przejmujcie się inkwizytorem generalnym — odparł Calderon, pocierając brodę. — Są ważniejsze sprawy do załatwienia. Myślę, że powinniście przejąć inicjatywę i wykonać pierwszy krok. Z tego, co wiem, wizytacja ma opóźnienie. Salazar nie mieści się w ustalonych terminach. — Valle i Becerra przytaknęli. — No właśnie... A wy, jako inkwizytorzy, nie możecie czekać z założonymi rękami, widząc tyle przejawów zła w tym regionie. Nie możecie stać i patrzeć, jak zło was osacza, prawda? — uśmiechnął się zagadkowo.

— Nie rozumiem — odezwał się Becerra.

— Zdaje się, że program wizytacji obejmuje również Viterie, okolice Logroño... i wiele innych miejsc — rzucił Calderon, przyglądając się zdumionym inkwizytorom, którzy wciąż nie pojmowali, do czego on zmierza. — Salazarowi zajmie to kilka miesięcy. A w tym czasie członkowie sekty demona mogą zaatakować i zniszczyć jakieś miasto, prawda? Zbyt długie oczekiwanie na Salazara będzie mieć dla mieszkańców katastrofalne skutki.

— Proszę wybaczyć — przerwał mu Becerra — ale jeśli Salazar dowie się, że wkraczamy w jego kompetencje, i powie o tym inkwizytorowi generalnemu, to...

— Wasz kolega wcale nie musi się gniewać ani poczuć zagrożony... Macie szczytny cel: przyspieszyć pracę, nadrobić opóźnienie — Calderon mówił ojcowskim tonem. — Powiedźcie o tym Salazarowi z ufnością. Nie trzeba zwlekać z podjęciem śledztwa w miejscach, gdzie on jeszcze nie był i tak szybko nie dotrze. Powiedźcie, że w związku z zagrożeniem, jakie dla regionu Alava stanowi rosnąca liczba czarowników, którzy zamierzają rozbić integralność

religijną tych ziem, postanowiliście ogłosić edykt jak najszybciej, nie czekając na jego przyjazd, bo to jedyny sposób, aby uniknąć poważniejszych nieszczęść.

— Wybaczenie, ale jeszcze raz zapytam: co na to inkwizytor generalny? Przecież chciał, żeby Salazar osobiście poprowadził tę wizytację łącznie z procesem ułaskawienia na mocy edyktu — Becerra zawahał się.

— Trzeba współdziałać z kolegą i ułatwiać mu pracę, szanowni panowie. To się nazywa mieć inicjatywę. Poza tym — Calderon mówił coraz głośniej, bo ogarniało go rozdrażnienie — czyż wy nie jesteście inkwizytorami? To zachowujcie się jak przystało na inkwizytorów i nie pozwólcie, aby zło rozpanoszyło się w tej części kraju. Przegońcie stąd diabła i hordy diabelskie... Czyńcie sprawiedliwość! Na litość boską! — Kiedy się wreszcie uspokoił, dodał: — O inkwizytora generalnego możecie być spokojni. Nie będzie miał pretensji.

— Jak mamy działać? — spytał Valle. — Nie wolno nam opuszczać bez pozwolenia siedziby w Logroño. Jak złapiemy czarowników, żeby ich przesłuchać?

— Zaraz wam kogoś przedstawię.

Calderon wstał, podszedł do drzwi, otworzył i szepnął coś do ucha jednemu ze swych ludzi stojących na straży u wejścia, a ten natychmiast oddalił się zdecydowanym krokiem. Rodrigo Calderon wykorzystał przedłużającą się chwilę zwłoki, żeby poinformować inkwizytorów, że był niedawno w Bordeaux. Spotkał się tam z Pierre'em de Lancre, jak zapowiedział podczas poprzedniej wizyty w Logroño, i wszystko wskazuje na to, że francuski inkwizytor jest gotów pomóc w powstrzymaniu diabelskiej plagi, która spadła na

tutejsze ziemie. Lancre powiedział, że nie mógł nic zrobić, kiedy na wieść o jego przybyciu czarownicy zaczęły hurmem uciekać przez granicę, powodując nieszczęścia w dolnej i górnej Nawarze. Większość czarowników upozorowała pielgrzymki do Montserrat i do Santiago, ale to był fałszywy pretekst. Angielscy i szkoccy żeglarze, który przybili do portu w Bordeaux w poszukiwaniu wina, zapewniali go, że podczas rejsu widzieli całe armie demonów w ludzkim ciele przelatujących z Hiszpanii do Francji i z powrotem, jakby nie było żadnych granic.

— To straszne — oburzył się Becerra.

— Oczywiście, że tak... oczywiście — powtórzył Calderon, przybierając stosowny wyraz twarzy. — Prawdopodobnie mamy tu do czynienia z czymś, co przekracza nasze możliwości, z czymś zupełnie nowym. Dlatego potrzebujemy pomocy od osób, które wiedzą więcej.

Inkwizytorzy Valle i Becerra popatrzyli na siebie, jakby nie rozumiejąc. Akurat w tym momencie rozległo się pukanie, Calderon otworzył drzwi i wpuścił do środka dwie osoby czekające na zewnątrz.

— Oto oni! — zawołał teatralnie. — Wasi nowi współpracownicy. Pozwólcie, że wam przedstawię: proboszcz Pedro Ruiz de Eguino i panna Morguy. Będą wam pomagać.

Dwie milczące sylwetki weszły do sali z pochylonymi głowami. Mężczyzna był szczupłym ciemnowłosym zakonnikiem w średnim wieku, z oczami przyczajonymi za małymi, okrągłymi okularami. Ona na pierwszy rzut oka zdawała się zwykłą młodą dziewczyną, lat zaledwie dwudziestu, ale po bliższym przyjrzeniu się można było dostrzec w jej tajemniczych, brązowych oczach mądrość

osiemdziesięcioletniej staruszki.

— Zacznę od zaprezentowania wyjątkowych zalet dziewczyny. Damy mają pierwszeństwo. — Calderon puścił oko do panny Morguy, ale ta nie zareagowała. — Pan Pierre de Lancre zgodził się nam ją wypożyczyć. Ona potrafi znaleźć na ciele czarowników znamię, jakie robi im diabeł, kiedy wstępują na jego służbę, prawda?

— Są znakowani jak bydło — odburknęła Morguy ze wzrokiem utkwionym w podłogę — stado diabelskiego bydła na ziemi. To *stigma diaboli*. Kto go ma, ten na pewno jest zły i zasługuje na oczyszczenie przez ogień — zakończyła.

Pierre de Lancre powiedział Calderonowi, że na początku śledztwa w kraju Lapurdi korzystał z pomocy chirurga, ale pewna siedemnastolatka z północy Bidasoa okazała się jeszcze zręczniejsza w wynajdywaniu diabelskiego znaku w ciele oskarżonych o czary. Miała ogromne doświadczenie, ponieważ przez wiele lat wbrew własnej woli uczestniczyła w *akelarre*. Zmuszała ją do tego zła czarownica. Kiedy wreszcie uwolniła się od niej, postanowiła pomagać ludziom, których spotkało to samo nieszczęście. Potrafiła rozpoznać mężczyzn namaszczonych przez demona po kolorze skóry i wyglądzie źrenicy. Nawet jeśli znamię było ukryte głęboko, w niewidocznym miejscu, ona i tak umiała wskazać te osoby. Wykrywała najdrobniejsze znaki. Używała do tego długich igieł, które wbijała oskarżonym w oznaczone miejsca ciała, przy czym dana osoba nie czuła żadnego bólu.

— Nie zaprzeczycie, że pomoc tej dziewczyny będzie bardzo cenna — powiedział uśmiechnięty Calderon i dodał: — a jeśli chodzi o Pedra Ruiza de Eguino — wskazał wzrokiem na zakonnika,

który dotąd nie odezwał się ani słowem — to powiem tylko, że wprost pali się do pomocy i wie doskonale, jak znaleźć wyjście z tej przykrew sytuacji.

— Znam około setki podejrzanych — wyjaśnił szybko proboszcz Pedro Ruiz de Eguino, jakby nagle obudził się z zamyślenia — którzy powinni znaleźć się w lochach tego świętego domu, zamiast chodzić po świecie ze szkodą dla chrześcijaństwa. Wśród nich jest dziesięciu księży, którzy utrudniają pracę Świętemu Oficjum, ponieważ w swych parafiach grożą czarownikom przy spowiedzi okrutnymi karami, jeśli ci próbują opuścić sektę demona. Osobiście znam takiego jednego. — Podniósł palec i spojrzał na Vallego i Becerrę, przymykając lewe oko. — On jest najgorszy ze wszystkich. To ksiądz Diego de Basurta. Ma dziewięćdziesiąt pięć lat i opinię lubieżnika. Prowadzi bezwstydną korszachtę z Szatanem. Nawet nie wyobrażacie sobie, do czego on jest zdolny. — Proboszcz ściszył głos i ciągnął poufale: — Podobno niejedna parafianka była z nim w ciąży. Jak się na jakąś uweźmie, to potrafi sprawić, żeby go pokochała i nigdy już nie spojrzała na innego mężczyznę. W tym celu bierze ekskrementy kozła (bo jak wiecie, kozioł jest ucieleśnieniem demona), miesza z mąką pszeniczną, zostawia do wysuszenia, potem rozdrabnia i podgrzewa na małym ogniu z olejem, a przed kopulacją smaruje tym sobie napletek. Odtąd kobieta należy do niego na zawsze.

— Ma dziewięćdziesiąt pięć lat? — upewnił się zdziwiony Valle.

— Na pewno zawarł jakiś pakt z demonem — szepnął mu Becerra — bo w tym wieku... No proszę...

— Nie sądzicie, że jedna mu wystarczy — Pedro Ruiz de Eguino

wyraźnie się ożywił — albo że ogranicza się do niezamężnych... Nic podobnego. Jeśli pożąda cudzej narzeczonej albo mężatki, to suszy werbenę, rozciera na proszek i sypie między kochankami, a ci zaraz zaczynają się kłócić.

— Prawda, że nie możemy pozwolić, aby to trwało nadal? Jestem pewien, że wielebni coś z tym zrobią — Calderon zwrócił się do inkwizytorów poufnym tonem. — Napiszcie waszemu koledze, że podejmujecie śledztwo... i że będziecie informować go o przebiegu wydarzeń.

— Możecie mi zaufać. — Proboszcz Pedro Ruiz de Eguino nabrał odwagi i starał się pokazać z jak najlepszej strony. — Sam będę przemierzać drogi, chodzić po osadach i miastach. Będę łapać złoczyńców i co tydzień dostarczę pod drzwi tego świętego domu wóz pełen czarowników gotowych złożyć zeznania. Oszczędzę wam zmartwień, a poza tym — zawahał się — wielkim zaszczytem będzie dla mnie stanowisko komisarza inkwizycji w zamian za moje usługi.

— Nie ma problemu! — zawołał Calderon — Prawda, ojcowie?

— Zrobimy, co w naszej mocy — odparli Valle i Becerra.

xxx

Salazar zauważył, że coś się dzieje z jego pomocnikiem. Íñigo de Maestu spędził cały ranek na ganku wokół patia, przechadzał się w tę i z powrotem z pochyloną głową, od czasu do czasu wyglądał na zewnątrz, wzdychał żałośnie i przyciskał do piersi Biblię, jakby to była ostatnia deska ratunku. Wreszcie usiadł na jednej z ławek pod krzyżem z drzewa orzechowego, na którym blady Jezus

Chrystus z kości słoniowej cierpiał pod napisem INRI. Siedział tak parę godzin, kartkując świętą księgę i, wpatrzony w nieskończoną dal, mamrotał coś pod nosem, jakby uczył się całych fragmentów księgi na pamięć.

Podczas obiadu Salazar zrobił krótkie podsumowanie dotychczasowych wydarzeń głównie po to, żeby oderwać nowicjusza od jego myśli. Powiedział o listach, które koledzy przesłali mu z Logroño, a które wydały mu się nieco gorzkie. Wspomniał o listach od inkwizytora generalnego, który na szczęście wspierał go we wszystkich decyzjach, i gdyby nie on, to... Inkwizytorzy Valle i Becerra wcale nie pomagają, tylko robią wszystko, żeby zbojkotować wizytację. Przekazują komisarzom w większych miastach złe informacje... Ciekawe, co też chcą w ten sposób osiągnąć...

Salazar zamilkł. Spojrzał spod oka na chłopca, czekając na oznakę zainteresowania, pytanie czy choćby żart z jego strony, ale nic takiego się nie stało, Íñigo milczał do końca obiadu, zajęty liczeniem ziaren grochu na talerzu, które układał w kupkach: po jednym, po dwa, po trzy i tak od nowa, aż wreszcie poprosił o pozwolenie wstania od stołu i wyszedł, nie wzięwszy ani kęsa do swych różowych ust serafina. Salazar umiał rozpoznawać rozterki duszy po zewnętrznych oznakach, dlatego od razu wyszedł na korytarz.

— Íñigo!

— Słucham, mój panie.

— Jesteś przygotowany do podróży do Elizondo?

— Tak, mój panie. — Íñigo zamilkł i nie zamierzał dodać nic więcej, więc Salazar pokazał wzrokiem na Biblię, którą chłopak ścisnął pod pachą.

— Znalazłeś odpowiedź na swoje pytania?

— Nie zawsze szukam odpowiedzi — odparł nowicjusz. — Czasem wystarczy tylko jedno zdanie, słowo lub myśl, żeby nie czuć się tak samotnym, żeby wiedzieć, że ktoś przede mną, w innym czasie, czuł to samo co ja. Nie umiem nazwać tego, co się ze mną dzieje, a Biblia pomaga mi to zrozumieć.

— Dobrze robisz, Íñigo. Uczucia nigdy nie były wyłącznością jednego człowieka. Miłość, nienawiść, radość, żal... poruszały już wielu innych przed naszym przyjściem na świat. No cóż... — Salazar znów rzucił okiem na Biblię — znalazłeś potwierdzenie, że ktoś czuł się kiedyś tak jak ty?

Íñigo westchnął smutno, otworzył księgę, odszukał właściwą stronę, ale nie czytał, tylko recytował z pamięci, patrząc Salazarowi prosto w oczy.

— List do Rzymian, rozdział siódmy, wers dwudziesty trzeci do dwudziestego czwartego — wyjaśnił na wstępie. — „W członkach zaś moich spostrzegam prawo inne, które toczy walkę z prawem mojego umysłu i podbija mnie w niewolę, pod prawo grzechu mieszkającego w moich członkach. Nieszczęsny ja człowiek! Któż mnie wyzwoli z ciała [co wiecie ku] tej śmierci?”

— Widzisz, drogi Íñigo, natura ludzka jest krucha... delikatna. Najpiękniejszy anioł, ulubieniec Pana, pewnego dnia zbuntował się przeciw Niemu i już z Nim nie jest. Skoro anioł upadł, to jak my, słabe istoty ludzkie, mamy się nie zachwiać? Ale bądź spokojny, liczy się nie słabość ciała, tylko walka duszy z tymi słabościami. Nie zadrećzaj się dłużej, Íñigo. Odpocznij i nabierz sił, bo potrzebuję cię do dalszej pracy. — Poglaskał dziecinnie gładki policzek nowicjusza i spojrział nań z ojcowską czułością.

Salazar miał wrażenie, że Íñigo jest do niego podobny, choć musiał przyznać, że chłopak ma lepszy charakter niż on i życzył mu z całego serca, aby nie zgorzkniał pod wpływem różnych zdarzeń losowych, jak to się jemu przytrafiło.

W tym momencie zawiadomiono Salazara, że ktoś pilnie chce go widzieć, więc przerwał rozmowę. Była to córka zmarłej Juany de Sauri; zamiast wejść do sali przesłuchań, wolała czekać w ciemnym kącie między bramą główną a jasno oświetlonym dziedzińcem rezydencji, aby nikt jej nie widział. Nosila żałobę, nawet głowę przykryła chustą zasłaniającą usta tak, że prawie nie było widać jej twarzy.

— Stało się coś? — Salazar był zaskoczony.

— Ona... moja matka... bała się — rzekła na powitanie. — I ja też się boję.

Córka Juany de Sauri opowiedziała inkwizytorowi, że matka była *serora*. Tak w tutejszym języku nazywa się osobę pełniącą funkcję zakrystiana, która z oddaniem posługuje zarówno na plebanii, jak i w kościele. Kiedy w ubiegłym roku spadła na okolicę plaga diabelska, proboszcz Borrego Solano namówił ją do zeznawania w siedzibie Świętego Oficjum przeciwko sąsiadom, którzy od dawna mieli opinię czarowników, twierdząc, że tylko w ten sposób można zapobiec jeszcze gorszym problemom. Matka nie była przekonana, ale pojechała z innymi dobrymi parafianami do Logroño, bo tak kazał proboszcz. Z natury lękliwa zgodziła się złożyć donos po wysłuchaniu zarzutów wobec ludzi mieszkających z nią po sąsiedzku, choć nie miała na to żadnych dowodów. Wierzyła jednak, że proboszcz nie kazałby zrobić czegoś niezgodnego z prawem bożym.

— Miała dobre serce, łaskawy panie, i szybko pożałowała własnych zeznań — córka Juany rozplakała się — ale było już za późno. Zapadły wyroki... i... wiadomo, co się stało. Potem matka nie spała po nocach, mówiła, że słyszy krzyki skwierczących w ogniu skazańców, którzy wytykają ją płonącymi palcami i wołają: „Twoja wina, twoja wina!”. Dręczyły ją wyrzuty sumienia... Poszła więc do proboszcza, ale on powiedział, że wszystko jest w porządku, bo zrobiła, co do niej należało, a ja chciałam ją uspokoić i cały czas mówiłam, że trzeba wierzyć proboszczowi... Jednak nic nie pomogło. Uparła się, że wycofa zeznania. Dlatego chciała z wami porozmawiać... poprosiła o audiencję. Chciała wyznać, że rok temu zeznała nieprawdę i nigdy nie widziała czarowników ani tym bardziej Szatana. Potrzebowała rozgrzeszenia, żeby wreszcie odpocząć, bo skazańcy i jej własne sumienie nie dawali jej przespać spokojnie jednej nocy.

— Dlaczego nic mi nie powiedziałaś, kiedy byłem u ciebie w domu?

— Bałam się. Ktoś powiedział, że ona... że z powodu udręki... że mogła to zrobić... no wiecie... odebrać sobie życie. Ale ja w to nie wierzę... moja matka nie mogła tego zrobić... to niemożliwe... to na pewno oni... Oni!

— Jacy oni? — spytał Salazar.

— Zemsta czarowników, jak mówi proboszcz. — Przeżegnała się i sięgnęła do kieszeni fartucha. — Matka zostawiła coś dla was, Wasza Miłość. Proboszcz Borrego Solano kazał mi to zniszczyć, jak mu powiedziałam. Już miałam go posłuchać i podrzeć... ale pomyślałam... sama nie wiem dlaczego... pomyślałam, że jeśli wam to oddam, to może matka zazna wreszcie spokoju i przejdzie

do lepszego miejsca. — Wyciągnęła błękitny pergamin, na którym można było przeczytać u góry: „Do rąk własnych Alonsa Salazara”.

— Matka umiała pisać?

— Proboszcz nauczył nas obie.

— Ale tutaj nic nie ma. — Salazar obejrzał kartkę z jednej i drugiej strony. Oprócz swojego imienia i nazwiska, wyraźnie napisanych w nagłówku listu, nie znalazł nic więcej. Kartka była pusta.

— Jesteś pewna, że to wszystko?

— Jestem pewna.

Kobieta skierowała się do wyjścia i kiedy już była w drzwiach, Salazar ją zatrzymał.

— Wybacz, że jeszcze raz zapytam, ale wciąż się zastanawiam, czy twoja matka nie utykała na jedną nogę?

— Zapewniam, że nie. Niczego nie ukrywam, wszystko już powiedziałam.

Po wyjściu kobiety Salazar poczuł potrzebę opowiedzenia komuś o tej rozmowie i postanowił napisać do swojego mentora, inkwizytora generalnego. Jak dotychczas, Bernardo de Sandoval okazywał mu pełne zaufanie i wsparcie, toteż pragnął mu za to podziękować. W liście zaznaczył, że czas nie jest jego sprzymierzeńcem w tej misji i przez dwa miesiące od wyjazdu z Logroño zrealizował postanowienia edyktu łaski tylko w jednym miejscu, w Santesteban, chociaż pracował bez wytchnienia i wymagał tego samego od swych pomocników. Wygląda na to, że nie zdołają objechać przez sześć miesięcy całej zaplanowanej trasy. Na zakończenie Salazar tłumaczył, że wyniki śledztwa na razie nie wskazują na rzeczywiste istnienie czarowników i demonów, ale nie wykluczają też takiej możliwości.

Znajduje się w moich rękach ważna poszlaka, która może nam pomóc w odkryciu prawdy. Złożyła mi dziś wizytę córka zmarłej Juany de Sauri, żeby powiadomić o wielkim strapieniu swojej rodzicielki. Nieboszczka miała, jak się zdaje, silne wyrzuty sumienia z powodu swych zeznań przed trybunałem w Logroño podczas ubiegłorocznego procesu czarownic. Dowiedziałem się od córki, że Juana de Sauri skłamała za namową proboszcza Borrego Solano, ale poczuła wielką skruchę i zapragnęła przebaczenia. Zostawiła dla mnie list, który córka doręczyła mi dzisiaj, i wyczuwam, że zawiera on istotną wskazówkę na temat rzeczywistego przebiegu wydarzeń w tym regionie, ale jaką? Ta pusta kartka pergaminu ukrywa pewien sekret, wiem o tym, ale mój umysł nie jest jeszcze w stanie go odgadnąć.

List kończył się słowami zapewnienia, że Salazar nie spocznie, dopóki nie znajdzie odpowiedzi na wszystkie pytania. Zgiął papier na pół, włożył do koperty, zapieczętował i wręczył posłańcowi.

— Ruszaj natychmiast. Inkwizytor generalny musi jak najszybciej otrzymać ten list — rozkazał.

XII

*O tym, jak sporządzić środek,
który złagodzi szkodliwe działanie
trucizny, a zarazem przysporzy
nam mądrości*

— A co tam słyhać u Vallego i Becerry?

— No cóż... Byli trochę zdeorientowani. Nie bardzo wiedzieli, co robić. Na szczęście ja im pomogłem „podjąć słuszną decyzję”.

Rodrigo Calderon zaśmiał się chępliwie, dumny ze swej retoryki. Urwał jedno winogrono z kiści na stojącym przed nim półmisku, podrzucił je do góry i otworzył usta, żeby złapać. Jak małpa na jarmarku. Potem rozwalił się na krześle, położył nogi na stół i mówił dalej z niefrasobliwą miną, nie zważając na potępiające spojrzenie rozmówcy.

— Przedstawiłem panom inkwizytorom z Logroño pannę Morguy, która zna się jak nikt na wykrywaniu *stigma diaboli*, a także łowcę czarownic, niejakiego Pedra Ruiza de Eguino, który, nawiasem mówiąc, jest zainteresowany stanowiskiem komisarza inkwizycji. Oboje są bardzo oddani sprawie.

Zaczną działać na terenach, do których nie dotarł jeszcze Salazar ze swą świtą. Wszystko będzie dobrze... Pryncypale. — Calderon podkreślił ostatnie słowo z odrobiną sarkazmu. — Za parę tygodni tajne więzienia zapełnią się czarownikami i czarownicami. Ludzie poczują strach.

— Co możecie mi powiedzieć o misji Salazara?

— Szczerze? — Calderon rzucił mu drwiące spojrzenie. — Dowiedziałem się wielu rzeczy... Nie na próżno moi informatorzy kręcą się przy nim w dzień i w noc. Ale Wasza Miłość na pewno lepiej ode mnie zna wszystkie szczegóły wizytacji.

— Widzę, że to, co się o was mówi, jest prawdą: pyszny, zadufany, próżny i niezdolny poskromić języka...

Rodrigo Calderon pominął milczeniem te słowa i dalej skubał winne grono z fałszywie skromną miną.

— To, co powiedziałem, nie jest komplementem — wyjaśnił Pryncypał.

— Dziwne, że mimo wszystko jestem tak bardzo przydatny koronie. *N'est-ce pas?* — Calderon uśmiechnął się kpiąco.

Jego rozmówca spojrzał chłodno. Nie chciał dać po sobie poznać, że zrozumiał aluzję: francuskie zdanie nawiązywało do komentarzy, jakoby śmierć Henryka IV, zamordowanego rok wcześniej na ulicach Paryża przez człowieka o nazwisku Ravailiac, była wynikiem spisku zawiązanego na dworze hiszpańskim. Śmierć króla Francji kładła bowiem kres jego planom wejścia w sojusz z księciem Sabaudii, żeby wspólnie zaatakować Mediolan, który był centrum władzy hiszpańskiej na półwyspie włoskim i punktem stycznym między Hiszpanią a Niderlandami. Nie dało się tego udowodnić, ale krążyły pogłoski, że zamieszani byli w to jezuita, a

autorami morderstwa byli Lenna i jego wierny Calderon. Korona oficjalnie potępiła królobójstwo Henryka IV, nieoficjalnie zaś odbył się wielki bal z inicjatywy głównego ministra, na którym nie zabrakło pieczonych prosiaków, indyków i toastów winem za nową przyszłość galijskich sąsiadów.

— Więc jak? — westchnął Pryncypał. — Dalej będziemy walczyć na słowa, czy też Wasza Dostojność opowie mi wreszcie o wszystkim?

Calderon zdjął nogi ze stołu, oparł się łokciami na kolanach i przybrał poważny wyraz twarzy.

— Prawdę mówiąc... Martwi mnie postawa tego Salazara. Chciałbym zrozumieć, dlaczego to on został wizytatorem, a nie na przykład Valle czy Becerra. Oni są bardziej podatni na... na różne, że tak powiem, argumenty. Natomiast Salazar zbija ludzi z tropu, bo zadaje durne pytania i stosuje absurdalne metody prowadzące do jeszcze bardziej absurdalnych wniosków. Nikt go nie rozumie... ale patrzą na niego jak na półboga, respektują wszystkie jego decyzje. A jego słowa są jak rozkaz i nie podlegają dyskusji — westchnął zniechęcony. — Nie wiem, czy to dobrze dla naszej sprawy.

— Ależ tak, Calderon, nawet bardzo dobrze — zaznaczył Pryncypał, wstając z krzesła, żeby przejść się po sali. — Niech zobaczą, że potrafimy zaradzić wszystkim nieszczęściom tego świata. Ludzie muszą być wdzięczni za to, co dla nich robimy. Niech poczują, że jest ktoś, kto czuwa nad ich bezpieczeństwem duchowym. Proszę pamiętać, że mnie zależy przede wszystkim na jedności religijnej.

— To bardzo dobrze — skwitował Calderon. — Każdy z nas dba o swoje interesy. Ale mimo to nie sądzę, by nadmierny spokój był korzystny dla tej sprawy. Trzeba coś zrobić, aby uwidocznić złe

czyny czarowników przynajmniej wtedy, gdy Salazar zjawia się w danym miejscu. Niech on też się przestraszy i nie będzie taki pewny siebie. To nam nie zaszkodzi, a przy okazji wzbudzi się popłoch wśród ludzi.

— O czym konkretnie myślicie?

— Na przykład o przesłuchaniach... Teraz saperne płaczu, skrucy, błagań: „Proszę o wybaczenie, proszę o wybaczenie, bo bardzo zgrzeszyłem... Ale ja wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego...”

— Calderon udawał piskliwe głosy pokutników. — To takie łatwe... nie robi „wrażenia”. Myślałem, żeby wykorzystać jedną z moich informaterek. Poszłaby na przesłuchanie jako skruszona czarownica i narobiła zamętu. To by dopiero było! Prawdziwa spowiedź! „Jak demon przykazał!” — zaśmiał się, bo spodobała mu się ta gra słów. Calderon był sobą zachwycony.

— Pozostawiam to waszej decyzji — Pryncypał spojrział surowo — ale ostrożnie, Calderon, nie chcę, żeby powtórzyła się ta historia z Juana de Sauri. Nie wolno przesadzać. Ufam, że sprawa nie wymknie się wam więcej z rąk. — Zamilkł na chwilę, usiadł i zmieniając temat, dorzucił: — Słyszałem, że nieboszczka zostawiła list dla Salazara... Oby nie napisała czegoś, co nas obwinia.

— Co nas obwinia? Nic nie wskazuje na to, żeby ta kobieta miała z nami jakiś związek. Możecie być spokojni. — Salazar spojrział mu prosto w oczy. — Po pierwsze, pragnę wyjaśnić, że moi informatorzy nie ponoszą winy za śmierć Juany de Sauri. To był zwykły wypadek i choćby Salazar wykrył nie wiem co, za pomocą swych groteskowych metod, to i tak nie wpadnie na nasz trop, a co do listu... nie wiedziałem o jego istnieniu. Ta kobieta umiała pisać?

— Wygląda na to, że tak. List znalazła jej córka, był zaadresowany do Salazara. Dała mu go, ale z tego, co wiem, on nie potrafi go odczytać.

— Jeśli ten list jest w rękach inkwizytora, to moi informatorzy przejmą go i zniszczą, nie martwcie się — zapewnił Calderon.

Między mężczyznami zapadła niezręczna cisza.

— Wasi informatorzy nie wiedzą, kim jestem, prawda Calderon?

— Za kogo mnie macie? Od lat zajmuję się najbrudniejszymi sprawami w tym królestwie i nikt nie mógł mi nic zarzucić. Daję maksymalną gwarancję dyskrecji. Oni wiedzą tylko tyle, że pracują dla człowieka, którego nazywamy Pryncypałem.

— I tak powinno być nadal, Calderon. Zapamiętaj to sobie, tak powinno być nadal.

xxx

Po ceremonii pojednania Salazar i jego świta pozostali jeszcze przez parę dni w Santesteban. Trzeba było się spakować, uprządkować foliały i dowody, załadować kufry do wozu. Wszyscy krzątali się zaafelowani, tylko nowicjusz Íñigo de Maestu snuł się jak śpiący, bezwiednie wykonywał polecenia, patrzył, nie widząc, i odpowiadał ledwo słyszalnym głosem, kiedy ktoś zwrócił się do niego z pytaniem. Salazar poważnie się o niego martwił. Wcześniejsza rozmowa z nowicjuszem na niewiele się zdała. Inkwizytor zaś dobrze wiedział, że w pewnych okresach życia lepiej za dużo nie myśleć, bo to może być równie niszczące jak rdza i trzeba odsuwać od siebie zbyt nachalne myśli. Wieczorem poszedł do pokoju

Íñiga, żeby go pocieszyć lub przynajmniej rozproszyć smutne myśli. Zresztą sam potrzebował z kimś porozmawiać o liście Juany, którego nadal nie umiał rozszyfrować. Co czworo oczu to nie dwoje i może nowicjusz, ze swymi umiejętnościami tropiciela, zdoła wyjaśnić znaczenie pustej kartki papieru.

Zapukał dwa razy do drzwi i wszedł, nie czekając na zaproszenie, Íñigo leżał na łóżku znów z Biblią w dłoniach, spowity niebieskim półmrokiem, gdyż pokój był oświetlony tylko świeczką, która rzucała złoty krąg na szafkę nocną. Przeglądał *Pieśń nad pieśniami*, zastanawiając się w głębi ducha, czy przypadkiem proroków, którzy ją stworzyli, nie zainspirował anioł podobny do jego anioła albo nawet ten sam, bo przecież aniołowie nie mają wieku i są niezniszczalni.

Młodzieniec szybko się podniósł zaskoczony wizytą o tak późnej porze. Inkwizytor wymachiwał kartką papieru i patrzył na niego porozumiewawczo.

— Potrzebuję twojej pomocy, Íñigo.

Nowicjusz zmobilizował wszystkie siły umysłu, żeby nie zawieść Salazara. Odłożył Biblię na szafkę nocną i spojrzał z ciekawością na papier.

— Jak widać — powiedział inkwizytor, wskazując na nagłówek białej kartki papieru — jest to list skierowany do mnie. Przyniosła mi go córka Juany. Mówi, że napisała go matka. Ale nic tu nie ma i nie pojmuję, co chciała w ten sposób wyrazić... mam jednak wrażenie, że to coś ważnego.

— List bez słów, aha. — Íñigo przybrał uczoną minę, obejrzał kartkę z przodu, z tyłu i jeszcze raz z przodu, przytrzymał pod światło, szukając jakichś niedostrzegalnych znaków, a że niczego

nie znalazł, zaczął snuć przypuszczenia, uznając, że to lepsze niż milczenie, które dowodziłoby jego ignorancji. — Nie wiem... może Juana zaczęła pisać... ale coś jej przeszkodziło i zdążyła napisać tylko: „Do rąk własnych Alonsa Salazara y Frías”. Może to miał być list... pożegnalny...

— „List pożegnalny” pisze się do kogoś bliskiego, żeby wytłumaczyć mu przyczyny swego kroku... i w ogóle... Chyba nikt nie chce tracić ostatnich chwil życia na pisanie do nieznanymych, prawda?

— Nie wiem. Nigdy nie myślałem o tym, żeby napisać „taki list”... — Íñigo znów wbił wzrok w kartkę papieru. — Może to jakiś szyfr albo symbol. — Íñigo uniósł prawą brew i dalej domniemywał: — Może chciała przekazać, że czuła w tym momencie życia pustkę... była pusta jak ta kartka papieru.

Salazar spojrział na niego sceptycznie.

— Myślisz, że Juana de Sauri opanowała do tego stopnia sztukę wyrażania uczuć? — westchnął zmęczony, obawiając się, że sens tego listu na zawsze pozostanie dlań ukryty. — Nie wiem, Íñigo... może masz trochę racji... Przykro mi, że wyjedziemy z Santesteban, nie wiedząc, co tak naprawdę przydarzyło się Juanie de Sauri. Nie lubię zostawiać niedokończonych rzeczy. Pamiętasz, jak powiedziałeś, że ślady Juany wskazywały na to, że utykała na jedną nogę? — Íñigo przytaknął. — Pytałem o to dwa razy jej córkę i dwukrotnie odpowiedziała, że matka nie miała żadnych problemów z chodzeniem.

— Przyznaję, że nie mam pojęcia o wielu sprawach, chociaż... znam się po trochu na prawie wszystkim, to znaczy, że nie jestem

specjalistą w żadnej dziedzinie — wyjaśnił Íñigo. — Ale z całą pewnością umiem odczytywać ślady i ręczę, że Juana biegła, utykając na jedną nogę. Nie wiem, dlaczego utykała, i nie umiem powiedzieć, czy miała jakąś wadę wrodzoną. Może coś jej się stało w ostatniej chwili... i córka o tym nie wiedziała.

— Zaczekaj, zaczekaj — Salazar zaczął dostrzegać światło na końcu tunelu — wcale nie musiała utykać. To wygięcie prawej stopy mogło mieć inne przyczyny. Opisz jeszcze raz dokładnie ślady Juany.

Íñigo zaczął robić susy po pokoju, przekręcając prawą stopę co trzy, cztery kroki w taki sposób, że cały czas odwracał się bokiem.

— Ależ tak! Jesteś genialny, Íñigo.

— Naprawdę, dostojny panie?

— To nie była wada wrodzona.

— Nie?

— Jasne, że nie. Po prostu oglądała się do tyłu, żeby spojrzeć za siebie. Dlatego prawa stopa zataczała takie ślady. — Salazar uśmiechnął się. — A czemu ktoś wciąż odwraca się za siebie, chociaż biegnie?

— Oglądała się, bo ktoś ją gonił — wykrzyknął rozemocjonowany Íñigo.

— Właśnie tak!

— Więc to prawda, że zabili ją czarownicy do spółki z demonym? — Nowicjusz mówił powoli, lekko wystraszony.

— Jeśli nie oni, to ktoś podobny do nich. Mówiłeś, że ślady tego niby kozła... ślady kopyt były niezbyt wyraźne i biegły równolegle do śladów ludzkich.

— Tak.

— Zastanawiałem się nad tym. Dlaczego takie zwierzę jak koziół stąpa na dwóch tylnych nogach zamiast na czterech i jak to możliwe, że miejscami zostawia ślady ledwo widoczne.

— Nie wiem.

— Doszedłem do wniosku, że ktoś mógł nieść przed sobą te kopyta kozła, coś w rodzaju fartucha z kozłej skóry zawiązanego w pasie. To by też tłumaczyło, skąd się wzięło kopyto w domu Juany. Zostawili przednie nogi, bo im przeszkadzały.

— Ktoś się przebrał, to jasne! Ze śladów nie wynikało, żeby ten koziół kroczył na dwóch nogach, bo one były...

— ...zbyt płytkie, kiedy człowiek się poruszał, ciągnąc przed sobą kopyta — dokończył zdanie Salazar — i głębokie, kiedy człowiek przystawał. Juana się przeraziła, a że strach ma wielkie oczy, to wzięła człowieka z kopytami kozła za demona.

— Myślicie, że to on zepchnął ją do rzeki?

— Nie zepchnął jej fizycznie. Juana w ostatnim czasie była bardzo roztrzęsiona. Bała się, że dłużej nie zniesie tych wyrzutów sumienia, i pewnie dlatego przygotowała sobie kamień z powrozem przy moście. Ale w gruncie rzeczy to nie sumienie kazało jej rozstać się z tym światem, tylko sprytnie wyreżyserowana sytuacja — Salazar nie miał już żadnych wątpliwości. — Strach popchnął Juanę do tego czynu. Teraz musimy się jeszcze dowiedzieć, co to za komedianci przebierają się za kozła, żeby straszyć ludzi. No i dlaczego to robią.

Salazar wyszedł uśmiechnięty z pokoju Íñiga, życząc mu dobrej nocy, i nie zauważył, że list od Juany został na łóżku młodego nowicjusza.

xxx

Czarownicy zawsze wywoływali w Mayo wiele sprzecznych uczuć. Z jednej strony — strach. Bała się ich tak bardzo, że związała się w kłębek i przytulała do Ederry, jeśli wydało jej się w nocy, że krążą gdzieś niedaleko. Ale z drugiej strony — wciąż o nich myślała. Czuła niezdrowy pociąg do podglądania czarowników, dowiadywała się o miejscach i terminach zlotów i czekała przyczajona w paprociach. Ederra tłumaczyła, że to są złe istoty, nie mają z nimi nic wspólnego.

— Nasza moc bierze się z przyrody. My używamy powietrza, wody, ziemi... Korzystamy z roślin i kwiatów, a czasem z pomocy leśnych duszków, które wspierają nas z czystej szlachetności — wyjaśniała — natomiast czarownicy, skarbie, to co innego... Oni czerpią swą moc z czeluści piekielnych. Dostają ją od diabła w zamian za swą duszę. Podpisują cyrograf i zanim się obejrzą, w tej samej chwili, ot tak — pstryknęła palcami — zostają bez duszy.

Mayo zastanawiała się jednak, czy przypadkiem demon nie wziął już dawno jej duszy, bez żadnych cyrografów, po prostu dlatego, że ją spłodził, bowiem nieraz czuła, obserwując knowania czarowników, że są tacy sami jak ona. Nigdy o tym nie powiedziała Ederze, żeby jej nie martwić.

Widziała ich w noc świętojańską, jak jedli, śpiewali i tańczyli w kręgu, odwrócenii twarzami na zewnątrz, bo gdyby spojrzeli sobie w oczy, to chyba na drugi dzień umarliby ze wstydu. Rozpoznawała

ich intuicyjnie po zapachu, po śladach i zachowaniu. Mayo miała jakiś szósty zmysł do czarowników i wyczuwała ich obecność nawet na dużą odległość. Dlatego wiedziała, że dwaj owłosieni osobnicy, którzy zaatakowali młodego pomocnika Salazara, to nie są czarownicy, lecz co najwyżej — marni aktorzy. I gdy znowu ich zobaczyła, tym razem przed rezydencją Salazara, pomyślała, że pewnie chodzą śladami inkwizytora z jakichś sobie wiadomych przyczyn. Ukryła się więc w pobliżu dwóch mężczyzn, żeby podsłuchać, o czym mówią.

— Pryncypał kazał nam szukać jakiegoś listu.

— Jakiegoś listu — powtórzył chłopak z bielmem na oku, obgryzając paznokcie.

— Nie powtarzaj za mną jak głupi! Chyba wiesz, co to jest list?

— Papier.

— Tak... ale to specjalny papier. Musi być zaadresowany do inkwizytora Salazara.

— Skąd będę to wiedział? — zezłościł się chłopak.

— Ciszej! — szepnął brodaty. — Zabierzesz wszystkie papiery ze stołu inkwizytora, tylko pamiętaj, żeby najpierw nasypać mu do ust tego proszku, jak będzie spał. — Podał mu węzełek z cienkiej chusteczki z jakimś naczynkiem w środku, ale Mayo nie zdążyła zobaczyć co to. — Wtedy masz pewność, że się nie obudzi, i możesz zająć się spokojnie szukaniem. Tylko nie nasyp za dużo, bo zaśnie na wieki.

— Na wieki — powtórzył chłopak.

Wychylili się, aby spojrzeć na rezydencję. Tylko w jednym oknie paliło się światło.

— To tam. Zwykle siedzi do późna. Zaczekamy, aż zgasi światło i uśnie.

Mayo złąkla się. Nie mogła pozwolić, aby zrobili coś złego człowiekowi, który był jej jedyną szansą na odnalezienie Ederry. Poszukała w sakwach Beltrána odtrutki, wsadziła do kieszeni kolorowe kamyki dające niewidzialność i czekała. Widziała, że chłopak z białym okiem obserwuje uważnie światło w oknie i zaraz po tym, jak zgasło, wspinał się po murze, złapał za parapet, odczekał chwilę, po czym pchnął okno i zniknął w środku.

Wtedy Mayo pobiegła w stronę głównego wejścia, ledwo dotykając stopami ziemi, żeby nie robić hałasu. Ścisnęła mocno w dłoni kolorowe kamyki na niewidzialność, toteż weszła do gmachu bez problemów, zresztą nikt nie pilnował wejścia. Biegła korytarzami, szukając rzekomego czarownika, i kiedy trafiła na właściwe drzwi, zorientowała się, że to nie jest sypialnia Salazara. Chłopak z bielmem na oku musiał się pomylić.

Ostrożnie poruszyła za klamkę, żeby zrobić w drzwiach małą szczelinę. Zobaczyła w nikłym świetle księżycu, że chłopak wsypuje do ust osoby leżącej na łóżku coś, co przypomina pył ceglasty. Kiedy upewnił się, że środek poskutkował i jego ofiara się nie obudzi, zapalił świeczkę na szafce nocnej i podszedł do biurka. Przez chwilę stał i drapał się po brodzie, zastanawiając się, co zabrać. Były tam książki, luźne kartki papieru, pióra, rysunki, kałamarz... Bardzo trudna decyzja. Odłożył na bok książki, kałamarz, rysunki i pióra, a resztę zebrał niedbale i wsunął do spodni. Odwrócił się, żeby sprawdzić, czy śpiący się nie poruszył, po czym wyszedł przez okno.

Mayo bała się, bo nie była pewna, czy jej antidotum podziała skutecznie na trującą substancję. Z bijącym sercem podeszła do śpiącego i z zaskoczeniem stwierdziła, że w łóżku leży młody nowicjusz, ten sam, którego raz już uratowała.

— Nie ma szczęścia... Biedaczek — szepnęła do siebie.

Trucizna dawała pierwsze efekty; chłopak oddychał nierówno i z trudem wciągał powietrze, tak jak ona, kiedy miała swój atak. Nie tracąc czasu, Mayo zakryła mu ręką nos i kiedy Iñigo otwierał usta, żeby złapać trochę powietrza, wlała mu sok wyciśnięty z tuzina czterolistnych koniczynek, które mają właściwość uśmierzania negatywnych skutków trucizn, a jednocześnie przysparzają mądrości.

Potem przysiadła na skraju łóżka obok niego. Mayo nigdy nie widziała równie pięknego mężczyzny. Zdziwiła się, że wcześniej tak nie pomyślała. Przysunęła nos, żeby powąchać jego szyję — pachniała chypre'owym mydełkiem podobnie jak całe ciało młodzieńca. Obserwowała bez skrępowania złociste, splątane włosy, wdzięczną linię podbródka, usta miękkie i delikatne jak jedwab. Naszła ją dziecięca, trudna do powstrzymania ochota, aby dotknąć ich opuszką palca wskazującego, a kiedy to uczyniła, młodzieniec rozchylił wargi z westchnieniem pełnym ulgi. Mayo zobaczyła piękne równe zęby Iñiga, a za nimi różowy język, lśniący i wilgotny, przyczajony w głębi tej ludzkiej jamy, która budziła w niej niezrozumiały, nieznanym dotąd apetyt i ślina napłynęła jej do ust jak na widok wyśmienitego jadła. Mayo przysunęła swe usta do ust chłopca, nie dotykając ich; pragnęła tylko oddychać razem z nim

niebieskim powietrzem izby oświetlonej maleńkim płomieniem. Po kilku takich oddechach, nie całkiem świadoma swego czynu, wysunęła język, żeby polizać wargi młodego Íñiga. Jak kotek przed miską mleka przesuwiała powoli język z lewej na prawą stronę, pośrodku i po brzegach, zatrzymując się dłużej w kącikach ust, a kiedy już się nimi nasyciła, poszła głębiej. Musnęła zęby, dotknęła skóry podniebienia, złączyła swój język z językiem nowicjusza i odkryła, że oba są aksamitne i wilgotne, czego dotąd nie była świadoma, ale teraz już zawsze będzie pamiętała to, co czuje w tej chwili. Wyczerpana tą nieskończenie długą, intymną pieśczętą poczuła ból w piersiach, ale potrzeba ludzkiej bliskości była silniejsza niż wszystko inne. Dopiero po chwili przerwała, bojąc się, że znów dostanie jednego z tych swoich ataków od nadmiaru emocji i braku powietrza.

Oparła łokcie na kolanach, złapała się za głowę i próbowała złapać powietrze. Po kilku chwilach uspokoiła się i mogła znów spojrzeć na Íñiga. Wciąż spał głębokim snem i niepokój Mayo ustąpił miejsca czułości. Położyła się koło niego na łóżku, prostując swoje drobne ciało.

Przez kilka sekund leżała nieruchomo i krew uderzała jej do skroni, ponieważ czuła, że lewa strona jej ciała idealnie pasuje do prawego boku młodzieńca. Wyciągnęła chudą rączkę, kładąc ją delikatnie na piersi Íñiga. Czuła bicie jego serca i sama, nie wiedząc czemu, postanowiła nagle wyszeptać mu do ucha całą historię swego życia. Odkąd matka poczęła ją z diabłem, do chwili gdy straciła z oczu Ederrę. Opowiedziała mu zatem o swych lękach i wątpliwościach, o bezowocnych próbach odczarowania Beltrána

przez zanurzenie w wodzie, o drewnianej szkatułce z metalowymi okuciami zawierającej pamiątki po nieżyjących już ludziach, którą otrzymała od woźnicy noszącego śmieszne przezwisko Golas, ponieważ kiedyś przytrafiło mu się coś głupiego. Opowiedziała, że od tygodni idzie za nim i Salazarem i że oprócz niej śledzą ich jakies podejrzane typy. Ale niech się nie martwi, bo chociaż Ederra mówiła, że wszyscy zakonnicy to żarłoki, aroganci i lenie, Mayo była pewna, że on i Salazar nie są tacy. Dlatego zamierza ich chronić. Powiedziała mu również, że jest niezdolna do łez, co czyni z niej najsmutniejszą osobę na świecie, bo teraz na przykład chciałaby zapłakać i płakać aż do świtu, a nie może. Na zakończenie dodała, że jako córka diabła czuje się czasem gorsza i niegodna, ale kiedyś ktoś jej powiedział, że czarnoksiężnik Merlin urodził się ze związku inkuba z zakonnicej, a przecież nie był taki zły, co najwyżej dziwaczny. Więc może ona też nie jest złą osobą.

Ciągnęła swą opowieść, dopóki nie zdała sobie sprawy, że zaraz zacznie świtać. Íñigo przez cały czas oddychał równomiernie, nie mu już zatem nie groziło. Delikatnie zsunęła dłoń z piersi młodzieńca i wydała westchnienie ulgi.

— Dziękuję, że mnie wysłuchałeś — szepnęła.

Podnosząc się z łóżka, zauważyła wystający spod ciała nowicjusza róg papieru. Prawdopodobnie zasnął z nim w dłoni. Pociągnęła delikatnie, żeby go nie obudzić. Przysunęła kartkę do świecy. Nic na niej nie było oprócz dziwnych bazgrołów w nagłówku.

— Pewnie tego szukali — mruknęła do siebie.

Tymczasem pod wpływem ciepła zaczęły pojawiać się na kartce litery, których nie rozumiała, bo nie umiała czytać.

Temu, kto napisał ten list, musiało bardzo zależeć, żeby nie trafił w niepowołane ręce. Mayo ucieszyła się, że go nie znaleźli. Położyła zapisaną kartkę papieru na szafce koło łóżka nowicjusza.

— Mam nadzieję, że to ci się przyda — szepnęła mu do ucha.

Zdmuchnęła świecę i opuściła budynek, ściskając w ręku kolorowe kamyczki, które czyniły ją niewidzialną. Dlatego nikt nie zauważył, jak wychodziła.

XIII

*O tym, jak tworzyć i odczytywać
ukryte informacje, jak zniszczyć
plony sąsiadom i jak zachęcić
czarownicę do zajmowania
się domem*

Po przeczytaniu listu Juany do Salazara wizytacja nabrała nowego sensu. Przez kilka ostatnich tygodni walczyli z przeszkodami, zdrapując skorupę pozorów w poszukiwaniu prawdy i rozważali różne hipotezy, albowiem inkwizytor nie dawał wiary przesądom, i oto nareszcie mieli w ręku oświadczenie osoby, która poznała ciemną stronę życia. Była to jakby odpowiedź z zaświatów na niespokojne pytania tego świata, ale odpowiedź trochę powikłana, gdyż — jak wiadomo — duchy cechuje lekkość bytu. Salazar spojrział na kartkę trzymaną w dłoni, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co czytał.

— Jak to zrobiłeś, że ukazały się litery?

— Jeszcze raz powtarzam, że to nie ja — protestował Íñigo — tylko ona.

— Ona? — zapytał drwiąco brat Domingo.
— Niebieski anioł — odparł Íñigo po raz enty.
— Anioły nie posiadają płci — mruknął lekceważąco Domingo.
— Owszem, posiadają. Przynajmniej ten, który mnie odwiedza.
— Íñigo się zarumienił. — To był niebieski anioł. Jestem pewny.
— Już wiem, co się stało — mówił szybko Salazar podniesionym głosem, bo myśli tłoczyły mu się w głowie. — Juana napisała ten list za pomocą soku z jakiegoś owocu cytrusowego... Cytryna, pomarańcza, każdy cytrus nadaje się do tych celów. Po wyschnięciu litery stają się niewidoczne gołym okiem.

Inkwizytor opowiedział chłopcom, że jego bracia często bawili się w ten sposób, gdy chcieli ukryć treść przekazywanej sobie wiadomości. Później przysuwało się kartkę do płomienia, a litery wyskakiwały jak za dotknięciem magicznej różdżki.

— Położyłeś kartkę blisko świecy, prawda Íñigo? — spytał Salazar i nie czekając na odpowiedź, mówił dalej, jakby rozmawiał sam ze sobą: — Że też wcześniej o tym nie pomyślałem! Ale skąd miałem wiedzieć, że prosta kobieta wpadnie na taki pomysł...

— To nie ja... nie ja... zresztą... — Íñigo zawahał się, czy powiedzieć o jeszcze jednym odkryciu, jakiego dokonał dziś rano. — W nocy ktoś był w moim pokoju, wiem to na pewno... bo zniknęły różne papiery z mojego biurka. Nic ważnego, ale zniknęły. Ktoś je zabrał.

— To ci dopiero! — kpił brat Domingo. — Ten twój anioł musi mieć długie ręce. Najpierw zniknęła torba myśliwska, teraz jakieś papiery...

— Proszę bez drwin — zaprotestował Salazar. — Jeśli to była kradzież, mamy powód do niepokoju. Wyobraźcie sobie, że ktoś bezkarnie wchodzi do naszych pomieszczeń w środku nocy! Sytuacja się komplikuje. Zaczyna być niebezpiecznie.

— Z pewnością dokumenty, które, jak mówi Íñigo, zniknęły z jego biurka, leżą sobie spokojnie w kufrze na wozie. — Brat Domingo usiłował zlekceważyć ten problem. — Ja też mam bałagan w swoim pokoju w związku z tymi przygotowaniami do podróży.

— Może masz rację — dodał zamyślony Salazar — ale teraz martwi mnie głównie to, że nie bardzo rozumiem sens listu. Juana napisała te enigmatyczne zdania w ostatnich chwilach życia. Dreszcz człowieka przechodzi, jak się o tym pomyśli, prawda?

Trzej zakonnicy pochylili się na nowo nad listem nieboszczki.

A pozostali ludzie niezabici przez te plagi, nie odwrócili się od dzieł swych rąk, tak by nie wielbić demonów ani bożków złotych, srebrnych, spiżowych, kamiennych, drewnianych, które nie mogą ni widzieć, ni słyszeć, ni chodzić.

Ani się nie odwrócili od swoich zabójstw, swych czarów, swego nierządu i swych kradzieży.

— Co za dziwna kobieta — stwierdził Íñigo. — Koniecznie chciała nas zaintrygować. No bo jeśli uznać, że napisała ten list na krótko przed śmiercią...

— Zajmiemy się tym! — zdecydował Salazar. — Niech każdy z

was przygotowuje mi na jutro własny komentarz, jak należy rozumieć słowa Juany.

xxx

Beltrán spędził całą noc pod rezydencją, czekając na Mayo, a kiedy zobaczył, jak idzie powoli i wdzięcznie niczym letni powiew, zrozumiał, że musiało się jej przydarzyć coś ważnego. Dziewczyna pogłaskała go po pysku i spojrzała czule w czarne jak węgiel oczy, tęsknie wzdychając. Potem wsiadła na jego grzbiet, przytuliła się do szyi i, wciskając nos w swojsko pachnącą grzywę, szepnęła mu do ucha, żeby skierował się w stronę lasu. Wciąż miała przed oczami obraz tego chłopca, czuła dotyk jego ciała, wilgotne wargi... Pomyślała, że nie ma na świecie nic wspanialszego niż jego włosy, skóra, paznokcie i rzęsy. Zapragnęła poznać go jeszcze lepiej, odgadnąć jego myśli i wszystko o nim wiedzieć. Jaki jest jego ulubiony kolor, kim są jego rodzice, gdzie się wychował. Chciała wiedzieć, jak ma na imię, bo była pewna, że gdyby mogła wymówić je na głos, posiadałaby na zawsze część jego serca. Chętnie opowiedziałyby komuś o swych uczuciach, ubierając emocje w słowa. Potrzebowała, żeby ktoś jej wyjaśnił, co się z nią dzieje, i wtedy przyszła jej na myśl Ederra, której powierzała wszystkie tajemnice. Jak mogła zapomnieć o tym, co było jej głównym celem! Mayo wdrygnęła się. Dużo słyszała o miłości i sile fascynacji, ale nie sądziła, że można aż tak stracić głowę.

Wyprostowała się, wzięła parę głębokich oddechów, żeby opanovać zakłopotanie, i postanowiła wrócić do pierwotnego planu. Poprzedniego dnia dowiedziała się, że inkwizytor wyrusza do Elizondo. Dokonała w myśli błyskawicznych obliczeń i doszła do

wniosku, że zdąży zajrzeć najpierw do Urday, żeby spełnić obietnicę daną Golasowi, a potem dołączy do grupy Salazara. Miała nadzieję, że ktoś z rodziny skazańców podsunie jej jakiś nowy ślad lub choćby najdrobniejszą informację, która pomoże odnaleźć drogę do Ederry. Chwyciła lejce Beltrána.

— Szybciej, Beltranie, mamy dużo roboty. Tędy... — wskazała na małą ścieżkę po lewej stronie.

Stwierdziła, że samotność dodaje odwagi i wyostrza spostrzegawczość. Zaczynała dostrzegać drobne sygnały mówiące o tym, w jakim miejscu jest się na świecie, gdzie jest północ, jaka będzie pogoda, gdzie rosną dzikie owoce i w jakiej grocie można się schronić. Mayo stawała się coraz bystrzejsza, z pewnością Ederra byłaby z niej dumna.

Dom Estevanii de Petrisanceny i jej męża znajdował się na skraju Urday. Miał prostą konstrukcję z białych kamieni i zielone okna. Wznosił się na wzgórzu obok stuletniego dębu, który ocieniał główne wejście. Widać było jeszcze ślady kobiecej ręki, która zasiała lawendę i bratki w przydomowym ogródku, ale grządki pozarastały chwastami, co świadczyło, że kobiety od dawna nie ma w tym domu. Drzwi, przedzielone w poprzek na dwie części, były zamknięte. Mayo delikatnie zastukała zgiętym palcem i czekała, przestępując ze zdenerwowania z nogi na nogę. Z tych nerwów zaczynała ją boleć w brzuchu. Zastukała ponownie, tym razem silniej. Wciąż bez odpowiedzi. Przycisnęła nos do szyby w oknie i osłaniając ręką oczy od słońca, próbowała zobaczyć, czy w ciemnej izbie jest jakiś ślad życia.

— Jeśli szukasz Estevanii, to przychodzisz za późno. — Usłyszała chrapliwy głos za plecami. — Jej już tu nie ma.

Domyśliła się, że to mąż Estevanii, ponieważ wyglądał na wdowca; wszystko w nim było czarne na zewnątrz i wewnątrz. Trochę koloru miały tylko jasne chodaki i niebieska chustka w kratę przewiązana na szyi. Był to tęgi mężczyzna, lat około czterdziestu, z twardymi, spracowanymi rękami. Ederra zawsze powtarzała, że wystarczy spojrzeć na czyjeś dłonie, aby wiedzieć, czym zajmuje się ich właściciel, ale Mayo wolała powąchać powietrze, bowiem łatwiej jej było odgadnąć po zapachu. Ten mężczyzna pachniał wilgotną ziemią, świeżym szpinakiem i stęchłymi nasionami.

— Czego chcesz? — zapytał, mierząc ją wzrokiem od góry do dołu.

— Mam coś dla pana. Dał mi to ktoś, kto był do końca przy pańskiej żonie. — Mayo szybko wyciągnęła z sakwy Beltrána drewnianą szkatułkę z metalowymi okuciami. Juanes przyglądał się jej ciekawie, marszcząc czoło. — Proszę. To od Estevanii. — Podała mu kosmyk włosów przewiązanych zielonych wstążką.

Juanes wziął kosmyk w palce z niezwykłą delikatnością. Położył go sobie na sękatej dłoni i pogłaskał, a dwie duże, ciężkie łzy spłynęły mu po policzkach. Mayo też chętnie by zapłakała, żeby okazać mu współczucie, podzielić się z nim swym żalem i samotnością. Chętnie by mu powiedziała, że doskonale rozumie, jak on się teraz czuje, bo ona też poniosła stratę, i że to wszystko było jakąś straszną pomyłką, a nawet niesprawiedliwością, przecież tyle złych ludzi wciąż chodzi po tym świecie, dlaczego właśnie nas to spotkało. Płakałaby razem z tym człowiekiem i złorzeczyła losowi przez cały ranek, po południu i wieczorem, aż do następnego dnia i nawet do końca wszystkich dni. Ale milczała, nie chcąc

zamącić tej smutnej chwili, i tylko patrzyła na niego, bo nie była pewna, czy ten nieznajomy okazałby zrozumienie dla jej uczuć.

— Moja Estevanía miała bardzo ładne włosy — chlipnął wielkodusznie, wycierając nos w rękaw koszuli. — Dziękuję, że mi przyniosłaś ten kosmyczek. Napijesz się txacoli?

— Nie, raczej nie... dziękuję.

— Wchodź i zamykaj drzwi! — rozkazał.

Mayo wolała mu się nie sprzeciwiać w tak dramatycznym momencie, dlatego weszła za nim do izby.

— Mówisz, że żona dała to dla mnie? — zapytał, stawiając na stole dwie szklanki wina.

— Tak powiedział woźnica, który zawiózł ją do Logroño. Prosił, żeby przekazać to panu.

Mayo rozejrzała się po izbie. Czuła w niej niewidzialną obecność ducha Estevanii przyczajonego gdzieś w kącie, żeby podziękować jej za to, co zrobiła.

— Siadaj! — Juanes wskazał ręką krzesło, spoglądając na dziewczynę spod oka. — Ludzie są źli... bardzo źli... są źli. Wszędzie jest dużo zawiści. Bardzo dużo! — mamrotał małżonek Estevanii z miną człowieka, który doskonale wie, o czym mówi. — Ludziom się nie podoba, jak komuś się powodzi, zgadzasz się ze mną? — Mayo przytaknęła, chociaż nie bardzo wiedziała, o co chodzi. Mężczyzna kontynuował: — Ja tego nie rozumiem. Cieszę się, jak sąsiadowi się powodzi. Myślę sobie wtedy, że skoro jemu się udało, to mnie też musi się udać. Ale nie wszyscy tak myślą. Większość ludzi uważa, że jak się komuś pogorszy, to jemu się polepszy. — Mężczyzna wypił swoje wino jednym haustem, podparł ręką brodę i patrzył na Mayo nieufnie, przesuwając palcem

po brzegu szklanki. — Powiedzieli ci już, co się stało, prawda?

— Szczerze mówiąc, niewiele osób ze mną rozmawia.

— Wszyscy kłamią!

Juanes nie zwracał większej uwagi na słowa Mayo i ciągnął swój monolog:

— Żona lubiła czasami... ale tylko od czasu do czasu poplotkować z Marią de Echalecu i Gracia de Iturralde.

Tamte dwie przyjaźniły się ze sobą od dziecka. Ale Gracia wzięła sobie za męża takiego jednego zawistnika i wszyscy na tym ucierpieliśmy... To jego wina! On nie ma wstydu! — Skrzywił się niechętnie i znów nalał sobie wina. — Pij! — nakazał, czekając z butelką w ręką, aż dziewczyna opróżni swoją szklankę.

Mayo wlała sobie całą zawartość do gardła bez protestu, bo tak zwykle reagowała na stanowcze rozkazy. Przykryła usta dwoma palcami, żeby nie zwymiotować i przełknęła wino z wysiłkiem, czując, jak w środku rozlewa się żar, a zaraz potem ogarniają ją dreszcze.

— Ludzie kochają gadać, że one były czarownicami.

Wszystkie trzy — kontynuował Juanes. — To prawda, że lubiły się spotkać i pogadać o swoich sprawach, o strojach i takich tam rzeczach... Mnie to nie przeszkadzało... Zresztą Estevania nie tak znów często do nich chodziła, wiesz?

Tylko od czasu do czasu, żeby się rozerwać... Ja nie jestem z tych, co zabraniają żonie wychodzić z domu, rozumiesz?

Ale mąż Gracii, to co innego — wyjaśniał. — Nie śmiał nic robić, dopóki żył mąż Marii de Echalecu, za to po jego śmierci zaczął sobie na nas używać i wygadywał niestworzone rzeczy...

Mayo przypomniała sobie, jak Golas mówił, że w drodze do więzienia w Logroño Ederra nie rozstawała się z wdową z Urdax, Marią de Echalecu. Może jakaś sąsiadka będzie coś wiedziała o Ederze.

— Gdzie jest dom Marii de Echalecu?

— ...a to, że Maria spaliła snop słomy, żeby rzucić zarazę na jego plony — Juanes kontynuował swój monolog — albo że o zmierzchu zostawiała jedzenie dla lamii, żeby obrabiały za nią pole, że po nocach wszystkie trzy latały na *akelarre* na miotłach, jak czarownice, bo podobno były czarownicami... i to nie raz, nie dwa, ale trzy razy w tygodniu. W poniedziałki, środy i piątki. Żadnego zlotu nie opuściły. Powiadają, że moja Estevanía zdradzała mnie z Szatanem... Podobno dużo ludzi to widziało, choć szczerze mówiąc, zawsze mi się wydawało, że śpi ze mną w łóżku. Teraz mówią, że to były czary i diabeł wkładał mi do łóżka lalkę podobną do Estevanii jak dwie krople wody. Myślisz, że to prawda? Czy ja mógłbym nie rozpoznać żony po piętnastu latach małżeństwa? — Pokiwał głową i opróżnił szklankę jednym łykiem. — Pij! — Zaczekał, aż Mayo podniesie swoją szklankę do ust. — No więc dwudziestego siódmego sierpnia przyszli tu i powiedzieli, że żona odeszła z tego świata jako zatwardziała grzesznica... Czyli, że cały czas zaprzeczała, że jest czarownicą. Umarła z powodu jakiejś epidemii w więzieniu Świętego Oficjum... I powiedzieli, że pójdzie prościuteńko do piekła, bo nie dostała rozgrzeszenia. No tak... — Oczy znów napelniły mu się łzami. — Sam już nie wiem, jak żyć, bo jeśli będę postępował dobrze, jak każe proboszcz, i pójdę po śmierci do nieba, to tam jej nie zastanę. No to przestałem chodzić do

kościola i zastanawiam się, co by tu jeszcze zrobić, żeby nie dostać rozgrzeszenia, a po śmierci znaleźć się w piekle i spędzić tam całą wieczność z moją Estevanią.

Przerwał na dłuższą chwilę swój monolog i cisza zaległa dookoła. Mayo patrzyła z litością na mężczyznę, czując, że powinna powiedzieć mu coś na pocieszenie, coś takiego, co ukoi jego ból, ale nic jej nie przychodziło do głowy. Tymczasem Juanes znów mówił:

— Potem dowiedziałem się, że na autodafé spalili moją Estevanię w postaci kukły. Zostałem sam i wszystko się zawaliło... Kury przestały się nieść, krowa nie daje mleka... — wyjaśnił — bo zwierzęta nie są głupie i też wyczuwają nieszczęście. — Spojrzał w okno i westchnął przeciągle. — Pytałaś, gdzie mieszka Maria de Echalecu, czy tak?

Mayo przytaknęła.

— Ona zaprzyjaźniła się z moją nianią w drodze do Logroño. Woźnica mówił, że jak przyszli po Marię, to z sąsiedniej zagrody wybiegła zapłakana kobieta, żeby uściskać ją na pożegnanie. Długo nie mogły się rozstać, aż ktoś musiał je rozdzielić.

— Tak... To na pewno była Gracia. Że też mąż pozwolił jej wyjść z domu!

— A dlaczego miał nie pozwolić?

— Już ci mówiłem, że to zły człowiek... Zazdrosny o wszystko, nawet o to powietrze, którym inni ludzie oddychają. Zabronił żonie rozmawiać z Marią. Domagał się dla siebie posłuszeństwa i szacunku. Dlatego Gracia i Maria widywały się ukradkiem. Przyjaźniły się od dziecka, były jak siostry, zawsze razem... Wieś

plotkowała na ich temat. Rozumiesz, co mam na myśli? — Mayo zaprzeczyła ruchem głowy. — No wiesz... dwie kobiety razem... nawet spały razem... Nie udawaj, że nie rozumiesz... Po śmierci rodziców Maria de Echalecu jako najstarsza z rodzeństwa odziedziczyła dom, a że Gracia często ją odwiedzała, poznała się z synem sąsiadów Marii i skończyło się to małżeństwem. W tym samym czasie Maria też znalazła sobie męża i tak zostały sąsiadkami. Były obok siebie w dzień i w nocy. Nikt nie wie dokładnie, co się właściwie stało, że ni z tego, ni z owego obie rodziny przestały się do siebie odzywać. Zaczęły się kłótnie o miedzę. Omal nie doszło do bójki. Jednego dnia płot stał w tym miejscu, a następnego o dwa metry dalej. Czyste szaleństwo! Wyglądało to tak, jakby żyli tylko po to, żeby sobie szkodzić. Potem mąż Marii umarł w podejrzanych okolicznościach, a mąż Gracii Mariano de Aitajorena postanowił przejąć ziemię sąsiada. Najpierw trochę kupił, a potem zaczął wdowie grozić... Powiadają, że to on oskarżył ją o czary. Teraz cała ziemia jest jego. Nabył za parę groszy od inkwizycji.

— Gdzie on mieszka?

— Tam na wzgórzu. — Pokazał ręką na drugi koniec osady. — Ale nie powinnaś iść do niego sama. To zły człowiek.

— Trudno, nie po to przebyłam taki szmat drogi, żeby teraz się wycofać — odparła, patrząc na niego swymi wielkimi, czarnymi oczami jelonka.

Mayo podniosła się niepewnie, przytrzymując się stołu, bo zakręciło się jej w głowie od wina i miała wrażenie, że obie szklanki

płyną w jej stronę z głośnym chlupotem. Chwyliła Beltrána za uzdę i poszła ścieżką wskazaną przez Juanesa. Wszystko dokoła falowało, nawet ziemia ugięła się pod jej stopami. Odwróciła się parę razy, żeby spojrzeć na mężczyznę siedzącego pod bzem ze zwieszoną głową i z butelką txacoli w ręku. Oczami wyobraźni ujrzała go płaczącego, gdy musiał wysłuchiwać okrutnych komentarzy przyrównujących jego żonę do bezlitosnej bestii spółkującej z diabłem, podczas gdy mąż spał spokojnie, o niczym nie wiedząc. Pomyślała, że ktoś powinien pomóc mu uśmierzyć ten ból, bo inaczej zamieni się on w wilkołaka i będzie robił wszystko, aby spotkać swoją żonę w piekle. Mayo była pewna, że Juanes to dobry człowiek.

Wyczuła, że dom Mariana de Aitajoreny jest coraz bliżej, bo powiało intrygą. Wkrótce też dostrzegła tęgiego mężczyznę o spleaszczonej głowie, mocno wysuniętym podbródku i niskim czole. Patrząc na leżący wokół teren, łatwo było stwierdzić, że kiedyś był podzielony na dwie części rozgrodzone płotem, który niedawno wyrwano. Świadczyły o tym również dwa domy. Ten, który dawniej zajmowała Maria de Echalecu z mężem, wyglądał obecnie jak bezpański pies: opuszczony, z powybijanymi w oknach szybami, cały w chwastach. Juanes miał rację, Mariano zachował się jak dziecko, które płacze, złości się i kopie nogami, żeby odebrać bratu pajdę chleba, a potem wyrzuca ten chleb świniom. Mężczyzna patrzył spod krzaczastych brwi na zbliżającą się Mayo; jego mina nie wróżyła nic dobrego.

— Kim albo czym jesteś? — rzucił ostro i dziewczyna musiała przełknąć dwa razy ślinę, żeby opanować nerwy.

— Nazywam się Mayo de Labastide d'Armagnac... Przychodzę zaproponować państwu fachowe usługi. Wyrwam zęby, leczę ospę, nastawiam złamane kości, pomagam przy cieleniu się krów... — mówiła coraz wolniej, widząc niechęć mężczyzny. — Mam produkty upiększające dla waszej żony...

— Wynoś się! Niczego nie chcemy.

— Czy mogę porozmawiać z panią domu? Myślę, że byłaby zainteresowana takimi...

Mariano zbliżał się do niej wielkimi krokami, przekładając motykę z ręki do ręki i marszcząc groźnie brwi. Kiedy był na odległość piędzi, Mayo zaniknęła oczy i wsunęła głowę w ramiona, co było u niej odruchem warunkowym.

— Żona umarła! — warknął, wymawiając ostatnie słowo z taką furią, że ślina zapieniła mu się w kącikach ust. — Tam jest. — Wyciągnął rękę przed siebie i Mayo domyśliła się, że pokazuje na cmentarz. — Leży głęboko w ziemi, a gdybym zobaczył ją tu na nowo, sam rozwaliłbym jej głowę, żeby wracała, skąd przyszła, czyli do piekła! Zepsuta dziwka! Cudzołożnica! A ty zostaw mnie w spokoju! Dobrze wiem, co cię tu sprowadza i jak się uwolnić od takich jak ty. Wynoś się, jak nie, to połamię ci obie nogi i wtedy zobaczymy, czy jesteś taka dobra w składaniu kości!

Podniósł rękę, wywijając motyką nad głową. Mayo nie wątpiła w jego intencje. Mariano posługiwał się tym narzędziem tak sprawnie, jakby od dziecka nie robił nic innego, tylko wygrażał ludziom. Zrozumiała, że to najlepszy moment, aby odejść, więc połąжала Beltrána, że spokojnie skubie sobie trawę, miast przysłuchiwać się rozmowie i ratować ją w niebezpieczeństwie. Przebierała

nogami najszybciej jak mogła, zastanawiając się przy tym, czy aby na pewno ten mężczyzna używa motyki tylko do pracy w polu. Jego brutalne zachowanie i to, co o nim wcześniej usłyszała, utwierdziło ją w przekonaniu, że Gracia nie umarła naturalną śmiercią. Mariano de Aitajorena zadenuncjował Marię de Echalecu, a potem zabił swoją żonę, żeby uwolnić się od jednej i drugiej i przejąć na własność obie posiadłości. Gracia nie zmarła śmiercią naturalną, Mayo była tego pewna.

XIV

*O tym, jak sprawić, aby wszystko
było w czarnym kolorze i żeby pokój
napęłnił się węzami*

Noc przed wyjazdem do Elizondo minęła Salazarowi niespokojnie. Śnił o królowej Małgorzacie. Rzadko kiedy pamiętał swe sny. Tylko czasami, tuż po przebudzeniu, zanim jeszcze odezwał się do kogoś, przesuwały mu się przed oczami obrazy ze snu, których nie potrafił ująć w słowa, i później przez cały dzień towarzyszyło mu dziwne, nieprzyjemne uczucie z tym związane. Zresztą zawsze miał sny niespokojne, w ostrych kolorach, krzykliwe i przerażające, kiedy musiał przedzierać się przez wąskie ścieżki porośnięte kolczastymi krzewami. Budził się z takich snów z nie miłym przekonaniem, że wydarzy się coś złego. I tym razem nie było inaczej.

Małgorzata przyśniła mu się w cienkiej, lnianej sukni przypominającej całun. Szła z rozpuszczonymi włosami po ścieżce pełnej ostrych kamieni, które kaleczyły jej stopy, ale nie okazywała żadnych oznak bólu. Szła ze zwieszoną głową i opuszczonymi

ramionami, a z otwartych dłoni, na których było widać stygmaty w kształcie krzyża, tryskała krew w kolorze turkusowym, jak przystało na szlachetnie urodzoną damę. Strugi krwi znaczyły przebytą drogę, tworząc za plecami królowej rajskie jeziora, morza i wodospady, w których ginęło tysiące ludzi błagających o pomoc. Zbliżywszy się do niego, królowa pochyliła się, jakby chciała mu coś powiedzieć. Salazar poczuł na szyi pieśczość jej oddechu i nadstawił ucha, spodziewając się szeptu, gdy tymczasem królowa wrzasnęła z całej siły:

— W pałacu jest demon!

Inkwizytor obudził się z przestraszeniem na dwie sekundy przed tym, kiedy stukanie do drzwi oznajmiło przybycie kuriera. Otworzył pełen niepokoju, wyrwał kopertę z rąk posłańca i zatrzasnął z powrotem drzwi bez słowa, czując w gardle cierpki smak ziszczającej się przepowiedni. I nie pomylił się — jeden z listów pochodził od królowej.

Salazar uznał, że to nie przypadek; postanowił zatem naruszyć tradycyjny protokół otwierania listów od królowej dopiero pod koniec dnia. Miał pewność, że ona go potrzebuje. Świadczyły o tym znaki: skontaktowała się z nim we śnie, a na wypadek gdyby zawiódł ten sybilliński sposób, skorzystała też ze zwykłej poczty, mniej sensorycznej, natomiast bardziej wiarygodnej. W obu przypadkach Salazar mógł dostrzec jej niepokój. Zerwał więc niecierpliwie pieczęć z koperty, wyciągnął kartkę papieru i położył ją na stole, nie próbując nawet powąchać, choć zwykle to czynił, ale teraz nie chciał tracić czasu. List zaczynał się od kurtuazyjnego wstępu, do czego Salazar był już przyzwyczajony, jednak tym razem dostrzegł w nim pewną nerwowość, zapowiedź nieszczęścia.

Małgorzata pisała, że nieraz miała okazję przekonać się o jego bezwarunkowej lojalności, ale teraz pragnie zwrócić się do niego nie tylko w imię przyjaźni. Potrzebowała jego rady i wskazówek doświadczonego inkwizytora, bowiem wokół niej dzieje się coś dziwnego i nie wie, co o tym myśleć. Podejrzewa, że ktoś z najbliższego otoczenia używa czarnej magii, żeby jej zaszkodzić.

Kiedy w zeszłym tygodniu haftowała w swej alkowie, weszła dama dworu, żeby zapalić lampę, a po jej odejściu nagle zapadła ciemność; wszystko szerniało i królowa nie widziała nawet rysunku haftu, gdyż tkanina, nici, igła i ściany pałacu były czarne jak najczarniejsza noc. Zasnęła z przerażenia, a kiedy wróciła do siebie, zobaczyła u swego boku zdziwionego męża, który oświadczył, że światło nie zgasło w pałacu ani na chwilę. Wyczerpana tym przeżyciem królowa nie zeszła na kolację, co okazało się dużym błędem, bo oto nowe, dramatyczne zajście miało miejsce w jej komnacie. Kiedy zdjęła z łóżka narzutę, żeby położyć się w pościeli, ujrzała kłębowisko węży: jeden po drugim zsuwały się na podłogę i wkrótce nie było ani jednego wolnego miejsca, gdzie królowa mogłaby postawić stopę tak, żeby nie czuć łuskowatej skóry gadów. Krzyknęła, ale zanim ktoś się pojawił, węże zdążyły zniknąć.

Król, przeświadczony, iż przyczyną tych halucynacji jest brzemienność małżonki, chciał wezwać lekarza, ale nie zgodziła się. Była pewna, że lekarz nie ma tu nic do powiedzenia, gdyż to nie były zwidy, jak wszyscy sądzili, tylko realny atak sił nadprzyrodzonych i dlatego potrzebna jest innego rodzaju pomoc.

Małgorzata wyznała Salazarowi, że skontaktowała się ze

sławnym astrologiem i kabalistą w jednej osobie, który cieszył się estymą dworu, gdyż wykładał na uniwersytecie w Valladolid. Człowiek ten uznał, po wysłuchaniu i zbadaniu sprawy, iż królowa padła ofiarą dość prostego, jak się zdaje, zaklęcia. Polega ono na tym, że knot wymoczony w gęsto ubitej pianie morskiej wkłada się do lampy i zapala, a wtedy wszystko widać na czarno. Co do węży, to wzięto cztery kawałki całunu śmiertelnego, nasączono je tłuszczem ze żmii z dodatkiem soli, zawiązano w supeł, obficie skropiono olejem i takie cztery knoty wprawiono do nowych lamp. Kiedy zapalono te lampy ustawione w czterech rogach komnaty, królowa zobaczyła węże. Astrolog doradził jej, żeby uważała na siebie, albowiem ars magica jest sztuką, którą tylko mędrcy mogą się zajmować, jako że składa się z dwóch części: dobrej, która zrodziła się z magii naturalnej i jest — według niego — czystą nauką, leżącą u podstaw fizyki, oraz złej, która zawdzięcza diabłu swoje cuda. Granica między obiema jest tak płynna, że niektórzy erudyci są brani za czarowników, a niektórzy czarownicy uchodzą za erudy-tów. Zdaniem tego astrologa czary rzucone na królową wchodzi w zakres czarnej magii, a osoby uprawiające ten proceder nie mają żadnych skrupułów. Nie ulega wątpliwości, że są to osoby niebezpieczne.

— Jeśli Wasza Królewska Mość rozejrzy się wśród swoich wrogów, znajdzie tam winowajcę. O resztę proszę się nie martwić. Czarna magia na ogół obraca się przeciwko temu, kto ją uprawia. Prędzej czy później przyjdzie mu za to zapłacić — oświadczył astrolog.

Małgorzata Austriaczka wiedziała, że od dawna ma wrogów w pałacu, ale nigdy nie pomyślała, że ktoś jest w stanie uknuć tak

okrutną intrygę, żeby jej zaszkodzić. Bała się o siebie i swoje nie-narodzone dziecko. Była bezbronna wobec ataków wykraczających poza ludzkie możliwości. Od tygodnia starała się unikać księcia Lermy i Rodriga Calderona, który był mu wierny jak pies. Chroniła się w swej komnacie, kiedy ich widziała, a gdy wchodzili do sali jadalnej w porze obiadowej, symulowała jakąś dolegliwość typową dla błogosławionego stanu, byle tylko nie siedzieć z nimi przy jednym stole. Nie reagowała na ich pozdrowienia ani spojrzania, a mimo to wciąż czuła się zagrożona nawet we własnym domu. List kończył się prośbą królowej, aby — jeśli stanie się jej coś złego — Salazar osobiście powiadomił kogo trzeba o tych podejrzeniach. Małgorzata była pewna, że osobisty sekretarz księcia Lermy, don Rodrigo Calderon, na polecenie swego pana wyszukał adeptów czarnej magii, którzy zajęli się tymi czarami.

Salazar nie mógł uwierzyć własnym oczom. Nigdy nie posądzał Małgorzaty o uleganie ezoterycznym fantazjom, jednak to, co napisała w liście, da się wytłumaczyć tylko na dwa sposoby: albo królowa cierpi na halucynacje z powodu swego stanu, jak podejrzewa jej małżonek, albo rzeczywiście, istnieją osoby gotowe zmówić się z samym diabłem, aby doprowadzić do tego, że lampa oliwna z knotem namoczonym w energicznie ubitej morskiej pianie staje się narzędziem do rzucania czarów.

Inkwizytor rozerwał pospiesznie następną kopertę pochodzącą z Logroño. Koledzy Valle i Becerra informowali go, że nie mogą siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak zło szerzy się coraz szybciej w całej okolicy. Na skutek opóźnienia w programie wizytacji czarownicy i czarownice nabrali większej pewności siebie,

zajmując w społeczeństwie nową pozycję, która podniosła ich status do kategorii elity. Z zimną krwią osiedlają się wokół Alavy, rządzą *akelarre* w poniedziałki, środy i piątki, tańczą, śpiewają, grają na instrumentach muzycznych, jedzą i piją aż do świtu, sięjąc strach wśród porządnych ludzi, którzy nie mają odwagi wyjść z domu po zachodzie słońca.

Zdaniem inkwizytorów Vallego i Becerry przyczyniła się do tego bojaźliwość Świętego Oficjum i ustępstwa związane z edyktem łaski, który dawał rozgrzeszenie wyznawcom diabła, jakby czary były grzechem powszednim, a za pokutę wystarczyło parę ojczenasz i dwie zdrowaśki. Czarownicy nikogo się już nie bali i śmieli się w nos przerażonym sąsiadom, kiedy ci grozili, że doniosą na nich Świętemu Oficjum. Dlatego obaj inkwizytorzy z Logroño zawiadamiają Salazara, że zdecydowali się poprowadzić równoległe postępowanie w sprawie czarów, włącznie z aresztowaniami i przesłuchaniami. Zamierzają ogłosić edykt łaski w tych miastach, których tak szybko nie obejmie wizytacja. Trzeba bardziej stanowczego działania, aby zaprowadzić duchowy porządek, i oni właśnie biorą się do tego. Dysponują listą z nazwiskami ponad stu osób podejrzanych o czary, w tym aż dziesięciu księży z niebezpiecznym Diegiem de Basurtem na czele. W akcji łapania czarowników mogą liczyć na pomoc znanego łowcy, proboszcza Pedra Ruiza de Eguino i dziewczyny nazwiskiem Morguy, która specjalizuje się w wykrywaniu diabelskich znamion na ciele zatrzymanych.

Salazar zacisnął pięści z wściekłości. Valle i Becerra zaczną wymierzać sprawiedliwość na własną rękę! Dobiorą się do samotnych starców, jak już to robili w czasie ubiegłorocznego procesu!

Wróciły mu na myśl sceny, które wcześniej zepchnął w niepamięć, bo sprawiały za dużo bólu. Wiele razy wyrzucał sobie, że nie zdobył się wtedy na stanowczość i odwagę, by powiedzieć inkwizytorowi generalnemu o matactwach swoich kolegów. Zwyciężył strach. Salazar był nowy w trybunale w Logroño, miał rangę młodszego inkwizytora i bał się, że wezmą go za szpicla, jeśli opowie Bernardowi de Sandovalowi o nieprawidłowościach w śledztwie prowadzonym przez Vallego i Becerrę. Ci dwaj umyślnie pominęli zeznania strażnika tajnego więzienia inkwizycji, Martina Igoarzábala, który oświadczył, że podsłuchiwał rozmowę dwóch kobiet w celi. Doradzały sobie wzajemnie, żeby przyznać się do czarownictwa, bo tylko wtedy mają szansę wyjścia na wolność. Valle i Becerra nie tylko nie uznali tego oświadczenia za dowód procesowy, ale na dodatek usunęli je z protokołu i pominęli we wnioskach końcowych. Zlekceważyli ewidentne sprzeczności w oskarżeniach przeciwko duchownym Juanowi de la Bordzie i Pedrowi de Arburu oraz przeciwko ich starym matkom. Tylko ślepy by nie widział, że brakowało niezbitych dowodów. I mimo twardego śledztwa inkwizytorzy nie wymogli na oskarżonych przyznania się do winy. Salazar bardzo się wtedy zmartwił, gdyż rada najwyższa inkwizycji zwykła skazywać na śmierć takich więźniów. Ci dwaj zakonnicy skończyliby na stosie, upierając się aż do końca, że nie mieli konszachtów z diabłem. Postanowił temu zapobiec. Kiedy trybunał złożony z trzech inkwizytorów i pięciu konsultorów (w tym ordynariusz) otworzył głosowanie nad wyrokiem skazującym na stos dla więźniów nieprzyznających się do winy, Salazar był jedyny, który głosował przeciwko.

— Nie ma wystarczających dowodów, aby ich skazać — argumentował. — Poza tym zeznania świadków zawierają poważne błędy. Są to, krótko mówiąc, nieścisłości prowadzące do błędnych interpretacji. — Wyciągnął swoje notatki, żeby się nimi podeprzeć. — Podam przykład: świadkowie nie potrafili powiedzieć, kiedy dokładnie odbyła się uroczysta inicjacja oskarżonych jako członków sekty. Udzielili na ten temat sprzecznych informacji. Niektórzy wycofali swe wcześniejsze zeznania i domagają się skreślenia nazwisk Juana de la Bordy i brata Pedra de Arburu z listy członków sekty demona. To wszystko jest bardzo dziwne. Inni czarownicy zeznali bowiem, że ci dwaj odgrywali ważną rolę w sekcie, cieszyli się względami demona, nie odstępowali go ani na krok i wspólnie z nim odprawiali czarną mszę.

Jeśli ci zakonnicy zajmowali tak eksponowane miejsce, to czy nie wydaje się wam dziwne, że jedni świadkowie widzieli ich na *akelarre*, a inni nie.

Głos sprzeciwu ze strony Salazara oburzył inkwizytora Vallego. Zerwał się z krzesła, pogroził mu artretycznym palcem i krzyknął, nie zważając na innych członków trybunału:

— Jeśli jeszcze raz mi się sprzeciwisz... — Dolna warga zatrzęśła mu się nerwowo. — Jeśli nie przyłączysz się do zdania większości, to pożałujesz!

Salazar osiągnął tylko tyle, że zakonników poddano torturom. Był przekonany, że nie zniosą bólu i, koniec końców, przyznają się do winy.

Trybunał w Logroño stosował zazwyczaj torturę kozła. Skazaniec kładł się na ławce, przywiązywano mu sznury w różnych miejscach ciała i okręcano je wokół pala. Naprężone sznury

wyrywały skazańcowi ciało kawałek po kawałku. Regulamin inkwizycji zakładał, że muszą być przy tym obecni trzej inkwizytorzy i ordynariusz, a każdy krok jest zaprotokołowany.

Zaprowadzono zakonników do sali tortur, żeby pokazać im najpierw to małe, kwadratowe pomieszczenie z wiszącymi powrozami i belkami w różnych kształtach i rozmiarach, które przedstawiały rozdzierający widok. W powietrzu unosił się zapach uryny, ludzkich odchodów i strachu, jednak nawet to nie przekonało zakonników do złożenia zeznań. Juan de la Borda i Pedro de Arburu nadal twierdzili, że nie są członkami sekty. Trzeba było zatem sięgnąć po silniejsze środki perswazji.

Brat Pedro, czując sznury wrzynające się w ciało, zaczął wołać, że wszystko powie, ale kiedy przerwano torturę, powtórzył to co zwykle, dodając jedynie błaganie, żeby pozwolono mu wyjść, na litość boską.

— Jasne, że pozwolimy ci wyjść — szepnął mu Valle prawie ojcowskim tonem. — Jesteśmy wyrozumiali, wiemy, że człowiek nie zawsze panuje nad swoimi słabościami. Ale najpierw się przyznaj, zobaczysz, że zaraz poczujesz się lepiej. Wszystko pójdzie łatwiej i nie będziesz cierpieć. Przyznaj się, bądź rozsądny.

Brat Pedro milczał przez chwilę z zamkniętymi oczami, jakby rozważał radę inkwizytora, po czym otworzył usta, żeby wciągnąć powietrze, i odpowiedział:

— Nie.

Zaczął krzyczeć, kopał nogami jak szalenciec, rzucał się na wszystkie strony, piana wystąpiła mu na usta i wpadł w taki stan euforii, że nie było sensu przedłużać tortury.

Jego kuzyn, Juan de la Borda sprawił im jeszcze większe rozczarowanie, kiedy przysłała na niego kolej. Już przy pierwszym szarpnięciu sznura przeszył go taki ból zmieszany ze strachem, że po kilku sekundach zapadł się on w ciemność. Zbliżył się kat, żeby podnieść mu powieki, i pokręcił przecząco głową, dając do zrozumienia trzem inkwizytorom, że nie ma co czekać, bo ten człowiek nie odzyska tak szybko przytomności.

Trybunał zakomunikował Supremie, że trzeba ponowić głosowanie w sprawie dwóch zakonników, ponieważ wielu świadków odwołało swe wcześniejsze oskarżenia. Tym razem jednogłośnie postanowiono darować im życie, ale nauczka musiała być porównywalna z karą śmierci. Zjawią się na autodafé do połowy obnażeni z habitów, wysłuchają wyroku, wyrzekną się herezji, zrezygnują ze swych funkcji zakonnych, a potem zostaną skazani na galery Jego Królewskiej Mości. Jeśli przeżyją, mimo przykucia do wiosł, resztę dni spędzą w zamkniętym klasztorze.

Zadowolony z uratowania życia zakonnikom Salazar postanowił zastosować tę samą skomplikowaną technikę w stosunku do ich matek. One także, podobnie jak synowie, upierały się przy swej niewinności. Salazar zamierzał poddać je torturom w nadziei, że oszczędzi im śmierci na stosie. Myślał, że takie dwie staruszki będą wołały przyznać się do winy, niż cierpieć ból. Tylko tak mógł je uratować. W przeddzień sesji tortur zjawił się wieczorem w lochach gmachu inkwizycji i odszukał celę dwóch kobiet.

— Panu Bogu nie potrzeba obrońców, tylko wiernych, moje panie — powiedział. — Kłamstwo jest mniejszym grzechem niż akceptacja śmierci. Rozumiecie?

Wtedy jedna z nich oświadczyła, że wcale nie poczuje się lepiej, jeśli się przyzna, bo choć uwolni ciało, to straci na zawsze duszę, kiedy będzie musiała powiedzieć, że miała do czynienia z diabłem. Oznajmiły mu, że nie są już takie nieszczęśliwe, bo wyzbyły się ściskającego za gardło strachu. Bardziej niż nad sobą litują się teraz nad tymi, którzy przyznali się do uprawiania czarów, żeby uratować życie.

— Ciebie też nam żal, czcigodny inkwizytorze, bo będziesz musiał żyć ze świadomością, że popełniono niesprawiedliwość.

Salazar na zawsze zapamiętał te słowa i czuł, że się spełnią niczym swoisty wyrok. Obie kobiety wytrzymały do końca z podniesioną głową, zniosły męki z godnością, jakiej nie okazał żaden młody człowiek, i skończyły na stosie, udowadniając w ten sposób, że nie są czarownicami, i utrwalając złą sławę okrutnego, bezlitosnego Salazara, który znajduje radość w torturowaniu staruszek.

Salazar ścisnął w dłoni list od Vallego i Becerry. Napisali do niego tylko po to, żeby poinformować o wszczęciu aresztowań, przesłuchań i tortur; nie prosili o radę i nic ich nie obchodziło, czy ma na ten temat coś do powiedzenia. Wykorzystując jego nieobecność, zrobili, co chcieli. To go wprawiło w zły humor. Pogardliwie odrzucił list na stół i zaczął chodzić z kąta w kąt jak zamknięte w klatce zwierzę. Musi coś zdecydować. Nie może przyglądać się w milczeniu, jak tamci mieszają mu w pracy. Niech ludzie mówią, co chcą, ale tym razem Salazar wykorzysta braterskie stosunki z inkwizytorem generalnym i poskarży się na kolegów. Napisał więc do Bernarda de Sandovala z powiadomieniem o konspiracji Vallego i Becerry. Prosił, żeby nie dał się olśnić

rzekomym dowodom, jakie oni uzyskają w swym śledztwie, i że on sam odszuka i wybada tego łowcę czarownic Pedra Ruiza de Eguino, ponieważ jego zdaniem jest to zwykły cwaniak, który za wszelką cenę chce zostać komisarzem inkwizycji.

Wezwał posłańca i kazał doręczyć ten list w trybie pilnym. Potem wyjrzał przez okno — wszystko było przygotowane, żeby wyruszyć do Elizondo. Czekano tylko na niego. Zapakował resztę rzeczy, jakie były w alkowie, i zamknął za sobą drzwi. Zamiast spoglądać wstecz, wolał rozpocząć nowy etap programu wizytacji. Wsiadł do powozu razem z Iñigiem i Domingiem, umościł się na miękkim siedzeniu z ciemno-fioletowego aksamitu i z zamkniętymi oczami starał się uwolnić od złych myśli, koncentrując się na oddechu, żeby jak najprędzej zasnąć. Przeszkadzała mu jednak przykra gorycz w ustach, dlatego kręcił się niespokojnie. Czuł się osamotniony; musiał błędzić w ciemnościach i walczyć gołymi rękami z całym systemem pojęć, które — jak się zdaje — w nikiem innym nie budziły wątpliwości oprócz niego. Miał wrażenie, że jest jedynym człowiekiem, który widzi rzeczywistość taką, jaka jest, ale nie był z tego dumny. Ujrzał siebie stojącego nad przepaścią, smaganego przez wiatr, deszcz i beznadzieję i nagle poczuł w karku lekkie ukłucie niepokoju. Może nie znajdował dowodów obecności diabła dlatego, że z takim uporem negował jego istnienie? Przecież nawet uwielbiana królowa wierzyła w siłę czarnej magii. Może on sam przesłonił sobie oczy opaską uniemożliwiającą widzenie tego, co inni widzą? I straszliwa duma nie pozwalała mu przyznać się do pomyłki.

Otworzył oczy. Krajobraz rozciągał się jak zielony dywan

wiodący do nieskończoności. Barwy pola, zapach lata, delikatna pieszczota słońca, czyżby to wszystko było tylko produktem przypadku? Wsunął rękę do kieszeni, gdzie trzymał list od Juany de Sauri. Jeszcze zanim go przeczytał, był pewien, że śmierć tej kobiety miała związek z wyrzutami sumienia z powodu zeznań, jakie złożyła przeciwko sąsiadom. Był przekonany, że ktoś przebrał się za kozła, żeby ją nastraszyć, i powiedział to Íñigowi de Maestu, a ten uwierzył mu bez zastrzeżeń. Spojrzał na chłopca siedzącego naprzeciwko, który też obserwował krajobraz, i poczuł dotkliwy smutek. Dlaczego próbował zasiać w umysłach przyszłych zakonników przekonanie, że czary nie istnieją, diabeł nie istnieje, a jedyne zło zdolne potrząsnąć światem bierze się z ludzi? Czyżby pragnął, żeby wszyscy stali się tacy jak on? Bez wiary i nadziei.

Wyciągnął list Juany i ponownie przeczytał zdanie, które jeszcze niedawno było starannie ukryte.

Nie odwrócili się od dzieł swych rąk, tak by nie wielbić demonów [...] Ani się nie odwrócili od swych zabójstw, swych czarów.

Wydawało się jasne. Te słowa mówiły o czarownikach, o ludziach, którzy nie czują skruchy i nadal hołdują swoim diabelskim praktykom. Czyżby to miało znaczyć, że czarownicy, którzy przychodzą do niego po ułaskawienie na mocy edyktu, tylko udają skruchę? Ścisnęło go w żołądku na myśl o tym, że można by odpowiedzieć twierdząco na takie pytanie. Nie można zatem wykluczyć istnienia wyższej, diabolicznej istoty, zaangażowanej w walkę o duszę ludzką.

Mimo to śmierć Juany wciąż pozostawała zagadką. Tym bardziej zależało mu na spotkaniu czworga rzekomych pokutników, którzy zamieszkali u niej w przeddzień przyjazdu inkwizytora do Santesteban. Salazar był pewien, że mają oni klucz do rozwiązania tej zagadki.

xxx

Pełna podejrzeń Mayo skierowała swe kroki w stronę kościółka w Urdax. Tuż obok był cmentarz. Niebo poszarzało groźnie, ale dziewczyna nie zwracała na to uwagi i chodziła między grobami razem z Beltránem, przyglądając się kamieniom cmentarnym, marmurowym prostokątom, nabożnym figurom tłusciutkich aniołków w poszukiwaniu jakiegoś znaku, który pozwoliłby odnaleźć grób Gracii. Szybko zrozumiała, że nie jest w stanie rozszyfrować tych długich gotyckich symboli oznaczających nazwiska osób, toteż uzbroidła się w odwagę, zostawiła Beltrána pod drzwiami i weszła do świątyni.

— Czego szukasz, córko?

Mały, pomarszczony proboszcz wychynął z cienia i zbliżał się do niej z błogosławionym wyrazem twarzy, trzymając na piersiach dłonie złączone jak do modlitwy.

— Gracia de Iturralde nie umarła śmiercią naturalną — wypaliła Mayo bez tchu. — Gracie de Iturralde zabił mąż motyką.

— Ależ uspokój się, dziecko, tak nie można. Gracia nie umarła. Chyba, że mówisz o śmierci duchowej, bo złamała przysięgę małżeńską. Ślubowała mężowi — proboszcz podniósł oczy ku niebu i zaczął wymieniać: — w zdrowiu i w chorobie, w biedzie i w dostatku... Dopóki śmierć nas nie rozłączy... — spojrzał na Mayo

i podniósł do góry palec wskazujący — ...a ona co? Uciekła, opuściła męża za życia. Nie... tak się nie postępuje. To ciężki grzech. Bardzo ciężki. Zrobiła z niego głupca, ośmieszyła przed całą osadą. Ludzie lubią gadać i wymyślać niestworzone historie. Wiesz, jak to jest.

— Wiem, słyszałam.

— Gracia obraziła się na męża i na mnie, jak się dowiedziała, że to on zadenuncjował jej przyjaciółkę, a ja sporządziłem raport o podejrzanym z Urdax — wyjaśnił proboszcz. — Do mnie też nabrała urazy i w odwecie przestała przychodzić do kościoła. Niech Bóg jej wybaczy!

Proboszcz opowiedział, że Gracia bardzo to przeżyła, kiedy ludzie Świętego Oficjum przyszli po Marię de Echalecu. Czuli się winni jej nieszczęścia. Nie spała, bardzo schudła, wciąż płakała.

— Mariano powiedział, że dłużej tego nie wytrzyma, więc poszedłem do nich, żeby z nią porozmawiać. Prosiłem, żeby bardziej zajęła się domem i mężem, ale ona nawet na mnie nie spojrzała. Odwróciła się plecami i dalej krzątała się po domu, dopóki nie wyszedłem.

Od czasu aresztowania czarowników małżonkowie prawie ze sobą nie rozmawiali. Co parę dni Mariano zachodził do kościoła, żeby zapytać proboszcza o autodafé i dowiedzieć się, czy przyjaciółka jego żony jest wśród skazanych na oczyszczenie przez ogień. Potem wracał do domu i przekazywał Gracji zasłyszane informacje, nie szczędząc drastycznych szczegółów, przez co doprowadzał ją do łez.

— Dowiedzieliśmy się, że Maria de Echalecu zmarła w więzieniu przed autodafé z powodu jakiejś epidemii — tłumaczył proboszcz. — Wtedy Mariano skontaktował się ze Świętym Oficjum i wykupił jej ziemię.

Mariano od razu wyszedł na pole, choć to nie była pora, i zorał cały teren, harując całymi dniami, jakby od dawna pragnął sprofanować tę glebę; zostawiał za sobą świeże skiby urodzajnej ziemi, w której nie raczył zasiać choćby marchewki. Tymczasem ściany jego domu straszły poodklejanym tynkiem, przez dziury w dachu wystawała słoma, a kuchnia wyglądała jak chlew.

Pewnego dnia Gracia odeszła. Skorzystała, że mąż pojechał do Zugarramurdi po nasiona i nawóz. Kiedy wrócił, zdziwił się, że dym nie leci z komina, choć zbliżała się pora kolacji. Nie było światła w oknach i nikt nie odpowiedział na wołanie. Tknięty złym przeczuciem wyważył kopniakiem drzwi, spojrzął na łóżko, czy nie leży chora, sprawdził, czy nie schowała się dla żartu pod łóżkiem, wreszcie poszedł do sąsiedniego domu, bo może Gracia miała atak melancholii i tam się ukryła, żeby powspominać przyjaciółkę.

— Mów, gdzie jesteś, bo jak cię znajdę, wypruję z ciebie flaki — krzyczał Mariano de Aitajorena, przemierzając dużymi krokami odległość między jednym a drugim domem.

Ale tam też jej nie było. Stał na podwórku i wykrzykiwał jak szaleniec imię żony, aż wystraszył kury i ochrypl. Po powrocie do swojego domu zajrzał od razu do szkatułki, gdzie trzymali oszczędności, i nie zobaczył tam nic oprócz pająka z długimi, cienkimi nogami, który przechadzał się bez przeszkód od ściany do ściany. Poczzerwieniał z gniewu. Gracia uciekła ze wszystkimi

pieniędzmi, a jak poszedł do stajni, to stwierdził, że zabrała też ich jedynego konia, perszerona z krzywymi nogami, którego uwielbiała. Dostała go w dzieciństwie jako prezent i nie lubiła, kiedy Mariano zaprzęgał go do pług. Kiedy to wszystko pojał, dostał takiego ataku wściekłości, że musiano go związać, bo w przeciwnym razie zabiłby pół wioski.

— Wiadomo, gdzie poszła Gracia? — spytała Mayo proboszcza.

— Dokładnie nie wiadomo. Ale ludzie różnie gadają... wiesz, jak to jest.

— Wiem... Ludzie gadają — zgodziła się Mayo.

— Podobno ma rodzinę w Rentería i tam poszła. — Znów podniósł oczy do nieba i przybierając nabożny wyraz twarzy z początku rozmowy, dodał zrezygnowanym tonem: — Oby Bóg wybaczył tej zbłąkanej owieczce.

— Dziękuję księdzu — odparła Mayo. Wzięła Beltrána za uzdę i już miała odejść, kiedy coś jeszcze sobie przypomniała. — Przepraszam, ale czy spełni ksiądz jedną prośbę?

— Jeśli to w mojej mocy...

— Raczej w kurniku — sprostowała Mayo. — Czy ma ksiądz kure albo inne zwierzę z białymi piórami?

— Owszem, tam za kościołem... cztery kury, kogut i gęś... uważaj na nią... ma brzydki zwyczaj szczypania nieznajomych w tyłek.

XXX

Ledwo minęła godzina po wyjściu Mayo z kościoła, gdy Mariano de Aitajorena wpadł do księdza jak wichler.

— Ojczy! Czarownice wróciły! — krzyknął.

— O czym ty mówisz?

— Jedna z nich była u mnie dziś rano. Co za straszydło! Razem z nią przyszedł demon pod postacią osła — Mariano z trudem wyrzucał z siebie słowa. — Chciała widzieć się z moją żoną w sprawie czarów.

— Czarownica? — spytał zaniepokojony proboszcz. — Była tu niedawno, ale to zwykła dziewczyna i...

— Była tu? — Mariano nie dał księdzu dokończyć. — Czego chciała?

— Szukała grobu twojej żony. Myślała, że Gracia nie żyje i...

— To gorzej, niż myślałem. — Mariano usiadł na ławce kościelnej i ukrył twarz w dłoniach. — Chcą się zemścić! Dlaczego nas tak dręczą? Już myślałem, że uwolniliśmy się od czarownic, denuncjując przed Świętym Oficjum tę Marię de Echalecu... Ale wróciły! — Podniósł oczy i zapytał: — Co wam powiedziała ta czarownica?

— Pytała o grób twojej żony, więc powiedziałem, że ona żyje. A potem poprosiła o białe pióra i...

— Pióra?

— Zostawiłem ją w zagrodzie dla ptactwa. — Duchowny zawałał się i spuścił oczy.

— Jesteśmy zgubieni! Zgubieni, zgubieni... — Niepokój Mariana udzielił się proboszczowi.

— Zgubieni — szepnął.

— Potrzebowała białych piór, żeby rzucić na nas urok. To straszne!

Wtedy proboszcz przyjął pozę sędziego, podniósł wysoko głowę i spojrzał Marianowi w oczy. Nie pozwoli, żeby nowe nieszczęścia spadły na ziemię Urday.

— Nie martw się — powiedział spokojnie. — Święte Oficjum ściągnęło łowcę czarowników. Słyszałem, że jest gdzieś niedaleko. Wiem, którądy poszła ta czarownica ze swym diabelskim osłem. Jeśli są jeszcze w Urdax, łowca czarowników ich dopadnie. Możesz być pewien — oświadczył proboszcz i po ojcowsku poklepał Mariana w ramię.

XV

O tym, jak się robi i na czym polega rytuał ognioodporności

Wjazd do Elizondo odbył się zgodnie z wymogami protokołu. Bicie dzwonów, uroczyste powitanie przez lokalne władze, płacz i błaganie ludu udręczonego przez czarownice, żeby panowie inkwizytorzy położyli kres tej diabelskiej pladze... Zaraz po zakwaterowaniu w rezydencji przygotowanej przez alkada Salazar poszedł sprawdzić sambenita na wrotach kościoła i tabliczki z nazwiskami osób i kar zasądzonych przez inkwizycję. Miał listę takich osób i wykonywał te czynności biurowe w ramach obowiązków wizytatora. Zauważył brak dwóch worków pokutnych, a jeden z wiszących był mocno postrzępiony i tabliczka z nazwiskiem była tak wyblakła, że prawie nic nie dawało się odczytać. Czasem zniszczenia były skutkiem złej pogody, ale częściej worki pokutne i tabliczki usuwali albo niszczyli ludzie. Krewni skazanego byli gotowi na wszystko, byle uwolnić się od hańby i kłopotów związanych z posiadaniem w rodzinie heretyka. Niegodziwość popełniona przez

ojca przechodziła jak zaraza na dzieci i wnuki, odbierając im szansę na stanowiska liczące się w hierarchii społecznej. Najbliżsi krewni heretyka nie mieli prawa ubierać się w jedwabie, ozdabiać się złotem i srebrem, jeździć konno i nosić broni. A żeby jeszcze więcej ich upokorzyć, za każdym razem gdy w okolicy przydarzało się coś dziwnego, wszyscy wytykali ich palcami, mamrocząc, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Krewnym skazanych przez Święte Oficjum nie brakowało sprytu i potrafili usunąć sambenita lub zmienić litery w nazwiskach na tabliczkach tak, żeby z Fernandezza zrobić na przykład Hernandezza. Oczywiście nikt się nie sprzeciwiał, żeby u wejścia do kościoła wieszać kukły ku przestrodze przyszłych bluźnierców, pod warunkiem że na tabliczce widnieje jakieś inne nazwisko niż jego własne.

Salazar zarządził odnowienie zniszczonych worków pokutnych, po czym rozpoczął przesłuchania, które postanowił prowadzić przy drzwiach otwartych. Myślał, że jak ludzie zobaczą i usłyszą swych skruszonych sąsiadów, błagających o przebaczenie i o ponowne przyjęcie na łono Kościoła świętego, to zapanuje spokój i porządek. Ale się pomylił. Po wysłuchaniu pierwszej osoby musiał uznać, że to niedobry pomysł.

Dziewczyna miała zaledwie szesnaście lat. Przedstawiła się jako Catalina de Sastrearena. Miała rude włosy, zielonkawe oczy i masę piegów na zadartym nosie. Mogłaby uchodzić za ślicznotkę, gdyby nie przesadne gestykulowanie, nerwowe mrużenie oczu i drapanie się po głowie. Catalina nie ukrywała żadnych szczegółów. Zaczęła od tego, że przyleciała z Arizcún razem z innymi czarownikami. Lecieli do Elizondo z zawrotną szybkością.

Potem, kiedy siedziała na ławce w korytarzu, czekając na przesłuchanie, nogi same oderwały się jej od ziemi i wzbijały się do góry. Czarownice użyły specjalnego zaklęcia, aby wyciągnąć ją przez komin i przenieść na *akelarre*. Nikt się nie zorientował. Na dodatek Catalina zapewniła, że jest ulubienicą diabła i podczas *akelarre* siedzi po jego prawicy, a po kolacji spędzają razem noc i jest nim zachwycona.

W sali zawrzało. Słysząc było okrzyki: Boże drogi, co z nami będzie? Taka hańba! Zawsze tak się zaczyna! Młodzież nie ma teraz żadnego wstydu! Jedna z najcnotliwszych w Elizondo kobiet zemdląca, a że siedziała w pierwszym rzędzie, zgromadzeni podawali ją sobie z rąk do rąk, bo nie można było zrobić przejścia w tłumie.

Właśnie w tym momencie Salazar pożałował, że zgodził się przesłuchiwać przy drzwiach otwartych. Nie wiedział, jak to się stało, że w ciągu pięciu minut podwoiła się liczba widzów na sali. Zeznania Cataliny, zamiast ich uspokoić, rozbudziły niezdrową ciekawość. Ludzie chciwie wysłuchali opowieści dziewczyny, jak przenosiła się z wioski do wioski w postaci kruka i uczestniczyła w specjalnym autodafé zorganizowanym przez diabła, żeby spalić żywcem Salazara.

Po tych słowach znów zawrzało, ale zaraz zapadła grobowa cisza, bo wszyscy byli ciekawi reakcji inkwizytora. Salazar po raz pierwszy okazał Catalinie żywsze zainteresowanie.

— To ciekawe, opowiedz dokładniej.

— Urządziliśmy autodafé, tak samo jak Święta Inkwizycja, i skazaliśmy was na śmierć przez spalenie na stosie. Ciebie — wskazała na Salazara. — Tych dwóch — wskazała na Íñiga i

Dominga. — I proboszcza z Arizcún. To razem czterech — podsumowała z dumą.

Íñigo przetłumaczył, czując, że robi mu się gorąco od słów Cataliny. Pochylił głowę, żeby dziewczyna nie zobaczyła, jak wielkie wrażenie wywarło na nim jej wyznanie. Domingo przerwał pisanie, ręka zawisała mu w powietrzu, a z pióra kapnęło na stół trochę atramentu. Jedynie Salazar zachował obojętność i dalej zadawał pytania.

— Skoro nas spaliliście, to jak wytłumaczysz, że teraz tu jesteśmy? — Wszystkie głowy zwróciły się w stronę dziewczyny, żeby zobaczyć, jak poradzi sobie z tą kwestią.

— Bo właściwie... — Catalina zawahała się, bojąc, że inkwizytor odbierze jej główną rolę — my wcale nie chcieliśmy was zabić, tylko trochę przestraszyć i dlatego od razu zrobiliśmy rytuał, żeby płomienie nie dosięgły waszych szat.

— Jak się robi taki rytuał?

— Trzeba natrzeć sutanny ałunem zmieszonym z białkiem jajka, a potem uprać w słonej wodzie. Po wyschnięciu można przysuwać je do ognia i wcale się nie zapalą.

— Dlaczego nic nie pamiętam? Użyłyście jakichś czarów, żeby wymazać to z naszej pamięci?

Catalina nie zdążyła odpowiedzieć inkwizytorowi, bo nagle skuliła się, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła straszliwie szlochać. Jednocześnie poruszała brwiami, robiła dziwne miny i pokazywała palcem na sufit, machając na oślep rękami, jakby broniła się przed rojem pszczół. Dawała do zrozumienia, że demon i czarownice zabraniają jej mówić, żeby ich nie zdradziła.

— Nie... nie... nie mogę. Grrrrrr... — Złapała się za gardło, jakby się dusiła. — Ratunku! Nie chcę umierać!

Trzeba ją było wyprowadzić z sali, bo rzuciła się na podłogę, szarpała włosy i krzyczała jak szalona. Wszyscy byli skonsternowani, toteż Salazar postanowił zakończyć śledztwo na ten dzień. Na drugi raz nie pozwoli, żeby sąsiedzi przysłuchiwali się zeznaniom czarowników, bo to nie zdaje egzaminu. Takie widowiska prowadzą jedynie do większego zamieszania, gdyż porządni ludzie dowiadują się o niestworzonych rzeczach i potem wyobrażenia nie daje im spokoju. Tak zanotował w diariuszu, gdzie prowadził notatki z podróży. Wszystko zapisywał, segregując informacje wedle takich kryteriów jak nazwiska osób, wiek, data przesłuchania, miejsce zamieszkania i inne... Żaden ptak przelatujący w tych dniach nad Elizondo nie został pominięty w zapiskach Salazara.

Uznał, że dziewczynę należy zaklasyfikować do kategorii megalomanów, którzy uwielbiają grać główną rolę. Polecił Íñigowi wy badać, kim jest ta Catalina de Sastrearena. Nie wierzył jej słowom, ale zaintrygowała go i postanowił dowiedzieć się czegoś o jej rodzicach, z kim mieszkała, czym się zajmowała, jakich miała przyjaciół.

Po tak drastycznym wystąpieniu dziewczyny nie mógł udzielić jej przebaczenia na mocy edyktu, bo zostałby posądzony o małoduszność. Nie mógł pozwolić, aby jej zeznania doszły do uszu inkwizytorów z Logroño, bo wtedy Catalina spędziłaby w lochu resztę życia o chlebie i wodzie. Musiał sprawdzić, czy ta nieszczęsna była rzeczywiście opętana przez diabła, czy też padła ofiarą zbio rowego szaleństwa. Jeszcze kilka dni temu wybrałby tę drugą opcję, ale teraz rozbrzmiewały mu w uszach słowa Juany de Sauri i nie chciał wyciągać zbyt pochopnych wniosków.

Dwie godziny potem nowicjusz Íñigo de Maestu pędził co tchu do pokoju Salazara, potykając się o donice z roślinami i ślizgając na zakrętach korytarza. Zapukał mocno do drzwi i otworzył, zanim usłyszał „proszę”. Jedną ręką trzymał się za serce, a drugą oparł na stole. Oddychał z trudem.

— Dokonałem odkrycia — wysapał — nawet dwóch. Odkryłem dwie rzeczy!

— Umieram z ciekawości — uśmiechnął się Salazar — zwłaszcza że dawno nie widziałem cię w takim stanie. Ale nie chcę, żeby potem mówiono, że jestem despotą dla moich pomocników... — Wziął go za ramię i podprowadził do krzesła. — Siadaj. To, co masz mi do powiedzenia, może poczekać parę minut, a ty odsapnij. Dam ci trochę wina. Medycy powiadają, że czerwone wino jest dobre na krążenie krwi, a poza tym... pomaga zebrać myśli i największym niemowom daje dar słowa.

Íñigo de Maestu pociągnął łyk i przez chwilę siedział nieruchomo ze szklanką w ręku, czując, jak mija niepokój, od którego bolało go w brzuchu.

— Weź głęboki oddech — zasugerował Salazar — i mów o tych dwóch ważnych odkryciach.

Nowicjusz zaczął od wyjaśnienia, że zbierał informacje o Catalinie, tak jak przykazał Salazar. Okazuje się, że nikt w Elizondo jej nie zna i nikogo nie poprosiła o gościnę. Nie wiadomo więc, gdzie jej szukać. Wiadomo tylko tyle, że przybyła razem z innymi dziewczętami w tym samym wieku, Íñigo dowiedział się, u kogo one mieszkają, i złożył im wizytę. Nie musiał wiele pytać, aby usłyszeć, że znają Catalinę od dziecka i że to wszystko prawda, co mówiła

o lataniu, paktach i miłosnych schadzkach z Szatanem, Íñigo był zaskoczony, że dziewczyny prześcigają się w mnożeniu szczegółów, a nocne loty, demoniczne autodafé i rzekome zabójstwa urosły w ich relacjach do niezwyklej rozmiarów. Pomyślał, że kłamia. Jedna z nich mało się odzywała, chowała się po kątach, odwracała wzrok i przygryzała paznokcie. Postanowił porozmawiać z nią na osobności. Zaczekał na odpowiednią chwilę i zadał jej kilka pytań. Dziewczyna niechętnie odpowiadała, ale — przyparta do muru — zaczęła płakać i wyznała, że Catalina nie pochodzi z jej wioski. Właściwie się nie znają. Wybrała się z koleżankami do Elizondo, żeby skorzystać z czasu łaski, i po drodze spotkały wóz z czterema osobami. Dwóch mężczyzn i dwie kobiety, w tym Catalina. Podróźni obiecali dziewczynom, że jeśli zgodzą się przyjąć Catalinę do swej grupy, to każda dostanie sznur pereł.

— Wóz z czterema osobami? — wtrącił Salazar. — Myślisz, że...

— Nie tylko myślę, mój panie, ale jestem tego pewien. — Íñigo podniósł się rozemocjonowany. — Ale to jeszcze nie wszystko... Pamiętacie list Juany de Sauri? — Salazar przytaknął. — Czulem, że skądś znam te słowa: „A pozostali ludzie niezabici przez te plagi, nie odwrócili się od dzieł swych rak, tak by nie wielbić demonów ani bożków złotych, srebrnych, spiżowych, kamiennych, drewnianych, które nie mogani widzieć, ni słyszeć, ni chodzić. Ani się nie odwrócili od swoich zabójstw, swych czarów, swego nierządu i swych kradzieży” — wyrecytował z pamięci, po czym dodał: — Apokalipsa, rozdział dziewiąty, werset dwudziesty pierwszy.

— Rzeczywiście.

— Ten fragment sam w sobie zawiera interesujący przekaz, ale skoro tyle rzeczy się dzieje, to może warto głębiej sięgnąć do Apokalipsy.

— Co masz na myśli? — spytał Salazar.

— Wcześniej, przed tym werselem, jest w Piśmie Świętym opis czterech jeźdźców, którzy przybyli szerzyć śmierć. — Íñigo spojrział w niebo i zaczął liczyć na palcach. — Pierwszy przybył na białym koniu, trzymając łuk, którym będzie zwyciężał. Drugi przygalopował na koniu barwy ognia, żeby odebrać ziemi pokój i sprawić, by ludzie wzajemnie się zabijali. Trzeci siedział na czarnym koniu, a w ręce miał wagę. — Íñigo przerwał i zrobił grobową minę. — Najgorszy był czwarty jeździec. Przybył na koniu trupio bladym, na imię miał Śmierć i otchłań mu towarzyszyła. Otrzymał władzę nad czwartą częścią ziemi, żeby zabijać głodem i morem.

— Czterech jeźdźców Apokalipsy — szepnęła Salazar. — No to chyba mamy trop.

— Z całą pewnością, mój panie, to jest właściwy trop. Dowiedziałem się od dziewczyny, że Catalina i jej przyjaciele przyjechali na wozie zaprzęgniętym w dwa konie, a z tyłu szły przywiązane jeszcze dwa. Wyobrażacie sobie, jak wyglądały?

— Białe, koloru ognia, czarne i trupio blade? — zapytał podekscytowany Salazar.

— No właśnie! — roześmiał się Íñigo. — Czy to nie dziwne, że kiedy coś się dzieje, za każdym razem pojawia się czwórka nieznanomych, którzy są w to wmieszani? To mi nie wygląda na zwykły przypadek. — Otworzył szeroko oczy i wyrzekł teatralnym

szeptem: — Czterech jeźdźców Apokalipsy.

— A Juana próbowała nam ich opisać — podsumował Salazar.

Rozmowę na temat ukrytych znaczeń listu i nieszczęść zapowiedzianych przez Apokalipsę przerwał dobiegający z zewnątrz gwar. Z minuty na minutę hałas przybierał na sile. Salazar z nowicjuszem podeszli do ona i zobaczyli na ulicy grupę ludzi uzbrojonych w pale, motyki i noże rzeźnicze. Inkwizytor zapytał głośno, co się stało.

— Kobiety zaczekały po przesłuchaniu na tę opętaną i poddały ją próbie — wyjaśnił podniesionym głosem jeden z mężczyzn.

— Jakiej próbie?

— No wiecie, Wasza Wielebność... — mężczyzna nie wiedział, jak to wytłumaczyć człowiekowi Kościoła — jest taki sposób, żeby sprawdzić, czy kobieta zadawała się mężczyznami. I wiecie co? Ta Catalina jest dziewicą... A tyle się nagadała o swoich spotkaniach z demonem! Zakpiła sobie z nas i z Waszej Wielebności.

— Tak... zakpiła sobie... tak — powtarzał rozgorączkowany tłum.

— Gdzie teraz idziecie, dobrzy ludzie? — spytał Salazar.

— Idziemy poszukać tej kłamczuchy. Uciekła nam przez okno — krzyknęła jakaś kobieta.

— Podobno ukrywa się w lesie z trzema innymi czarownicami. Zamieniły się w zwierzęta — dodała inna. — Przepędzimy je stąd.

Salazar chwycił Íñiga za ramię i zbiegli po schodach, przeskakując po kilka stopni naraz. Popędzili ulicą, żeby dogonić

samozwańcych przywódców rozegzaltowanego tłumu. Salazar zastanawiał się, jak ich przekonać, żeby nie zabili Cataliny i pozostałych dziewcząt, gdy tylko ich dopadną. Musi je przesłuchać. Nie pozwoli na lincz w czasie wizytacji.

Grupa podążała w stronę lasu. Niektórzy mężczyźni przyjechali konno, ale musieli przywiązać konie do drzew i je zostawić, bo las stawał się coraz gęstszy, gałęzie tarasowały przejście i człowiek czuł się jak w sieci na motyle. Od pewnego momentu nawet iść było trudno. Zapadał zmierzch, słońce zachodziło za górami i zaczynały się bagna pełne rozbieganych płazów i kęp sitowia. Miejscami nie było ubitej ziemi, tylko warstwa suchego, spękanego błota i zgniłych liści; grunt w każdej chwili mógł się zapaść pod stopami, a dookoła unosiły się bagienne opary.

— Uważajcie, panie, na nogi — szepnął mu ktoś do ucha. — Bagno jest zdradliwe i zanim człowiek się obejrzy, już po nim. To tak jak chodzić zimą po lodzie na jeziorze.

— Utopić się w bagnie! Jeszcze czego! — zaprotestował Salazar.

Ludzie przeczesywali teren, idąc blisko siebie, niektórzy nawet trzymali się za ręce. Byli gotowi na wszystko, byle dorwać czarownicę. Wtem zapanowała cisza. Słyszeć było tylko tupot kroków. Szli odprowadzani ostatnimi błyskami słońca, które przebijało przez gałęzie drzew, spowijając las w indygowy, iluzoryczny światło jak w baśniach o wrózkach. Inkwizytor przeżuwał milcząco swą złość, że przyłączył się do tych nieszczęśników, którymi rządzi głód zemsty przynoszącej chwilową ulgę i fałszywe poczucie spełnienia. Widział, iż nie ma sensu tłumaczyć im, że jeśli czarownicy

i demony rzeczywiście istnieją, to na pewno są zuchwalsi i wyglądają bardziej arystokratycznie niż Catalina, która przypomina nie tyle czarownicę, ile przekupkę.

W pół godziny potem dostrzegli niewielką smugę dymu. Bezszelestnie podeszli bliżej. Usłyszeli trzask ognia, stukot końskich kopyt i szmer ludzkich głosów, a oczom ich ukazała się polana, którą rzekomi czarownicy wybrali sobie na obozowisko. Teraz siedzieli spokojnie przy ognisku i odpoczywali.

— Panie, widzicie konie? — szepnął Salazarowi do ucha Íñigo.

— Widzę — odparł inkwizytor. — Białe, czerwone, czarne i siwe. Stoją przywiązane do wozu.

Zaschło im w gardle ze strachu i obleli się potem, aż ubrania przylepiły im się do ciała. Ktoś szepnął, żeby otoczyć polanę, odciąć złoczyńcom możliwość ucieczki i dopiero wtedy zaatakować, ale jeszcze nie rozciągnęli się w tyralierę, gdy rozległo się dzwonienie. Nie zauważyli, że między drzewami rozpięte są cienkie druty, z których zwisają muszle morskie i inne skorupy działające jak system alarmowy w razie niezapowiedzianej wizyty. Zaraz potem rozległo się rżenie koni. Czwórka podejrzanych zerwała się z miejsca w ułamku sekundy i podbiegła do wozu zaprzęzonego w parę koni. Pozostałe dwa konie były uwiązane z tyłu. Salazar rozpoznał Catalinę w dziewczynie, która wskoczyła na kozioł razem ze starszą kobietą, podczas gdy dwaj mężczyźni, owłosieni od góry do dołu, biegli odwiązać drugą parę koni.

Zapanowała panika. Ludzie z wioski biegli gromadą, bez ładu i składu, wnosząc mrozące krew w żyłach okrzyki i wymachując pochodniami oraz narzędziami walki. Salazar próbował ich

uspokoić gestem i słowami, a jednocześnie wołał za uciekającymi, starając się nie wypaść zbyt groźnie.

— Zatrzymajcie się! Chcemy tylko porozmawiać. Wyrażcie skruchę, a wszystkie grzechy będą wam odpuszczone, bo teraz jest czas łaski.

Ale czarownicy nie słuchali, tylko jak najszybciej od-wiązywali konie. Mężczyzna, który uprzedzał Salazara o pułapkach bagiennego terenu, złapał za nogę chłopaka z bielmem na oku akurat wtedy, gdy ten próbował dosiąść czarnego konia. Pociągnął tak mocno, że chłopak wylądował parę metrów dalej. Białooki upadł na plecy, patrząc na swego prześladowcę z przerażeniem i bełkotząc coś niezrozumiale. Mężczyzna rzucił się na niego, złapał za szyję, zaczęli się szamotać. Salazar prosił o spokój i rozwagę, żeby się opanowali, na Boga, bo to się niedobrze skończy. Ale nikt go nie słuchał. A ci dwaj byli już nieobecni duchem, krew w nich wrzała tak silnie, że nie mogli myśleć o Bogu ani kierować się rozsądkiem. Obaj byli o krok od przepaści.

Potoczyli się po ziemi, zatrzymując się przy ognisku dopiero wtedy, gdy mężczyzna poczuł, że parzy. Ogień jeszcze nie wygasł i gdyby tak sięgnąć dłonią, można by złapać polano, zamachnąć się na to diabelskie nasienie. Salazar wyczuł jego myśli, jeszcze zanim obróciły się w czyn, i wydało mu się, że już kiedyś widział to, co teraz rozgrywało się na jego oczach. Mężczyzna przesunął się, sięgnął po rozżarzoną gałąź i rzucił ją na twarz młodzieńca. Białooki krzyknął tak przeraźliwie, że przestraszone puchacze zerwały się do lotu z pobliskich drzew, nie rozumiejąc dobrze, co się dzieje. Ten wrzask przeraził nawet napastnika, który na moment znieruchomiał, a wtenczas chłopak wyrwał mu się z rąk i pobiegł do

wozu, trzymając się za twarz. Jednym skokiem znalazł się przy Catalinie, która broniła się przed wieśniakami patelnią, podczas gdy starsza kobieta popędzała konie. Wóz ruszył gwałtownie, nie zważając na żadne przeszkody. Z tyłu pędził na czarnym koniu starszy z czarowników, trzymając za lejce gniadosza. Mieszkańcy wioski biegli za nimi, wymachując rękami, wykrzykując przekleństwa i obietnice zemsty, dopóki nie zorientowali się, że uciekinierzy są coraz dalej i prawie ich nie widać.

Pierwszą reakcją Salazara było uczucie ulgi. Kiedy zobaczył płonące łuczywo na twarzy młodzieńca, musiał dokonać pewnego wysiłku, żeby uświadomić sobie, co się właściwie stało, dlaczego stracił kontrolę nad sytuacją i czemu wszyscy pałają taką nienawiścią do nieznanym. Natychmiast sobie uświadomił, że gdyby przesłuchał tych dziwacznych osobników, na pewno mógłby wyjaśnić okoliczności śmierci Juany i zrozumieć przyczyny absurdalnego widowiska, jakie urządzono mu tego ranka. Poczul lekkie rozczarowanie, że nie są w jego rękach.

Íñigo wyrwał go z zamyślenia. Przyniósł naręcz papierów i jakieś przedmioty.

— Nie uwierzycie, panie...

— Skąd wiesz?

— Zobaczcie, co ci czarownicy zostawili w pośpiechu — powiedział pełen niepokoju.

Salazar spojrzal niechętnie, gotów nie przywiązywać do znaleziska większej wagi, ale natychmiast zmienił zdanie i wyrwał mu wszystko z rąk, nie wierząc własnym oczom. Rzekomi czarownicy porzucili przy ognisku torbę myśliwską, którą Íñigo zgubił w czasie wizyty w domu Juany.

W torbie było jeszcze zwierzęce kopyto, a także beżowa chusteczka z cienkiego jedwabiu z wyhaftowaną w rogu literą M, zbyt elegancka, aby należeć do tych osobników. W chusteczce znajdowała się szklana, zakorkowana fiolka z ciemnoczerwonym proszkiem.

— Spójrzcie tutaj, panie — powiedział Íñigo. — Te papiery zniknęły z mojego pokoju. Pamiętacie?

— Oczywiście, że pamiętam. — Salazar marszczył czoło i wzdychał ciężko, oglądając każdą rzecz z osobna.

Nie rozumiał, dlaczego te dokumenty znalazły się w rękach osób podejrzanych o czary. Były tu informacje o miejscu zamieszkania Juany de Sauri, szczegółowy program wizytacji, schemat trasy, mapy...

— Skąd oni mieli dane o naszej wizytacji? — ryknął. — Mapy, nazwiska oskarżonych... Dlaczego? Skąd to wzięli? — Íñigo spojrział zaniepokojony. — Jak to możliwe?

Jak to możliwe?! — Salazar podniósł wzrok znad dokumentów, które kurczowo ścisnął w dłoni. — To specjalny gatunek papieru perłowego. Proces wytwarzania takiego papieru jest niesłychanie skomplikowany i kosztowny.

W naszym królestwie tylko dwie instytucje używają papieru perłowego.

Íñigo słuchał z napięciem.

— Dwór królewski i Święte Oficjum — wybuchł Salazar i zamilkł. — To niemożliwe — wyjęczał po chwili.

Wtedy przyszedł mu na myśl koszmarny sen, w którym widział królową Małgorzatę odzianą w szatę wróżki, ze stygmatami na dłoniach spływających błękitną krwią. Przypomniał sobie dokładnie słowa, jakie krzyknęła mu do ucha. I właśnie w tym momencie usłyszał je na nowo — odbijały się echem po lesie, niosąc ciężar

spełnionego przeczucia. Powiedziała mu: demon jest w pałacu!

— Demon jest w pałacu — powtórzył szeptem Salazar, a Íñigo patrzył, nic nie rozumiejąc.

xxx

Mayo wróciła do domu Juanesa de Azpilcuety z trzema bielutkimi piórami owiniętymi kawałkiem materiału.

— Gdzie ja mam głowę! — zawołała do mężczyzny, który wciąż siedział na ławeczce pod bzem, tak jak go zostawiła, i opróżniał butelkę wina ze zrezygnowaną miną. — Zapomniałam, że jeszcze coś mam dla pana. — Juanes podniósł oczy, a Mayo zorientowała się, że płakał. — Woźnica dał mi nie tylko kosmyk włosów pańskiej żony, ale również przekazał... to znaczy... powiedział, że był przy tym, jak Estevanía opuszczała ten świat z powodu epidemii... i wtedy... wtedy wszyscy się dziwili, że leży na brzuchu zamiast na wznak. Okazało się, że na plecach ma jakąś narośl. Myślano, że to z choroby, ale potem, jak poszli ją obejrzyć, zobaczyli, że coś wyrosło jej na łopatkach. To tak jak u dzieci, kiedy pękają dziąsła i wychodzą zęby — wyjaśniła Mayo. — U pańskiej żony pojawiły się skrzydełka... małe, ale prawdziwe. Inkwizytorzy orzekli (a jak wiadomo, oni na tym się znają), że Estevanía zaczęła przemieniać się w anioła, jeszcze zanim opuściła ten świat.

To oznacza, że oskarżono ją niesłusznie. Zaraz po śmierci poszła prościutko do nieba, ponieważ była dobra i niewinna.

Bardzo dobra, tak wszyscy stwierdzili. — Mayo pokazała mu ułożone w wachlarz pióra. — Woźnica dał mi te pióra, które wyjął z jej skrzydeł, i od niego to wszystko wiem.

Juanes patrzył na pióra z niezwykłym wzruszeniem.

— Wiedziałem... a teraz mam ostateczny dowód, że moja Estevanía była niewinna.

— Niech pan stara się być dobrym człowiekiem — zaleciła mu Mayo z zadowolonym uśmiechem — bo z pewnością żona czeka na pana w niebie.

Dziewczyna odwróciła się i poszła przed siebie z Beltránem u boku, szczęśliwa jak nigdy przedtem. Uznała, że kłamstwo, do którego nigdy przed nikim się nie przyzna, nie jest znów takim wielkim grzechem, jako że pióra pochodzą z plebanii i można by w tej sytuacji uzyskać odpust częściowy. Szybko pozbyła się skrupułów i postanowiła więcej do tego nie wracać. Dość miała kłopotów, aby jeszcze zadręczać się niewinnym kłamstwem. Chciałaby jednak wiedzieć, czy sama pójdzie do raju i od kogo to zależy: od bogini Mari, od Boga chrześcijan czy od planów jej ojca. Miała pewność, że nie zrobiła nic złego, bo gdyby zrobiła, to nie czułaby się teraz tak doskonale pogodzona ze sobą i z całym światem. Oddychała tak samo jak Beltrán w wahadłowym rytmie gałęzi drzew. Wszystko było doskonale: pomarańczowy zachód słońca, słodki sosnowy zapach powietrza, miarowe fale szczęścia, które zalewały jej zmysły. Czowała wewnętrzny spokój. Nareszcie zrozumiała, co znaczą słowa Ederry, że dobre uczynki prędzej czy później do nas wracają, po drodze zaś ulegają rozmnożeniu i mają korzystny wpływ na wszystkich, którzy są w pobliżu. Poczwała, że porządek świata nie jest taki skomplikowany, gdyż jedna i ta sama rzecz raz bywa zgubnym ciosem, a innym razem — otwiera drzwi nadziei. Z radości ucałowała Beltrána w wielkie uszy i rozpoczęła wokół

niego szalony taniec, relacjonując wizytę u proboszcza. Powiedziała mu również, że muszą zrobić jak najwięcej dobrego dla innych, to wtedy Ederra szybko do nich wróci, bo takie jest prawo równowagi. Dołożą wszelkich starań.

— Ale wiesz co, Beltránie? Wcale nie musimy zostawiać wszystkiego w rękach losu. Nie zaszkodzi trochę pokierować losem, żeby nie błądził po manowcach.

XVI

*O tym, jak zidentyfikować
czarownika po znaku
pozostawionym przez diabła
na jego ciele*

Salazar wciąż się zastanawiał, jak tamtych czworo weszło w posiadanie torby myśliwskiej i papierów Iñiga, planu wizytacji, map, delikatnej chusteczki z wyhaftowanym M i tajemniczej szklanej fiolki z ciemnym proszkiem. Był wstrząśnięty tym odkryciem. Dopadła go dokuczliwa niepewność. Bał się nawet pomyśleć, że to M może mieć coś wspólnego z imieniem królowej, bo to by znaczyło, że ktoś jej zabrał tę chusteczkę dla celów rytualnych czarnej magii, ktoś chce jej zaszkodzić, a on Salazar jest z dala od dworu i nie może jej bronić. Czuł się bezradny. Choć dużo nad tym rozmyślał, nie widział żadnego sensu w następujących po sobie wydarzeniach.

Doszedł do wniosku, że jest śledzony. Musi więc działać inteligentnie i wykorzystać wszelkie dostępne środki, żeby odgadnąć, kto i dlaczego go śledzi. Nie ulegało wątpliwości, że notatki

zrobiono, na kartkach papieru, który należał do dworu lub do Świętego Oficjum, i to zawężyło pole poszukiwań. Pogrzebał w pamięci: za swych największych przeciwników uważał ostatnio swych kolegów z Logroño — Vallego i Becerrę. Ci dwaj z niechęcią przyjęli decyzję inkwizytora generalnego o powołaniu Salazara na wykonawcę edyktu łaski w prowincjach północnych. Obaj mieli dostęp do papieru w tym kolorze i różnili się z Salazarem w ocenie metod działania inkwizycji. Ale powinien też wziąć pod uwagę podejrzenia królowej wobec księcia Lermy i jego sekretarza Rodriga Calderona. Mieli nad nią kontrolę i niewykluczone, że czytali jej korespondencję. Mogli zorientować się, że łączy ją z Salazarem przyjaźń i postanowili wykorzystać to przeciw królowej. Wiedział, że zabawiali się magią. Powinien być bardziej uważny.

Salazar znów stał się podejrzliwy. Marszczył surowo czoło i spoglądał nieufnie jak w pierwszych dniach wizytacji. Opracował nowy plan podróży, którego z nikim nie skonsultował. Patrzył spod oka na każdego, kto pytał o najbliższe miejsce postoju. Największą jego wadą była pycha i choć zazwyczaj starał się ją pohamować, teraz utwierdził się w przekonaniu, że nikomu nie należy ufać, tylko sobie, bo w tym kraju intrygantów każdy może mu wymierzyć cios w plecy nie wiadomo kiedy. Z sympatią odnosił się tylko do brata Dominga de Sardo i nowicjusza Iñiga de Maestu. Przy nich czuł się bezpiecznie i mógł pozwolić sobie na swobodę. W takich chwilach patrzył na siebie z mniejszą niechęcią niż zwykle i odczuwał niemal ojcowską dumę, że umiał nawiązać z chłopcami dobry kontakt.

Brat Domingo przeszedł przez różne etapy, odkąd się poznali.

Na początku był zdezorientowany i oszołomiony w obecności inkwizytora. Nie potrafił spojrzeć mu w oczy, ale go podziwiał, w lot spełniał najdrobniejsze polecenia i wsłuchiwał się w jego słowa z taką atencją, jakby każde zawierało filozoficzną maksymę. Starał się nie uронić, nawet wtedy gdy inkwizytor mówił o pogodzie. W dniu, kiedy musiał uczestniczyć w sekcji zwłok Juany de Sauri, zmienił się jego stosunek do Salazara. Wciąż nie potrafił spojrzeć mu prosto w oczy, ale już nie z powodu zafascynowania, tylko z niechęci. Salazar szybko wyczuł w nim podejrzliwość, lecz nie umiał temu zaradzić. Kiedy pytał Dominga, co mu jest, ten spuszczał głowę i mruczał, że wszystko w porządku. Inkwizytor zostawił go więc w spokoju z nadzieją, że wszystko zmieni się na lepsze, kiedy chłopak nabierze większego doświadczenia i otworzy szerzej oczy na rzeczywistość, a nie tylko na pozory. Ostatnio właśnie zauważył, że Domingo wyzbywa się uprzedzeń, które przejął dwa lata temu od Vallego, i zaczyna kierować się własnym rozumem, bez przesądów. Złagodził ton swych kazań wygłaszanych z ambo-ny, przestał straszyć ludzi ogniem piekielnym i czarownicami, które porywają dzieci, bo to wywoływało histerię kobiet i nocne koszmary malców. Salazar cieszył się z tego drobnego zwycięstwa. Patrzył na Dominga jak mistrz na swoje dzieło.

Z Iñigem łączyło Salazara zupełnie inne uczucie. Ten chłopiec akceptował go od początku. Nigdy nie okazywał przed nim lęku, mówił normalnym tonem, nie ścisząc głosu i zawsze patrzył prosto w oczy, co Salazar odbierał jako znak szczerości i zaufania. Kiedy Iñigo był w pobliżu, inkwizytor łagodniał, tracił swą zwykłą

surowość i wyniosłość, zaczynał nawet żartować. Widać było, że ma do nowicjusza słabość. Zdradzały to drobne szczegóły: rzadko go karał, słuchał uważnie i miło się uśmiechał, nawet wtedy gdy Iñigo gadał głupstwa, dając upust swej marzycielskiej naturze. Salazar nigdy dotąd nie potrzebował czyjegoś uczucia, ale z przyjemnością myślał, że ten chłopak go lubi.

Mimo wszystko inkwizytor miał się na baczności. Nie odsłaniał przed nikim swych prawdziwych myśli i uważał, by nie zrobić lub nie powiedzieć czegoś, co zdradziłoby jego brak wiary w Boga. Bał się, że zarazi Iñiga lub Dominga swoim rozumowaniem. Pragnął ich chronić, by jak najdłużej zachowali niewinność biorącą się z niewiedzy. Sam już nie pamiętał tych czasów, kiedy był taki jak oni. W dzieciństwie i we wczesnej młodości czuł wielki spokój, a Bóg jawił mu się jako ogromna dłoń osłaniająca przed burzą i klęskami: W jakim momencie przestał tak czuć? Może wtedy, gdy uzmysłowił sobie, że palce tej ręki są za małe, aby ogarnąć cały świat. Świadomość, że był uprzywilejowany, zrodziła w nim poczucie winy. Dlaczego ja, a inni nie? Próbował odgadnąć przyczyny, dla których ta ogromna ojcowska dłoń nie traktuje wszystkich swoich dzieci jednakowo. Ale ich nie znalazł. Wywnioskował zatem, że ta ręka nie istnieje, Ojciec nie istnieje. Wszystko, co wydarza się w świecie, jest wielką niewiadomą, i to go zabiło. Po co ujawniać takie myśli? Ludzie koniecznie powinni w coś wierzyć, w cokolwiek, byle nie popaść w straszliwy ból beznadziei, który był jego udziałem. Dlatego nie chciał odsłonić przed nikim swoich myśli. Przecież nie skaże wychowanków na życie w niepewności.

Wczesnym wieczorem piskliwy głos herolda obwieścił na

ulicach Escorialu, że królowa Małgorzata powiła infanta, któremu nadano imię Alfonso.

— Piękne imię — powiedział brat Domingo — takie dźwięczne i dystyngowane.

Po raz pierwszy od wielu dni na twarzy Salazara zawitał nikły uśmiech szczęścia.

Niedługo potem nikt już nie pamiętał, jak miał naprawdę na imię nowo narodzony infanta, a okoliczności towarzyszące jego narodzinom sprawiły, że przeszedł do historii jako *El Caro* * i tak go wszyscy nazywali.

* El Caro (hiszp.) — drogi (w znaczeniu najdroższy).

XXX

Wiał ciepły, lipcowy wiatr, kiedy Pedro Ruiz de Eguino przybył do Urdax, aby skompletować kontyngent czarowników, który w tym tygodniu miał dostarczyć do Logroño. Słyszał bowiem, że jakaś podejrzana dziewczyna chodzi po okolicy, a od proboszcza dowiedział się ponadto, że ma ona osła i prawdopodobnie szykuje jakieś czary, ponieważ ukradła pióra ptakom z jego kurnika.

— To ci dopiero! Nie chcę cię martwić, bracie, ale czary z piórami są bardzo groźne — ubolewał Pedro Ruiz de Eguino pod uważnym spojrzeniem panny Morguy, która przezornie potakiwała.

— Niech Bóg ma nas w swej opiece! — szepnął proboszcz.

— Pomogę wam razem z Bogiem, nie martw się, bracie — uspokoił go łowca czarowników. — Którędy poszło to straszdyło?

Proboszcz pokazał na wzgórze i Pedro Ruiz de Eguino skierował tam czym prędzej swą trzeszczącą dwukółkę. Zatrzymywał się na każdym zakręcie, zaglądał do jaskiń, nad rzekę i na leśną polanę, ale nikogo nie znalazł. Pomyślał, że czarownica mu się wymknęła, i zaklął w poczuciu porażki. Nie chciał tracić dobrej opinii. Dostarczył już trybunałowi w Logroño dwa wozy pełne czarowników, co bardzo ucieszyło inkwizytorów Vallego i Becerrę. Jeszcze trochę, a wkrótce zostanie komisarzem inkwizycji. Pedro stał na szczycie wzgórza i patrzył na osadę. Z tej wysokości ludzie na ulicach wyglądali jak stado pijanych komarów, gdy tak biegali w jedną i w drugą stronę. Był dzień targowy i niewykłuczone, że właśnie tam poszła czarownica.

— Schodzimy do wioski i rozdzielamy się — powiedział do milczącej Morguy. — Musimy ją złapać.

XXX

Mayo planowała wyruszyć jeszcze tego dnia do Elizondo, gdzie przebywała już ekipa Salazara, ale gdy dowiedziała się, że w Urdax jest jarmark, postanowiła zostać trochę dłużej. Rzadko, ale od czasu do czasu lubiła przebywać wśród ludzi, ocierać się o ich ciała takie same jak jej ciało, wdychać zapach łachmanów zmieszany z potem. Mężczyźni pachnieli inaczej niż kobiety, a także inaczej niż zwierzęta. Mayo nieraz lubiła sprawdzać, czy nie odstaje od tłumu, czy jest taka sama jak inni, i wykorzystywała tę szansę, jaką stwarzały dni targowe.

Jarmark odbywał się na głównych ulicach osady, wypełniając je gwarem, okrzykami kupców i pośpiechem. Pełno tu było sprzedawców kur, jaj i kurdybanów, wikliniarzy i koronkarek, które

dziergały cudeńka na oczach zachwyconej gawiedzi. W ciągnących się aż po horyzont straganach poustawiano w kolumnach złote bochny chleba, dzbany pszczelego miodu i sery takiej wielkości, że można by urządzić wyścigi na ulicach, popychając je kijkami. W zgiełku niezrozumiałych głosów przebijano się cenami i jakością, dokonywano skomplikowanych wyliczeń, a liczby rosły i malały. Kupujący targowali się wytrwale, a gdy sprzedawca zauważył ich zainteresowanie, szybko podnosił cenę towaru, żeby jeszcze szybciej obniżyć i w ten sposób dobijano targu wśród poklepywania się po plecach i uśmiechów. Ludzie przepychali się, tratując słabszych i zagubionych. Woń końskiego łajna wsiąkała w mury, jakby miała pozostać tu na zawsze.

Mayo posuwała się powoli wśród ciżby stłoczonej na ulicach Urdax. Wyobrażała sobie, że należy do normalnej rodziny, która wysłała japo chleb, ser i miód. A po powrocie do domu zasiądzie do wspólnej wieszery wokół paleniska. Rzucając ukradkowe spojrzenia na przechodniów, sprawdzała, czy na nią patrzą, czy nie dziwi ich obecność takiego dziwoląga jak ona, ale zdaje się, że nikt nie dostrzegł w niej córki diabła. Zamknęła oczy i głęboko wciągnęła w nozdrza ten ludzki zapach, który czasem — gdy stał się zbyt intensywny — napełniał ją wielkim niepokojem. Tak było podczas autodafé w Logroño, kiedy szukała jakiegokolwiek śladu Ederry. Będąc małego wzrostu, utonąła w tłumie, widziała przed sobą tylko plecy i piersi, których było coraz więcej i więcej, gdyż ze strachu i z wrażenia wszystko dwoiło się jej w oczach i rozplątywało w bure plamy kołyszące nią z boku na bok do utraty tchu. Zadrżało jej serce na wspomnienie tego autodafé.

Przypomniła sobie swój niepokój, strach i rozczarowanie. Cały ten ból spowodowany przez takich samych ludzi jak ci, którzy teraz potrącali ją na ulicy, a ich dotyk sprawiał jej przykrość. Patrzyli na nią... tak, przyglądali się jej ze śmiechem. Śmieli się tak głośno, że musiała zatkać uszy palcami. Usiłowała wydostać się stąd, wymachując gwałtownie ramionami, jakby płynęła pod prąd. Przedzierała się między czyimiś nogami, uciekając od obcych bioder, brzuchów, łokci i kolan, stóp i rąk... Umierała z przerażenia, dopóki nie znalazła cichego, ciemnego zaułka, w którym wcześniej pozostawiła Beltrána. Mayo uklękła przy nim, przyciskając ręce do brzucha, bo z tych nerwów dostała silnego klucia. Próbowwała oddychać równomiernie, żeby zapobiec nowemu atakowi astmy. I wtedy poczuła, że ktoś ją obserwuje. Powoli podniosła wzrok i zobaczyła stojącą obok dziewczynę.

XXX

Grupa łowców czarowników z Pedrem Ruizem de Eguino na czele rozdzieliła się przed wejściem do Urdax. Wszyscy otrzymali instrukcje, żeby natychmiast powiadomić pozostałych, jeśli ktoś trafi na dziewczynę z diabelskim osłem. Kiedy Morguy zobaczyła Beltrána w ciemnym, pustym zaułku, coś ją tknęło i postanowiła sprawdzić, kto po niego przyjdzie.

Morguy nosiła długą brązową spódnicę do kostek i obcisły kaftan. Miała włosy upięte na karku i brązowe błyszczące oczy, które patrzyły na Mayo z mieszaniną ciekawości, satysfakcji i nienawiści. Mayo wyczuła złość bijącą od dziewczyny, dostrzegła zaciśnięte pięści i zęby.

— Czarownica! — krzyknęła Morguy piskliwym głosem. — Służebnica diabła! Ze mną nie pójdzie ci tak łatwo, więdźmo przekłęta!

Zamachnęła się nogą, żeby ją kopnąć, ale wzniosła jedynie taki tuman kurzu, że przez chwilę Mayo nic nie widziała, mając oczy pełne piasku.

— Tu jest, panie Eguino! — krzyknęła Morguy. — Pomocy!

Długo potem Mayo zastanawiała się, skąd wzięła tyle siły, żeby rzucić się na dziewczynę i zatkać jej usta. Chciała ją tylko uciszyć, bo zrobi się zamieszanie. Tymczasem pchnęła tak silnie, że Morguy upadła na plecy, pociągając za sobą Mayo, która trzymała ją za szyję, próbując uciszyć jej wrzaski.

— Skąd wiesz, że jestem czarownicą? — zaciekała się Mayo.

— Bo w lewym oku masz znamię diabła — odparła dziewczyna z wysiłkiem.

Przez dłuższą chwilę przyglądały się sobie, nic nie mówiąc. Były bardzo blisko, twarzą w twarz. Mayo czuła pod sobą szybkie bicie jej serca i napięcie mięśni, a na policzkach — oddech dziewczyny. Pomyślała, że są chyba w tym samym wieku, choć tamta miała na twarzy wyraz powagi i mądrości osoby o dwadzieścia lat starszej. W pewnym momencie Morguy przestała się szamotać, jakby zrezygnowała z oporu.

— Od dawna walczę z takimi jak ty — powiedziała. — Już niedługo mój szef Pierre de Lancre zlikwiduje was wszystkich... służy diabła!

Zebrała siły i plunęła jej w twarz z pogardą.

— Ale powiedz, skąd wiesz, że jestem czarownicą?

— Jestem Morguy — oświadczyła tamta — specjalistka od *stigma diaboli*. Myślisz, że mnie oszukasz, udając niewiniątko? Jesteś inna i wiesz o tym. Czym się zajmujesz, więdźmo? Czarami, miksturami, zamawianiem chorób? Kim są twoi rodzice? Gdzie mieszkasz? Przyjrzyj się sobie — roześmiała się drwiąco. — Masz znamię w lewym oku... malutkie znamię, ale ja je widzę. To plamka w kształcie ropuchy typowa dla takich jak ty. Rzucasz uroki, sprowadzasz burze, ściągasz na ludzi różne nieszczęścia. Z tego żyjesz! Szef mnie ostrzegał. Mówił, żebym uważała na ciebie, bo prędzej czy później przyjdiesz się zemścić. Każesz zapłacić mi za to, że donoszę na twoje towarzyszki. — Zaskoczona Mayo zwolniła ucisk, a Morguy znów podniosła głos: — Nie zmusisz mnie do milczenia! Wiem, że próbujesz przedostać się do Francji, ale to ci się nie uda, ty więdźmo!

Wykorzystując chwilowe osłupienie Mayo, Morguy odepchnęła ją i znalazła się na wierzchu. Zamieniły się rolami. Teraz ona spadła na Mayo całym ciężarem ciała, złapała ją za gardło i przycisnęła kciukiem krtań. Krew uderzyła Mayo do głowy. Nie mogła przełknąć śliny ani odetchnąć. Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Była pewna, że zaraz umrze.

Resztką sił zaczęła się bronić, machając nogami i waląc nimi o ziemię, próbowała opleść je wokół nóg napastniczki, wreszcie zaczęła kolanem i potoczyły się razem po błocie, rozpryskując je dookoła. Umazały sobie włosy i ubranie brązową miazgą. Ale Mayo wciąż nie mogła wydostać się ze szponów tej dziewczyny. Jakimś trafem udało jej się uwolnić jedną rękę i złapała tamtą za brodę. Poczowała, że ucisk na krtani zelżał. Teraz mogła podnieść

obie ręce i dosięgnąć palcami jej oczu. Przyciskała ze wszystkich sił, na jakie było ją stać w tym momencie, dopóki nie usłyszała rozzwierającego krzyku swej przeciwniczki. Morguy odsunęła się i puściła wreszcie jej szyję. Młoda łowczym czarownic zerwała się na równe nogi, osłaniając ramieniem oczy.

— Przeklęta wiedźmo! — krzyczała oślepiąca. — Przeklęta, przeklęta, przeklęta...

Po omacku odszukała Mayo na ziemi, a kiedy ją wymacała, kopnęła mocno w żebra. Pobiegła z krzykiem w górę uliczki, wołając Pedra Ruiza i wzywając ratunku.

Mayo leżała w błocie, dysząc jak ryba bez wody, pokasływała i wiała się wstrząsana konwulsjami. Czuła, że lada moment dostanie ataku astmy, więc oparła się na rękach i nogach i wygięła grzbiet, usiłując dostosować swój oddech do rytmu pracy serca, tak jak uczyła ją Ederra. Przez chwilę kiwała się na czworakach, lecz kiedy tylko poczuła trochę powietrza w płucach, poderwała się, żeby jak najszybciej stamtąd odejść. Wsiadła na Beltrána, przynaglając go do pośpiechu i wciąż łapiąc powietrze małymi łykami jak kobieta w połogu. Pierwszy raz śmierć zajrzała jej w oczy, i to było straszne. Tak łatwo stracić życie, cud, że z tego wyszła. Przed oczami stanęła jej cała przeszłość, a przecież ma jeszcze tyle do zrobienia. Musi znaleźć Gracie w Rentería, odszukać Ederre, odczarować wreszcie Beltrána... najwięcej jednak chęci do życia dodała jej nadzieja spędzenia jeszcze jednej nocy z młodym pomocnikiem Salazara. Sama się temu dziwiła.

Beltrán zdobył się na maksymalny wysiłek. Uchodzili z Urdax jak wiatr w duszne, upalne popołudnie. Mayo przypomniała sobie

nagle słowa tej dziewczyny. Morguy nazwała ją czarownicą i powiedziała, że ma jakieś znamię w oku. Ederra nigdy nie wspominała o znakach w oczach czarownic. Dotychczas Mayo żyła sekretną nadzieją, że to nieprawda, iż jest córką diabła, matce się pomyliło, kiedy tak mówiła. Przecież nie wykonała pomyślnie żadnego zaklęcia. Tymczasem Morguy rozpoznała w niej czarownicę na pierwszy rzut oka.

A jeśli Morguy ma rację? Może Mayo rzeczywiście jest czarownicą?

XVII

*O tym, jak zadbać o włosy, żeby się
błyszczały, jak przygotować pastę
wybielającą zęby i jak sporządzić
amulet przyciągający miłość*

Zgodnie z nową strategią zmieniania trasy podróży Salazar przyspieszył wyjazd do Fuenterrabia. Wysłał przodem posłańca, żeby powiadomić rajców o rychłym przybyciu świty, a pod wieczór, nie wdając się w wyjaśnienia, poinformował swych pomocników, że nazajutrz rano wyruszą w dalszą drogę. Na zakończenie pobytu w Elizondo wygłosił nadętą mowę pożegnalną i, wsiadając do powozu, udzielił mieszkańcom błogosławieństwa. Jego dłoń długo i leniwie powiewała w oknie z rozsuniętymi zasłonkami.

Przybyli do Fuenterrabia tuż po południu, witani z pompą pośród bicia dzwonów, stukotu końskich kopyt i powozów, odgłosów rozładowywania kufrów, szelestu sutann, gwaru oficjalnych prezentacji i słów pozdrowienia pod adresem miejscowych władz. Wszystko było przygotowane do odczytania edyktu łaski podczas

sumy o godzinie pierwszej. Kościół był wypełniony po brzegi. Ludzie czekali na ten moment przez sześć miesięcy i nikt nie mógł sobie pozwolić na luksus nieobecności, jeśli nie chciał znaleźć się na liście podejrzanych o czary. Kazanie miał brat Domingo. Przedstawił reguły przesłuchania, wyjaśnił wątpliwości i pożegnał wiernych do następnego dnia. Otwarto ciężkie kościelne wrota i tłum powoli zaczął wylewać się na zewnątrz. Ludzie ociągali się z wyjściem, jakby mieli niedosyt uroczystości. Niektórzy modlili się na klęczkach z zamkniętymi oczami. Grupa pobożnych kobiet zapalała świece przed świętym Antonim, kilku mężczyzn podszło do ołtarza, żeby pogratulować kazania Domingowi.

Właśnie w tym momencie Salazar poczuł, że ktoś go obserwuje. Odwrócił z lękiem głowę, przysmykając oczy, gdyż sylwetki pozostałych w kościele ludzi traciły ostrość w migotliwym blasku świec i zamieniały się w fantasmagoryczne cienie. Przyglądał się każdej niszy i każdej kolumnie, aż wreszcie dojrzał tę postać w drugim końcu nawy na tyle daleko, że wydawała się nie mieć twarzy. Przez otwarte drzwi kościoła wtargnął lekki powiew sierpniowej bryzy, która zakołysała płomieniami świec. Siwy dym owionął dziwną postać, nadając jej cechy nierealności. Dreszcz przeszedł Salazarowi po plecach. Ten cień był całkowicie statyczny, a przez to robił większe wrażenie niż inne cienie poruszające się w różne strony. Postać w ciemnym ubraniu. Gdyby odziana była inaczej niż na czarno, szaro czy brązowo, Salazar łatwiej wyróżniłby ją w półmroku, a tak widział tylko niewyraźny zarys w nikłym świetle witraży. Obserwowali się nawzajem w milczeniu prawie przez minutę, pośród cichych szeptów ludzi opuszczających kościół, aż

inkwizytor postanowił przerwać dręczącą niepewność i ruszył w kierunku wyjścia. Szedł, omijając ławki, zatrzymując się niechętnie przy parafianach, którzy pragnęli ucałować jego dłoń. Wysilał wzrok, żeby nie stracić z pola widzenia tajemniczej sylwetki zasłanianej co chwila czyimiś plecami, głową i ramionami. Przez moment wydawało mu się, że zbliżają się do siebie nawzajem, ale to było tylko złudzenie optyczne i zanim zdał sobie z tego sprawę, ten ktoś wykonał półobrót. Zobaczył go z profilu; przygarbione plecy, powolny, ciężki krok osoby powłóczącej nogami. Już w progu, gdzie było trochę więcej światła, cień się odwrócił, żeby spojrzeć za siebie. Salazar dostrzegł (a przynajmniej tak mu się zdawało) kilka rudawych włosów na łysej głowie i błyszczące oczka gryzonia. Zdjęty nagłym strachem przystanął w pół drogi, jakby nie miał siły dalej iść, a wtedy postać zniknęła. Inkwizytor natychmiast odzyskał werwę i w kilku susach dopadł wyjścia, opędzając się od wiernych usiłujących przytrzymać go za rękę. Wyszedł z kościoła najszybciej jak mógł. Zbiegł po schodach odprowadzany zaciekawionymi spojrzeniami kaleki, który pod drzwiami żebrał o jałmużnę, i miejscowych dewotek, które wymieniały się uwagami na temat zbawiennych skutków relikwii świętej Genowefy. Salazar rozejrzał się na wszystkie strony, doszedł do skrzyżowania ulic, żeby sprawdzić, czy dziwny osobnik nie skręcił w którąś z nich, ale go nie zobaczył. Spytał przechodniów kręcących się przed kościołem... nikt go nie widział. Tajemnicza postać rozplynęła się w powietrzu bez śladu.

xxx

Przy kolacji Salazar opowiedział pomocnikom, że inkwizytor generalny przesłał mu listę z nazwiskami czarowników, którzy uciekli przed francuskimi prześladowaniami i schronili się na terytorium hiszpańskim.

— Musimy ich złapać — odezwał się brat Domingo. — Nie możemy pozwolić, żeby rozpanoszyli się u nas. — Spojrzał na Salazara pytającym wzrokiem. — Prawda?

— To oczywiste, że musimy złapać uciekinierów, wcale nie musimy oddawać ich władzom francuskim, kiedy już będą w naszych rękach.

— Odeślemy ich przed trybunał w Logroño? — zapytał Iñigo.

Salazar nie odpowiedział od razu. Długo się nad tym zastanawiał i doszedł do wniosku, że nie ufa już swoim kolegom Vallemu i Becerze.

— Nie. Nie odeślemy ich do Logroño — stwierdził. — Żaden z warunków edyktu łaski nie stanowi, że aby zeń skorzystać, trzeba być urodzonym w Hiszpanii. Mam rację? — zapytał retorycznie Salazar. — Postaram się ich znaleźć, przesłuchać i dać im szansę na ulaskawienie.

Kiedy zapadła noc i Salazar został sam, doznał uczucia pustki i zawodu. Kilkakrotnie zadał sobie pytanie, czego tak naprawdę tu szuka. Postanowił wyjść na spacer. Ulice były puste, skąpane w świetle ogromnego pomarańczowego księżyca, który nadawał snom ton bursztynowy. Kroczył przed siebie bez określonego celu, nie widząc, że ktoś stoi w przeciwległej bramie. Ciężko czekał parę sekund i kiedy inkwizytor oddalił się na tyle, żeby nie słyszeć cudzych kroków, podążył za nim.

Zdesperowany Salazar minął willę i szedł dalej pograżony w ponurych myślach. Przystawał koło domów, skąd dobiegały

przytłumione odgłosy czyjejś obecności, słuchał szczekania psa, wdychał dym z komina, zapach jadal, ciepło życia rodzinnego. Pomyślał o królowej Małgorzacie, która z pewnością teraz kołysze do snu maleńkie dziecko i przypomniał sobie obraz Gerarda Davida *Dziewica przy stole z zupą*. Stłumił westchnienie w głębi gardła. Gdyby przynajmniej znalazł diabła, nie czułby się taki niegodny, kiedy myślał o niej.

— Ja też nie mogłem zasnąć. — Zachrypnięty głos odezwał się w ciemnościach. — Mam nadzieję, że nie przestraszyłem.

Salazar wzdrygnął się nerwowo, bo nie spodziewał się zastać kogokolwiek o tej porze nocy na ulicy. Wyteżył wzrok, ale księżyc schował się właśnie za drzewami i zdołał zobaczyć tylko pół twarzy z małymi, błyszczącymi oczkami jak u szczura. Te oczy...

— Kto mówi? — spytał ze ściśniętym sercem.

— Widzę, że was wystraszyłem — rzekł tajemniczy osobnik, podchodząc bliżej.

Salazarowi błysnęła nagła myśl, że jego błagania zostały wysłuchane i oto zjawia się diabeł we własnej osobie, aby potargować się o jego grzeszną duszę. Zląkł się, a kiedy uzmysłowił sobie, że ten rodzaj lęku jest czymś pokrzepiającym i życiodajnym, przestraszył się jeszcze bardziej. Tymczasem światło padło wyraźniej na tajemniczą sylwetkę i Salazar zorientował się, że ma do czynienia ze starcem, który ledwo odstawał od ziemi, był łysy, przygarbiony i bezzębny. Nosił koloratkę i brązową sutannę, która z trudem dopinała mu się na piersi. Przez wytarty na łokciach materiał prześwitywało białe, kościste ramię. Niewątpliwie był to ksiądz.

— Poznaję cię — szepnął Salazar. — Widziałem cię dziś po południu... przy wyjściu z kościoła.

— Tak, byłem w kościele, ale nie odważyłem się podejść. Dobry wieczór — przywitał się starzec. — Nazywam się Diego de Basurto. Kilka dni temu zetknąłem się z waszymi kolegami w Logroño — dodał.

Inkwizytor od razu sobie przypomniał. Valle i Becerra wymienili to nazwisko parę razy w liście o czarownikach zatrzymanych przez Pedra Ruiza de Eguino. Podkreślali, że jest to ktoś wyjątkowo niebezpieczny, lubieżny i zdegenerowany do tego stopnia, że postanowili wystąpić do Supremy o pozbawienie go godności kapłańskiej z pominięciem reguł edyktu. Rada nie uwzględniła tej prośby, powołując się na zasady: nie będzie represji wobec tych, którzy się przyznają.

— Diego de Basurto — wyszeptał Salazar — miałem zamiar cię odwiedzić.

Obejrzał go od stóp do głów. Duchowny był wątłej budowy, trząsł się i nie wyglądał niebezpiecznie. Inkwizytor podał mu ramię, żeby się przytrzymał.

— Chodź ze mną — powiedział. — Pójdziemy do rezydencji. Tam porozmawiamy spokojnie.

Droga zajęła im sporo czasu, ponieważ Diego de Basurto poruszał się powoli, a przy każdym kroku świstało mu w piersiach i trzeszczały kości. Inkwizytor miał wrażenie, że prowadzi kukielkę ze szkła, która w chwili nieuwagi może mu upaść i roztrzaskać się na tysiąc kawałków. Usiedli w salce niedaleko wejścia, Salazar przyniósł dwie lampki słodkiego wina. Zaczekał z pytaniami, aż starzec przełknie pierwszy łyk.

— Co cię tu do mnie sprowadza?

Diego de Basurto przymknął wysuszone powieki bez rzęs, za-trzęsła mu się broda.

— Spieszyłem się i widzę, że zdążyłem przed wiadomościami. — Odchrząknął, spojrzął w okno i dodał: — Uciekłem z siedziby in-kwizycji w trakcie przesłuchania.

— Co takiego!?

— Wiem, wiem... Nie powinienem tego robić, ale się przestra-szyłem.

— Wyjaśnij mi to z łaski swojej.

— Już wyjaśniam... Ktoś, komu ufałem, kogo miałem za przyja-ciela... okazał się donosicielem.

— Nadal nic nie rozumiem.

— Pedro Ruiz de Eguino — powiedział starzec i pociągnął nowy łyk wina.

— Pedro Ruiz de Eguino? — wykrzyknął Salazar. — Jesteście przyjaciółmi? Raporty nic o tym nie mówią, a księdz przedstawiają jako zatwardziałego grzesznika, który przypadkiem wpadł w ręce łowcy czarowników.

— Wasza Wielbność, prawda jest taka, że nie mam i nigdy nie miałem nic wspólnego z sektą demona.

Stary ksiądz opowiedział Salazarowi, że znał Pedra Ruiza od dawna, bo był proboszczem w parafii, do której należała osada Eguino. Codziennie odprawiał tam mszę świętą. Pewnego dnia w rozmowie księży pojawił się temat czarownic i obaj żartowali do czasu, gdy Pedro Ruiz zaczął mówić o czarach, paktach z demonem i podkreślał, że proboszcz świetnie się na tym zna. Wciąż się przy tym uśmiechał.

— W pewnym momencie posunął się za daleko — rzekł Basurto, spuszczać wzrok. — Oświadczył, że moje znamię na lewej skroni jest oznaką przynależności do diabła. Odpowiedziałem,

że to ślad po upadku w dzieciństwie, ale mi nie uwierzył... I wtedy popełniłem błąd...

— Jaki błąd?

— Powiedziałem, że jestem takim samym czarownikiem jak on. Od tej pory nie pominął żadnej okazji, żeby żartować na ten temat. Miałem już tego dość i powiedziałem, że jedna czarownica w mojej rodzinnej wiosce chciała mnie namaścić po urodzeniu, ale tego nie zrobiła.

Pedro Ruiz de Eguino nadal dręczył proboszcza swoimi dowcipami i pewnego dnia poprosił, żeby towarzyszył mu w podróży, więc Diego się zgodził, nie pytając nawet dokąd. Zabrał go do Logroño, ugościł w swoim domu, traktował wyśmienicie, karmił najwykwintniejszymi pokarmami, odstąpił najlepsze łóżko i poprosił, żeby Diego wyznał, że jest czarownikiem. Długo nalegał, a starzec wciąż odmawiał. Wreszcie łowca czarowników stracił cierpliwość i zagroził, że odda go w ręce inkwizycji i że zgnije w więzieniu, jeśli się nie przyzna. Kilka dni później zawiózł go wraz z dwiema kobietami, tak samo oszołomionymi jak on, do gmachu trybunału i zostawił do dyspozycji Vallego. Inkwizytor zaczął go oskarżać, aż starzec poczuł, że dłużej tego nie wytrzyma.

— Wtedy uciekłem.

— Jak to uciekłeś? Znam to miejsce... Stamtąd nie można uciec.

— Woźny sądowy wyprowadził mnie z sali przesłuchań, żebym zaczerpnął powietrza — ksiądz mówił bardzo powoli — usadził mnie na ławce na dziedzińcu i przykucnął obok, żeby mieć mnie na oku, a wtedy...

— Co wtedy? Co się stało?

— Uszczypnąłem go. Znam uszczypnięcie, od którego się zasypia.

Salazar patrzył zdumiony.

— Szczypanie, od którego się zasypia?

Inkwizytor pomyślał przez chwilę, że starzec jest szalony albo niebezpieczny, albo jedno i drugie naraz.

— Nauczyłem się tego w seminarium. To było wieki temu... Jest taki punkt na szyi, że jak się uszczypnie, to człowiek zapada w sen na jakieś dwadzieścia minut. Trzeba chwycić palcami w tym miejscu...

Wyciągnął rękę w kierunku inkwizytora na wysokości tętnicy szyjnej. Salazar odtrącił go nerwowo.

— Już dobrze. Nie trzeba mi demonstracji — powiedział lekko rozdrażniony. — A więc woźny zapadł w sen? — Starzec przytaknął. — Ale przy drzwiach wyjściowych zawsze stoi wartownik.

— Woźny sądowy narobił hałasu, bo we śnie upadł na ziemię. Pobiegłem ile sił w starych nogach i ukryłem się pod schodami. Wartownik mnie nie widział. Opuścił swoje stanowisko, żeby podnieść woźnego, a wtedy ja skorzystałem i uciekłem, bo drzwi były otwarte.

— Boże drogi — jęknął Salazar. — Teraz na pewno szukają księdza... Są przekonani, że...

— Wiem, wiem... Dlatego potrzebuję pomocy. Jest parę rzeczy w moim życiu, z których nie czuję się dumny. Ulegałem pokusom cielesnym, ale zapewniam, że w tym, co się o mnie mówi, więcej jest plotek niż prawdy. Jednak nigdy nie miałem nic wspólnego z diabelskimi sektami. Nie spodziewałem się, że przyjdzie mi odpokutować za moje grzechy na ziemi do ostatniej kropli krwi.

Myślałem, że moim sędzią będzie Pan Bóg w chwili śmierci. Błagam o wybaczenie.

— Niech się ksiądz nie martwi — uspokoił go Salazar. — Zajmę się tym. Jak się nazywały te dwie kobiety, które były razem z księdzem w gmachu trybunału w Logroño?

Następnego dnia rano Salazar rozpoczął swoje dochodzenie. Dowiedział się, że jedna z kobiet, które razem z Diegiem de Basurtem znalazły się w gmachu trybunału w Logroño, została oskarżona o to, że oddała demonowi trzy palce lewej stopy jako zapłatę za przyjęcie do sekty. Była to głucha staruszka, niespełna rozumu. W dzieciństwie koń nadepnął jej na nogę i tak straciła palce. Salazar postanowił przejrzeć wszystkie zeznania z podpisem kłeryka Pedra Ruiza de Eguino i odkrył, że w ciągu trzech miesięcy zmusił ponad pięćdziesiąt osób z okolic Logroño do przyznania się do czarów. Inkwizytorzy Valle i Becerra zgłosili do Supremy, żeby nagrodzić go za te zasługi stanowiskiem komisarza inkwizycji.

Wszystko to odnotował w swoim diariuszu i przy okazji opisał w liście do Bernarda de Sandovala, zaznaczając, że ów Pedro Ruiz de Eguino jest niebezpiecznym człowiekiem i nie zasługuje na żadne nagrody. Dodał, że jego zdaniem informacje o sekcje są czystym wymysłem i prędzej czy później udowodni to w obecności Pedra Ruiza de Eguino. Nie spocznie, dopóki się nie dowie, dlaczego ten człowiek wymusza na bezradnych starcach i kobietach przyznawanie się do czarów. Niewykluczone, że Pedro Ruiz ma coś wspólnego z czwórką rzekomych czarowników, którzy depczą Salazarowi po piętach. To by tłumaczyło, skąd wziął się perłowy papier na leśnej polanie. Ruiz całymi dniami przebywa w gmachu

inkwizycji i może mieć dostęp do takiego papieru. Na zakończenie Salazar zapewnił inkwizytora generalnego, że odkryje prawdę, tylko potrzebuje jeszcze trochę czasu.

W Fuenterrabia nie miał nic więcej do roboty oprócz przesłuchania uciekinierów z Francji. Jednym z nich był człowiek wysokiego rodu, który potajemnie przybył z La-purdi, żeby skorzystać z czasu łaski. Salazar potraktował Francuzów tak samo jak hiszpańskich czarowników. Ceremonia pojednania przebiegła bez zakłóceń i wszyscy byli zadowoleni z pobytu inkwizytora i jego świty.

Dwa dni później wszystko było gotowe do podróży, ale nikt nie wiedział, dokąd jada. Salazar przyjął zasadę, żeby w tych sprawach nie ufać nikomu.

xxx

Mayo zawsze myślała, że zabiegi upiększające to wielka strata czasu. Nie rozumiała kobiet, które chętnie nakładały sobie na głowę jajko z miodem, żeby mieć błyszczące włosy, lub co wieczór, jak niewolnice, smarowały zęby mieszanką z pięciu uncji alabastru, czterech uncji porcelany, sześciu uncji miążkiego cukru, jednej uncji białego koralu, jednej uncji cynamonu, pół uncji perły i pół uncji piżma, a następnie przepłukiwały usta ciepłym białym winem — wszystko po to, żeby wybielić zęby.

Nie widziała sensu w dbaniu o ładny wygląd. I tak nikt na nią nie zwracał uwagi. Zresztą uważała, że prawdziwe, rzeczywiste piękno uosabia tylko Ederra. Mężczyźni i kobiety obracali za nią oczy, kiedy przechodziła, bo była olśniewająco piękna. Miała naturalną, wrodzoną urodę, której nie zdobywa się maściami ani

okładami. Żadne jajka, miody, piżmo czy alabaster w postaci stałej, płynnej albo jeszcze innej nie dadzą kobiecie urody Ederry. Zresztą to nie jest konieczne do szczęśliwego życia, myślała kiedyś Mayo.

Ale odkąd spędziła noc w łóżku obok nowicjusza, zaczęła interesować się przepisami na piękność. Po raz pierwszy w życiu gorąco pragnęła, żeby ktoś na nią spojrzął, i dałaby wszystko, żeby ładnie wyglądać. Oglądała w strumyku swoje nagie ciało, robiła miny, w jednej i tej samej chwili śmiała się i smuciła, mówiła sama do siebie. Perfumowała się, setki razy szczotkowała włosy i myła zęby proszkiem wybielającym według przepisu Ederry. Zdawała sobie sprawę, że sprawcą całego zamieszania jest ów pomocnik Salazara. To z jego powodu miała serce wezbrane czułością. Łzy przyniosłyby jej w tym momencie melodramatyczną ulgę, ale nie potrafiła zapłakać. Brakowało mądrej Ederry, która jasno mogłaby wytłumaczyć, dlaczego tak słodko boli myśl o drugim człowieku, pragnienie, by umierać w jego oczach i odradzać się z każdym jego oddechem. A kiedy melancholia urastała do rozmiarów kataklizmu i Mayo nie była w stanie wziąć do ust kromki chleba, Beltrán przysuwał się bliżej, spoglądał łagodnie pięknymi ślepiami osła i trącał ją pyskiem na znak zbratania. Wtedy uzmysławiała sobie, że dalej tak żyć nie może — musi zdobyć się na wysiłek, żeby odnaleźć Ederrę i żeby było tak samo jak dawniej, chociaż czasem zastanawiała się, czy tamto spokojne życie to nie był tylko sen.

Dowiedziała się, że ekipa Salazara wyruszy nazajutrz rano, i z nerwów nie mogła w nocy spać. Tknięta niepokojem zerwała się przed świtem. Było tak wcześnie, że widziała, jak słońce przeganiania

gwiazdy i zmienia barwę nieba z granatowej na błękitną, a na szczytach gór wstaje dzień. Było parno, więc Mayo zdjęła ubranie. Została tylko w cienkiej, białej koszulce do pól uda i tak poszła nad rzekę.

Poranna rosa parowała w pierwszych promieniach słońca. Rześka wilgoć ziemi przywierała do stóp. Mayo czuła, jak delikatna mgielka przesuwa się między palcami, owija wokół kostek i sunie dalej aż do kolan. Miała pobudzone zmysły. Wilczym instynktem rozpoznawała złocistą woń wilgotnej ziemi i zapach martwych liści gnijących od tygodni. Z daleka dostrzegала ściekające po drzewach krople żywicy, które błyszcząły jak miodowe perły. Przestała zwracać uwagę na śpiew świerszczy, bo właśnie dał się słyszeć świergot ptaków. Widziała małe owady skaczące z liścia na liść. Odbierała wszystkie odgłosy zaspanej ziemi, która ziewała i przeciągała się jak leniwy olbrzym.

Dreszcz wstrząsnął jej kruchym ciałem wróbelka, kiedy weszła do zimnej wody. Dotknęła stopą gładkich kamieni leżących na dnie rzeki, porośniętych gęstą, aksamitną rzesą. Zrobiła parę kroków i poczuła, jak zimna linia wody powoli przesuwa się w górę, ogarnia najpierw łydki, potem uda, brzuch i piersi... Podniosła ramiona, pozwalając kołysać się falom. Była częścią przyrody, częścią wody, ziemi, powietrza, a także i Beltrána patrzącego na nią z brzegu, częścią Ederry i tych wszystkich osób, z którymi zetknęła się w jakimś momencie życia i których nigdy więcej nie spotka. Wszyscy są bowiem stworzeni z tej samej materii: wody, ziemi i powietrza, bo tylko to istnieje w świecie. Nawet nowicjusz, obiekt jej marzeń, był częścią tej materii i myśl o komunii ciała z ukochaną istotą napełniała ją tkliwym niepokojem, poruszała

zmysły. Wyszła z wody przekonana, że póki nie wykona amuletu miłosnego, nie minie jej ten ucisk w gardle.

Ederra świetnie знаła ten rytuał. Wolno go było odprawiać tylko wtedy, gdy akceptowało się z góry wszystkie możliwe efekty.

— To nie jest rytuał, który leczy — mówiła. — Wprost przeciwnie, może przynieść chorobę, bo uzależnia cudzą wolę.

Mayo kiwała głową, nie przywiązując wagi do tych słów, bo wtedy wystarczała jej do życia miłość Ederry i nie potrzebowała innego uczucia. Nie wiedziała, że są różne rodzaje miłości, że miłość może boleć i ten ból nie minie, dopóki uczucie nie zostanie odwzajemnione z równą siłą.

Kiedy jakaś zrozpaczona kobieta prosiła o amulet miłosny, żeby przyciągnąć do siebie uwielbianego mężczyznę, Ederra najpierw dokładnie analizowała sytuację. Sprawdzała, czy kobieta jest rzeczywiście zakochana, czy tylko oczarowana, jak to zwykle bywa w pierwszym okresie znajomości, bo takie zauroczenie szybko mija i nie ma nic wspólnego z prawdziwą miłością. Dowiadywała się, czy oboje są emocjonalnie wolni, aby nie dopuścić do sytuacji, że sąsiadka uwodzi szczęśliwego ojca rodziny, bo lek na taką miłość jest gorszy niż sama choroba. Mając całkowitą pewność, że amulet miłosny przyniesie obojgu szczęście, Ederra zabierała się do pracy.

Jest to rytuał o niezwykłej mocy. Sprawia, że człowiek przestaje być panem siebie, uzależnia się od osoby uwodzającej i nie potrafi się jej oprzeć. Jego serce zostaje schwymane w słodką sieć czułości, podziwu i pożądania, które są składnikami miłości. Amulet

miłosny na ogół nie zawodzi. Mayo zaniknęła oczy; nie chciała rozwodzić się zbyt długo nad minusami rozkochania w sobie nowicjusza. Później się tym zajmie, jeśli będzie taka konieczność. W tym momencie była pewna, że jej miłość wszystko przewycięży, i nie bała się zaryzykować.

Przede wszystkim należy uwiezić wyobraźnię ukochanego. To stanowi punkt wyjścia w rytuale miłości. Mayo była pewna, że nowicjusz zdążył już zauważyć, że ona wciąż kręci się koło świty inkwizytora. Dlatego w pierwszy piątek księżycy w nowiu kupiła czerwoną wstążkę, nie bacząc na cenę. Zawiązała ją w luźny węzeł w formie kokardy i odmówiła Ojcie nasz do słów „na pokuszenie”, po których dodała: *sed libero nos a malo por ludea — ludei — ludeo*, zaciskając jednocześnie węzeł. W ten sam sposób odmówiła kolejne Ojcie nasz, robiąc nowe węzły i kiedy doszła do dziewiątego, nałożyła wstążkę na lewe ramię, bo ono jest blisko serca, ale kokarda nie mogła dotknąć ciała: taki był główny warunek udanego zaklęcia. Pozostała jej jeszcze jedna rzecz do zrobienia: musnąć lewą ręką dłoń ukochanego. W ten sposób przekaże mu swe uczucie raz na zawsze.

XXX

Salazar obudził Iñiga wcześniej rano, żeby przygotował się do podróży. Chłopiec wstał posłusznie z zaczerwienionymi oczami. Miał za sobą ciężką noc. Znów przyszedł do niego we śnie niebieski anioł, ale tym razem przyniósł mu niepokój zamiast pokrzepienia. Był w jego myślach namacalnie realny i nowicjusz w cudowny sposób odczuł jego obecność na wąskim łóżku zakonnym.

Czuł jego ciepło i słodycz oddechu. Upajał się w epikurejskim szale smakiem i zapachem jego ciała, dotykał naj intymniej szych miejsc, widział różane łono. Anioł z jego marzeń nie niósł obietnicy łagodnego spokoju, tylko burzył krew. Ciepło z karku Iñiga przeniosło się nagle na brzuch i dosięgło krocza, zmuszając go do pieszczot, które kończyły się udręką wyczerpania. Później tego żałował, czuł się winny, niegodny, brudny, a ciemność nocy nie wpływała na poprawę nastroju. Z nadejściem nowego dnia podjął postanowienie, że niebieski anioł nie zajmie już jego myśli ani łóżka. Musiał jak najszybciej zdobyć воск, żeby sporządzić krzyż strzegący przed lubieżnymi snami.

Zapakował kufry, wsadził je do powozów i dał woźnicom instrukcje zgodnie ze wskazaniem Salazara.

Ludzie stali przed kwaterą inkwizytora, wznosząc okrzyki, bijąc brawo i składając podziękowania. Mężczyźni mieli łzy w oczach, kobiety z dziećmi przysuwały się jak najbliżej, żeby Salazar dotknął małej główki, a staruszki wrywały mu kawałki habitu, żeby sporządzić z nich relikwiarz, co groziło, że inkwizytor zostanie w samej bieliźnie, zanim dotrze do powozu.

Właśnie wtedy czyjeś ramię wysunęło się z tłumu. Mała lewa dłoń z czerwoną wstążką u nadgarstka, zawiązaną w supły, poruszała się rozpaczliwie. Było za dużo ludzi, lecz Mayo nie rezygnowała. Popychali ją z boku na bok, nie widziała wyraźnie obiektu swoich marzeń, ale czuła jego obecność. To jest zaletą miłości. Wyciągnęła ramię ponad głowami tłumu i udało się. Pieszczotliwie muskała przez chwilę dłoń ukochanego. Tak jak pragnęła, poczuła błogi kontakt z jego skórą, delikatną orografie kostek, i

uspokoila się, bo teraz zakłęcie musiało zadziałać. Wystarczy tylko poczekać.

Patrzyła na powóz, jak zamykają się drzwiczki z ciemnego drewna obite brązową skórą. Wewnątrz, za koronkową firanką zarysował się cień nowicjusza, który w skonsternowaniu pogłaskał swą prawą dłoń i podniósł ją do ust. Mayo stała nieruchomo na środku ulicy, coraz mocniej popychana przez tłum wiwatujący na cześć inkwizytora, póki ostatni pojazd nie zniknął za zakrętem. Okrzyki powoli cichły, ludzie rozchodzili się i Mayo została sama zapatrzona w horyzont. Później wsiadła na Beltrána i z radością kazała mu ruszyć w tę samą drogę co świta Salazara.

Wszystko poszło dobrze, zakłęcie podziałało, on już ją kochał.

XVIII

O tym, jak rzucić na kogoś urok

Don Rodrigo Calderon nie był przyzwyczajony do porażek. Wkroczył w życie jako mały paż, a teraz ludzie mu się kłaniali, potrząsali piórami kapelusza i nazywali panem markizem, kiedy mijali go w dworskich kularach. Życie uśmiechnęło się do niego: był człowiekiem sukcesu. Dlatego kłął przez zęby, kiedy w kącie gospody słuchał relacji czwórki żalonych wspólników. Nie umiał pogodzić się z porażką. Przecież sam uczył młodą Catalinę, jak odegrać przed Salazarem scenę z rytuałów diabelskiej sekty. Ludziom miał się jeżyć włos na głowie z przerażenia, a te oferty osiągnęły tylko tyle, że urządzono oblawę w Elizondo, która mogła się dla nich źle skończyć.

Calderon podniósł wzrok i napotkał spojrzenie chłopaka z bielmem na oku. Pół twarzy pokrywała mu czarna, ropiejąca skorupa — efekt niefortunnego spotkania z rozżarzonym kawałkiem drewna podczas walki z wieśniakami. Chłopak uśmiechnął się, na co on odpowiedział grymasem obrzydzenia.

— Co konkretnie zostawiliście na polanie podczas ucieczki? — Calderon starał się mówić bardzo powoli, żeby go dobrze zrozumieli.

— Takie tam papiery, łaskawy panie — wybąkał starszy mężczyzna — trochę map, torbę myśliwską, którą ukradliśmy pomocnikowi, fiolkę z proszkiem, którą mieliśmy od pana, żeby uspić Salazara...

— Czyli wszystko! — przerwał Calderon i wałnął pięścią w stół, co przyprawiło jego rozmówców o wzdrygnięcie i zwróciło uwagę gospodarza. — Nie dość, że nie zdobyliście listu Juany, to jeszcze wszystko przepadło. Banda nierobów! Nie ma z was żadnego pożytku!

— Może pan Salazar nic nie znalazł — wtrącił odważnie brodacz — wiatr mógł zanieść te papiery gdzieś dalej... albo zniszczyły się, bo był straszliwy rejwach.

— Módlcie się, żeby to była prawda. Te dokumenty mają związek z Pryncypałem i ze mną. Nie mogą wpaść w niepowołane ręce, rozumiecie? — powiedział głośno, po czym mruknął sam do siebie: — Te matoly niczego nie rozumieją!

Calderon zamilkł i długo coś rozważał, gładząc wąski pasek zarostu na brodzie. Było za późno, żeby poszukać nowych wspólników. Pozostaje mu tylko modlić się, żeby ci głupcy nie popełnili więcej błędów.

— Musicie bardziej uważać — powiedział zrezygnowany. — Salazar mógł zapamiętać wasze twarze, zwłaszcza Catalinę. Ona musi się ukryć. — Dziewczyna skrzywiła się niechętnie. — Jak nas zdemaskują, jesteśmy straceni.

Pryncypał nie może się dowiedzieć o tej wpadce. A teraz słuchajcie uważnie. Tym razem nie zamierzam tolerować błędów ani niespodzianek.

Wyjął nową fiołkę z ciemnoczerwonym proszkiem, ale zanim brodacz zdążył wysunąć rękę, Calderon złapał go za kłapy i przyciągnął do siebie. Patrzył mu prosto w oczy i mówił, akcentując każde słowo:

— Lekarz uprzedził, że tym razem dawka ma być silniejsza. Trzeba wsypać w usta śpiącego całą zawartość fiołki. Ten człowiek musi umrzeć w ciągu tygodnia. — Calderon obrzucił ich nieufnym spojrzeniem. — Zrozumieliście? — Wszyscy przytaknęli.

— Niech się pan nie martwi. Nie zawiedziemy.

xxx

Postępując zgodnie ze wskazówkami Calderona, cała czwórka zaczęła nękać Pedra Ruiza. Śledzili go bez przerwy, ukrywając się niezdarnie za węglem. Od czasu do czasu migali mu przed oczami, żeby go przestraszyć, żeby poczuł na własnej skórze obecność czarowników. Trwało to ponad tydzień i ta strategia zaczynała dawać efekty. Łowca czarowników biegał po ulicach, oglądając się za siebie, trzymał się za serce, powiesił na szyi szkaplerze z relikwiami świętego Tomasza i modlił się o opiekę boską. Męczyła go bezsenność, toteż udał się do gmachu trybunału, żeby poinformować inkwizytorów Vallego i Becerrę o tym, co się dzieje. Prześladuje go diabelska sekta. Jest tego pewien. Grozi mu poważne niebezpieczeństwo.

— Chcą mnie zniszczyć — oświadczył zdesperowany Pedro Ruiz de Eguino. — Oni dobrze wiedzą, że mają we mnie wroga. Upowiedzono mnie, że koło mojego domu kręci się zawodowy zamawiacz uroków, który tylko czeka, żeby mnie zabić. Widziałem, jak się na

mnie patrzy. Szatan dał mu taką moc, że zginę, jeśli dotknie mnie ręką trzy razy z rzędu.

Łowca czarowników był tak przerażony, że postanowił wycofać się z pracy. Valle i Becerra próbowali przemówić mu do rozumu, podkreślali dotychczasowe zasługi, przypominali o nagrodzie, jaka go czeka w królestwie bożym, kiedy przekroczy bramy raj, ale on nie miał ochoty narażać życia w zamian za wątpliwą chwałę niebieską. Opuścił siedzibę inkwizycji jeszcze bardziej strapiony, gotów natychmiast odprawić pannę Morguy i komparsów, którzy towarzyszyli mu dotąd w polowaniu na czarownice. Pragnął jedynie zaszyć się w swoim domu i przeczekać, dopóki to diabelskie plemię nie trafi na stos.

Pewnego ranka Pedro zobaczył tuż po przebudzeniu, że ma na prawej nodze jakiś plaster nieokreślonego koloru. Próbował zdrapać go paznokciem, ale że mu się nie udało, wymoczył nogę z wodzie z mydłem, wytarł ścierką do sucha, posmarował to miejsce sadłem wieprzowym, żeby zmiękło, i tak uwolnił się od plastra. Poczul wtenczas tak wielkie zmęczenie, jakby dusza zeń uchodziła z każdym oddechem. Wydawał żalosne jęki, które przyprawiły sąsiadów o gęsią skórkę, więc gospodyni postanowiła wezwać lekarza, bo bała się, że potraci wszystkich lokatorów. Medyk przyszedł, strząsnął w progu kurz z peleryny, energicznie odgarnął pościel na łóżku, zbadał pod lupą plamę po tym nieszczęsnym plastrze, obmacał resztę skóry, przysiadł na łóżku, zajrzał choremu do oczu, sprawdził barwę języka, po czym stwierdził, że Pedro Ruiz cierpi na niestrawność. Przepisał napar z rumianku i wyczynek.

Noc nie przyniosła choremu poprawy, wprost przeciwnie:

dostał gorączki i bólów. Rankiem poczuł w ustach i w gardle jakiś proszek, który wyglądał jak pył ceglany. Smakował jak ser pleśniowy i Pedro musiał wypić litry wody, żeby usunąć ten smak. Jęczał tak głośno, że gospodyni znów posłała po doktora. Pacjent był błądy jak kościelna świeca, miał zapadnięte oczy z sinawymi obwódkami. Lekarz podtrzymał wcześniejszą diagnozę o niestrawności, chociaż Pedro zapewniał, że od dwóch dni nic nie miał w ustach.

— Wszystko przez czarowników. Próbują mnie otruć — powiedział płaczkliwie i żeby zatrzymać lekarza, wbił mu w ramię paznokcie z niezwykłą jak na swój stan siłą. — Pan musi mi pomóc.

— Na truciznę i przejedzenie najlepszy jest dobrze posłodzony napar z rumianku. Jedną szklanek rano, drugą w południe i trzecią wieczorem — nakazał medyk tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Ale żołądek nie przyjmował nawet wody, a tym bardziej słodkich ziółek. Chory miał tak silne skurcze, że zwłókl się z łóżka, tarzał się po podłodze i wył z bólu, czując ogień w trzewiach. Inkwizytorzy Valle i Becerra, którzy przyszli go odwiedzić, zastali tak żalony widok, że bez trudu przyjęli wersję o otruciu Pedra Ruiza de Eguino.

— Przegrałem — szepnął, z trudem otwierając oczy. — Pokonały mnie czarownice z pomocą demona. Nie ma już dla mnie ratunku. Proszę was tylko o ostatnie namaszczenie.

Pedro Ruiz de Eguino umarł w strasznych boleściach trzy dni później, wymiotując swoje wnętrzności do końca, a wraz z nimi — duszę.

xxx

Salazar znów zmienił w ostatniej chwili plany podróży. Postanowił pojechać inną drogą, bo otrzymał informację, że w najbliższy piątek odbędzie się *akelarre* na górze Jaizkibel, w miejscowości Pasajes. Przyjazd inkwizytora i jego świty zaskoczył miejscowe władze, bo nikt nie raczył ich wcześniej zawiadomić. Nie było więc uroczystego powitania ani przygotowanej rezydencji, ani służby, która zajęłaby się przyjezdnymi. W ostatniej chwili znaleziono dla nich kwaterę bez żadnych wygód w zamku Santa Isabel wzniesionym na brzegu morza za Karola I dla obrony wejścia do portu, bo tylko tam mieściła się cała świta. Władze nie zadawały zbędnych pytań; wszyscy dobrze wiedzieli, jaki cel przyświeca wizytacji kierowanej przez Salazara. Ludzi ogarnął strach, kiedy pojęli, że nagły przyjazd inkwizytora ma związek z planowanym atakiem czarownic.

Salazarowi nie przeszkadzało, że muszą zamieszkać w opuszczonym zamku. Doskonale mógł obejść się bez służby. Zresztą nie zamierzał zostawać tu dłużej, niż trzeba. Chciał tylko sprawdzić *in situ*, czy pogłoski o zlotach czarownic są prawdą, czy sennym złudzeniem, jak twierdzili niektórzy. Wiele osób zaangażowało się w tę dyskusję, między innymi biskup Antonio Venegas de Figueroa, którego Salazar poznał na długo przed wizytacją. Biskup nie wziął udziału w autodafé czarownic w Logroño, przekonany, że to zwykłe bestialstwo, a opowieści o sektach czarownic można włożyć między bajki do straszenia dzieci. Postanowił znaleźć dowody na potwierdzenie swej tezy i rozpoczął badania, które spowodowały taki zamęt w królestwie, że sam inkwizytor generalny doprowadził do spotkania między nim a Salazarem. Obaj panowie od razu przypadli sobie do gustu.

Biskup Antonio Venegas de Figueroa poinformował Salazara o najnowszych prądach w sporze o czarownice. Powiedział mu o Pedrze de Valencii, humaniście i wielkim intelektualistcie, którego tezy próbowały rzucić nieco światła na kwestie relacji ludzko-diabelskich. Jedna z jego teorii głosiła, że pewne osoby po prostu lubią się gromadzić przy świetle księżyca, żeby śpiewać, tańczyć i zaspokajać najniższe popędy, ale to wcale nie znaczy, że diabeł jest realnie obecny pośród nich. Może się zdarzyć, że któryś z uczestników przyczepia sobie rogi i ogon i nakłada futro zwierzęcia, co w zamieszaniu połączonym z blaskiem księżyca i winem jabłkowym sprawia, że inni biorą go za diabła. Kolejna hipoteza Pedra de Valencii głosiła, że *akelarre* jest efektem halucynacji wywołanych toksyczną maścią, którą wciera się w dłonie i w podeszwy stóp, pod pachami i na udach, jak potwierdzają badane osoby. Humanista nie negował, że w pewnych sytuacjach diabeł może przynosić ludzi na *akelarre* i oni faktycznie tam są, ale najczęściej chodzi o zwykłe oszustwo lub historie przeżywane we śnie. Cokolwiek by to było, Pedro de Valencia doszedł do wniosku, że istotą tej sprawy jest zjawisko, którego istnienia lub nieistnienia nie da się udowodnić, a co za tym idzie — nie podlega ono ocenie.

Antonio Venegas de Figueroa opowiedział Salazarowi, że dyplomowani lekarze mają prawdziwą konkurencję w wiejskich znachorkach, dlatego je oczerniają i traktują jak adeptki demona.

— Bywa, że rajcy muszą zacisnąć pasa, żeby posłać najinteligentniejszego chłopaka z wioski na studia medyczne na uniwersytecie — wyjaśnił biskup Venegas. — Kosztuje to sporo pieniędzy

i jest czymś w rodzaju długoterminowej inwestycji, ponieważ osada z własnym lekarzem lepiej prosperuje. Nic więc dziwnego, że lekarze czują się rozdrażnieni, a nawet zagrożeni, kiedy jakaś ciemna znachorka cieszy się większą sławą i ma więcej pacjentów niż oni. Zwykle to ją wzywa się do porodu... Rodzące wolą zaufać kobiecie, która pomagała przy porodzie ich babkom i matkom. A że medycy dużo na tym tracą pod względem finansowym, niektórzy sprzymierzyli się ze Świętym Oficjum jako specjaliści od wynajdywania znamion na ciele rzekomych czarownic poddawanych torturom. — Biskup zmienił głos na obłudny i w teatralnym geście wyciągnął wskazujący palec. — *Stigma diaboli! Znak rozpoznawczy diabła!* Wyszukiwanie tych znaków jest dla wielu lekarzy i chirurgów niezłym źródłem dochodów. Identyfikują więc czarownicę po oczach, a jeśli znak został dobrze ukryty i nic nie widać w źrenicy, potrafią znaleźć go w nagim ciele oskarżonej.

— Wiem — odparł Salazar. — Mieliśmy takiego chirurga na procesie w Logroño. Golił kobietom włosy pod pachami i z łona i dokładnie oglądał każdy skrawek skóry, póki nie znalazł diabelskiego piętna. Czasem było duże, a czasem małe.

— Zauważyliście, że częściej oskarża się kobiety niż mężczyzn?

— To prawda — przyznał Salazar.

— Łatwo to wyjaśnić — stwierdził biskup Venegas. — Pewne księgi mają na celu zniesławienie kobiet. Na przykład *Malleus Maleficorum* Heinricha Kraemera i Jacoba Sprengera. To istna aberracja myślowa, która stała się już podręcznikiem inkwizytorów.

Albo *Demonomanía* Juana Bodina, który utrzymuje, że kobietę należy poddawać próbie ognia przy najmniejszym podejrzeniu, że wzięła udział w nocnym sabacie.

Biskup Pampeluny podzielił się z Salazarem przekonaniem, że *akelarre* jest nie tyle realnym zjawiskiem, ile produktem rozbuhananej wyobraźni, podsycanej przez sąsiadów i księży parafialnych. Jego zdaniem niektóre oskarżenia biorą się z chęci zemsty lub potrzeby uzyskania akceptacji w grupie. Obaj mężczyźni zaprzyjaźnili się tak serdecznie, że na pożegnanie biskup wypożyczył Salazarowi swój adamaszkowy baldachim na czas wizytacji.

Salazar powierzył nowicjuszowi inwigilację góry Jaizkibel, na której miało się odbyć tej nocy *akelarre*. Wybrał Íñigo de Maestu, ponieważ miał on doświadczenie tropiciela, był najmniej strachliwy z jego pomocników, poza tym cierpiał na bezsenność, co dawało gwarancję, że nie zaśnie zaraz po przybyciu na miejsce.

Íñigo wyszedł z zamku późnym popołudniem. Z tej wysokości widział barki, kołyszące się w porcie Pasajes, zacumowane przy nabrzeżu. Widział główną i jedyną ulicę, biegnącą w stronę morza, pośród różnokolorowych domków parafii pod wezwaniem Świętego Jana Chrzciciela, gdzie spoczywały w nienagannym stanie zwłoki świętej Faustyny. Przeżegnał się, powierzył się świętej i poszedł zarośniętą ścieżką do lasu, który o zmierzchu wyglądał jak las z bajki: drzewa pokryte mchem i grzyby rozmiarów melona. To tutaj miał się odbyć tej nocy zlot czarownic. Wybrał ustronne miejsce, usiadł na trawie, opierając się o pień drzewa, i czekał ze ściśniętym sercem, patrząc, jak słońce wpada do morza niczym

rozzarzona kula, a horyzont wypełnia się płomieniami i odbłaskiem wody. Czerwień stopniowo słabła i zapadał tajemniczy półmrok z bogatą paletą wszystkich odcieni indy go.

Íñigo był przyzwyczajony do wędrowania po lesie bez światła, ale możliwość spotkania diabła przycupniętego za skałą przyprawiła go o silne skurcze brzucha. Na szczęście noc była jasna. Piękny księżyc zagościł na niebie, rzucając drżący blask na spokojne lustro morskiej wody. Íñigo odprężył się i z przyjemnością chłonał delicje nocy zakłócaną jedynie przez zuchwałego świerszcza i melancholijną sowę. Bryza niosła intensywny zapach soli i ryb. Panował taki spokój, że trudno było sobie wyobrazić, iż w każdej chwili nastrój ten może prysnąć wraz z pojawieniem się grupy czarowników. Odetchnął głęboko, przymykając oczy i napawając się boską chwilą, i wtedy zaległa cisza. Nie było śpiewu świerszczy ani pohukiwania sowy. Ta cisza rozsadziliby mu głowę, gdyby nie odgłosy jego własnego ciała. Słyszał dźwięk powietrza wpadającego do płuc i rytmiczne bicie serca. I nic poza tym, tylko ogłuszające milczenie. Nie wiedział, ile czasu minęło, zanim coś się zaczęło dziać.

Najpierw usłyszał szelest liści pod stopami, potem przytłumione rżenie i chrzęst uprzęży. Íñigo poczuł słabość w całym ciele. Wyteżył wzrok, szukając w gęstwinie miejsca, skąd dobiegał ten hałas. Był przekonany, że zaraz stanie się świadkiem przybycia demona, ale szybko odkrył, że nie ma się czego bać. Powoli wstał i wyszedł mu na spotkanie.

To był jego niebieski anioł. Odziany w nagość poruszał się rytmicznie, jadąc okrakiem na srebrzystym rumaku. Blask nocy odbijał się w jego skórze i we włosach, otaczając je metalicznie

połyskującą aureolą. Íñigo patrzył, wstrzymując oddech, aż zaschło mu w gardle ściśniętym z niepokoju, a ona zbliżała się, nie spuszczać zeń wzroku, nie czyniąc żadnego gestu. Wyglądała uroczo w roli amazonki. Íñigo nigdy nie widział nic piękniejszego. Kiedy podjechała tak blisko, że mógł wyciągnąć rękę i dotknąć jej kolana, zeskoczyła z wdziękiem i stanęła spokojnie na wprost niego, pogodna jak bezkres nocy.

— Jesteś rosą ogrodów świata — szepnęła chłopiec.

Mayo poczuła po tych słowach dawne ukłucie w brzuchu, jakby nagle rozkręciła się jakaś wewnętrzna sprężyna dotychczas nieruchoma. Przymknęła oczy i odrzuciła głowę do tyłu. Westchnęła tak przejmująco i zaraźliwie, że Íñigo zaczął szybko oddychać, serce podeszło mu do gardła, a fala gorąca i trwogi zalała go od środka. Ona przysunęła się jeszcze bliżej i otworzyła oczy, czując zapach chypre'owego mydła wydzielany przez jego ciało. Jej twarz była teraz tuż przy twarzy Íñiga. Najpierw zetknęły się ich nosy i potarły się pieszczotliwie. Potem Mayo dotknęła wargami dziecięco gładkiej brody chłopca i oblizwała ją z zadowoleniem, Íñigo zastygł w bezruchu, kiedy wilgotny język niebieskiego anioła sunął powoli po jego twarzy, zaczynając od brody, poprzez usta, wzdłuż nosa, aż do czoła. Tu się zatrzymał, bowiem anioł zanurzył wargi w złocistej grzywce młodzieńca. Nieznany dreszcz wstrząsnął ciałem Íñiga, odbierając mu władzę w nogach. Oparł się bezsilnie o drzewo, które miał za plecami, i osunął się w dół, przysiadając na ziemi. Widział teraz dokładnie nagą skórę Mayo, która mieniła się jedwabistym błękitem morza. Wyciągnął rękę, dotykając opuszkami palców kostki u nogi, powędrował dłońią ku łydce, pogłaskał

cudownie delikatną skórę pod kolanem i zamknął oczy, bo zdawało mu się, że umrze z nadmiaru rozkoszy. Wtedy ona przyklękła obok, żeby nadal obrysowywał dłonią mapę jej ciała, dotykał stromizny bioder, przemierzał płaską równinę brzucha, zanim odważy się dotrzeć do wilgotnych zakamarków.

Po latach, kiedy Íñigo de Maestu wspominał to magiczne spotkanie, nie potrafił sobie przypomnieć, czy to on, czy ona pierwsza podniosła jego sutannę, uwalniając go z więzów konwenansów, które w tym momencie wydawały się naprawdę absurdalne. Pamiętał tylko, że niebieski anioł pochylał się nad nim z półotwartymi ustami, a ich złęczone biodra falowały jak morze. Kręciło mu się w głowie, chwilami miał wrażenie, że tonie, potem wynurzał się na powierzchnię i znów nurkował. Nie wiedział, jak długo to trwało. Pamiętał piersi unoszące się nad nim jak dwa białe, pachnące kwiaty, aksamitną linię bioder, na których opierał dłonie, i westchnienie niebieskiego anioła, który należał do niego.

— Nikt mi nie wierzył — szepnął do Mayo chłopiec, kiedy spoczywała na jego piersi. — Domingo mówił, że cię wymyśliłem. Nie uwierzył, że anioł był ze mną... mój niebieski anioł...

Podniosła nagle głowę. Potargane włosy spadały jej na twarz, gdy tak patrzyła na niego z zaskoczeniem. Po raz pierwszy Íñigo usłyszał ptasi głosik.

— Naprawdę myślisz, że jestem aniołem? — zapytała zdziwiona, że musi się tłumaczyć, że nim nie jest.

Było to tak, jakby zbudzili się ze snu trwającego przez wieki i zaczęli się uczyć świata od nowa. Mierzyli się wzrokiem, czekając, że jedno z nich powie coś uspokajającego, ale żadne się nie

odezwało, bo byli tym, kim byli, i nic nie mogło tego zmienić. Mayo poczuła się zraniona i rozżalona, widząc lęk w oczach ukochanego, które jeszcze przed chwilą były pełne czułości. Tak bardzo chciała uwierzyć, że się myli... Ale dlaczego? Przecież sporządziła amulet miłosny... On powinien ją kochać tak jak ona jego... Nie może być inaczej. Wzięła twarz nowicjusza w dłonie i z uwagą szukała w jego oczach odpowiedzi, ale on nie wytrzymał jej spojrzenia.

— Powiedz mi, że nie jestem na *akelarre*, że mnie nie zaczarowałaś i nie jesteś sukubem. — Íñigowi przypomniało się nagle, po co przyszedł do lasu o tej porze. Miał błagalne spojrzenie i łzy w oczach.

Odsunął ją delikatnie, wstał i odwrócił się plecami, nie mówiąc już ani słowa. Mayo siedziała naga na trawie w oczekiwaniu, że stanie się coś, co złagodzi w niej ból odrzucenia. Zapragnęła znowu znaleźć się w jego objęciach. Chciała jeszcze raz poczuć to ciepłe ciało i uchronić się przed cierpieniem. Ale on nie wykonał żadnego gestu, tylko tak stał milczący i roztrzęsiony. Po chwili niechętnie odwrócił się w jej stronę. Miał nadzieję, że jej tam nie ma i wszystko okaże się snem. A kiedy ją zobaczył, upadł na kolana i zaczął rwać sobie włosy z głowy.

— Boże mój! Wybacz... wybacz... — szlochał jak małe dziecko, płakał gęstymi łzami w nieutulonym żalu i wszystko dokoła posmutniało.

Mayo była tym tak wstrząśnięta, że postanowiła skłamać. Nie może powiedzieć mu prawdy, bo jeśli Íñigo dowie się, że jest córką diabła, wędrowną czarownicą, która sporządziła amulet miłosny, żeby zamienić się w niebieskiego anioła, będzie zdruzgotany,

pograży się w rozpacz i wyrzutach sumienia.

Ederra zawsze mówiła, że uzdrowicielki mają przynosić ludziom fizyczną i duchową ulgę. To jest ich misją na tym świecie. Kłamstwo nie zawsze wyrządza krzywdę, czasem wprost przeciwnie. Zupełna szczerłość nie jest wskazana w przypadku, gdy prawda zadaje ból.

Podniosła się i ze stoickim spokojem zdławiła w sobie smutek, bo w gruncie rzeczy była już przyzwyczajona do ciosów życia. Ujęła Iñiga za brodę i zmusiła, żeby na nią popatrzył.

— Przecież to jasne, że jestem twoim aniołem. Jak możesz w to wątpić? Jestem twoim niebieskim aniołem, który zawsze będzie cię strzegł.

Odczekała chwilę, nie przestając się słodko uśmiechać, póki nie zobaczyła, że chłopiec uspokaja się i odpręża. Wtedy powoli odwróciła się w drugą stronę. Spojrzała w niebo. Stwierdziła, że dużo czasu spędzili razem, bowiem księżyc i gwiazdy kończyły swój bieg po firmamencie. Bez słowa pożegnania wzięła Beltrána za lejce i oddaliła się niespiesznie, szukając otuchy w błyskach jutrzenki, żeby nie dać się przygnębieniu.

Íñigo patrzył za nią. Niebieskawe światło księżycy spływało na długie włosy, plecy i pośladki, nadając jej iście niebiański wygląd. Wtedy nowicjusz ukląkł i zaczął się modlić.

XIX

*O tym, jak ostudzić zapal miłości,
jak zapomnieć o ukochanym*

Pierwsze błyski świtu przeszły aksamitne, ołowiane niebo. Ziemia wydzielala rosę, a z chmur parowały niewidzialne krople. Człowiek nasiąkał wilgocią do szpiku kości. Dzień zapowiadał się deszczowo, co tym bardziej pogrążało Iñiga w poczuciu winy zmieszonym z zapierającym dech w piersiach zachwytem. Nowicjusz wracał do zamku Santa Isabel, który o tej porze wyglądał jak dziób olbrzymiego statku prującego fale trawy. Poinformował, że nie znalazł nic, co wskazywałoby na zlot czarowników, i poszedł do swej alkowy z ciężkim sercem i spuszczoną głową, ledwo powłóczęc nogami. Nikomu nie powiedział o spotkaniu z niebieskim aniołem. Pozwolono mu spać do południa, ale sen nie nadchodził. Za każdym razem, gdy przymykał oczy, migotały mu pod powiekami obrazy splełanych ramion, ud, bioder i potarganych włosów. Nie mógł się dłużej okłamywać. Wewnętrzny głos mówił mu, że jego niebieski anioł nie jest niebiańską istotą. Głaskał go przecież

po plecach, dotykał ramion i łopatek, wielokrotnie przesuwał dłoń po żebrach jak po subtelnym instrumencie muzycznym. Pieścił delikatną skórę pośladków. Jeszcze zanim tam doszedł, uzmysłowił sobie, że ta istota nie ma skrzydeł. To nie był anioł. Pewno zły zwiódł go tej nocy jedyną pokusą, jakiej nie był w stanie się oprzeć. Diabeł dobrze zna słabostki śmiertelników. Íñigo okazał się słaby, niegodny nosić sutannę nowicjusza. Diabeł poddał go pierwszej próbie, a on przegrał z kretesem. Na swą obronę miał tylko tyle, że kiedy położył dłonie poniżej pasa dziewczyny, kiedy ich ciała złączone w jedno kołysały się jak statek pod pełnymi żaglami, świat zatrzymał się na moment z zachwytem. Wszystko, co było poza magicznym kręgiem, w którym znaleźli się oboje, wydawało się łahe i absurdalne. Śluby zakonne, rodzice, przyszłość... wszystko straciło sens. Nie zależało mu na niczym.

Kiedy minęło kilka godzin, Íñigo poczuł się strasznie nieszczęśliwy. Miał świadomość, że źle postąpił, ale mimo to nie potrafił wykrzesać z siebie iskry skruchy. W głębi serca nie żałował spotkania z dziewczyną. W tamtym momencie zmysły wzięły górę nad rozsądkiem. A najgorsze, że wciąż rozpamiętywał to z radością. Nie drżał już z pożądania (choć przyjemnie było mu o tym myśleć), doznawał natomiast uczuć dużo głębszych. Wspominał twarz dziewczyny, blask jej oczu, delikatne pieszczoty czubkiem nosa. Widział ją w świetle księżyca i marzył tylko o tym, aby znów o niej usłyszeć, poznać jej imię, upleść dla niej wianek ze stokrotek i włożyć go jej na włosy, ubrać ją w długą tunikę z kokardami, które on zawiązywałby w nieskończoność. Pragnął trzymać ją w ramionach, nucić kołysankę do snu jak małemu dziecku, usuwać wszystkie przeszkody, by nigdy nie zaznała krzywdy. Wspominał

jej uśmiech rozświetlający ciemną noc i nabrał przekonania, że świat byłby bez niej pusty i brzydki. Wszystko w tej dziewczynie mówiło o miłości, a jeśli stała się narzędziem w rękach diabła, to na pewno wbrew własnej woli. Ona jest dobra, był tego pewien, jest czysta i łagodna. Pragnął wyzwolić ją z diabelskiego jarzma, być dla niej rycerzem i oparciem. Pragnął widzieć ją codziennie zaraz po przebudzeniu i co wieczór, przed snem, nawet gdyby już nigdy nie mógł jej dotknąć. Kontakt cielesny już nie był ważny. Teraz liczyło się coś innego. Ona była dla niego całym światem. Jak powietrze, którym oddychał i które chłodziło mu twarz, jak dźwięki poranka i słodki smak chleba. Wszystko było nią, Íñigo pragnął, aby oczy dziewczyny rozjaśniały mu każdą chwilę życia, i był pewien, że ona pojawi się przy nim, kiedy będzie odchodził z tego niedorzecznego świata.

Życie bez niej nie miało sensu, ale z nią nie mógłby żyć, bo zdradziłby swoje zasady, zdradziłby powołanie, któremu ślubował wierność, i skazałby się na wieczne potępienie. Czy nie tego chciał demon, kiedy go kusił? Ból Íñiga był tak wielki, że łzy popłynęły mu z oczu kroplami gęstymi jak krew. Wybiegł z pokoju jak nieprzytomny, bo miał wrażenie, że ściany zwałą mu się na głowę.

Salazar zastał go na kamiennej ławce ukrytej wśród jabłoni na wewnętrznym dziedzińcu. Chłopiec siedział z łokciami na kolanach i trzymał się za głowę. Wzrok miał wbity w ziemię. Wydawał się nieobecny duchem. Podniósł oczy dopiero wtedy, kiedy zobaczył stopy inkwizytora tuż koło siebie.

— Ojczy... zgrzeszyłem — wyszeptał. — Pamiętasz niebieskiego anioła?

— Tak, pamiętam...

— To chyba nie jest anioł... Myślę, że jest sukubem... Zaczarował mnie... jestem chory... duszę się. Ratuj mnie, ojcze.

— Jesteś chory? Co ci dolega?

— Nie boli mnie ciało, tylko coś w środku. Coś nieokreślonego, ale bardzo cierpię. Moja dusza jest chora. Ból ściska mi piersi, nie mogę spać, wszędzie ją widzę. Jej oczy idą za mną, gdzie się nie poruszę. Czuję jej zapach, mam wrażenie, że ona jest przy mnie, i pragnę, żeby była. Serce bije mi szybciej pod wpływem tych doznań i rozpływam się z zachwytu. Czuję, że ona ma nade mną władzę. Moja wielka miłość do Boga zeszała na drugi plan. Myślę tylko o tym, żeby znów ją zobaczyć.

Salazar milczał. Obawiał się przez moment, że te wszystkie opowieści o diable i samotna noc w zaczarowanym lesie pomieszały nowicjuszowi w głowie. Uznał, że nie może go tak zostawić.

— Znasz historię Eugenia de Torralby? — spytał Salazar.

— Nie znam, mój panie — odpowiedział nieśmiało.

— Eugenio de Torralba żył w Kastylii w początkach ubiegłego wieku. Studiował medycynę i filozofię. Pochodził ze starej chrześcijańskiej rodziny, która nigdy by nie pomyślała, że młody Torralba stanie kiedyś przed trybunałem Świętego Oficjum.

— Co takiego się wydarzyło?

— Otóż w czasie jednej z podróży zaprzyjaźnił się z dominikańskim mnichem Pedrem. Braciszek zapewnił go, że jeśli chce poznać prawdę o najdawniejszej przeszłości i odkryć, co przyniesie przyszłość, jeśli chce znaleźć sposób na wszystkie choroby bez

konieczności korzystania z pomocy lekarskiej, to on skontaktuje go z dobrym aniołem imieniem Zaquiel, który udzieli mu tych wszystkich informacji i obdarzy wieloma innymi dobrami.

— Zaquiel? Ale ja nie wiem, jak ma na imię mój anioł — wybąkał zawiedziony Íñigo.

Salazar kontynuował swą opowieść.

— Po raz pierwszy Torralba zobaczył Zaquieła jako starca w czarnej szacie narzuconej na czerwony humerał, mówiącego z równą swobodą po łacinie i po włosku, bez obcego akcentu. Starzec nie pozwolił się dotknąć.

— A ja mogłem dotykać mojego anioła... choć byłoby lepiej, gdyby nie pozwolił, bo zapewniam cię panie, że to nie był stary mężczyzna — lamentował nowicjusz.

Salazar mówił dalej:

— Zaquiel przepowiedział śmierć Ferdynanda Katolickiego na długo, zanim nastąpiła... Oprócz tego, że znał przyszłość, bronił Torralbę przed grzesznymi pokusami. A raz, w ciągu półtorej godziny, przeniósł go z Valladolid do Rzymu i z powrotem, żeby młodzieniec zobaczył natarcie armii cesarskiej.

— Naprawdę? — spytał zaskoczony nowicjusz.

— Święte Oficjum mu nie uwierzyło. Po przesłuchaniu inkwizytorzy doszli do wniosku, że Eugenio de Torralba jest szaleńcem. Nie mogli poddawać go mękom, karać czy skazywać na śmierć.

— A morał tej historii jest taki, że uważasz mnie, panie, za szaleńca? — Íñigo był rozdrażniony. — Nie miałbym nic przeciwko temu, ale jestem pewien, że to nie było przywidzenie, tylko rzeczywistość. Dodam jeszcze, że to nie był anioł, jak w przypadku

pana Torralby. — Rozejrzał się na boki i wymamrotał: — To dziewczyna, która pachnie świeżą zielenią, ma gładką skórę i sprężyste ciało. — Zamknął oczy ze wstydu, że musi to wyznać Salazarowi. — Zgrzeszyłem, ojciec. Złamałem ślub czystości. Zły duch zastawił pułapkę, żeby zawładnąć moim ciałem i duszą.

— Jesteś pewien, że nic ci się nie przywidziało, Íñigo?

— O panie, jakże byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby było tak, jak mówisz!

Íñigo opowiedział mu po kolei o wszystkich spotkaniach ze swoim niebieskim aniołem. Przypomniawszy historię z listem Juany i powtórzył, że to nie on wpadł na sposób, jak odczytać ukryte słowa. Jest pewny, że to ona przyszła tamtej nocy do jego pokoju, żeby pomóc w rozszyfrowaniu tej zagadki.

— Równie dobrze mógł to być ktoś z tej czwórki — zasugerował Salazar. — Mieli papiery, które znikły owej nocy z twego biurka. Mogła to być na przykład Catalina...

— Nie. Na pewno nie — oburzył się Íñigo. — To nie tak. Nie wiem, jak ci osobnicy weszli w posiadanie moich rzeczy, ale to nie oni rozszyfrowali list. Zresztą nigdy nie widziałem tej Cataliny na osobności. Zaręczam, że mój niebieski anioł nie ma z tą czwórką nic wspólnego. — Íñigo uspokoił się i dodał: — Na drugi dzień rano, jeszcze zanim zobaczyłem list Juany na szafce nocnej, wiedziałem, że w nocy odwiedził mnie mój anioł, bo wyczułem zapach paproci w pokoju... A łóżko zachowało jeszcze kształty jej ciała. Pościel pachniała balsamicznie jak napar ziołowy z dodatkiem mięty.

Salazar uśmiechnął się tajemniczo.

— Myślę, że to nie był zły duch, Íñigo. Nie zostałeś zczarowany. Zdarzyło ci się coś, co jest normalne w życiu, choć tobie wydaje

się teraz wyjątkowe. — Salazar przyjrzał mu się uważnie i zaproponował: — Zawrzyjmy układ.... jeśli chcesz. Rozgrzeszmy się nawzajem ze swoich grzechów. Uwolnijmy się od nich i wszystko pozostanie objęte tajemnicą spowiedzi. Zgadzasz się?

— Przecież ja nie mogę jeszcze spowiadać...

— Nie bądź formalistą, Íñigo. Zaczynamy? Zdrowaś Maryjo, łaski pełna...

Íñigo milczał.

— Zdrowaś Maryjo, łaski pełna — powtórzył Salazar.

— Bez grzechu poczęta? — dopowiedział nowicjusz bez wielkiego przekonania.

— Wiesz, dlaczego myślę, że twój niebieski anioł nie jest sukubem? — Íñigo pokręcił przecząco głową. — Bo nie wierzę w sukubów ani w inkubów. Nie wierzę nawet w diabła, który je stworzył, jak się powszechnie sądzi. No właśnie... — wzruszył ramionami — teraz już wiesz...

— Nie wierzysz, ojcze, w istnienie diabła? To znaczy...

— To nic nie znaczy. Nadal będę szukać, żeby się przekonać. Cały czas to robię, mój drogi Íñigo.

— W takim razie kim jest istota, o której mówiłem, jeśli nie sukubem? Naprawdę ją widziałem.

— Wierzę ci... Gdyby nie to, że w związku z naszą wizytacją dzieją się różne dziwne rzeczy i mam powody przypuszczać, że jesteśmy śledzeni, a łowcy czarowników robią wszystko, żeby wywołać strach wśród ludności, nawet za cenę fałszywych dowodów, to powiedziałbym, że się po prostu zakochałeś. To się każdemu zdarza... przynajmniej raz w życiu. Smutny jest los człowieka, który

się nigdy nie zakochał! — uśmiechnął się Salazar. — Pewnie chciałbyś, abym cię przekonywał, że ślub czystości czyni człowieka odpornym na taką miłość, ale sam wiesz, że to nieprawda. Zresztą to co zakazane jest tysiąckroć atrakcyjniejsze niż to co dozwolone. Wiem to z własnego doświadczenia. Nie myśl, że cię zachęcam do spotkań z ukochaną. O nie! Złożyłeś ślub czystości, a świadome podejmowanie i dotrzymywanie zobowiązań jest tym, co różni ludzi od zwierząt. Nie sądz jednak, że cię potępiam. Skłamałbym, mówiąc, że popełniłeś najgorszy grzech, bowiem nic nie da się porównać z tym, co przeżywasz teraz. Już nigdy w życiu, cokolwiek byś zrobił, nie zaznasz tak intensywnych wrażeń. Wyczuwasz drżenie owadzich skrzydeł, kiedy wsłuchujesz się w odgłos kroków ukochanej. Węszysz w powietrzu jak pies myśliwski, żeby odnaleźć ślad jej zapachu. Odtąd niebo wyda ci się bardziej błękitne, a słońce jaśniejsze, kiedy pomyślisz, że one też patrzą na nią z podziwem.

— Czy to nie grzech tak myśleć i czuć?

— Bóg jest miłością, prawda?

— Tak.

— Ta miłość jest w każdym stworzeniu. W kwiatach, w ziemi, w wodzie, w bliźnim... Wiesz, co jest zaletą takiego uczucia? Ono żyje w twoich myślach, karmi się twoim pragnieniem, czyni z ukochanej osoby ideał bez skazy i tak już będzie zawsze, dopóki ziemia kręci się i póki nie przestaniesz oddychać. Mój drogi Íñigo, każdy musi mieć swojego niebieskiego anioła, bo inaczej ciężko jest żyć. — Nowicjusz dostrzegł cień smutku na twarzy inkwizytora. — Nie zabraniam ci myśleć o aniele, który ci towarzyszy

i strzeże, bo w przeciwnym razie byłbyś bardzo samotny... — Salazar mówił jak w transie, ale nagle zmienił ton: — A teraz odmów trzy Ojciec nasz: jedno za swoją duszę i dwa za moją. I pamiętaj jedno — spoważniał i pogroził mu palcem — wyrzucę cię, jeśli się dowiem, że nadal spotykasz się z tą dziewczyną, nie będzie dla ciebie miejsca w środowisku zakonnym. Co innego żyć wspomnieniami i wyobrażnią, a co innego spotykać się z nią w rzeczywistości. Nigdy więcej! Jasne? — Íñigo kiwnął głową wystraszony. — Lepiej nie ryzykować... Ta dziewczyna może okazać się dla nas kolejną pułapką.

xxx

Mayo zrozumiała, co Ederra miała na myśli, mówiąc o niebezpieczeństwach amuletu miłostnego. Zawładnięcie cudzą wolą dla zaspokojenia własnych zmysłów powoduje duże kłopoty. Mimo wszystko ta magiczna chwila, kiedy Mayo czuła się kochana, uwielbiana i piękna, gdy jego ciało wibrowało pod jej ciałem... ta chwila warta była odrobiny cierpienia. W gruncie rzeczy takie jest życie: raz słodkie, raz gorzkie. Jest nieustannym pielgrzymowaniem po stromych ścieżkach: to w górę, by osiągnąć szczyty szczęścia, to w dół, do doliny rozczarowania. Takie są reguły tego świata i trzeba się z tym pogodzić. Ale było jej przykro, że ukochany też cierpi. Na dodatek nie wiedziała dlaczego. Wszakże to ona zdecydowała za nich dwoje i wpędziła go w zamęt uczuciowy. On na to nie zasłużył, nie mogła pozwolić, aby przez nią cierpiał — za bardzo go kochała. Z ciężkim sercem postanowiła naprawić to, co zrobiła, choć nie wiedział o tym nikt oprócz Beltrána.

ABY OSTUDZIĆ ZAPAL MIŁOŚCI

- gliniane naczynie z wodą źródlaną
- kawałek papieru
- biała róża
- sznureczek
- czerwona chusteczka

Mayo narysowała na papierze twarz ukochanego najwierniej jak umiała, przyłożyła białą różę i przewiązała sznurkiem. Włożyła zwitek do wody tak, żeby trochę się wylało, i przykryła rozlaną wodę czerwoną chusteczką.

— Słabnie miłosne zakłęcie, którym zraniłam twe uczucia — recytowała, przymykając oczy i przywołując w pamięci twarz nowicjusza. — *Alicui in amore responderé*, koniec.

Potem wyjęła chusteczkę tak, żeby krople wsiąkły w ziemię. Poczula, że to, co uczyniła, jest dobre. Wyeliminowała narzuconą chłopcu niewolę uczucia, teraz zaś sama musiała uwolnić się od miłości do niego. Mayo urodziła się z niezwykłą skłonnością do samoudręczenia, ale pomyślała, że nie ma powodu cierpieć, skoro można tego uniknąć. Nikt nie powiedział, że trzeba ze stoicyzmem znosić złe chwile życia, zwłaszcza gdy zna się sposób na uśmierzenie tego bólu. Wystarczy odprawić magiczny rytuał, a łatwiej będzie schodzić do doliny miłosnych zawodów.

ABY ZAPOMNIEĆ O UKOCHANYM

- Kosmyk włosów osoby, która pragnie zapomnieć
- Czterolistna koniczynka

- Różowa zwiędła róża
- Zielona wstążka w kolorze nadziei

Rozpałała niewielkie ognisko i obok położyła wszystkie składniki owinięte zieloną wstążką. Zrobiła na niej węzeł, mrużąc zakłęcie:

*Nigdy szczęście nie było mi dane,
ptaku podniebny, glisto ziemski.
Proponuję ci zamianę,
o, słońce nocy, nowy księżycu.
Weź moje zniewolone serce,
a daj mi spokój ogniska.*

Wrzuciła wszystko do ognia i poczuła w piersiach głuchy dźwięk jak trzask złamanej gałęzi. Wiedziała, że to odgłos silnego zdeterminowania. Zajrzała w swoje serce, ale zakłęcie jeszcze nie zaczęło działać. Nadal kochała Iñiga de Maestu z całej duszy, niemniej jednak wkroczyła na nową drogę życia, z której nie ma powrotu, i nie będzie już cierpieć z miłości.

xxx

Wiadomość wstrząsnęła całym królestwem. Ktoś otrul łowcę czarownic Pedra Ruiza de Eguino, który ostatnio gorliwie wspomagał inkwizytorów Vallego i Becerrę w demaskowaniu członków sekty Złego. Ludzie się przerazili, że pomimo wzmożonych działań inkwizycji, procesów i oczyszczających stosów czarownicy nadal prześladują chrześcijan, usuwając z drogi każdego, kto próbuje

pokrzyżować ich plany. Uspiony na pewien czas lęk powrócił z nową siłą, kiedy odkryto, że tym razem ci niegodziwcy uwzięli się na pomocnika inkwizytorów. Skoro ośmielili się zaatakować kogóż tak ważnego, to co mówić o zwykłych śmiertelnikach?

Szybko rozeszła się wieść, że słudzy diabła się rozzuchwalili. O ile dotąd działali głównie w lasach, o tyle teraz coraz śmiej wychodzą na zewnątrz i zachowują się butnie, jakby mieli już zwycięstwo w kieszeni. Pojawiają się w stolicach prowincji, robiąc skandale i zamieszanie, szerząc popłoch wśród najbardziej pobożnych i najznamienitszych obywateli miasta, którym nie dają spokoju na ziemi, na morzu i w powietrzu, albowiem jest rzeczą powszechnie znaną, iż słudzy diabła mają władzę nad żywiołami. Nie cofają się przy tym przed groźbą i szantażem, że tych obywateli spotka to samo co Pedra Ruiza de Eguino.

Zaalarmowani takim stanem rzeczy Valle i Becerra powiadomili Supreme, iż złoczyńcy dotarli nawet do Logroño, gdzie co noc gromadzą się na placu Świętego Franciszka, na wprost siedziby inkwizycji, i urządzają *akelarre*, tańcząc jak szaleni wokół ogromnego ogniska przy wtórze fujarek i bębnów, co oczywiście nie daje spać mieszkańcom. Inkwizytorzy domagają się zatem wsparcia, anulowania edyktu łaski, który — jak widać — na nic się nie przydaje, i nowego autodafé, żeby jak najszybciej uwolnić królestwo od tej zgubnej plagi.

Wiadomość o śmierci łowcy czarownic Pedra Ruiza de Eguino wprowadziła Salazara w duże zakłopotanie. Wszystko już miał przygotowane, żeby się z nim spotkać i potwierdzić swoje podejrzenia. Doszedł bowiem do wniosku po rozmowie ze starym

księdzem Diegiem de Basurto, iż namawianie ludzi do udawania czarowników przynosi temu łowcy więcej korzyści, niż gdyby miał oświadczyć, że czarowników nie ma. Z pewnością Pedro Ruiz chciał zasłużyć sobie na uznanie Supremy, żeby zdobyć stanowisko komisarza inkwizycji albo też — co niewykluczone — był współnikiem inkwizytorów z Logroño i coś go musiało łączyć z czwórką pseudoczarowników, którzy od samego początku bojkotowali wizytację. Salazar liczył na to, że weźmie go w krzyżowy ogień pytań i zmusi do wyznania, co tak naprawdę było motorem jego działań. Tak właśnie napisał ostatnio do inkwizytora generalnego. Był pewien, że zadając odpowiednie pytania (a znał się na tym wyśmienicie), zdemaskuje Pedra Ruiza i odkryje prawdę. Jednakże teraz niczego już nie udowodni. Co więcej, dziwne okoliczności śmierci łowcy czarowników czyniły zeń niejako męczennika dla sprawy.

Tego samego popołudnia Salazar otrzymał list, w którym inkwizytor generalny chwalił go za osiągnięcia wizytacji i zapewniał o swym całkowitym zaufaniu. Pisał też, że rada Supremy zgadza się ze stanowiskiem Salazara, iż w kwestii czarownic istnieje wiele urojeń oraz nieco mniej faktów i zachęca do kontynuowania pracy w tym kierunku, albowiem jest na dobrej drodze. Ubolewał, iż tajemnicza śmierć Pedra Ruiza de Eguino uniemożliwia Salazarowi drażnienie problemu pseudoczarowników, ale radził nie przywiązywać do tego zbyt wielkiej wagi, bo może się okazać, że to czwórka nic nieznaczących osobników działających bez określonego celu.

Nie ulegaj obsesji intryg i spisków, mój drogi Alonso, gdyż stanie się to przeszkodą w doprowadzeniu do chwalebного końca twojej godnej uznania pracy i w realizacji naszych wspólnych interesów.

Jednocześnie inkwizytor generalny Bernardo de Sandoval y Rojas gorąco prosił Salazara, żeby porozmawiał z tymi księżmi, którzy nie chcą udzielać komunii skruszonym czarownikom, albowiem nie są do końca przekonani o wyrzeczeniu się przez nich diabelskiej wiary. Taka postawa sprzyja dalszej destabilizacji, ponieważ ludzie nadal żywią nieufność wobec osób podejrzanych o czary, mimo że skorzystały one z dobrodziejstwa czasu łaski. Panuje przekonanie, że po wyjeździe inkwizytora wszystko będzie po staremu i słudzy diabła znów przystąpią do ataku. Sandoval prosi zatem o dopilnowanie, by wszyscy księża respektowali instrukcje wizytacji, które stanowią wyraźnie, iż nie wolno represjonować osób uniewinnionych na mocy edyktu łaski. Daje Salazarowi wolną rękę w postępowaniu wobec księży, którzy nie zgodzą się przestrzegać tych zasad.

Najbardziej niezwykle było jednak to, że inkwizytor generalny przedłużył czas łaski o cztery miesiące, do 29 marca 1612 roku. Dotychczas Salazar nie odważył się nawet napomknąć o takiej potrzebie, chociaż wizytacja miała już spore opóźnienie, a pozostawało jeszcze wiele miejsc do odwiedzenia, zwłaszcza że Salazar wciąż zmieniał trasę podróży, odkąd odkrył, że ktoś bojkotuje ich pracę. Wolał jednak nic nie mówić w listach o kłopotach z dotrzymaniem terminów, żeby nie dawać Vallemu i Becerze argumentów przeciwko wizytacji.

Ucieszył się z tych czterech dodatkowych miesięcy. Martwił się tylko, jak Valle i Becerra przyjmą nową decyzję Bernarda de Sandovala. Od dawna czuli niechęć do Salazara, mając go za faworyta inkwizytora generalnego, a co dopiero teraz. Niewątpliwie posądzą go o oportunizm i ich wzajemny konflikt się nasili. Ale nie chciał dłużej zastanawiać się nad tą sprawą. Miał ważniejsze problemy do rozstrzygnięcia.

XX

O tym, jak usunąć brodawki

Salazar starał się utrzymać w wielkim sekrecie nową trasę podróży, ale Mayo i tak dowiedziała się, że następny postój odbędzie się w San Sebastián. Na próżno sobie wmawiała, że idzie śladami inkwizytora tylko dlatego, żeby jak najszybciej spotkać Ederre, która na pewno będzie szukać jej i Beltrána w pobliżu świty Salazara, ale musiała przyznać, że sposób na ostudzenie miłości jeszcze nie zadziałał i że wciąż pała uczuciem do nowicjusza. Próbowała poskładać do kupy kawałki rozdartego serca, wyrzucić z głowy bezsensowne, romantyczne idee, ale nie mogła. Musiała zmierzyć się z rzeczywistością i przyznać, że próba zdobycia serca, które już wcześniej poświęciło się dużo ważniejszej, boskiej sprawie, była nieuchronnie skazana na klęskę. Przegrała tę bitwę, jeszcze zanim ją rozpoczęła. Na moment ujrzała siebie samotną, błądzącą po krętych ścieżkach w zaczarowanych lasach, które dopiero teraz zaczęła rozpoznawać, z dala od jedynej mężczyzny, jakiego

pokochała, i z dala od Ederry, ponieważ zgubiła jej ślad wskutek głupiego uporu, żeby nie tracić z oczu świty inkwizytora.

Uzbroiła się w odwagę. Powróciła do wcześniejszych planów. Rentería leży na tyle blisko, że warto zboczyć z drogi, żeby odwiedzić rodzinę Gracii de Iturralde, zapytać o nią i o jej przyjaciółkę Marię de Echalecu. W głębi serca wierzyła, że znajdzie tam nowy ślad wiodący do Ederry. Jeśli się pospieszy i wyruszy z samego rana, załatwi tę sprawę i zdąży dołączyć do świty Salazara w San Sebastian. Nie chciała udawać, że na tym jej nie zależy. Nie mogła zerwać tych więzów ani nie mogła zaprzestać szukania Ederry. Mayo była wytrwała w uczuciach, nie umiała i nie chciała zapomnieć, dlatego ulgę przyniosła jej decyzja, że jeszcze nie teraz... Później pożegna się ze swą miłością na zawsze.

Wspięła się z Beltránem po niezbyt stromym zboczu i na górze zatrzymała się, aby spojrzeć za siebie. Ujrzała bezkresne morze i równe szeregi domków w Pasajes, które z tej wysokości wyglądały jak na kolorowym obrazku. Uświadomiła sobie, że tam na dole śpi mężczyzna, który ją pokochał. Zakłuło ją w sercu od tego wspomnienia. Próbowwała znaleźć jakiś gest, cokolwiek, co pozwoliłoby jej myśleć o nim obojętnie, ale wciąż nie potrafiła. Złękła się, że zakłęcie nie poskutkuje i nigdy nie zapomni o tej miłości, że już do końca życia będzie mieć ten kłujący ból w sercu, który przestał być przyjemnością, odkąd postanowiła zapomnieć o nowicjuszu. Jej zakłęcia nie zawsze skutkowały, chociaż ostatnio wydawało się, że nabiera coraz większych umiejętności w tej dziedzinie. Byłby to więc straszny pech, gdyby nie powiodło się akurat zakłęcie

uwalniające od nieszczęśliwej miłości.

Westchnęła tak żałośnie, że Beltrán nastawił uszu i spojrzął na nią pytająco. Nie mogła tak dłużej stać i zadrećcać się w nieskończoność, musiała wybrać jakąś drogę. Zapomni o nowicjuszu, o jego niebieskich oczach i włosach Cherubina. Zapomni jego wargi i dłonie... Przysięgła sobie, że przyjdzie taki moment, kiedy pamięć o ukochanym przestanie być słodką męką, kiedy w ogóle przestanie o nim myśleć, bo po prostu o wszystkim zapomni. Uznała, że to całkiem możliwe, że tak się stanie w przyszłości, i poczuła wewnętrzny spokój. Dobrze jest działać z determinacją, planować kolejne kroki i decydować o swoim życiu.

Ruszyła w dalszą wędrowną i nie zatrzymując się więcej, dotarła do celu wczesnym popołudniem. Miejscowość Rentería zachowała średniowieczny układ architektoniczny — domy ciągnęły się wzdłuż siedmiu ulic zbiegających się na placu z gotyckim kościołem i świeżo wzniesionym magistratem. Najpierw było to miasto Villanueva de Oiarso, które z czasem zmieniło nazwę na Errenteria, bo tu pobierano renty królewskie. Mieszkańcy szczycili się tym, że zawsze podążają za postępem, toteż moda na żelazo zrewolucjonizowała stosunki w tym mieście, które dotąd specjalizowało się w budowie ponad ośmiusettonowych galeonów dla królewskiej armady. Korona zaniepokoiła się tym cudem nowoczesności, który kazał ludziom robić dziury w ziemi w poszukiwaniu żelaza i zleciła Koregidorowi przeprowadzenie badań na temat zapotrzebowania hut żelaza na drewno. Chodziło o to, żeby nowa

moda nie zaszkodziła stoczniom, które były dla Korony dużo ważniejsze niż huty. Badania wykazały, że obie dziedziny są komplementarne i mogą rozwijać się równolegle bez wzajemnej szkody, a ludność podzieliła się odtąd na zagorzałych zwolenników drewna i równie nieprzejednanych stronników żelaza.

Dzięki temu, że Mayo wyrobiła w sobie talent do nawiązywania kontaktów z ludźmi, w miarę szybko dowiedziała się, gdzie mieszka rodzina Iturralde. Dom stał w ustronnym miejscu przy ulicy Medio, z dala od centrum. Zbudowany z niewielkich brązowych kamieni, które nabrały gładkości od ciągłej wilgoci, wyglądał jak pudełko z wypolerowanych kawałków drewna zakończone dachem z czarnego łupku. Wybiegł jej na spotkanie śmieszny pies w rude łaty, szczekając z taką emfazą, że Mayo za każdym razem podskakiwała, dopóki nie ochrypl. Ale nie zrobiło to na niej większego wrażenia, więc pies zmienił taktykę i podążył za nią rozczochny, groźnie węsząc i powarkując. Obok domu była niewielka zagroda otoczona drewnianym płotem, a w środku kury dziobiące ziemię. Mayo uzbroiła się w odwagę, wzięła głębszy oddech, z determinacją podeszła do drzwi i zapukała. Otworzyła okrągła jak dynia kobieta z twarzą pokrytą brodawkami. Zmierzyła ją niechętnym wzrokiem i zapytała, wycierając ręce w fartuch:

— Czego chcesz, dziecko?

— Gracia de Iturralde?

Kobieta bez słowa zrobiła krok do tyłu, zatraskując za sobą drzwi.

— Proszę pani — szepnęła błagalnie Mayo z twarzą tuż przy drzwiach — szukam Gracji de Iturralde. Powiedziano mi, że tu ją znajduję. To dla mnie bardzo ważne. Kwestia życia lub śmierci... Proszę pani...

Powtórzyła jeszcze kilka razy „proszę pani”, zanim zrozumiała, że ta kobieta nie należy do osób łatwo wzruszających się. Pies w rude łaty usiadł obok, gapiąc się jak w teatrze, i Mayo dostrzegła cień kpiny w jego oczach. Stała przy drzwiach ponad pół godziny, mówiąc sama do siebie i skarżąc się bezgłośnie na osoby, które coś wiedzą, ale nie powiedzą, choć mogłyby pomóc w odnalezieniu ukochanej niani. To niesprawiedliwe, niesprawiedliwe i jeszcze raz niesprawiedliwe. Już miała zrezygnować, kiedy Dynia znów pojawiła się w progu, ściskając miotłę w dłoni.

— Co tam mamrocześ, harpio? — spytała z nieprzyjazną miną.
— Chyba nie chcesz mnie zaczarować?

— Nie, nie... Ja tylko...

Kobieta pogroziła jej miotłą.

— Wynoś się, bo oberwiesz!

— Nie zrobię pani nic złego. Przysięgam. — Mayo zamknęła oczy, skuliła się i zakryła twarz ramionami, gotowa przyjąć cios, ale najpierw krzyknęła: — Nie odejdę, dopóki nie porozmawiam z Gracją!

— Kim jesteś i czym się zajmujesz? — Dynia spuściła nieco z tonu.

— Nazywam się Mayo de Labastide d'Armagnac. Jestem znachorką, wróżką, uzdrowicielką i perfumistką. Na chwałę bożą i dla waszego dobra. Do usług — wypowiedziała to wszystko jednym tchem.

— Jesteś *astue*, prawda?

Małe oczka, przypominające dziurki w pomidorze, świdrowały ją niechętnie. Mayo nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, bo czasy nie sprzyjały chwaleniu się znajomością magicznych formuł, zaklęć i przepisów zielarskich, które mogą poprawić ludziom jakość życia. Jeszcze ta kobieta weźmie ją za łamię i tym bardziej nie zechce pomóc lub co gorsza, podniesie taki alarm, że zaraz przyleci Morguy, a wtedy Mayo spędzi resztę żywota w labiryntach tajnych więzień Świętego Oficjum. Dynia patrzyła w milczeniu, badając wzrokiem jej postać, ubranie, dziwne czarne oczy, duże i błyszczące, spiczaste uszy leśnego skrzata. Trwało to dłuższą chwilę, która wydała się Mayo wiecznością.

— Tracisz czas, młoda. Gracji tu nie ma, ale nawet gdyby była, to i tak jej nie zobaczysz.

Kobieta odwróciła głowę i już miała zatrzaskać jej drzwi przed nosem, ale zapytała:

— Można wiedzieć, czego od niej chcesz?

Mayo wyczuła, że to jej jedyna szansa, i postanowiła zabłysnąć darem przekonywania.

— No bo wie pani... Proboszcz z Urdax, człowiek godny podziwu niewątpliwie... — Zakasłała parę razy, żeby zyskać trochę czasu na wymyślenie wiarygodnego kłamstwa, bo prawda była nie do przyjęcia. — No więc ten proboszcz skorzystał z moich usług w leczeniu ptasiej dżumy, od której wyłysiały mu wszystkie kury... sama pani wie, jak to jest, kiedy kury chorują.

Mayo uśmiechnęła się bez przekonania, pokazując oczami na prawo, gdzie znajdowała się zagroda z kurami. Dynia patrzyła obojętnie, więc Mayo na nowo podjęła swój wątek.

— Pomogłam mu. A kiedy się dowiedział, że zmierzam do Rentería, zapytał, czy nie odwiedziłabym jego dawnej parafianki Gracii de Iturralde, bo ma dla niej parę rzeczy do przekazania, i... — zająknęła się, ponieważ kobieta z twarzą w brodawkach wzruszyła ramionami w geście niedowierzania.

— Oczywiście... Jesteś taką samą wysłanniczką księdza jak ja królową Francji. — Pogroziła jej palcem. — Powiedzieć ci, kim jesteś? Jesteś kłamczuchą! Mów szybko, po co przysłaś, albo porachuję ci kości! Nie próbuj mnie okłamywać, bo umiem czytać w oczach.

Mayo zrozumiała, że kobieta nie żartuje, więc opowiedziała całą historię od początku do końca, niczego nie ukrywając. Zaczęła od tego, że Ederra posłała ją po zioła, a kiedy Mayo wróciła, już jej nie było w Zugarramurdi. Opowiedziała o drewnianej szkatułce Golasa, o Marii de Echalecu i o nieprzyjemnej wizycie u męża Gracii. Dodała, że to niedobry człowiek. Zły. Bardzo zły. I ona się wcale nie dziwi, że Gracia od niego odeszła. W pewnej chwili myślała, że zabił swoją żonę. Ale proboszcz powiedział, że nie zabił. To znaczy, że Gracia musiała gdzieś się zatrzymać. A gdzie jej będzie lepiej niż u rodziny? Być może Gracia coś wie o Marii, a María o Ederze, którą Mayo kochała jak matkę, choć była tylko jej nianią, a nie matką. Zamilkła z braku powietrza i westchnęła żałośnie.

— Tylko Gracia może mi pomóc w odnalezieniu niani — zakończyła.

— W życiu nie słyszałam czegoś tak dziwnego i skomplikowanego — roześmiała się kobieta.

— Nie wierzy mi pani?

— Ależ wierzę! To takie dziwne, że musi być prawdziwe. Nikt nie wymyśliłby tak powikłanej historii w kilka minut.

— A więc pomoże mi pani?

— Wierzę, że spotkało cię nieszczęście, a to jeszcze nie znaczy, że zamierzam ci pomóc. Niby dlaczego? Nic mnie nie obchodzisz. Jeśli mam być szczerą, obchodzą mnie tylko moje własne kłopoty. Przyzwyczaiałam się, że życie daje mi mocno w kość i wiesz co? Niech każdy radzi sobie sam, tak jak ja. W nosie mam cudze zmartwienia... Tylko tego mi brakowało, żeby pomagać nieznanym.

— Ale ja bardzo panią proszę. Błagam...

— Milcz, dziecko, jeszcze nie skończyłam. — Spojrzała na nią pogardliwie. — Nie próbuj mnie rozczulić. Kiedy pragniesz kogoś o coś poprosić, to najpierw się zastanów, co możesz mu w zamian ofiarować. W przeciwnym razie wezmą cię za naciągaczkę, a chyba tego nie chcesz, prawda?

— Nie. Oczywiście, że nie — wybąkała Mayo, zastanawiając się, czy ma coś do zaproponowania tej kobiecie. — Proszę wybaczyć moją natarczywość, ale czy mogę coś zaoferować w zamian za informację o miejscu pobytu Gracii?

Dynia odrzuciła głowę do tyłu, wybuchając głośnym śmiechem.

— Szybko się uczysz, mała. Oczywiście, że możesz. — Ściszyła głos i wyszeptwała: — Masz taką gładką skórę.

Dreszcz przebiegł po plecach Mayo. Złękła się, że ta kobieta zaraz obedrze ją ze skóry i włoży ją na siebie. Ale słuchała dalej.

— Pomogę ci na tyle, na ile ty możesz mi pomóc. Mówisz, że jesteś *astue*, prawda? — Mayo przytaknęła. — Znajdź sposób na te

wstrętne brodawki, a powiem ci, gdzie jest Gracia i ta druga, dziwna kobieta, która razem z nią uciekła.

— Druga kobieta? — Oczy zabłyśły dziewczynie z wrażenia. — Przyszły we dwie? A jak wyglądała ta druga? Czy była piękna?

— Nie wiem. Nie widziałam, bo nasuwała kaptur na twarz. Możliwe, że to ta twoja niania. Dziwnie się zachowywała. Cały czas owijała się peleryną, jakby chciała ukryć się przed światem. Ale ja mam bystre oko, widziałam jej ogoloną głowę. Razem przyszły i razem odeszły. Gracia powiedziała tylko, że prawdopodobnie nigdy więcej się nie zobaczymy.

Mayo po raz pierwszy poczuła, że jest na właściwym tropie. W tym momencie gotowa była przysiąc, że ta dziwna kobieta, towarzysząca Gracii w podróży, to nie kto inny jak Ederra. Teraz myślała tylko o tym, żeby świat nie stanął w miejscu, żeby słuch jej nie zawiódł, żeby Dynia nie zginęła od pioruna, zanim zdąży przekazać jej potrzebną informację.

— Wyleczę pani te brodawki, ale nie tak od razu... — powiedziała z napięciem Mayo. — To potrwa przynajmniej kilka dni i...

— Umowa stoi! Bierz się do roboty, a ja poczekam. — Dynia znów wybuchnęła śmiechem, ale zaraz potem zawołała ze złością: — Nic więcej ci nie powiem, dopóki nie wypełnisz swojej części umowy! Nie myśl sobie, że mnie oszukasz. Moja skóra musi być tak gładka jak twoja. — Dotknęła pożądliwie policzka Mayo.

Dziewczyna dołożyła wszelkich starań, żeby znaleźć skuteczny sposób na brodawki. Wzięła jabłko, pokroiła na cztery części,

każdą z nich delikatnie potarła szpetne miejsca na twarzy i dłoniach kobiety. Najdłużej trwało nacieranie sokiem pryszczycy ukrytych w fałdach podwójnego podbródka; starała się żadnego nie pominąć. Kiedy skończyła, wzięła pacjentkę za brodę, zrobiła krok do tyłu i przyzymkając oczy, oglądała ją to z jednej, to z drugiej strony, jak artysta podziwiający swe dzieło. Potem pobiegła ukryć resztki jabłka, którym czyściła kobiecie twarz, nakazując, żeby nie ruszała się z miejsca, bo inaczej lek nie zadziała. Odbiegłszy daleko, wyrzuciła te resztki do głębokiego dołu tak, żeby nikt ich nigdy nie znalazł. Niech gniją, a kiedy nic z nich już nie zostanie, kobiecie powinny zniknąć brodawki.

— Gotowe! — szepnęła zadyszana po biegu, trzymając się za serce. — Wkrótce będzie po wszystkim. Sama pani zobaczy.

— No to zajrzyj tu wkrótce, a dowiesz się, gdzie przebywa Gracia. — Z trzaskiem zamknęła jej drzwi przed nosem.

Tej nocy Mayo fatalnie spała. Śniło jej się, że w wielkiej ciemnej grocie goni kobietę, która zna miejsce pobytu Ederry. Nie widziała jej dobrze, ale słyszała szalone wybuchy śmiechu, kiedy biegła za cieniem skaczącym po kamieniach. Wtem zapadła cisza. Mayo przeczuła nieszczęście. Kobieta rzuciła się na nią, przewróciła na ziemię, szybko zdarła z niej ubranie i wbiła nóż pod gardłem, przesuwając go delikatnie w kierunku brzucha. Mayo nie czuła żadnego bólu, ale wiedziała, że kobieta starannie ściąga z niej skórę. Następnie ściąga swoją skórą, wyrzuca, jakby to była stara koszula, i zakłada na siebie skórę Mayo. Obciąża ją na biodrach, żeby dobrze leżała, po czym odchodzi, pogwizdując

i podskakując wesoło na swych słoniowatych nogach. Mayo zerwała się z krzykiem, spocona i rozgorączkowana. Minęła dłuższa chwila, zanim uzmysłowiła sobie, że to tylko sen, nic się nie stało, rozpoczyna się nowy dzień pełen nadziei.

Krwawe, senne mary przyskały, w miarę jak słońce wstawało na horyzoncie, ale jednocześnie budził się nowy niepokój. Mayo doskonale wiedziała, że rytuał leczenia brodawek jabłkiem nie przyniesie efektu wcześniej niż za tydzień. Nie mogła tyle czekać. Za parę dni Salazar i jego świta dotrą do San Sebastián. Nie wiedziała, jak długo tam zostaną, a wolała nie ryzykować, że straci ich z oczu. Nie była jeszcze gotowa do rozstania z nowicjuszem. Bała się stanąć znów przed grubaską o twarzy jak dynia, ale nie miała innego wyjścia. Uzbroidła się w odwagę i podeszła do domu Iturralde'ów.

— Co tu robisz, mała? Jeszcze za wcześnie. Brodawki nie zniknęły! — wrzasnęła kobieta na powitanie.

— Ale wyschły, widzi pani? Niedługo same odpadną, damę słowo. Proszę powiedzieć, gdzie mogę znaleźć Gracie i jej przyjaciółkę. Nie mogę dłużej czekać, to kwestia życia lub śmierci. — Kobieta spojrzała na nią nieufnie. — Błagam...

Dynia uśmiechnęła się rozbawiona zachowaniem dziewczyny.

— Mówiłam, żebyś nie błagała. Pamiętaj! Nigdy nie błagaj! — Żartobliwie pogroziła palcem. — Przysięgasz, że odpadną?

— Przysięgam — oświadczyła Mayo, całując palce złożone na krzyż na znak przysięgi.

— Bo jak nie, to cię odnajdę, choćbyś nie wiem gdzie się ukryła, ty jaszczurko! I spiorę ci tylek tak, że nigdy więcej na nim nie siądziesz — powiedziała, przymykając oczy. — Jasne?

— Jak słońce.

— Gracia i jej tajemnicza przyjaciółka bały się męża Gracii, więc długo u mnie nie zabawiły. Dałam im na drogę jedzenie i trochę pieniędzy. Powiedziały, że idą do Vitorii i tam rozpoczną nowe życie. To wszystko, co wiem.

XXI

*O tym, jak ubłagać świętą Barbarę,
żeby chroniła nas od burzy*

Íñigo i Domingo dowiedzieli się, że najłatwiej i najprzyjemniej podróżuje się z Pasajes do San Sebastián na pokładzie statku, który codziennie kursuje między tymi miastami. Droga morska pozwala uniknąć wielu przeszkód trudnych do pokonania dla powozów. Szybko uzgodnili z marynarzem cenę za przewiezienie całej świty z bagażami.

O piątej po południu przeróżne klamoty zatarasowały wejście do portu w Pasajes. Osiem ciężkich, drewnianych kufrów wypełnionych memoriałami, książkami, papierami, kałamarzami i piórami. Czternaście kociołków cuchnącej mazi, której czarownicy przypisywały magiczne właściwości, a którą Salazar zamierzał dowieźć do Logroño w nienaruszonym stanie, aby poddać specjalistycznej analizie. Naturalnych rozmiarów rzeźba Chrystusa Ubiczowanego w ogromnej peruce z włosów nieboszczyka (dar burmistrza Fuenterrabii w imieniu wdzięcznych mieszkańców), która w ferworze zamieszania nieco się potargała i wypadł jeden z

kolców męczeńskiej korony. Dwie gigantyczne szklane fiołki z dwiema wielkimi ropuchami, które rzekomo pomagały czarownicom w zamawianiu chorób, jakkolwiek do tej pory wykazały się jedynie mistrzostwem w poruszaniu podgardlem i omdlewającym mruganiu oczami. Na dodatek jeden z pomocników Salazara został oddelegowany do zajmowania się tylko i wyłącznie tymi płazami, żeby dotarły całe i zdrowe przed trybunał w Logroño, musiał zatem nieustannie je nawilżać i łapać dla nich owady.

Załadowanie tego wszystkiego na pokład graniczyło niemal z cudem, toteż wieść o tym rozeszła się lotem błyskawicy i starsi mieszkańcy Pasajes, którzy nic innego nie mieli do roboty, kręcili się po nabrzeżu, prześcigając się w uwagach na temat rozmieszczenia poszczególnych rzeczy.

— Nie tak... Najpierw kufry, jeden na drugim — radził jeden.

— Akurat! Przenieście najpierw Chrystusa Ubiczowanego, bo zaraz zacznie padać i wypadną mu wszystkie włosy... Załóżcie mu coś na głowę, przykryjcie ciało! Nie godzi się trzymać Chrystusa pod gołym niebem przy takiej okropnej pogodzie — mówił inny.

Salazar nie panował nad sytuacją. Wpadł w fatalny humor, którego nie mógł ukryć, choć się starał i miotał niespokojnie po nabrzeżu, pokrzykując:

— Nie stawiać mi tego na ziemi, bo się uszkodzi! Na litość boską! Gdzie szklana pokrywa? Ostrożnie, żeby się nie zbiła, bo żaby pouciekają... Tego nie ruszać! Zostawcie ten kufer...

Kiedy się zorientował, że nikt go nie słucha, sam zaczął brać na plecy toboły tak ciężkie, że nawet dwóch mężczyzn nie dałoby rady

ich przesunąć, a co dopiero mówić o udźwignięciu, i upychał gdzie się dało, nie bacząc na wskazówki kapitana. Złapał za ramię Chrystusa Ubiczowanego i pociągnął po rampie wraz z przymocowanymi do figury drążkami. Umieścił rzeźbę na pokładzie, przysunął sobie krzesło i usiadł obok, mamrocząc pod nosem niezrozumiałą litanię, Íñigo i Domingo, widząc, jak się sprawy mają, ponaglił tragarzy, podkreślając, że pan inkwizytor jest u kresu wytrzymałości, więc niech uważają, na litość boską, bo jak coś się połamie albo stłucze, to dopiero będzie afera! Dwie godziny później, bez żadnych strat w rzeczach, odpłynęli w kierunku San Sebastián z Chrystusem Ubiczowanym na pokładzie, spoglądającym w stronę horyzontu niczym Rodrigo de Triana.

xxx

Mieszkańcy San Sebastián, wystrojeni jak na wielkie święto, tłoczyli się na portowych uliczkach, żeby powitać przedstawicieli Świętego Oficjum, którzy uwolnią ich od nieszczęść spowodowanych przez Złego. Udekorowali balkony, ustawili na nabrzeżu sześćdziesięcioletnie dziewczynki w białych sukienkach, z kwiatami pomarańczy we włosach, które tylko czekały, by sypać kwiatki do morza, kiedy Salazar będzie schodził na ląd. Rozciągnęli zielony dywan od planowanego miejsca przycumowania statku do rusztowania pod baldachimem, obok którego stał chór, gotów zacząć śpiewać, gdy tylko statek pojawi się w oddali.

O jedenastej w nocy statek dał sygnał syreną, sygnalizując swoje przybycie. Zadawoleni alkadzi w galowych strojach przybrali uroczysty wyraz twarzy, stając na baczność z tyłu za ukwieconymi dziewczynkami. Rozległa się muzyka.

I wtedy wszystko się zaczęło nagle, bez uprzedzenia; zgromadzeni zupełnie nie spodziewali się tego, co miało nastąpić. Z ogniska, na którym podgrzewano zupę dla gości, w górę wystrzelił snop iskier, wypełniając powietrze silnym zapachem siarki. Dym z kotła, początkowo jasnoszary, zaczął gęstnieć i rosnąć, zmieniając się w słup sięgający nieba, który stopniowo przybierał ludzką postać.

— To czarownica na miotle — wołali jedni.

— Diabeł z kopytami barana i kozią bródką — dodawali inni.

Ludzie krzyczeli, instrumenty muzyczne zaczęły wydawać fałszywe dźwięki, od których świdrowało w uszach. Mężczyźni poklękali, prosząc o zmiłowanie boskie, spanikowane kobiety biegały z jednego końca na drugi, a przedstawiciele władzy miejskiej stracili swą dystygowaną postawę, znikając w bocznych uliczkach. Dziewczynki w wianuszkach na głowie zaczerwieńczyły się od płaczu, jedna z nich wpadła do wody pod naporem tłumu. Natychmiast wyciągnięto ją na brzeg, łapiąc kijkami pod pachy, i stała jak mokry psiak z wiankiem zsuniętym na oczy.

Długo potem trwał spór co do kształtu postaci z dymu, która owej nocy przeleciała nad San Sebastian na oczach wystraszonego tłumu. Tyle było różnych opinii, że wyszła z tego hybryda złożona z kozła i grupy czarownic. Ale wszyscy jednomyślnie twierdzili, że ten stwór był mocno rozgniewany, o czym świadczył wyraz jego twarzy o wystających kościach policzkowych, nastroszone brwi, ostre, zaślinione siekacze prześwitujące między cienkimi wargami i palce zaciśnięte niczym szpony. Taki pokaz mocy mógł pochodzić tylko od Złego. Trwał około pięciu minut, a następnie słup

dymu zrzedł i pojaśniał, tracąc człekopodobny kształt, rozpościerając się niczym płachta nad statkiem wiozącym Salazara i przechodząc na koniec w ołowianą chmurę z groźbą ulewy. Kilka sekund później z nieba runęła ściana wody jak zapowiedź kolejnego potopu i grupki ludzi miotających się po ulicach złożyły ręce do modlitwy, błagając o ratunek świętą Barbarę.

*Święta Barbaro błogosławiona
tyś w niebiosach przedstawiona
z papierem i święconą wodą,
święta Barbaro, dziewico pośród dziewic,
wybaw nas od błyskawic,
od złego, co zza chmur spoziera.
Pan Jezus na krzyżu umiera
przybity gwoździami, ukrzyżowany,
Pater nostrer amen Jezu ukochany*

Nikt na statku tego nie widział, a o całym zdarzeniu dowiedzieli się dopiero po zejściu na brzeg. Dewotki rzuciły się Salazarowi do stóp, gdy tylko postawił nogę na ziemi. Modliły się do niego na klęczkach jak do świętego, i błagały o pomoc, o zmiłowanie boże, nie bacząc na wicher i deszcz, który zmoczył je do suchej nitki. Rajcy szybko wrócili lekko zawstydzeni z powodu swej ucieczki, albowiem zachowali się tak samo jak gawiedź, co urągało ich godności, ale nikt już im tego nie pamiętał, gdy uroczyste prowadzili Salazara na podium pod baldachimem, żeby nie zmókł na deszczu. Z poważnymi minami wygłosili przygotowane wcześniej przemówienie, uzupełniając je o szczegóły tego niezwykłego

zdarzenia, które przedstawili jako jedno z wielu nieszczęść spadających na miasto codziennie.

— To wina czarownic. Chciały pokazać Waszej Wielebności bezmiar swej siły, żeby przestraszyć was już na samym początku i żebyście pozostawili nas własnemu losowi.

— Szkoda, że ja nie zobaczyłem tego bezmiaru — odparł Salazar z rozczarowaniem w głosie.

xxx

Mayo opuściła osadę Rentería zaraz potem, kiedy kobieta z brodawkami przekazała jej wiadomość o Gracii i tej drugiej kobiecie. Przybyła do San Sebastián na krótko przed Salazarem, toteż wszystko widziała. Znalazła miejsce dla siebie i dla Beltrána blisko chóru, z czego się ucieszyła, bo Bertrán uwielbiał muzykę; przypominała mu czasy, kiedy był kuglarzem. Mayo obserwowała go właśnie z rozbawieniem, bowiem wybijał rytm kopytem w takcie na trzy czwarte, kiedy zaczęło się niezwykle widowisko. Pierwszy raz w życiu widziała coś podobnego. Nie zdziwiła się więc, że ludzie pierzchali w przerażeniu. Mayo miała wrodzoną skłonność do akceptowania nadzwyczajnych zdarzeń bez pytań o przyczynę, ale nawet ona była wstrząśnięta tym, co się działo. Jako jedyna osoba pozostała na miejscu, stojąc nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w niebo. W tym monstrum z dymu, które większość ludzi brała za diabła, próbowała doszukać się czegoś, co pozwoliłoby jej rozpoznać swe uczucia do ojca. Ale nic nie poczuła, tylko chłód, kiedy dym zniknął w oddali, zamieniając się w gęstą chmurę.

Nadal tak stała w strugach deszczu, kiedy Salazar stawiał pierwsze kroki na lądzie. Patrzyła, jak wchodzi na podium.

Odniosła wrażenie, że wie, o czym on myśli w tej chwili. Od tak dawna obserwowała go uważnie i chodziła jego śladami, że umiała rozpoznać niektóre jego gesty. Już się go nie bała. Początkowa nieufność przemieniła się w coś w rodzaju czułości. Ten surowy mężczyzna udzielał przebaczenia na prawo i na lewo, rozgrzeszając każdego, kto wypowiadał się z kontaktów z diabłem. Nie stosował żadnych represji. Mayo czuła w głębi swego załęcznionego serca, które drżało jak u wróbelka, że można mu zaufać. Wiedziała, że jest dobry, łagodny i pełen współczucia. Czasem wyczuwała w nim bezradność, podejrzewając, że w milczeniu ugina się pod ciężarem odpowiedzialności i rozterki szarpią jego duszę. Musiałaby jednak poobserwować go dłużej, aby stwierdzić to z całą pewnością. Większość ludzi oceniała tego człowieka po pozorach, nie zastanawiając się nawet, że mieszanka powściągliwości i arogancji, jaka go cechuje, może być tylko skorupą skrywającą głębsze uczucia. Mayo poczuła się uprzywilejowana, albowiem zobaczyła w nim coś, czego inni nie widzieli. Miała ochotę powiedzieć: „Znam cię dobrze, wiem, jaki jesteś w środku”, i zrobiłaby to, gdyby nie przeświadczenie, że jej zdanie nikogo nie interesuje, ponieważ jest nic nieznaczącą istotą, zwykłym wybrykiem natury, która musiała mieć chwilę roztargnienia, kiedy pozwoliła jej przyjść na świat.

Mayo zaczęła, aż ludzie opuszczą plac. Chciała zobaczyć, czy coś się jeszcze wydarzy, więc wpatrywała się uważnie w niebo, ale tam nic się nie działo. Ulewa ustała, zamigotały pierwsze gwiazdy. Raptem dwie męskie sylwetki zamajaczyły na drugim końcu nabrzeża. Zdawało jej się, że to ci sami, którzy napadli na jej ukochanego nowicjusza.

Ruszyła powoli w ich stronę, ukrywając się w bramach domów cuchnących rybą i uryną. Tamci niczego nie zauważyli nawet wtedy, gdy podeszła tak blisko, że mogła rozpoznać ich dokładnie. Mieli tak samo rozczochrane włosy i zarośnięte brody jak wtedy, lecz nie nosili już zwierzęcej skóry, tylko normalne ubranie. Pół twarzy młodszego, tego z bielmem na oku, było pokryte blizną. Obserwowała ich przez chwilę, zadając sobie pytanie, czemu znów kręcą się wokół Salazara i czego chcą tym razem. Dźwignęli kocioł, z którego jeszcze niedawno wydobywał się magiczny dym. Trzymając go za ucha, wylali wrzątek do morza. Usłyszała ich głupkowaty śmiech, który już знаła, i zobaczyła, że dołączają do nich dwie kobiety. Wszyscy czworo weszli w jedną z portowych uliczek. Mayo patrzyła za nimi, dopóki nie zniknęli w ciemności. Teraz nie miała już żadnych wątpliwości: to oni wezwali demona.

XXII

*O tym, jak udobruchać czarownicę,
ofiarując jej zęby mleczne dziecka*

Nazajutrz po burzliwej przygodzie z demonem, czarownicami, strachem i ulewą słońce wstało nad San Sebastián na bezchmurnym niebie. Dachy domów złościły się w promieniach, które powoli spływały w dół, liżąc fasadę. Gdyby nie kałuże wody na chodnikach, można by zapomnieć o potopie i o panice, jaka ogarnęła miasto kilka godzin temu. Salazar wstał wcześniej. Poprosił brata Dominga de Sardo i nowicjusza Íñiga de Maestu, żeby pomogli mu w przygotowaniach do aktu łaski. Wykorzystując to, że byli sami, zapytał, czy minionej nocy widzieli lub słyszeli coś dziwnego po zejściu na ląd albo trochę wcześniej. Chłopcy zaprzeczyli. Oni też byli zaskoczeni, że niczego nie zauważyli, przecież ludzie twierdzili, że chmura w kształcie demona zajmowała pół nieba, więc powinni byli coś dostrzec z tej odległości. Salazar poczuł się dużo lepiej, chociaż gotów był już sądzić, że on sam niczego nie widział, bo nie chciał widzieć, zaślepiony swym sceptycyzmem w kwestii czarownic i czarów.

Sala audiencji wypełniona, skoro świt, skruszonymi czarownicami przywołała go do rzeczywistości. Mężowie niezdolni zaspokoić swych żon z powodu zaklęć rzuconych przez czarownice, kobiety, które potrafiły przemienić się w kota, psa albo kruką, rodzice bojący się własnych dzieci, które wspinały się po ścianach i znikwały, rozpływały się w powietrzu z głośnym hukiem. To najbardziej zainteresowało Salazara i następnego dnia zorganizował specjalną audiencję dla małych czarowników, zwłaszcza że został poinformowany, jakoby demon wybierał sobie adeptów spośród siedmiolatek albo jeszcze młodszych mieszkańców San Sebastián. Podobno czternaście nikczemnych czarownic uwzięło się na dzieci, których rodzice nie chcieli przestrzegać odwiecznej tradycji dotyczącej mlecznych zębów. Kiedy dziecku wypadła pierwszy ząbek, matka powinna dać go *sorgini* *, recytując magiczną formułę:

* Sorgina (bask.) – czarownica.

Andra Mari, otson zarra tekatzan berrìa
(*O, pani Mari, zabierz stary ząb i daj nowy*).

— Tylko tyle? I co w tym złego? — zapytał oszołomiony Salazar.

— Jak to co? Wszystko, Wasza Wielbność... przecież to czarownice — odparł jeden z ojców zaskoczony reakcją Salazara.

— Tak, ale w tym przypadku chodzi o mniejsze zło — zmitygował się inkwizytor. Był pewien, że ani ci rodzice, ani alkadzi obecni na przesłuchaniu nie zgodziliby się z jego opinią, że to niewinny

zwyczaj. — Po co trzymać w domu dziecięce zęby?

— Należałoby raczej zapytać, do czego są potrzebne czarownikom — zareplikował inny rodzic. — Może do tego, by zaczarować nasze dzieci.

Salazar uznał, że jakikolwiek rytuał, podobny do tego z ofiarowaniem zębów Mari, uspokoi wzburzonych rodziców, toteż przybrał uroczystą minę, wezwał do siebie dzieci i kategorycznym tonem wypowiedział kilka zdań po łacinie z kościelnej książki do egzorcyzmów, którą znalazł w bibliotece. Skutek był prawie natychmiastowy. Dzieci przestały znikać i wspinać się po ścianach, a rodzice, przekonani, że już nie są opętane przez diabła, znów mogli je uściskać. Jednak sukces obrócił się przeciw Salazarowi, albowiem poszła wieść, że panowie inkwizytorzy potrafią zrobić aniołków z nieposłusznych maluchów, które dotąd tylko wierzgały nogami i wrzeszczały jak opętane. Przed drzwiami do sali audjencji ustawily się długie kolejki rozkapryszonych smarkaczy, których Salazar miał już powyżej uszu.

Mimo to mieszkańcy domagali się zemsty. Doszli do wniosku, że uzdrowienie dzieci to nie wszystko, ponieważ po wyjeździe delegacji nie będzie żadnego znawcy łacińskich egzorcyzmów i czarownice znów zaczną się rządzić. Władze cywilne zaaresztowały czternaście kobiet wskazanych przez nieletnich czarowników i uwięziły je w lochach ratusza, w ponurych celach, gdzie nie było nic oprócz wiązki słomy do spania i nocnika, do którego się załatwiały. W trakcie przesłuchiwania przez Salazara tylko jedna z nich, kobieta czterdziestoletnia, przyznała się do winy i została

ułaskawiona. Problem pojawił się wtedy, gdy stanęła przed nim stara czarownica uznana za najgroźniejszą.

— Proszę o zmiłowanie, ojczy — krzyknęła ze łzami w oczach. — Błagam! Błagam!

Salazar sięgnął po swój sławetny kwestionariusz złożony z piętnastu pytań, które w większości przypadków dostarczały mu niezbitych dowodów prawdy i kłamstwa, lecz ani jedna odpowiedź starej kobiety nie była wiarygodna. Salazar poprosił, żeby pokazała, co potrafi, żeby podała jakiś fakt świadczący o jej przynależności do sekty... ale nic z tego, stara czarownica nie była w stanie zademonstrować żadnej mocy diabelskiej; okazała się zwykłą swatką, której od dawna nie wiodło się w interesach. Widząc, że brak dowodów przemawia przeciwko niej i nie skorzysta z edyktu łaski, kobieta wpadła w rozpacz. Rzuciła się na ziemię, dostała drgawek, miała pianę na ustach i zsikała się, ale Salazar nadal uporczywie twierdził, że ten spektakl nie ma nic wspólnego z diabłem.

Dwanaście pozostałych kobiet upierało się przy swej niewinności, toteż inkwizytor przekazał je władzy cywilnej, uprzedzając alkadów, że nie widzi żadnego powodu, aby oskarżyć je o czary. Alkadzi i mieszkańcy byli tym bardzo rozczarowani. Ci sami ludzie, którzy kilka dni temu witali inkwizytora w porcie z otwartymi ramionami, błagając o pomoc, moknąc ze stoicyzmem w strugach deszczu i drżąc przed latającymi nad miastem demonami, teraz obrócili się przeciw niemu z oskarżeniem, że broni czarownic, zamiast je ukarać.

Wizytacja nie spełniła ich nadziei, więc musieli sami podejmować decyzje. Postanowili wygnać na zawsze tę rzekomo

niebezpieczną staruchę i uwięzić pozostałe kobiety. Salazar stanął wobec dylematu: z jednej strony pragnął chronić oskarżone, z drugiej — nie chciał urazić mieszkańców San Sebastián, którzy gotowi byli go posądzić o sprzyjanie czarownicom. Postanowił przymknąć na wszystko oczy, zlekceważyć znaki świadczące według niego o tym, że te kobiety nie były czarownicami, pominąć ich zeznania i wycofać wcześniejsze orzeczenie. Stwierdził, wbrew swym zasadom, że wszystkie i każda na osobności przyznały się do obcowania z diabłem, a co za tym idzie, w najbliższą niedzielę podczas sumy dostąpią łaski pojednania z Kościołem.

Dzień, w którym edykt został odczytany, nosił pierwsze oznaki jesieni. Kościół Świętego Wincentego wypełnili po brzegi przedstawiciele najznamienitszych rodów. Nowy ołtarz, duma miasta i powód do zazdrości dla sąsiednich miast, był przykryty czarną szatą na znak żałoby, ponieważ tyle nieszczęść spadło ostatnio na tę ziemię. Nie wypadało odsłaniać w takiej chwili Królestwa Niebieskiego, ociekającego złotem i srebrem, wysadzanego rubinami. Ostry dźwięk organów, który zdaniem Salazara nadawał się bardziej do straszenia dzieci niż do akompaniowania podczas mszy świętej, bezlitośnie wdarł się w uszy i wstrząsnął niejedną dewotką pochyloną nad różańcem.

Kazanie wygłaszał dominikanin z klasztoru w San Telmo. Miał opinię surowego i nieustępliwego. Z byle powodu ekskomunikował ludzi, którzy mieli nieszczęście stanąć na jego drodze. Nikt nie czuł się przy nim pewny, gdyż podczas mszy atakował na prawo i lewo, ale właśnie dlatego tłumy waliły na jego kazania. Lubował

się w opisach grzechu rozpusty u kobiet, które obcują z diabłem bez najmniejszego wstydu, wykorzystując do tego celu różne otwory ciała. Wierni słuchali go ze zdziwieniem, gdyż większość z nich nawet nie przypuszczała, że można to robić w ten sposób.

— Wiem, że codziennie nachodzą was nieczyste myśli i pragnienia. Dla nich jesteście gotowi złamać prawo pańskie. — Uderzył pięścią w pulpit ambony, bowiem zauważył, że ktoś przysypia w ostatniej ławce. — Macie na sumieniu wiele grzechów i złych uczynków. Nic dziwnego, że Pan zsyła na was kary. Ukorzcie się przed Bogiem! — Zamilkł na chwilę, aby dać ludziom czas na przetrwanie tych słów.

Wierni zaczęli niespokojnie wiercić się w ławkach. Salazar zląkł się, że kaznodzieja zniweczy wszystkie jego starania, żeby zaprowadzić spokój wśród ludności. Spojrzał na Iñiga i Dominga, którzy stanęli po obu stronach ambony i czekali na jego znak.

— Chyba nie myślicie, że grad, pioruny, błyskawice, diabelska wichura i zniszczone plony są dziełem natury? — kontynuował dominikanin. — O nie! Wasze nieszczęścia dawno przestały być produktem natury. To skutek działania czarownic, które od czterech miesięcy was napastują! — Zamrugał powiekami, szukając w tłumie czternastu kobiet, które sąsiedzi uznali za czarownice, a kiedy je znalazł, wskazał na nie oczami nabiegłymi krwią.

— One są winne wszystkich waszych nieszczęść! One!

Salazar kiwnął głową i Domingo stanął obok zakonnika. Delikatnie odsunął go od ambony, zajmując jego miejsce, i dokończył kazanie bez apokaliptycznych wizji. Tymczasem Iñigo wziął dominikanina za ramię i dyskretnie zaprowadził do zakrystii.

Salazar, który już na niego czekał, poprosił, żeby nie wyrażał tak ostro swych poglądów, bo ludzie i bez tego są przerażeni.

— Zło czyha wszędzie. Uważaj, bo ciebie też dopadnie — odparł dominikanin.

— Wnioskuje, że posiadasz dowody, jakoby zbiory uległy zniszczeniu z powodów niezwiązanych z klimatem, a kolumna dymu, która, jak mówią ludzie, przybrała postać diabła w dniu mego przybycia, była czymś innym niż zbiorową halucynacją wywołaną takimi kazaniem — rzekł do niego Salazar. — Posłuchaj, boży człowieku, my odpowiadamy za to, żeby był spokój wśród ludzi. Nie doprowadzaj ich do paniki. Takie kazania budzą tylko strach i każą ludziom szukać winnych, bo ktoś musi zapłacić za ich nieszczęścia. No to przekonaj mnie, że czarownice są wszystkiemu winne! Chętnie uwierzę, ale przedstaw najpierw jakiś dowód. Chociaż jeden! Jeden jedyny dowód!

Dominikanin milczał. Nie mógł przedstawić dowodów, bo ich nie miał. W kazaniach mówił zaś to, co usłyszał na ulicy.

Salazar powrócił do rezydencji zaraz po ogłoszeniu edyktu. Był wyczerpany, lecz zanim dotarł do swego pokoju, kucharka powiadomiła go, że ktoś na niego czeka w bibliotece. Kiedy tam wszedł, już w progu uderzył go stęchły zapach, zapowiedź poważnych kłopotów. Gość zbliżył się do Salazara z wyciągniętą dłonią.

— Jestem oskarżycielem. San Vicente — przedstawił się. — Pańscy koledzy z Logroño poprosili mnie o sprawozdanie z przebiegu wizytacji.

— Sprawozdanie? — dopytywał Salazar, myśląc, że się przesłyszał.

— Doszły ich w Logroño wiadomości, że Wasza Wielbność podaje w wątpliwość istnienie sekty demona. Panowie inkwizytorzy są tym bardzo zaniepokojeni. Powiadomili o swoich obawach Supreme, pragnąc jednocześnie, aby ktoś z nimi niezwiązany, ktoś bezstronny wyjaśnił i sporządził raport na ten temat.

Salazar pożałował, że nie zna się na dyplomacji, bo w tym momencie przydałyby mu się jakieś sztuczki, żeby okazać uprzejmość temu człowiekowi, chociaż od pierwszego wejrzenia budził on jego niechęć. Gość interesował się wydarzeniami z ostatnich tygodni, toteż inkwizytor zaprosił go do pokoju, gdzie miał wszystkie notatki. San Vicente podszedł do biurka i wybrał na chybił trafił kartkę papieru, trzymając ją ostrożnie za róg. Wyjął z kieszeni małe okulary i zaczął czytać.

— Aż tyle informacji — skomentował, nie dokończywszy lektury.

— To stwierdzenie czy pytanie? — Salazar przeszedł do defensywy.

Oskarżyciel uśmiechnął się cynicznie i zaczął chodzić po pokoju, rozglądając się obojętnie po kątach i ścianach. Prześlizgiwał się wzrokiem po memoriałach, próbując odebrać im wszelkie znaczenie.

— Słyszałem, że Wasza Wielbność jest bardzo dokładny... wszystko zanotowane, wszystko pod kontrolą. Teraz mogę potwierdzić, że to prawda.

— Na tym polega moja misja, jak sądzę. Obserwować, udowadniać, informować... Czego właściwie pan tu szuka? — zapytał Salazar.

— Zawsze mówię, że największym ślepcem jest ten, kto nie chce widzieć — odburknął oskarżyciel San Vicente, nie przestając uśmiechać się drwiąco. — Ta niedomoga dotknęła nawet najświętszych ludzi. Jak wiadomo, jeden z uczniów Naszego Pana — podniósł ręce do góry, przywołując niebo na świadka — musiał dotknąć Jego rany, żeby się przekonać (jakby nie miał innych wystarczających dowodów). Tak, tak... zawsze powtarzam, że największym ślepcem jest ten, kto nie chce widzieć.

— Z pewnością to prawda, skoro Wasza Miłość tak twierdzi, ale proszę powiedzieć szczerze, co pana do mnie sprowadza?

Oskarżyciel San Vicente podszedł do Salazara z zafrasowaną miną, biorąc jego dłoń w swoje. Były wilgotne, zimne i śliskie jak ryba.

— Przychodzę wam pomóc, żebyście przejrzeni na oczy i ujrzeli — wyszeptał uroczyście.

— Ciekawe co?

— Złego. Krąży w pobliżu, ale dla waszych oczu jest niewidoczny.

— Dziękuję, nie narzekam na swój wzrok — zaprotestował Salazar, uwalniając dłoń. — Ja nie potrzebuję okularów do czytania, będę zatem panu wdzięczny za...

— Niech Wasza Wielebność nie bawi się ze mną w kotka i myszkę. — Ojcowski dotąd ton oskarżyciela San Vicente stał się wrogi i agresywny. — Jestem tu, ponieważ wasi koledzy z Logroño, inkwizytorzy Valle i Becerra, się niepokoją. Wszyscy jesteśmy zaniepokojeni waszą pobłażliwością wobec przejawów czarownictwa.

— Nie wiem, o czym pan mówi. Pracuję i prowadzę śledztwo w

oparciu o dane obiektywne. Wysłuchując spowiedzi, nie kieruje się podejrzeniami, przesądami czy entelechia. Jeśli to pańskim zdaniem oznacza pobłażliwość, to cóż... *mea culpa*. Jestem pobłażliwy. Nie wszyscy jednak myślą tak jak Wasza Miłość oraz koledzy Valle i Becerra... Inkwizytor generalny pogratulował mi niedawno udanej pracy.

Salazar natychmiast pożałował, że sięgnął po ten argument, aby uzyskać przewagę nad oskarżycielem. To było żalosne. Poczul się jak małe dziecko. Zapadła cisza.

— Czy zastanawia się pan czasem, dlaczego szukamy towarzystwa jednych osób, z góry zaś odrzucamy towarzystwo innych? — zapytał nagle Salazar, przybierając swój pogodny ton.

Oskarżyciel San Vicente spojrzał nań z niezrozumieniem.

— Nie, prawdę mówiąc, nie... A co to ma wspólnego z...

— Zaraz panu powiem — uciął Salazar. — Kiedy mówimy, że ktoś nam się podoba, to nie znaczy, że tak jest naprawdę. To nie ten ktoś nam się podoba, tylko my sami podobamy się sobie. Jest nam dobrze w obecności tej konkretnej osoby i lubimy tak się czuć. — Przypomniał sobie własne rozważania sprzed kilku dni na temat swoich relacji z Domingiem i Iñigiem. — Odpowiada nam fakt, że dzięki tej osobie możemy pokazać się z jak najlepszej strony. Wszystko jest kwestią egoizmu.

— Nadal nie rozumiem...

— Ten mechanizm działa też w odwrotnym kierunku. Niektóre osoby mają niezwykle talent do wyciągania na jaw naszych najgorszych cech. Takich osób należy unikać, jeśli chcemy zachować zdrowie duchowe. Nie ukrywam, że mam na myśli pana. Proszę

opuścić ten pokój. Nie będę panu przeszkadzać w wykonywaniu powierzonej pracy, ale nie zamienimy więcej ani słowa.

Salazar podszedł do drzwi i otworzył je ze spokojem. Oskarżyciel San Vicente nic nie powiedział, tylko skierował się do wyjścia, obrzucając raz jeszcze pogardliwym spojrzeniem kartki papieru porozrzucane na stołach i krzesłach, niemieszczące się w kufrze. Wyszedł bez słowa pożegnania.

Oskarżyciel San Vicente deptał Salazarowi po piętach przez cały tydzień, zanim przygotował raport wyjaśniający, że inkwizytora cechuje skłonność do egocentryzmu i próżności, a zatem nie jest właściwym człowiekiem do przeprowadzenia tak ważnej misji. Kilka dni później San Vicente wyjechał, zabierając ze sobą stosy notatek. Na ich podstawie sporządził memorandum, w którym podkreślił, że decyzja Salazara o przedłużeniu terminu obowiązywania edyktu łaski jest wielkim błędem. Zdaniem oskarżyciela na gwałt trzeba odpowiedzieć gwałtem, a Salazar jest zbyt miękki.

Valle i Becerra przekazali to memorandum do Supremy, dołączając swój list, w którym krytykowali Salazara, że nie informuje ich regularnie o rezultatach amnestii dla czarowników, choć prosili go o to jako przewodniczący trybunału w Logroño. Dodali, że osobiście nie widzą żadnej potrzeby przedłużenia terminu edyktu łaski o cztery miesiące, ponadto są przekonani, że z edyktu skorzystali jedynie najmłodszy członkowie sekty demona, natomiast starsi pozostali tak samo niegodziwi, jak byli, a zło nie zniknęło, tylko przyczaiło się w ich duszach. Należy powiadomić inkwizytora generalnego, że popełnił poważny błąd, powierzając Salazarowi tak trudne zadanie.

Salazar z goryczą przyjął wiadomość o memorandum oskarżyciela San Vicente, ale niedługo o niej myślał, bo zaraz przyszła następna, której się nie spodziewał. To był szok. Po latach będzie dokładnie pamiętał tę chwilę i pozostanie przekonany, że tamtego dnia zmówiły się wszystkie żywioły, aby zapowiedzieć to straszne nieszczęście. Gęsta warstwa chmur pokryła niebo, zerwał się złowieszczy wiatr, zmiatając z ziemi spalone słońcem liście, które jesień po-zrzucała z drzew. Była zaledwie czwarta po południu, kiedy zaległa ciemność i rozpętała się burza. Morze szalało z niepokojem, błyskawice cięły niebo sztyletami światła, które na kilka sekund rozświetlało mrok, po czym znów spadała na miasto zasłona z czarnych łez.

Inkwizytor zdecydował się przejść do sypialni, żeby przejrzeć notatki. Burza czyniła go melancholijnym. Zagłębił się w ciemny korytarz oświetlony jedynie blaskiem błyskawic, który przenikał przez szczeliny w okiennicach, malując w szaroniebieskie cętki kontury nielicznych mebli. Dużo wcześniej niż zwykle zapadła głęboka noc. Drzwi do jego pokoju ustąpiły pod naciśnięciem klamki i owionął go ciepły oddech, którego nie umiał rozpoznać. Od tyłu tygodni był w podróży, wciąż zmieniając sypialnie i przystosowując się do różnych potraw, od tak dawna był poza domem, że zapomniał, jak pachnie własny kąpiel. Swój pokój traktował niemal jak sanktuarium. Aby czuć się u siebie, musiał mieć w zasięgu ręki parę ważnych przedmiotów, które wiązały go ze światem. Lubił swoje książki oprawione w skórę o ciepłych barwach, leżące na konsoli i wypełniające całą ścianę aż po sufit. Z przyjemnością dotykał ich grzbietów, kiedy przechadzał się po pokoju, wyciągając

jakiś tom, żeby powdychać zapach skóry i pogładzić opuszkami palców złocone brzegi, co robił z wielką ostrożnością, bo niektóre były ostre jak żyłtka. Lubił swoje dębowe biurko z szufladami po bokach, gdzie leżały te cudownie białe kartki papieru, które teraz nie dadzą mu spać. Wygodne krzesło z czarnej skóry z wytłaczanym oparciem, którego chętnie używał, kiedy miał coś do napisania lub przeczytania. Ciężkie zasłony z bordowego aksamitu, miękki dywan, drewniane belki na suficie, woskowy zapach mebli i poczucie bezpieczeństwa... Tam się zamykał, kiedy pragnął porozmyślać, rozważyć różne hipotezy, napisać do królowej albo kiedy było mu smutno i nie chciał okazywać innym, że coś go dręczy. Teraz jednak był w obcym miejscu i nie miał nic, co dałoby mu poczucie bezpieczeństwa. Świat wydał mu się wrogi. Spojrzał na kufer stojący w rogu tej nieznannej siedziby. Tylko to mu pozostało z cudownej atmosfery domu, za którym tęsknił — trochę najcenniejszych książek, srebrne kałamarze, listy od Małgorzaty...

Opadł na łóżko z ciężkim westchnieniem. Wsunął ręce pod głowę i obserwował cienie na suficie, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Był to Íñigo.

— Pilna poczta! — wykrzyknął.

Salazar wziął do ręki kopertę i ogarnęło go przecucie nieszczęścia. Jeszcze zanim otworzył i przeczytał list, nawet nie musiał dotrzeć do słów, które zawierały tę wiadomość. Miał dziwne wrażenie, że już to przeżył, jakby ta dramatyczna pewność tkwiła w nim od początku. Mimo wszystko nie mógł w to uwierzyć. Musiał przeczytać ponownie, żeby przekonać się, że to nie koszmar.

Królowa nie żyje. Jest martwa. Odeszła z tego świata i jeśli nie

ma innego (a przeczuwał, że inny świat nie istnieje), to stracił ją na zawsze. Już jej nie odzyska. Nigdy jej nie zobaczy. Jak długo potrwa „nigdy”? Przez tyle lat o niej myślał... pragnął, by była szczęśliwa, wyobrażał ją sobie w ciąży, z dzieckiem w ramionach albo jak pochyla się ze złotą nitką nad haftem dla zakonnicy. Czasem śniła mu się w królewskich szatach, a nieraz — bez korony i klejnotów... Potrafił ją sobie wyobrazić przytuloną do małżonka. Ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że może umrzeć.

Nie nikomu nie powiedział, milczał do końca dnia. Był poważny i rozsądny jak zwykle. Nie odezwał się ani słowem przy kolacji, choć wszyscy mówili tylko o niej. Że była dobrą matką i dobrą żoną, taka sprawiedliwa, roztropna, piękna i pełna słodyczy... ale Salazar milczał. Wycofał się szybko na spoczynek, a kiedy znalazł się sam, zaczął rzucać książkami, kałamarzem, piórami, wyładowywał swój żal na krześle... aż trochę się uspokoił, usiadł na łóżku i trzymając się rękami za głowę, płakał jak małe dziecko. Przeklinał Boga za to straszne, niepojęte zdarzenie, obwinał Go o wszystkie swoje nieszczęścia i nieszczęścia całej ludzkości, póki nie uzmysłowił sobie, że to nie ma sensu. Od dawna nie dziękował Bogu za dobre rzeczy, ponieważ nie ufał boskiej Opatrzności. Nie powinien Go zatem przeklinać za złe rzeczy.

Jego rozpacz słychać było na korytarzu. Członkowie jego świty spoglądali po sobie w przerażeniu. Stali pod drzwiami wystraszeni bardziej niż w czasie burzy. Postanowili, że muszą zajrzeć do środka, bo może inkwizytora zaatakowały czarownice, choć on zaprzecza ich istnieniu. A może coś go opętało. Kiedy zapukali do

drzwi i poruszyli klamką, Salazarowi puściły nerwy i kazał im się wynosić.

— Ignoranci! — krzyczał. — Co wy wiecie o życiu? Nie ważcie się tu wejść, bo połamię wam kości!

Całą noc przesiedział na łóżku, złorzecząc życiu, że jest takie kruche i nietrwałe. Nie umiał sobie wytłumaczyć tego absurdu. Pytał, gdzie jest człowiek przed urodzeniem i dokąd idzie po śmierci. Pytał dlaczego, dlaczego, dlaczego... próbując najpierw znaleźć w sobie odpowiedź na to pytanie, ale zrozumiał, że sam sobie z tym nie poradzi i dlatego tak się czuje. Wtedy postanowił zapytać o to Małgorzatę. Jeśli ona miała rację, jeśli to, w co wierzyła, jest prawdą, to na pewno poznała już odpowiedź. Poprosił, aby pomogła mu ją znaleźć. W melancholijnym nastroju szeptał jej wszystkie czułe słowa, jakich nigdy nie odważyłby się napisać, a tym bardziej wypowiedzieć w jej obecności. Że ona przewodzi mu w tej trudnej misji, dla niej podjął się tego zadania, myśl o niej przywraca mu siły i łatwiej mu znosić te bzdury, jakich musi wysłuchiwać w czasie wizytacji, a robi to tylko dlatego, żeby przekonać się, czy znajdzie jakiś realny dowód, coś, co pozwoli mu uchwycić się nadziei, co pomoże mu uwierzyć w to, w co ona wierzy, gdyż tylko wtedy stanie się jej godny... a niczego więcej nie pragnie.

Stworzył sobie jej obraz na podstawie ukradkowych spojrzeń, bo na nic więcej nie odważył się w jej obecności, choć bardzo chciał zobaczyć kolor jej oczu i odcień skóry. Musiał uzupełniać ten wizerunek, przyglądając się portretom wiszącym na ścianach pałacu. Gromadził w pamięci opinie różnych osób na temat królowej i poufne wyznania, na jakie z rzadka sobie wobec niego pozwalała. W gruncie rzeczy tak niewiele o niej wie, nie miał okazji

jej poznać, tak więc ten obraz składa się z wielu różnych elementów i wyobrażeń, a mimo to jest doskonały. Nikt jej nie dorówna. Zganił ją raz surowo, kiedy mówiła, że życie jest podróżą ku śmierci, a śmierć jest szczęśliwym wydarzeniem, przejściem do lepszego świata.

— Przecież to pochwała samobójstwa! — wykrzyknął. — Tak nie można myśleć. To grzech!

Teraz wyrzucał jej w gniewie, że już to osiągnęła, ma za sobą owo szczęśliwe wydarzenie, które definitywnie odgradza ją od niego.

Miotał się między gniewem a smutkiem, nie wiedział, jak długo trwała ta huśtawka emocjonalna. Wreszcie upadł wyczerpany na poduszkę i zasnął.

Obudził się na drugi dzień rano, wstał i rozpoczął nowy dzień jak zwykle. Nie czuł żadnego niepokoju. Zachowywał się normalnie; rozmawiał, prowadził przesłuchania, robił notatki, we wszystko wątpił, nikomu nie ufał... Coś się jednak zmieniło: już nie szukał dowodów na istnienie demona. Teraz już nie miał żadnych wątpliwości, że diabeł nie istnieje, a zatem Boga też nie ma.

Salazar usiadł przy oknie, obserwując zapadający zmierzch. Patrzył, jak słońce walczy heroicznie o przetrwanie, jak rozdziera chmury, czepiając się nieba, byleby tylko nie spaść do wody. Próżne wysiłki, król nieba został zdetronizowany; wrzucony do wody zanurzał się powoli i zapadała ciemność.

Można bez smutku patrzeć na gasnącą gwiazdę, bo wiadomo, że nazajutrz powróci triumfalnie i ten cykl będzie wciąż się odnawiał. Czy tak samo jest w przypadku człowieka? Wkrótce

nadejdzie zima, a potem się skończy i przyjdzie wiosna, zaćwierkają ptaki, zakwitną kwiaty i drzewa... ale to też się skończy, wróci zima i cykl się powtórzy. Tego się nie da wytrzymać. Przemijanie jest absurdem. Wszystko jest absurdem. Wszystkie prawa natury i poszukiwania, które nie prowadzą do szczęścia, tylko wprost przeciwnie... Wszystko, co go otacza i co poza nim... Wszystko... jest makabrycznym przypadkiem. Już nigdy jej nie zobaczy. Nigdy, nigdy. Jak długo potrwa „nigdy”?

XXIII

*O tym, jak opanować czkawkę
i jak obronić się przed leśnymi
stworami, które mają
niebezpieczne kaprysy*

W zaaferowaniu spowodowanym wydarzeniami z ostatnich miesięcy Mayo prawie zapomniała, że istnieją osoby zdolne narużyć podstawowe zasady funkcjonowania świata, który na ogół jest cztero wymiarowy. Ederra miała na ten temat własną teorię; twierdziła, że każdy człowiek bez wyjątku przychodzi na świat z jakąś nadzwyczajną zdolnością, której nie da się ogarnąć zmysłami, ale najczęściej w to nie wierzy albo w natłoku spraw codziennych po prostu zapomina, iż przyszłość poznaje się z linii dłoni, z oczu i ze snów, można porozumiewać się na odległość nawet z nieznanymi sobie osobami, a także wyleczyć kogoś z rzadkiej choroby przez nałożenie rąk lub za pomocą ziół i maści, tak jak one obie to robią.

— Medycy nie chcą tego uznać, bo studia wyssały z nich mózg

do tego stopnia, że stracili wszelki kontakt z własnymi przyrodzonymi zdolnościami — mówiła Ederra do Mayo. — Tak jak ten lekarz z... no wiesz... już nie pamiętam skąd. — Zaśmiała się. — Może ty pamiętasz? — pytała i nie czekając na odpowiedź Mayo, dodawała: — Nie, ty nie możesz tego pamiętać, bo byłeś za malutka. Gdzie to się działo? Mam go przed oczami, jakby to było dziś. Wrócił ze szkół bardzo poważny, ubrany na czarno, a oczy ukrywał za dwoma okrągłymi szkiełkami, które trzymały się na nosie, żeby nie spaść. Mówił, że to najnowsza moda w okolicy, że dzięki nim lepiej widzi. Ale ja uważam — wyjaśniała — że używał ich dla zbytku. Był taki ekstrawagancki. Mieszkańcy obrzucili go kwiatami po powrocie, jak bohatera. Zaproszono go do ratusza na balkon, żeby wygłosił przemówienie. Dostał gabinet, żeby miał gdzie przyjmować pacjentów. Siedział w tym gabinecie przy biurku przez dwa tygodnie, gapiąc się w okno, ale nikt nie przyszedł. Gotów był uznać, że miejscowi są najzdrowszymi ludźmi na świecie, kiedy zorientował się przez przypadek, że ciężarne miały do nas większe zaufanie niż do niego, bo kto, jak nie druga kobieta, wie lepiej, jak się odbiera dzieci przy porodzie. Ten lekarz tak się wtedy zezłościł, że dostał ataku czkawki. Musisz to pamiętać, skarbie! — Mayo słuchała z rozbawieniem. — Jestem pewna... Czego się śmiejesz, głuptasie? Mówię ci, czkawka męczyła go w dzień i w nocy... Naprawdę nic nie pamiętasz? Musiał nawet zdjąć z oczu te szkiełka, bo wciąż spadały mu z nosa, kiedy czkał. Poradziłam mu ssać cytrynę, żeby miał trochę kwasu w żołądku, kazałam powtarzać siedem razy bez przerwy, jak się nazywa, wpatrywałam się głęboko w jego oczy i pytałam o kolor czterolistnej koniczyny...

Wszystko na nic. Próbowalam różnych sposobów, ale czkawka nie ustawała. Po tygodniu lekarz doszedł do wniosku, że to przez nas, bo rzuciłyśmy na niego zły urok. Wypędzono nas z wioski. Nadal nic nie pamiętasz? — Mayo kręciła przecząco głową, podczas gdy Ederra, podnosząc do ust wskazujący palec i robiąc tajemniczą minę, mówiła cichutko: — Podobno teraz przyjmuje pacjentów, podskakując nerwowo na krześle z powodu czkawki. Nie śmieję się, tylko posłuchaj uważnie... Skup się. Słyszysz? Wciąż czka jak po tępieniu. — Przez chwilę siedziały w milczeniu, patrząc sobie w oczy z przerażeniem na twarzy, po czym Ederra wydawała ustami odgłos czkawki, a Mayo piszczła ze strachu i na koniec obie turlały się po ziemi, łaskotały się i pękały ze śmiechu.

Aczkolwiek Mayo była świadkiem rzeczy naprawdę nadzwyczajnych, z doświadczenia wiedziała, jak trudno zapanować nad żywiołami. Poznała tylko jedną osobę, która robiła to po mistrzowsku, a była nią Ederra. Niania miała ten niezwykły dar i Mayo wciąż próbowała jej dorównać, nie przejmując się zbyttno porażkami, bowiem Ederra dodawała jej otuchy, mówiąc że przecież musiała odziedziczyć jakiś talent po swym ojcu z piekła rodem.

Żyjąc od dziecka pośród leśnych skrzatów i innych stworów, Mayo przyzwyczała się do nich, a one lubiły Ederę, ją i Beltrána. Nie bała się zatem, gdy podczas kąpieli w rzece poczuła zimne, lepkie ciało Erensugue, złotego, siedmiogłowego węża, który owijał się jej wokół nóg. Wiedziała, że on robi to tylko dla żartu, ponieważ żywi się domowymi zwierzętami, które przyciąga do siebie oddechem pachnącym ziołami. Ludzie go nie interesują. Nie przerażała jej również straszliwy Torto, który wciągał do jaskini zabłąkane

dziewczynki, ćwiartował, opiekał na ogniu i zjadał bez przypraw. Torto był mimo wszystko niegroźny, jeśli znało się jego słaby punkt: otóż łatwo było go zagadać, bo był głupi i łasy na pochlebstwa. A jeśli dziewczynka z nerwów nie mogła wydusić z siebie ani słowa, zawsze miała jeszcze jedno wyjście: wsadzić palec w jego jedyne cyklopowe oko i uciekać z jaskini co sił w nogach, zanim Torto przestanie zwijać się z bólu i pojękiwać. Mayo darzyła zaufaniem nawet Ieltxu, nocnego ducha o wyglądzie ptaka, który ział ogniem (co było dość widowiskowe), ale poza tym zachowywał się łagodnie. Trzeba było tylko uważać, żeby nie dać się skusić zwodniczym światełkom tryskającym z jego dzioba, które prowadziły zagubionych podróżnych na skraj przepaści tylko dlatego, że Ieltxu lubił przyglądać się, jak ciało spada w dół i roztrzaskuje się na kamieniach.

Ale zaklinanie demona to zupełnie inna sprawa. Mayo wiedziała, że kto raz wejdzie w układy z diabłem, nigdy już się od niego nie uwolni. W ciągu kilku zaledwie sekund diabeł zniewala ciało i duszę nowego wyznawcy. Dlatego nigdy nie wzywała diabła na pomoc, nawet w tych najstraszliwszych chwilach po odłączeniu się od Ederry, kiedy rozpacz odbierała jej rozum i była gotowa na wszystko. Dostawała gęziej skórki na samą myśl o tym, że stanie twarzą w twarz z diabłem (z tym ojcem, który chyba zapomniał już o niej całkowicie) i zmierzy się z jego płonącym wzrokiem. Czasami widywała go w blasku apokaliptycznej chwały, kiedy przypadkiem zdarzyło jej się trafić razem z Ederrą na nocne *akelarre*. Był ogromny, miał pięć rogów na czubku głowy, tańczył jak szalony, grał na bębnie i pił wino bez końca, jakby chciał ugasić wieczny ogień trawiący jego duszę.

Mayo zastanawiała się wówczas, dlaczego ludzie godzą się na układy z diabłem, skoro za parę wątpliwych korzyści przyjdzie oddać mu swoje szczęście i duszę, pozostając na zawsze w jego niewoli.

— Tym właśnie różnimy się od czarownic — tłumaczyła Ederra. — One zawierają pakt z diabłem, otrzymując w zamian moc, która nie do nich należy. W każdej chwili diabeł może się obrazić i odebrać im tę moc. Natomiast nasza siła bierze się z nas samych i zawsze będzie nasza, dopóki umysł jest giętki.

— I co z tego! — zniechęcała się Mayo. — Ja nie zrobię nawet kukielki, a co dopiero mówić o czarach... Moje zaklęcia działają tylko w połowie.

— Nie martw się, jeszcze zadziałają... Nie potrzebujesz do tego diabła — zapewniała Ederra. — To tylko kwestia wprawy.

Ale demonstracja magicznej mocy, której Mayo była świadkiem na nabrzeżu w San Sebastián, nie mieściła się w ramach zwykłego paktu z Szatanem. Wciąż była pod wrażeniem postaci diabła, którą ci osobnicy wyczarowali na niebie z dymu wychodzącego ze zwykłego kotła. Zaprezentowali moc naprawdę nadzwyczajną, niesamowitą i przerażającą. Tych czworo potrafiło zawezwać diabła, a on przybył posłusznie na wezwanie jak piesek. Jak to zrobili? Mayo postanowiła pokonać strach i odgadnąć prawdziwe intencje tych dwóch mężczyzn i dwóch kobiet. Bo jeśli się okaże, że znowu chcą wyrządzić krzywdę jej ukochanemu nowicjuszowi, to ona im na to nie pozwoli.

Mayo śledziła wzrokiem cztery diaboliczne sylwetki podążające spokojnie ulicą, jak gdyby nic się nie stało. Zaczekała, aż trochę

się oddała, bo była przecież z Beltránem i nie chciała, by stukot jego kopyt zaalarmował czarowników. Deszczowy dzień przeszedł w wilgotną, zimną noc. Niebo było prawie bezgwiezdne i tylko księżyc przedzierał się czasem przez chmurę, żeby oświetlić ulicę swym metalicznym blaskiem. Mayo poczuła dziwny niepokój i silne skurcze żołądka, kiedy uzmysłowiła sobie, że tamci mogą ją w każdej chwili zobaczyć i że boi się ich bardziej niż leśnych stworów i duszków.

— Nie hałasuj, Beltránie, bo zginiemy, jak nas nakryją — szepnęła mu do ucha.

Byli już poza miastem na ścieżce wiodącej pod górę pośród gęstniejącego lasu. Szli spowici welonem mgły zabarwionej na niebiesko parą, która unosiła się z ich ust. Gęsto rosnące paprocie ocierały się Mayo o nogi, a gałęzie drzew wyglądały jak gigantyczna sieć, która mogła na nich opaść w każdej chwili.

Czwórka czarowników dotarła na polanę położoną wśród iglastych drzew, gdzie znajdował się wóz i cztery konie. Widać było, że rozbili obóz wcześniej, zanim zeszli do San Sebastián. Teraz przesunęli dwukółkę na północną stronę, żeby zasłonić się przed bryzą znad Morza Kantabryjskiego i zabrali się do rozpalenia dwóch ognisk, które razem z wozem tworzyły coś w rodzaju trójkąta dla ochrony przed dzikimi zwierzętami i złą pogodą. Podczas gdy mężczyźni rozpalali ogień, kobiety wyciągnęły z tobołków ogromny kłębek sznura z poprzyczepianymi muszlami i zaczęły ogradzać obozowisko. Młodsza, na oko szesnastoletnia, szarpnęła za sznur, żeby sprawdzić, czy działa ten system alarmowy. Próba wypadła pomyślnie. Starsza kobieta postawiła na ogniu gar zupy,

a mężczyźni przebrali się, ściągając miejskie ubranie i wkładając przez głowę odzienie z brązowej sierści, które upodobało im bardziej do brunatnych niedźwiedzi niż do ludzi. Większy, ten z byczym karkiem, wziął do ręki siekierę i zagłębił się w las. Mayo pomyślała, że poszedł narąbać drzewa. Starsza, mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta z orlim nosem i ciałem pokrytym w równych proporcjach zmarszczkami i bransoletkami, krzyknęła coś za nim, ale Mayo nie dosłyszała, bowiem echo porwało te słowa. Garnek zabulgotał, wydzielając zapach pomyj, który rozszedł się dookoła. Młoda przeciągnęła się, podnosząc do góry żałośnie chude ramionka, i ziewnęła głośno, potrząsając głową z rzadkimi włosami w kolorze słomy, które zaraz zawiązała w koński ogon. Usiadła przy ognisku i mieszała w garnku bez zapału z melancholijną miną.

Strach sparaliżował Mayo na dłuższą chwilę. Nie wiedziała, jak długo to trwało, bo straciła poczucie czasu, patrząc jak zahipnotyzowana na drżące światła ognisk. Wyglądało to tak, jakby dwie gwiazdy zeszyły na ziemię, żeby przejrzeć się w jej oczach, mrugając zniewalająco, aż poczuła słabość w kolanach. A że dawno straciła z oczu obu mężczyzn, ogarnęło ją nagle przecucie nieszczęścia. Żołądek podjechał jej do gardła i skuliła się w kłębek, miała zimne, wilgotne ręce i suchość w ustach. Nagle wyczuła w powietrzu złowieszczą moc swego ojca, a jednocześnie miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Była tego pewna, ale nie mogła się poruszyć ani rozejrzeć na boki, nie mówiąc już o ucieczce z tego straszego miejsca. Wolała nie sprawdzać, czy jej podejrzenia są prawdziwe. Otulona ciemnością czuła się jak w czeluściach piekła. Usłyszała

trzask suchych igieł, jakby ktoś się zbliżał. To wystarczyło, żeby uruchomić w niej wewnętrzną sprężynę, która się zacięła, paraliżując jej ruchy. W pośpiechu wskoczyła na Beltrána. Wtedy uświadomiła sobie, że coś ją trzyma za prawe ramię. Usłyszała przeraźliwy pisk, który wydobywał się z jej ust. Zaalarmowane kobiety spojrzały w jej stronę.

— Kto tam? — zawołały.

Mayo wściekle zamachała rękami, nie otwierając oczu, i dalej puszczala jak opętana, próbując uwolnić się od tej siły, która nie pozwalała jej zrobić kroku. Na szczęście okazało się, że to tylko gałąź, o którą zaczepiła ubraniem, kiedy wskakiwała na Beltrána. Próbując wyrwać się z tej uwięzi, obejrzała się za siebie i przeszło ją błyszczące spojrzenie zielonych oczu. To były oczy demona. W całym dotychczasowym życiu nie zaznała takiej trwogi jak teraz. O mało nie umarła z tego strachu.

— Jestem twoją córką. Nie rób mi krzywdy, ojczcie. Nie krzywdź mnie — szeptała jak w modlitwie.

Szarpnęła jeszcze mocniej, zostawiając na gałęzi kawałek ubrania, i gwałtownie spięła Beltrána. Osioł ruszył z niezwykłą jak na niego szybkością, nieliczącą ze spokojnym charakterem, gdyż Mayo, ściskając kolanami jego boki, przekazywała mu niespokojne wibracje. Pędzili przez ciemność niczym wicher, nie oglądając się za siebie, a kiedy zabłyśły pierwsze światła jutrzeńki, byli już na tyle daleko, że złowrogi las nie stanowił niebezpieczeństwa. Zatrzymali się dopiero wtedy, gdy nabrali pewności, że nikt ich nie śledzi.

Zsiadając z Beltrána, Mayo dostrzegła krew na swojej prawej

ręce — była to rana po walce z gałęzią. Ucieszyła się, że nie poniosła większych strat. Nie znajdując wytłumaczenia dla żadnego z wydarzeń tej nocy, wtuliła twarz w srebrzystą grzywę Beltrána. Zamknęła oczy, szukając ukojenia.

— Czy możesz mi wyjaśnić, co się właściwie stało? — szepnęła, będąc na skraju wyczerpania.

Beltrán odpowiedział zdziwieniem. On niczego nie widział.

xxx

Śmierć królowej Małgorzaty wstrząsnęła krajem. W tych czasach monarchia była przedmiotem satyry i tylko królowa cieszyła się miłością poddanych, którzy widzieli w niej swoje własne odbicie. Była taka sama jak oni: słaba, osamotniona, prześladowana przez Lermę i jego stronników. Jej religijność poruszyła nawet najbardziej zatwardziałych, toteż oplakiwano jej zgon we wszystkich zakątkach królestwa. Mieszkańcy uznali, że wraz z nią utracili część siebie, nie mówiąc o nadziei na polepszenie sytuacji w kraju. Pozostawało im jedynie wierzyć tak jak ona, że dobrzy ludzie otrzymają nagrodę w tamtym świecie, albowiem ten jest zbyt skorumpowany. Ktoś zasugerował nawet, że królowa zmarła w zapachu świętości i należy się jej godny pogrzeb. Życie było dla niej zwykłą formalnością, której trzeba dopełnić, aby otrzymać nagrodę wiecznej chwały. Czekala na ten moment cierpliwie jak ktoś, kto stoi pod drzwiami, spodziewając się uzyskać audiencję. Nikt z poddanych nie wątpił, że Małgorzata poszła prościutko do nieba.

Straszliwy chaos zapanował w tych dniach. Z powodu opóźnień poczty wieść o narodzinach nowego infanta zbiegła się w czasie z wiadomością o śmierci położnicy. W Valladolid zrobiło się wielkie zamieszanie, ponieważ wszystko było przygotowane do balu maskowego na ulicach miasta na cześć nowego potomka królewskiej rodziny, kiedy nadeszła informacja, że bal jest odwołany, bo trzeba przywdziać żałobę i oplakiwać zmarłą królową. Podobno na trzeci dzień po porodzie Małgorzata dostała gorączki, a lekarze nie umieli temu zaradzić. Rzuciła się na posłaniu o barwie kości słoniowej i majaczyła, głośno wzywając matkę, za którą brała swoją damę dworu, albo leżała nieruchomo, z policzkami błyszczącymi rumieńcem jak dwa jabłka, miała suche wargi i załzawione oczy, a łzy były tak gęste, że nie chciały spłynąć.

Don Rodrigo Calderon rozkazał wezwać doktora Mercado, sławę lekarską Valladolid. Medyk zjawił się w Escorialu, wyposażony w najnowsze metody leczenia, które poznał dzięki rozlicznym pobytom w Rzymie. Z miejsca zakwestionował tradycyjne sposoby zastosowane przez nadwornych lekarzy. Pochylony nad łóżkiem chorej kazał odstawić pijawki i stanowczo oświadczył, że puszczenie krwi jest wielkim błędem, bo zostało udowodnione, że pijawka wysysa nie tylko chorobę, ale także całą energię niezbędną w procesie zdrowienia.

— Tak czy inaczej, chora nie potrzebuje pijawek — wyjaśnił królowi, którego ten argument nie przekonał — ponieważ w czasie porodu doszło do naturalnego upustu krwi.

Doktor Mercado posłał po zaufanego aptekarza, który nazywał się Espinar, po czym natarł królową maścią o zapachu

przysmażanej pluskwy i oblepił plastrami o przedłużonym — jak twierdził — działaniu, zalecając, aby nic nie jadła i nie piła z wyjątkiem czerwonawego płynu, który należy podawać co dwie godziny. Chora nie odniosła żadnej korzyści z tych zabiegów, wprost przeciwnie, była coraz słabsza i bledsza. Przestała mylić matką ze swą damą dworu, bo nie miała nawet siły otworzyć oczu.

Na ulice Valladolid wyległy procesje żarliwych poddanych, błagając niebo o zdrowie dla królowej. Wyciągnęli cudowną figurę świętego Pedra Regalado i obnosili ją uroczyście z biskupem na czele, który kroczył wsparty na wielkiej lasce zakończonej krzyżem. Szli z zamkniętymi oczami, odmawiając różaniec i mamrocząc litanie. Zanim dotarli z powrotem do kościoła, żeby odnieść figurę świętego, klasztor w Escorialu wydał polecenie przygotowania pogrzebu.

Mówiono, że wszystko wydarzyło się około dziewiątej rano. Grzmoty i błyskawice rozdzierały niebo, ludziom włosy stawały dęba na widok takiej burzy. Król znajdował się akurat w oratorium, modląc się na klęczkach ze splecionymi palcami, wkładając w tę prośbę całą siłę, na jaką było stać jego wątłe ciało. Spędził tak ponad dwie godziny, a kiedy usłyszał płacz dam dworu, podniósł się natychmiast — już wiedział, chociaż nikt go o tym nie poinformował. Z opuszczoną głową szedł korytarzem, przytłoczony cierpieniem, które sprawiało, że jego nogi stały się ciężkie jak z ołowiu. Kiedy dotarł do komnaty królowej, zatrzymał się pod drzwiami; dziecinna myśl przebiegła mu przez głowę, że póki nie usłyszy, iż umarła, póki nie zobaczy jej na łożu śmierci, to będzie tak, jakby nic się nie stało. Już się odwracał, żeby odejść stąd jak

najszybciej, kiedy jedna z kobiet czuwających przy jego małżonce stanęła w drzwiach zapłakana i ujrzawszy króla, złożyła mu kondolencje. Wtedy wszystko stało się rzeczywistością.

Filip III wszedł do sypialni i zobaczył, że Małgorzata leży z zamkniętymi oczami, pogrążona w wiecznym spoczynku. Zbliżył się do łóżka, zrobił kciukiem znak krzyża na czole zmarłej, pochylił się i złożył pocałunek na jej twarzy. Nic nie powiedział. Wrócił do oratorium i dopiero wtedy rozplakał się jak dziecko, a z oddali dobiegał go płacz innego dziecka... jego syna. Nowo narodzony infant domagał się matki, której już nie było i nigdy nie będzie.

— To dziecko drogo kosztowało — powiedziała mamka.

Odtąd miał nosić ku swemu zmartwieniu przydomek Drogi, dla upamiętnienia faktu, iż przyszedł na świat kosztem życia swej matki.

Noc upłynęła w Escorialu na wzdychaniu i czuwaniu przy zwłokach królowej. Filip III nie pozwolił nikomu jej dotknąć; przywilej ten otrzymały tylko hrabina de Lemos i doña María de Sidonia. To one były odpowiedzialne za usunięcie wszystkich osób z sypialni królowej; zdjęły z niej prześcieradła w kolorze kości słoniowej i koszulę z tłustymi plamami po plastrach, którymi doktor Mercado i aptekarz Espinar leczyli chorobę, po czym zaczęły ją przygotowywać do ostatniej podróży. Umyły każdy skrawek ciała różanym mydłem, natarły od stóp do głów aleksandryjskimi perfumami, które sprowadzano dla królowej prosto z Austrii. Ubrały ją w szaty karmelitanki bosej i wyszczotkowały włosy, upinając je w kok. Kiedy skończyły, powiadomiły małżonka, który załamał się

zupełnie na jej widok, gdyż Małgorzata wyglądała jak żywa, po-
grążona w spokojnym śnie, z którego prędzej czy później się obu-
dzi.

— Po co mi żyć bez mojej świętej żony? — zawołał, jak twierdzą
świadkowie.

xxx

Salazar przemyślał wszystko dokładnie w ciągu dnia i wyjechał
pod osłoną nocy, nikomu nic nie mówiąc. Zostawił tylko na łóżku
kartkę z wyjaśnieniem, że nie będzie go przez tydzień z powodów
osobistych. Dołączył listę instrukcji, które mówiły, że cała świta
ma udać się jak najszybciej do Tolosy i rozpocząć przesłuchania, a
on wkrótce do nich dołączy. Kierowanie wizytacją na czas swojej
nieobecności powierzył Domingowi i Íñigowi. Wziął najlepszego
konia i wyruszył w drogę, pozwalając nocnej bryzie rozpędzić swo-
je smutki.

Ogromny księżyc o metalicznym poblasku chował się i wylaniał
zza chmur, toteż droga była raz oświetlona, a innym razem spowi-
ta nimbem tajemniczości. A że w ostatnich dniach padało bez
przerwy, inkwizytor musiał bardzo uważać na kałuże, które w
półmroku wyglądały jak plamy z rozlanego atramentu. Powietrze
było nasycone wilgocią, która przesiąkała do kości i Salazar czuł ją
nawet w mózgu. Po drodze fantazjował, że jakiś dureń przeinaczył
fakty i narodziny nowego infanta pomyliły mu się ze śmiercią.
Wrażenie, że to tylko zły sen, rozwiało się jednak o świtaniu, wraz
z ciemnościami nocy. Musiał przyznać, że fakt jest faktem i nic na
to już nie poradzi. Poczul się bardzo zmęczony. Mijający czas zo-
stawał na nim swój ślad i ciało nie było już tak odporne na trudy

jazdy konnej jak w młodości. Dostrzegając w oddali ciepły odbłask stacji pocztowej, postanowił zatrzymać się na postój.

Właściciel przywitał go z radością niestosowną do okoliczności, toteż Salazar już chciał go za to zganić, ale się powstrzymał. Nie było obowiązku opłakiwania śmierci królowej. Zresztą kto wie, czy ta wiadomość dotarła do tak odległego miejsca. Nie zabawił tu długo.

— Chciałem tylko dać odpocząć koniowi — powiedział.

Zatrzymywał się jeszcze cztery razy, zanim dotarł do Escorialu. Wyglądał na znużonego z głową wciśniętą w ramiona i z twarzą na wpół zakrytą czarną peleryną. Nie była to jednak wystudiowana poza, tylko odbicie stanu jego duszy. Poruszał się jak somnambulik, z trudem wymijał ludzi na ulicach tak, żeby na nich nie wpaść, ale niewiele co widział; twarze, mury... wszystko było zamglone. Tłum gęstniał w miarę zbliżania się do klasztoru. Wszyscy chcieli pożegnać królową. Kobiety w pierwszym rzędzie szlochwały. Nie były zawodowymi płaczkami, one naprawdę to przeżywały, jęcząc i wzdychając tak rozpaczliwie, że litość brała patrzeć. Kiedy Salazar stanął obok pięcioletniego malca, ten podniósł na niego zapłakane oczy.

Klasztor pogrążył się w smutku. Dzwony biły tak powoli, że serce w człowieku zamierało między jednym a drugim uderzeniem. Salazar odkrył niechcący, że dźwięk niektórych instrumentów powoduje dotkliwe wrażenie osamotnienia. Gwardia królewska rozsunała ludzi, robiąc przejście na dziedzińcu. Gwardziści ustawili się w szeregu po obu stronach, podnosząc do góry lance przewiązane czarną wstążką. Chwilę później pojawiła się odkryta czarna karoca z trumną królowej zaprzęzona w sześć czarnych

koni z dwoma stangretami w czarnej liberii i czarnych butach do kolan. Zgodność kolorów zakłócały jedynie wielkie białe kwiaty ułożone wokół zmarłej. Zaczęło padać.

— Nawet niebo płacze po królowej — mówili niektórzy.

Trumna miała kryształowe wieko, żeby lud mógł pożegnać się z Małgorzatą twarzą w twarz. Była pogodna, wciąż piękna i młoda, choć od trzech dni nie żyła. Piękniejsza niż we wspomnieniach Salazara. Obieczono ją na tę ostatnią drogę w strój bosej karmelitanki, wkładając w splecione dłonie srebrny różaniec. Za trumną kroczyli: książe Lerma, hrabina de Lemos, Rodrigo Calderon i monarcha.

— Ciało królowej przechodzi spod władzy księcia Lermy i hrabiny de Lemos pod władzę przeora wspólnoty — obwieścił Calderon.

Zaraz potem ktoś szepnął mu coś do ucha, a Calderon uśmiechnął się drwiąco w odpowiedzi. Obecni byli tym oburzeni.

— Co za bezczelność! Widzieliście? — szepnął mężczyzna obok Salazara.

— Słyszałem, że powiedział: „Baba z wozu, koniom lżej” — dodał inny. — To morderca.

— Calderon ma układy z czarownikami — powiedział jeszcze inny. — Ściągnął z Valladolid jakiegoś doktora Mercada i aptekarza, który niewart trzech groszy. Podobno obaj są na jego usługach... lekarz otrul królową jakimś brązowawym proszkiem.

Salazar poczuł kulę w gardle i tysiące myśli zakotłowało mu się w głowie. Przypomniał sobie list, w którym królowa dzieliła się z nim podejrzeniami pod adresem Lermy i Calderona, wspomniał pseudoczarowników i otrucie Pedra Ruiza de Eguino, fiolkę z

ciemnym proszkiem zawiniętą w cienką chusteczkę z wyhaftowaną literą M, o której najpierw pomyślał, że należy do Małgorzaty, ale teraz zrozumiał, że to chusteczka doktora Mercada.... truciznę dostarczył lekarz... M jak Mercado. Calderon... rzekomi czarownicy... Pedro Ruiz de Eguino, doktor Mercado...

Karoca z trumną zniknęła w bramie klasztornej. Tłum powoli się rozchodził, ale Salazar wciąż stał mimo deszczu, który padał coraz obficie, przemoknięty do szpiku kości, udręczony pewnością, że śmierć królowej Małgorzaty nie miała nic wspólnego z powiciem dziecka. To nie był wypadek. Królowa została zamordowana. Miał do siebie pretensje: od dawna wiedział, że coś się stanie, trafił na właściwe ślady, ale nie umiał ich zinterpretować. A przecież obiecał, że będzie jej strzec... Krople deszczu wirowały mu przed oczami, coraz trudniej było tak stać ze wzrokiem utkwionym w bramę, za którą zniknęła jego królowa... na zawsze.

Upłynęło wiele godzin, zapadła noc i dopiero wtedy inkwizytor wrócił po konia, nie przestając zadawać sobie pytania dlaczego. Jaki jest związek między śledztwem, prowadzonym przez niego na ziemiach północnych, a śmiercią Małgorzaty? Obiecał sobie doprowadzić do końca tę pracę, zdemaskować winnych, zrobić to tak, aby nie było żadnych wątpliwości. Teraz miał jasność sprawy.

XXIV

*O tym, jak bezpiecznie podróżować morzem,
jak uniknąć śmierci od pioruna,
jak wyleczyć zatwardzenie
i problemy nerek, jak wykorzystać
strach i szaleństwo, jak stworzyć
sztuczne gwiazdy*

Zawsze tak było, że obecność słońca miała na Mayo wpływ uspokajający, motywowała do działania, kontynuacji i zaczynania od nowa. Blask słońca na czystym, błękitnym niebie budził w niej nadzieję, że jeszcze nie wszystko stracone. Spędziła cały ranek, spacerując po okolicy i szukając miejsca na schronienie z dala od obozu czarowników. Zastanawiała się zarazem nad wydarzeniami minionej nocy, próbując sobie przypomnieć, ile to już razy widziała tych dziwacznym mężczyzn przebranych za zwierzęta. Opanowawszy strach, Mayo musiała przyznać sama przed sobą, że dopóki diabeł nie przybył na ich wezwanie do dymiącego kotła, miała ich za gamoni. Wciąż jeszcze przenikał ją dreszcz na wspomnienie dwóch zielonych punktów śledzących ją w ciemności,

które znowu się pojawiały, ledwo przymknęła oczy.

Położyła się pod drzewem wyczerpana bezsennością, ucieczką i zamętem w głowie. Popatrzyła przez chwilę na słońce, żeby przywitać nowy dzień z nadzieją na nowe szanse, ale szybko musiała odwrócić wzrok, gdyż tego ranka słońce świeciło tak mocno, że zabolęły ją oczy. I wtedy to się stało. Jeden zielony punkt znalazł się pod powieką i długo nie chciał zniknąć, chociaż kręciła głowę na wszystkie strony. Ten dziwny efekt wywołało błyszczące światło! Zrozumiała, że dwa zielone punkty, które ujrziała w ciemnościach minionej nocy, były efektem długotrwałego wpatrywania się w blask dwóch ognisk, przy których siedzieli czarownicy.

— To nie oczy demona! — zawołała do Beltrána, zrywając się z ziemi. — Te dwa zielone światełka nie były oczami demona! To tylko odbłask ognia. Tak długo patrzyłam na ogniska, aż iskry zostały mi pod powiekami.

Beltrán zgodził się z nią, radośnie porykując.

Mayo wciąż czuła pewien respekt przed tymi osobnikami, ale już się ich nie bała. Parę razy zbliżyła się do obozowiska, żeby poobserwować ich zachowanie. Byli niezdarni, brudni, aroganccy... Nauczyła się czytać z ich warg, rozszyfrowała język ich ciała. Nie ulegało wątpliwości, że wysoki mężczyzna i starsza z kobiet stanowili parę, a chłopak z bielmem na oku i dziewczyna o chudych nogach byli ich dziećmi. W świetle dnia wyglądali na nieszkodliwych. Ale wciąż nie wiedziała, dlaczego śledzili swiętego inkwizytora, i zupełnie nie rozumiała, co im kazało nastawać na życie jej ukochanego.

Mayo była tak pochłonięta swymi obserwacjami, że nie zauważyła, kiedy Salazar wyjechał. Zorientowała się dopiero wtedy, gdy

jego świta wyruszyła do Tolosy bez niego. Najpierw pomyślała, że to znak od losu, aby przestała trzymać się inkwizytora, bo przecież trafiła już na ślad wiodący do Ederry. Wszystko wskazywało na to, że niania jest w Vitorii razem z Gracia de Iturralde, więc Salazar i jego świta nie są już Mayo do niczego potrzebni. Ale szybko odrzuciła tę myśl. Jeszcze przez jakiś czas zostanie blisko nich, zostanie blisko niego. Każda inna decyzja przerastała jej siły.

Mayo jeszcze nie wiedziała, że jest niepoprawną romantyczką, zwłaszcza że miłość spadła na nią nagle jako coś nowego, czego wcześniej nie знаła nawet ze słyszenia. Nikt jej nie powiedział, jak sobie radzić z tym uczuciem; sama musi się wszystkiego nauczyć. Jak tłumić wewnętrzny głos, który robi jej wyrzuty, że nie potrafi odejść od Iñiga, pogodzić się z odrzuceniem, zaakceptować fakt, że nie zapomni tej miłości, ponieważ rytuał, jaki odprawiała, okazał się nieskuteczny. Zresztą, czy to takie ważne? Wszystkie udręki rekompensowało rodzące się przekonanie, że miłość wyrwała ją z przeciętności, dzięki niej przestała być nic nieznaczącą osobą. Czuła się ważna, ale życie drugiego człowieka miało dla niej większą wartość niż jej własne. Nowicjusz był w niebezpieczeństwie. Zrozumiała to, gdy zobaczyła, że czworo czarowników szykuje się do drogi, aby nadal śledzić ekipę Salazara. Mayo wiedziała, że nie mają dobrych intencji. Musi mu pomóc. Ci osobnicy znają się na truciznach i różnych sposobach szkodzenia, a niektóre z nich mogą mieć śmiertelne skutki. Musi go przestrzec, zanim sama pójdzie inną drogą... drogą, która rozdzieli ich na zawsze. To będzie jej pożegnalny prezent dla niego.

Później wybierze się do Vitorii. Tam spotka się z Ederrą, tam odżyje.

Kiedy przybyli do Tolosy, Mayo miała gotowy plan. Przygotowania zajęły jej parę dni. Postarała się o pewną ilość fosforu, żeby zrobić petardy i ognie bengalskie. Przez te wszystkie lata, kiedy podróżowała z wioski do wioski, poznała ludzi, którzy się tym zajmowali, i miała okazję przyjrzeć się ich pracy. Następnie postarała się o zmianę swojego wyglądu; aby zwrócić na siebie uwagę, musi być silna, atrakcyjna, wyjątkowa. Wyszorowała się od góry do dołu, długo nacierała łokcie i kolana cytryną, żeby mieć skórę delikatną i białą jak u niemowlęcia. Szczotkowała włosy z taką siłą, aż nabrały miękkości i połysku; rozpuszczone sięgały poniżej pasa. Ubarwiła policzki, położyła cień na powieki i poszukała czegoś ładnego wśród ubrań Ederry. Wybrała cienką jak mgielka tunikę z błękitnego lnu, prawie bez szwów, i uplotła wianek z kwiatów na głowę. Przejrzała się w rzece — spodobało jej się to, co zobaczyła. Wyglądała jak anioł. Przypomniało jej się, że on tak ją nazywał. Poczula skurcz żołądka i zmobilizowała wszystkie siły, aby odsunąć to wspomnienie.

Wykorzystała właściwości blendy cynkowej. Ederra mówiła, że ten minerał jest większym fenomenem niż spora część relikwii chrześcijańskich, których moc bierze się głównie z siły sugestii i daru przekonywania, że zwykle, wypolerowane przez księży kości kurczaka i poszarpane skrawki materiału mogą czynić cuda. Natomiast blenda ułatwia życie marynarzom podczas rejsów, w czasie burzy odpiera pioruny, jeśli ściska się ją mocno w dłoni, poza tym leczy zatwardzenia i choroby nerek, pomaga na strach i ataki

szau. Żadna z tych właściwości nie była teraz Mayo potrzebna.

Jeszcze za dnia z największą ostrożnością zbliżyła się do obozowiska czarowników i umocowała na drucie z muszelkami setki kawałków blendy, wiadomo bowiem, że o zmroku kamień ten rozbłyskuje jak gwiazda, gdy pada nań jakiegokolwiek światło. Wykorzystując chwilę nieuwagi czarowników, zakopała w różnych miejscach petardy i ognie bengalskie, najpierw pod resztkami popiołu z ognisk, potem dookoła, zataczając coraz większe kręgi; petardy i kawałki blendy poumieszczała również w konarach drzew. Na koniec ułamała gałąź wielkości człowieka, posypując ją prochem strzelniczym. Teraz pozostawało tylko czekać cierpliwie na nadejście nocy.

Kiedy kobiety zaczęły znosić drwa na ognisko, Mayo przeżegnała się. Wiedziała, że dla Ederry byłby to nieprzydatny gest, ale uznała, że w takiej sytuacji nie zaszkodzi polecić się opiece Boga chrześcijan. Im więcej potęg będzie jej sprzyjać, tym lepiej. Kobiety przysunęły pochodnie i polana zaiskrzyły. Zrobiło się gorąco i strasznie jak w piekle. Minęło parę minut, zanim ciepło rozpalających się ognisk dotarło do ukrytych petard i fajerwerków. Eksplozja iskier, światła i grzmotów wywołała oszałamiające wrażenie. Czarownicy rozbiegli się wystraszeni, ale wszędzie było to samo i nie mogli uciec. Skakali z miejsca na miejsce jak pajace, krzycząc przeraźliwie, bo gdzie nie stanęli, tam strzelał snop iskier, odcinając im drogę ucieczki. Wreszcie przykucnęli na środku obozowiska, przysuwając się do siebie i zasłaniając głowy ramionami. Ze wszystkich stron dochodziły budzące panikę strzały.

Feeria sztucznych ogni dobiegała końca, zbliżając się do miejsca, gdzie stała Mayo z gałęzią posypaną prochem. Kiedy padła na nią pierwsza iskra, gałąź rozjarzyła się niezwykłym blaskiem. Mayo pomyślała z zadowoleniem, że ojciec byłby z niej dumny, gdyby to widział. Światło gałęzi padło na kawałki blendy na drzewach i wkrótce obóz czarowników zamienił się w wielką plejadę gwiazd. Z duszą na ramieniu (bo to był jej pierwszy występ przed widownią) Mayo wysunęła się zza płonącej gałęzi; ruchy miała majestatyczne, poruszała się powoli z półprzymkniętymi oczami, wyciągając przed siebie ramiona jak we śnie.

— Nie rób nam krzywdy, piękna pani... Prosimy! — Wszyscy czworo upadli na kolana, splatając dłonie jak do modlitwy.

— Przyyychooodzę po wyyyjaaasnieeenia — odezwała się grobowym głosem, od którego włos się jeżył na głowie. — Mówcie prawdę, czarownicy, a nic waaam nie zrooobię.

— My nie jesteśmy czarownikami, señora Mari — powiedziała kobietami ze zmarszczkami i bransoletkami, biorąc ją za władczynię leśnych stworów, która wedle legendy była elegancko ubrana i miotała ogniem.

— Cisza! — rozkazała Mayo. — Czeeemu dręczycie inkwizytora i jego kompaaanie?

— Taką mamy pracę. Najął nas pewien człowiek i kazał odegrać farsę. — Starszy z czarowników wystąpił jako rzecznik rozmowy.

— Demon? — zapytała Mayo, zapominając, że ma mówić grobowym głosem.

— O nie! Wcałe nie... z demonem nie mamy żadnych układów — odparł mężczyzna, uśmiechając się najmilej jak potrafił. — To

ktos wysoko postawiony, z takich, co mają cały świat w ręku... rozumie pani. Każe nazywać się Pryncypałem, ale my go nie znamy i nigdy nie widzieliśmy. Kontaktuje się z nami przez swojego człowieka, z którym poznał nas ksiądz Pedro Ruiz de Eguino. Spotkaliśmy się kiedyś przypadkiem w gospodzie. Ksiądz powiedział, że jego przyjaciel ma dla nas robotę, że to nie będzie nic trudnego i nie napracujemy się, a dobrze zarobimy.

— O tak! Oni tak się przyjaźnili, że potem ten przyjaciel kazał nam otruć Pedra. — Starsza kobieta dorwała się do słowa, mocno gestykulując.

— Milcz, babo! Przecież nie wiemy, czy to była trucizna. — Mężczyzna zwrócił się do Mayo, wyjaśniając z nabożnym uśmiechem: — Señor dał nam taki proszek, który dostał od doktora, prawdziwego lekarza, i kazał wsypać Pedrowi Ruizowi do ust, kiedy będzie spał. — Przybrał skonsternowaną minę. — Owszem, dwa dni później Pedro opuścił ten świat... to prawda... ale to nie znaczy, że przyczyną śmierci był ten proszek. Mógł umrzeć z wielu innych powodów. Od dłuższego czasu coś kiepsko wyglądał.

Mayo poczuła dreszcz na plecach. Przypomniała sobie, że dwa razy widziała tych mężczyzn, jak próbowali otruć jej ukochanego.

— A jakże, nie umarł z jakiegoś innego powodu, tylko od trucizny! — zaprotestowała kobieta. — Jak myślisz, po co przyszła señora Mari? Żeby zażądać od nas rachunku, prawda, señora Mari? — Obróciła się w stronę Mayo i poufale szepnęła jak kobieta kobiecie: — Wiedziałam, że nic z tego nie będzie. Od początku mam przez niego same kłopoty. Matka mi powiedziała, że to nie

jest odpowiedni dla mnie mężczyzna. Zalecał się do mnie piekarz z naszej wioski, wie pani, señora Mari, ale go nie chciałam... No cóż, byłam ślepa...

— Dlaczego wciąż opowiadasz wszystkim tę historię? Wynos się do swojego piekarza, jeśli chcesz, ja cię nie trzymam.

— Pewnego dnia to zrobię, zobaczysz, bo już nie mam do ciebie...

— Spokój! — Sytuacja zaczęła wrywać się Mayo spod kontroli. — Jaaakie konkretnie zamówieenie otrzymaliście od tego Pryn-cypala, państwo czarownicy?

— Powtarzam, że nie jesteśmy czarownikami — zaprotestował mężczyzna — ale faktycznie, w naszej pracy chodziło o to, żeby udawać czarowników, żeby pan inkwizytor Salazar i jego ludzie uwierzyli, że chcemy im zaszkodzić, rozumie pani?

Opowiedział, że pierwsze zadanie polegało na tym, że mieli pojawić się w Santesteban u Juany de Sauri. Ta kobieta zeznała przeciwko kilku osobom w procesie czarownic w Logroño, a później chciała to odwołać. Zdaje się, że żałowała tego, co zrobiła, pragnęła porozmawiać z Salazarem i wyznać mu, że w gruncie rzeczy nigdy nie widziała ani nie poznała żadnej czarownicy. Powiedziała już o tym alkadowi i proboszczowi, a ci z kolei przekazali to dalej, do trybunału w Logroño. W ten sposób wieść dotarła do tajemniczej, wysoko postawionej osobistości. Kazano im straszyć Juanę, żeby wreszcie uwierzyła w istnienie czarowników.

— Zabiliście ją — wypaliła Mayo.

— Co to, to nie! — zawyła kobieta. — Jesteśmy nikczemni, ale uczciwi. Ona sama umarła. Przywiązała sobie kamień do nogi

i hop! Rzuciła się do rzeki głową na dół. Nic nie mogliśmy dla niej zrobić.

Z dalszych opowieści wynikało, że raz na dwa tygodnie otrzymywali nowe instrukcje od nieznanego człowieka, który mówił w imieniu Pryncypała. Pewnego razu kazał im wmówić jednemu z pomocników Salazara, że potrafi latać. Dał im nawet maść z mandragory, której użyli do tego celu.

— Ten ktoś musi mieć przyjaciół wśród prawdziwych czarowników, skoro ma takie mazidła — wyjaśniła kobieta.

Następnym razem mieli wykraść papiery z biurka Salazara, gdyż Pryncypał interesował się jakimś listem. Z kolei ich córka Catalina musiała udawać czarownicę, żeby dostać się na audiencję do Salazara i zobaczyć, co się tam dzieje, a zarazem wywołać zgorzzenie wśród widzów, ale trochę przesadziła. Mało brakowało, a ludzie by ich złapali. Później musieli otruć Pedra Ruiza de Eguino, bo podobno poznał się na intrygach Pryncypała i pośrednika, którzy zlekli się, że wszystko zdradzi Salazarowi.

— Czarownicy, zostaaawcie w spokooouju inkwizytora i jego ludzi — nakazała Mayo.

— Zrobimy, jak każesz, pani Mari, ale już powiedziałem, że nie jesteśmy czarownikami.

— A co to byyyło w pooorcie w San Sebastián tamtej nooocy?

— Widziała to pani, Wasza Miłość? — Mężczyzna przybrał fałszywie skromną minę. — To proste... wystarczyło wrzucić do ognia trochę siarki, nic więcej...

— A ta figuuura diabła wyłaniająca się z zuuupy?

— Aha... o to chodzi. — Brodacz odchrząknął parę razy i powiedział: — Z pewnością pani wiadomo jako bogini i wielkiej uczonej,

że pewne rośliny mają specjalną właściwość, która sprawia, że widzi się rzeczy, które nie istnieją. — Zamilkł na chwilę, po czym wyjaśnił: — Wrzuciliśmy do kotła belladonę. Najbliżej stojący omal zaczadzieli z dymu. Podobno w belladonie mieszka jakiś duch, który wychodzi na zewnątrz raz na rok, i pewnie zrobił to tamtej nocy. Ale mówiąc między nami, to był tylko dym. Nie wyobraża sobie pani, jak łatwo ludziom wmówić, że widzą różne kształty z dymu. Mój syn — wskazał na młodzieńca z białym okiem — wykrzyknął, że widzi czarownicę na miotle, a córka — wskazała na Catalinę — zawołała, że to demon. I tyle. Wszyscy to zobaczyli.

Mayo pomyślała, że mężczyzna ma rację. Kiedy bawiła się z Ederrą w odgadywanie zaklętych w chmury postaci, prawie nigdy nie widziała dokładnie, co tam było, dopóki Ederra jej nie powiedziała. Każdy widzi to, co chce widzieć.

Ale nie mogła więcej pytać, gdyż właśnie w tym momencie zauważyła, że przygasa ogień na gałęzi, która oświetlała ją od tyłu. Błyski blendy cynkowej były coraz słabsze, co groziło, że scenografia przygotowana z wielką pompą zaraz zrobi klapę. Najwyższy czas zakończyć widowisko. Mayo powtórzyła, że nie chce ich więcej widzieć w pobliżu Salazara i nie wolno im nękać jego ludzi, po czym odwróciła się na pięcie i uciekła, żałując, że to mało wytworne pożegnanie rzuca cień na jej wspaniały występ. Potknęła się, biegnąc, i straciła koronę z kwiatów, ale na szczęście zdążyła ukryć się w lesie, zanim tamci zorientowali się, że coś tu nie gra.

xxx

Salazara nie było już od tygodnia, toteż nastrój jego świty zaczął się pogarszać. Przyjazd do Tolosy odbył się bez incydentów. Zgodnie z poleceniem inkwizytora Íñigo i Domingo zaczęli od razu spowiadać i przesłuchiwać skruszonych czarowników tak sprawnie, że wkrótce zabrakło im chętnych, a z ceremonią pojednania musieli poczekać na Salazara. Nie wiedzieli, co począć. Obaj młodzieńcy umówili się, że postarają się ukryć jego nieobecność. Robili więc dobrą minę do złej gry, udawali zadowolonych i chwaili niezwykle uroki jesieni, kiedy przedstawiciele miejscowych władz uporczywie wypytywali o pana inkwizytora. Ale powoli sytuacja zaczęła wymykać im się z rąk. Zastanawiali się nawet nad powiadomieniem Supremy, nie dlatego, żeby chcieli poskarżyć się na Salazara przed zwierzchnikami, ale po prostu martwili się, czy coś mu się nie stało. Jego zniknięcie mogło mieć związek z czarownicami, a wtedy błędem byłoby udawać, że wszystko jest w porządku. Przedyskutowawszy ten problem, Íñigo i Domingo postanowili poczekać jeszcze tydzień, zanim podniosą alarm. Czas ten zamierzali wypełnić pracą, modlitwą i medytowaniem.

Íñigo skorzystał z tych przymusowych rekolekcji, aby rozejrzeć się w swoich uczuciach. Z każdym mijającym dniem jego umysł dokonywał sublimacji spotkania z leśną dziewczyną. Z materialnej prawdy o dwóch złączonych ciałach wstrząsanych dreszczem rozkoszy wydobył siłę emocji przenikającej jego ciało i duszę. Miłość wzbudziła w nim tęsknotę za niebezpieczeństwem, jakie groziło mu z jej powodu. Owo cudowne uczucie szczęścia, potrzeba doskonałości, pragnienie, aby głębiej oddychać, przeżywać każdą chwilę, jakby miała być ostatnią — to nie mogło być grzechem.

Nabrał przekonania, że ta dziewczyna była boską istotą i powrócił do tezy o niebieskim aniele, który zjawiał się przy nim, aby go strzec. Mimo wszystko i na wypadek, gdyby jednak się mylił, przeglądał Pismo Święte pod kątem uwag o samicach rodzaju ludzkiego. Z przykrością przeczytał u Koheleta stwierdzenie, że kobieta jest bardziej gorzka niż śmierć.

Wczesnym wieczorem Íñigo szukał samotności w kościele. Było tu o tej porze dnia tylko kilka dewotek, które modliły się po cichu, zapalając świeczki przed świętymi. Usiadł w bocznej ławce z Biblią w ręku. Pragnął znaleźć fragment zaprzeczający stwierdzeniu Koheleta. Przecież gdyby kobieta była taka straszna, Pan Bóg nie wybrałby Maryi Panny na matkę dla swego syna. Właśnie nad tym rozmyślał, kiedy znów poczuł jej obecność.

xxx

Sekret czworga rzekomych czarowników rozbrzmiewał w głowie Mayo niczym stłumiony krzyk. Wiedziała, że jest zbyt ważny, aby go ukrywać, dlatego pragnęła jak najprędzej podzielić się nim z ludźmi Salazara. Rozważyła kilka możliwości, jak to zrobić. Najpierw chciała zgłosić się na przesłuchanie, udając skruszoną czarownicę, i głośno opowiedzieć o tym, czego się dowiedziała, ale pomyślała, że jej słowa mogą być wzięte za drwinę w ustach opętanej i skończy w tajnym więzieniu, co teraz już jej nie odpowiadało, bo wiedziała, że Ederra żyje i przebywa w Vitorii. Jeszcze jedna rzecz ją paraliżowała. Bała się pokazać nowicjuszowi w świetle dnia. Do tej pory widywał ją w półśnie, przy pełni księżyca i pragnęła pozostać dla niego taką magiczną, idylliczną, poetycką

istotą. Poczula strach na myśl o tym, że ukochany nie wzruszy się na jej widok, że zobaczy ją taką, jaka jest naprawdę — nieśmiała i niepozorna — i nie będzie już dla niego rosą ogrodów świata jak tamtej miłosnej nocy. Może się zdarzyć, że wcale jej nie pozna, bo jeśli rytuał na ostudzenie miłości zadziałał, nowicjusz już jej nie pamięta. Dlatego Mayo wolała porozmawiać z nim w jakimś ustronnym miejscu, gdzie uda się zachować anonimowość.

Śledząc kroki Iñiga de Maestu, zobaczyła go wchodzącego do kościoła z książką pod pachą. Weszła za nim po cichu do tej świątyni mroku, który natychmiast ją otoczył, kusząc słodkim aromatem kadzidła. Światło wpadało przez kolorowe witraże w oknach, przedstawiające Jezusa, aniołów i apostołów w nabożnych pozach, i powoli zsuwało się na posadzkę. W tym świetle wszystko zdawało się pokryte delikatnym, niebieskawym welonem przetykanym złotymi iskrami świeczek, które skwierczały, wyrrywając wiernych z drzemki.

Mayo poczuła ten sam wszechogarniający spokój, który zawsze ją pociągał ku niezadowoleniu Ederry. Dźwięk organów, szum głosów modlących się ludzi, surowość ołtarza, w którym Jezus Chrystus nieustannie umierał na krzyżu za grzeszników... Mayo nie miała wątpliwości, że ten kościół jest godną siedzibą Boga.

Kroczyła powoli, czując mrowienie w bosych stopach od chłodu posadzki. Przesuwała palcami po oparciach ławek, dotykając z upodobaniem aksamitnej faktury drewna. Uzmysłowała sobie, że wcale się nie boi, tylko po prostu jest szczęśliwa. Bezszelestnie wślizgnęła się do ławki za plecami Iñiga i uklękła. Drewno cicho

zaskrzybiało i nowicjusz z trudem zapanował nad wzruszeniem.

— To ty? — wyjąkał strwożony. Bał się zarówno potwierdzenia, jak i zaprzeczenia.

Nic nie odpowiedziała. Teraz miała pewność, że ją pamięta i że na nią czekał. Serce zabiło jej szybciej i przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu.

— Nie odwracaj się, proszę.

Íñigo przesunął się do tyłu, opierając plecy o poręcz ławki i nie odwracając głowy. Czuł oddech dziewczyny na swojej szyi. Dreszcz przebiegł mu po ciele. Mayo mówiła, ledwo poruszając wargami.

— Opowiem ci bajkę. Lubisz bajki?

— Wolę prawdziwe historie — szepnęła.

— Masz szczęście, bo nie jest do końca jasne, czy to na pewno bajka.

Íñigo przykrył twarz prawą dłonią, aby nie wzbudzać podejrzeń, a również dlatego, że rozmowa szeptem kojarzyła mu się bardziej ze spowiedzią niż z czymkolwiek innym. Czuł wielką pokusę, żeby odwrócić się i spojrzeć na nią, ale się pohamował. Za górami, za lasami, Mayo rozpoczęła swą opowieść, żyła sobie niepozorna dziewczynka, która była ni mniej, ni więcej tylko córką diabła. Wędrowała w towarzystwie mężczyzny zakłętego w osła, który potrafił sumować cyfry i wystukiwał wynik kopytem. Dziewczynka była bardzo nieszczęśliwa, albowiem nie mogła znaleźć swej ukochanej niani, bardzo, bardzo dobrej kobiety, która знаła się na leczeniu chorób i dlatego uznano ją za czarownicę. Aresztowana przez inkwizycję została wypuszczona na wolność, kiedy okazało się, że jest niewinna, ale dziewczynka już jej nie zobaczyła.

Na szczęście dowiedziała się, że inkwizytorzy wyruszają na poszukiwanie innych czarowników, i postanowiła iść za nimi, mając nadzieję, że w ten sposób łatwiej odnajdą się z nianią. Po drodze odkryła, że nie tylko ją interesują panowie inkwizytorzy ze Świętego Oficjum. Śledzą ich także źli ludzie, którzy potrafią wywoływać omamy, udając czarowników. Robią to na polecenie człowieka zwanego Pryncypałem. Pewną nieszczęsną kobietę zadreńczyli do tego stopnia, że rzuciła się do rzeki. Jednego z pomocników inkwizytora natarli mandragorą i biedak miał złudzenie, że fruwa. Wykradali dokumenty, podstawili inkwizytorowi dziewczynę, która udawała opętaną przez diabła, otruli łowcę czarowników...

— Jak się kończy ta historia? — szepnął przejęty Íñigo, rozpoznając w niej swoją rolę.

— Jeszcze nie ma końca, sam go wymyślił — odparła szeptem Mayo. — Znajdziesz fałszywych czarowników w lesie za bagnami, na polanie koło kaskady.

— Ale to znaczy... że mogę mieć tylko wpływ na jeden z wątków opowieści — zaprotestował Íñigo — a drugi? Co z dziewczynką, która szuka swej niani?

— Ta dziewczynka... — rzekła cichutko Mayo — poznała pewnego razu piękne i niezwykle uczucie. Zdawało jej się, że ono wszystko usprawiedliwia. Upojona czułością nie od razu potrafiła zrozumieć, że istnieją wznioślejsze rzeczy, dla których warto poświęcić życie — kontynuowała ze smutkiem — ale ktoś jej powiedział, że woli umrzeć, niż żyć ze świadomością zdrady własnych przekonań. Takie życie byłoby umieraniem w każdej sekundzie.

— A jeśli ten ktoś nie miał racji, może...

— Nie — przecięła zdecydowanie i dodała, ścisząc głos: — on miał rację.

Zapadła cisza. Mayo zamknęła oczy i pieśczośliwie dotknęła nosem szyi nowicjusza. Chłopiec powstrzymał oddech. Wspominał na rodzinę, śluby zakonne i obietnicę złożoną Salazarowi, że nie spotka się już z tą dziewczyną. Oczy zalały mu się łzami.

— Nie wstydzę się tego, co do ciebie czuję — powiedział urywanym głosem. — Jestem bardzo dumny, że zdobyłem twoją duszę. Bardziej niż z tego, że miałem twoje ciało.

— Muszę już iść.

— Zaczekaj... jeszcze jedno. — Iñigo wytężył wszystkie siły, żeby się nie odwrócić. — Powiedz, jak się nazywasz. Tylko tyle.

Dziewczyna już miała odpowiedzieć, kiedy przypomniała sobie, że Mayo to nie jest prawdziwe imię. Mayo to imię zmyślane po to, żeby nikt nie mógł jej skrzywdzić. Prawdziwe imię znali tylko Beltrán i Ederra. Zawahała się na chwilę, ale uznała, że nowicjusz też można włączyć do tego wąskiego kręgu osób najwyższego zaufania. Przynęła usta do jego ucha i powoli wymówiła swoje imię, uważając, żeby się nie pomylić, bo robiła to po raz pierwszy. Zadźwięczało w uszach Iñiga jak syreni śpiew i powtórzył je szepcąc. Wymawiane powoli brzmiało jak modlitwa. Uprzytomnił sobie nagle, że oddech dziewczyny nie muska już pieśczośliwie jego karku. Odwrócił się szybko, ale w drzwiach kościoła mignął mu tylko cień szczupłej niebieskawej łydki.

Posiedział jeszcze trochę w tej ławce, zastanawiając się nad tym, co przed chwilą usłyszał. Pojawszy cały sens tej historii, zerwał się na równe nogi, wybiegł z kościoła i popędził do rezydencji, w której się zatrzymali na czas pobytu w tym mieście. Szukając Dominga, przebiegł jak wicher po pokojach, salach, zajrzał do kuchni i na dziedziniec, wołał go po imieniu, a kiedy go wreszcie znalazł, nie miał siły, żeby streścić mu to wszystko w kilku słowach.

— Falszywi czarownicy — wysapał. — Mieli plan naszej podróży, pamiętasz?

— Jasne, że pamiętam, ale co się...

— Wiem, gdzie ich znaleźć. Ruszaj się! — ponaglił Íñi-go. — Jeśli się pospieszymy, możemy ich tam zastać.

Błyskawicznie zorganizowali obławę. Zgromadzili wszystkich członków ekipy i poprosili burmistrza Tolosy o przydzielenie grupy wytrawnych myśliwych. Íñigo i Domingo powiedzieli mu, o co chodzi, dodając, że poszukiwani mogą okazać się naprawdę groźni i do końca nie wiadomo, na co ich stać. Uprzedzili, że trzeba będzie zachować ostrożność, ponieważ obóz tych pseudoczarowników otoczony jest drutem z czymś w rodzaju dzwoneczków i trudno ich podejść niepostrzeżenie. Naszkicowali plan, zaznaczając stanowiska dla każdego z uczestników obławy, i ruszyli w kierunku bagien, modląc się, żeby noc nie zapadła zbyt szybko.

Jakieś światło zamigotało wśród drzew, Íñigo podniósł do ust palec wskazujący na znak ciszy. Zwolnili kroku i pomału otoczyli obóz. Na polanie zobaczyli dwóch mężczyzn i dwie kobiety, którzy narobili im tyle kłopotów podczas tej wizytacji. Wszyscy czworo spoczywali przy jednym ognisku, tak zamyśleni, że nie zauważyli

nadciągającej oblawy. Zresztą nawet nie stawiali oporu. Wyglądało to tak, jakby spodziewali się takiego obrotu sprawy. Zostali związani i odstawieni do miasta, gdzie zamknięto ich w piwnicy ratusza. Domingo i Íñigo nie bardzo wiedzieli co dalej. Czekali na Salazara. Bez niego byli jak żołnierze bez dowódcy.

Zanim położyli się spać po tym dziwnym dniu polowania na fałszywych czarowników, młodzi zakonnicy wybrali się razem na spacer wokół patia. Chociaż na początku wizytacji brat Domingo de Sardo czuł irracjonalną niechęć do Íñiga de Maestu, teraz chętnie przebywał w jego towarzystwie, bo polubił go bardziej niż pozostałych członków świąty. Kroczyli w milczeniu, jednak Domingo miał wrażenie, że nowicjusz przygląda mu się ukradkiem z dziwnym uśmieszkiem na twarzy.

— Z czego się śmiejesz?

— Nie pytasz, skąd wiedziałem, gdzie ich szukać? — odparł enigmatycznie Íñigo.

— Czuję, że sam mi to powiesz z najwyższą ochotą. — Domingo przybrał cierpiętniczą minę.

— Powiedział mi to mój niebieski anioł — nie wytrzymał Íñigo.

— Znów zaczynasz!

Nowicjusz zatrzymał się pod drzwiami do pokoju Dominga, delectując się wrażeniem, jakie wywarły jego słowa, po czym powoli skierował się w swoją stronę, a Domingo stał i wpatrywał się w podłogę z lekkim uśmieszkiem błędzącym po twarzy, Íñigo przeszedł kilka kroków korytarzem, ponieważ jego pokój mieścił się trochę dalej. Ale co chwila odwracał głowę, żeby popatrzeć na kolegę.

— I czego się znów śmiejesz? — zapytał Domingo, udając zniecierpliwienie. — Dzieciak z ciebie! Nie rozumiem, dlaczego akurat ciebie wybrali do takiej misji!

— To ja miałem rację, a nie ty.

— Dzieciak!

— A jakże! Wyszło na moje!

Íñigo nigdy nie był taki szczęśliwy jak tej nocy.

XXV

O tym, jak czarownice przekazują swoją moc

Decyzja o rozstaniu z Íñigiem raz na zawsze była najtrudniejszą z tych, jakie Mayo miała kiedykolwiek w życiu podjąć. Po wyszeptaniu mu do ucha swojego sekretnego imienia westchnęła tylko głęboko i szybko wyszła z kościoła, bojąc się, że zmieni zdanie. Dotąd myślała, że w swoim krótkim życiu wycierpiała już wszystko, co człowiek może znieść, ale nie wyobrażała sobie, że tak bardzo boli rozstanie z ukochanym. Czuli, że ten ból nigdy nie minie, a miała przed sobą jeszcze długie lata cierpienia z miłości. Pocięszała ją jedynie myśl o spotkaniu z Ederrą. Nie widziały się już ponad rok. Pamięć zaczynała płatać jej figle i czasem nie umiała sobie przypomnieć rysów twarzy niani.

W nocy przed przybyciem do Vitorii Mayo de Labastide długo nie mogła zasnąć. Przebiegła myślą cały ten czas spędzony bez Ederry i doszła do wniosku, że dość dobrze poradziła sobie sama, nabrała śmiałości, uwierzyła, że są dobrzy ludzie na tym świecie,

a poza tym niektóre z jej zakłęb zadziały. Wkrótce dojdzie do końca tej nici, która dawała jej nadzieję: znajdzie swoją nianię i wszystko rozpocznie się od nowa.

O świcie długo kontemplowała miasto z oddali, wyęzając wzrok, aby dostrzec domy spowite lekką mgłą i próbując odgadnąć, w którym z nich śpi Ederra. Już wkrótce ją zobaczy. Beltrán deptał jej po piętach, kiedy wdrapywała się na zbocze, z którego wyrastało miasto. Z dala widziała grube mury kościoła Świętego Andrzeja w otoczeniu zieleni pól. Obserwowała uliczki świeżo wymiecione przez ostrą bryzę listopadową, która zostawiała obłoczki pary wokół pyska Beltrána. Mayo postanowiła wybrać na chybił trafił ulicę i zagadnąć pierwszą napotkaną osobę. Przed jednym z domów stała grupa kumoszek.

— Gdzie mieszka Gracia de Iturralde albo... — bała się o to zapytać — albo Ederra?

— Ach tak...

Kobiety popatrzyły na siebie w milczeniu. Mayo nie miała ochoty wdawać się w długie wyjaśnienia.

— Jestem młodszą siostrą.

— Młodszą siostrą jednej i drugiej? — spytała rezolutnie jedna z kum.

— Tak... to znaczy nie... no jasne. — Mayo roześmiała się bez zapału. — Jestem młodszą siostrą jednej z nich.

— Której? — indagowała kobieta.

— Ederry — szepnęła, splatając palce obu rąk.

Kobiety zmierzyły ją wzrokiem, jakby zastanawiając się, czy można jej zaufać, ale egzamin wypadł chyba pomyślnie, bo chwilę potem otrzymała dokładne informacje.

Poszła drogą wiodącą poza miasto. Oczy zachodziły jej mgłą. Z przejścia ścisnęło w żołądku; przez chwilę miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Zatrzymała się, żeby zaczerpnąć powietrza. Ziemia pachniała paprociami; czuła ten zapach aż w gardle. Jeszcze tylko parę kroków, była już tak blisko.

Mały domek stał wśród jabłoni, tak jak powiedziały kobiety. Wyglądał jak dom dla lalek: biały, kryty czerwoną dachówką, z kępkami mchu na rogach. Obok znajdowała się niewielka szopa i grządki z warzywami, których nie rozpoznała. Przystanęła pod drzwiami, nasłuchując. Dobięł ją charakterystyczny trzask ognia i bulgot wody w garnku. Serce wyrywało się jej z piersi. Policzyła do trzech i podjęła decyzję. Krew uderzyła jej do głowy. Drzwi otwarła kobieta mniej więcej czterdziestoletnia uczesana w luźny kok: miała szare oczy lekko podkrążone i zgrabną talię.

— Pani Gracia de Iturralde?

Kobieta spojrzała na nią takim wzrokiem, jakby ziemia usuwała się jej spod nóg.

— Nazywam się Mayo de Labastide d'Armagnac — przedstawiła się. — Długo by wyjaśniać, co mnie tu sprowadza, w każdym razie...

— Tak... Wiem, kim jesteś. Widzę, że przyprowadziłaś ze sobą Beltrána — odpowiedziała z uśmiechem. — Dużo o was słyszałam. Czekałyśmy na tę wizytę. Wejdz.

Otworzyła drzwi, patrząc na Mayo z ciekawością jak na kogoś, kogo widzi się po raz pierwszy, choć od dawna zna się go ze słyszenia. Przez wiele miesięcy tworzyła sobie w myślach portret dziewczyny, ale teraz, kiedy miała ją przed oczami, nie umiała jej rozpoznać.

— Wyglądasz młodziej, niż myślałam. Masz piętnaście lat, prawda? — spytała.

— W maju skończyłam szesnaście.

— No tak! — westchnęła kobieta. — Czas szybko leci. — Chwilę milczała, a potem powiedziała: — Osoba, której szukasz, jest w oborze. Ucieszy się, jak cię zobaczy.

Mayo wybiegła z domu, trzymając się za serce. Beltrán spojrział na nią, nic nie rozumiejąc, kiedy przebiegała obok.

— Ederra tu jest, Beltranie... tuż obok — zawołała, pokazując palcem.

Biegnąc przez podwórko, miała wrażenie, że czas i przestrzeń wydłużają się w nieskończoność. Drzwi do obory były półotwarte, więc wsunęła się po cichu, delektując się tą chwilą w przeświadczeniu, że radość z długo oczekiwanego spotkania tkwi w tym cudownym momencie tuż przed, a nie w samym spotkaniu ani w późniejszych wspomnieniach. Tak bardzo za nią tęskniła... Ederra, Ederra, Ederra...

W oborze było ciemno. Trochę światła wpadało przez małe okno. Najpierw Mayo nic nie widziała, a kiedy oczy przyzwyczyły się do półmroku, ujrzała plecy kobiety, która doiła krowę. Zobaczyła szczupłą talię przewiazaną fartuchem i głowę przykrytą białą chustką. Powoli podeszła bliżej, wpatrując się w tę kobietę jak w obraz. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Zatrzymała się o dwa kroki od niej, na wyciągnięcie ręki. Mogła jej dotknąć, gdyby zechciała. Przecież to Ederra. Nareszcie ją znalazła.

Kobieta wyczuła obecność dziewczyny i odwróciła się. Mayo reagowała w zwolnionym tempie. Szukała zielonych oczu Ederry, czerwonych warg, białych zębów, patrzyła, czy spod chustki nie

wystaje choć jeden kosmyk rudych kręconych włosów. Ale nie takiego nie znalazła. Nie było tu Ederry. To jakaś obca kobieta.

— Mayo, to ty, prawda? — spytała nieznajoma, wyrывая ją z oszłomienia i nie czekając na odpowiedź. — Wiedziałam, że prędzej czy później mnie odnajdziesz. Twoja niania tak powiedziała. Bóg mi świadkiem, że jesteś jedyną osobą, z którą rozmawiam o mej przeszłości, są takie bowiem długi, których nie można nie spłacić, i takie przysługi, które zasługują na dozgonną wdzięczność. Trzeba ci wiedzieć, że po raz drugi urodziłam się w niedzielę siódmego listopada tysiąc sześćset dziesiątego roku, tego samego dnia, kiedy odbyło się wielkie autodafé w Logroño.

— Nic nie rozumiem... O czym pani mówi? Gdzie jest Ederra? — wymamrotała Mayo, rozglądając się na boki.

— Nazywam się Maria de Echalecu. To, że tu jestem i żyję, zawdzięczam Ederze. O tym mówię.

— Ale ja nie rozumiem...

— Ona była przy mnie od pierwszej chwili, kiedy nas aresztowano — kontynuowała Maria. — Ja wciąż tylko płakałam, czułam się bardzo nieszczęśliwa, nie dlatego, że bałam się ludzi Świętego Oficjum, ale z powodu rozstania z Gracją. Bałam się, że już jej nigdy nie zobaczę. Ederra pocieszała mnie przez całą drogę. Po przyjeździe do Logroño obcięli nam włosy i ostrzygli nas do samej skóry, bo wykryto wszy, a potem zaczęli przydzielać cele. Wszystkie były zajęte, nie starczało miejsca dla nowych więźniów, więc obie z Ederra znalazłyśmy się w jednej celi, gdzie były już dwie starsze kobiety, matki zakonników przetrzymywanych w tym samym więzieniu, tylko dalej.

— Juan de la Borda i Pedro de Arburu — przypomniała Mayo.

— Tak, właśnie tak się nazywali. Staruszki opowiedziały nam, co się dzieje. Zaznaczyły, że jeśli chce się stamtąd wyjść, trzeba udawać, że się należy do sekty czarownic i wyrazić skruchę. Ale one odmawiały złożenia takich zeznań. Nie chciały dawać fałszywego świadectwa.

Maria de Echalecu zaczęła opowiadać, że z sali tortur wciąż dobiegały krzyki i jęki więźniów, tak jakby ściany były z papieru, a nie z kamienia.

— Nie mogłam spać... nie mogłam jeść. Za każdym razem, gdy ktoś przechodził pod drzwiami celi, sztywniałam z przerażenia. Wreszcie Ederra wytłumaczyła mi, że nic nie trwa wiecznie, trzeba uzbroić się w cierpliwość, a czas zrobi swoje. Nasze ciała muszą pozostać tam, gdzie są, ale nikt nie uwiezi naszych myśli.

Ederra radziła kobietom, by zamknęły oczy i wyobraziły sobie, że są w wilgotnym lesie. Czują dotyk miękkich liści pod stopami, pachnie ziemią i mchem, wdychają zapach sosen i grzybów. Prosiła, aby wyobraziły sobie niewidzialną złotą sieć, uplecioną przez słońce na koronach drzew, ciszę, rześki powiew wiatru, pieśczoły, których kiedyś zaznały, i żeby poczuły w ustach zapach świeżo upieczonego chleba, cytryn i miodu.

— Długo tak mówiła do nas szeptem — wspominała Maria. — Miała taki aksamitny głos, a jej słowa były kojące.

Kiedy widziała na naszych twarzach spokój, bo myślami byliśmy daleko od tego piekła, wtedy ona też milkła i zamykała oczy. Pewnie wyobrażała sobie, że jest razem z tobą. — Maria popatrzyła na Mayo. — Obie postanowiliśmy udawać czarownice, żeby się

uratować, ale nie zdążyliśmy wprowadzić tego planu w życie. Ludzie zaczęli chorować. Woda i chleb były zakażone. Ederra też poczuła się źle. Strażnik mówił zza drzwi, żeby jeszcze trochę wytrzymała, bo słyszał, że nie mają na nią dowodów i pewnie ją wypuszczą, ale ona, biedaczka, ledwo trzymała się na nogach. Pewnego ranka zawołała, żebym podeszła do łóżka... Opowiedziała mi o tobie, o Beltránie i o waszym życiu... — Spuściła wzrok z taką miną, jakby miała się rozpłakać, ale zaraz podniosła głowę i dalej mówiła: — Zaproponowała, żebyśmy się zamieniły ubraniami. Kazała zdjąć bandaż ze swej kostki i owinać nim moją nogę. Poradziła, żebym przykryła się jej płaszczem od stóp do głów. Po dokonaniu tej zamiany szepnęła mi do ucha: „odchodzę”. Kiedy przyszli zabrać ciało, powiedziałam, że zmarła nazywała się Maria de Echalecu. Nasze towarzyszki z celi... matki zakonników, popatrzyły na mnie spod oka, ale nic nie powiedziały. Dwa dni później Ederra została zwolniona z braku dowodów. W ten oto sposób wyszłam przez główną bramę przebrana za Ederre. Byłam wolna i mogłam żyć. Po kryjomu zajrzałam do rodzinnego miasteczka, bo chciałam porozmawiać z Gracia. Dowiedziałam się jednak, że ona opuściła męża zaraz po moim aresztowaniu. Pamiętałam, że ma rodzinę w Rentería, więc pomyślałam, że może tam ją zastanę... Miałam szczęście. Postanowiłyśmy przenieść się do Vitorii, gdzie nikt nas nie zna. Obie uciekałyśmy: ona przed swoim okropnym mężem, który zniszczył jej życie, ja — przed sobą z przeszłości, ponieważ tamta Maria umarła. Czekałam już tylko na ciebie, żeby odwdziaczyć się Ederze za przysługę.

Obie milczały wsłuchane w trzask drewna, odgłosy przeżuwania krów i lekko świszczący oddech Mayo. Maria patrzyła na nią ze smutkiem, zrozumiawszy, że właśnie zabiła w niej duszę.

— Ojciec zawsze powtarzał, że tchórze umierają po tysiąckroć, zanim przyjdzie śmierć — zaryzykowała nową opowieść — a odważni będą żyć zawsze. Ederra była najodważniejszą i najszlachetniejszą osobą, jaką znałam. Dała mi swoje życie. Codziennie rano dziękuję, że miałam szczęście spotkać ją na swej drodze.

— Mnie też dała życie — szepnęła Mayo.

— Przed śmiercią przekazała mi coś dla ciebie.

Maria podniosła się i wyszła na chwilę z obory. Wróciła z różową chusteczką z zawiązanymi rogami. Mayo wiedziała, co jest w środku.

— Nie kazała mi dotykać, bo magiczna moc przechodzi z ręki osoby umierającej do ręki tej, która pierwsza tego dotknie.

Był to igielnik Ederry. Miejsce schronienia dla *Famerikelak*, ludzików wyglądających jak diabły w czerwonych porteczkach, które ukrywają się w igielniku, dając właścicielce magiczną czarodziejską siłę. W momencie śmierci musi ona przekazać igielnik innej kobiecie, bo inaczej magia zniknie. Teraz Mayo odziedziczy niesłychaną moc Ederry. Wystarczy, że dotknie igielnika. Trzymała go w dłoni przez chusteczkę, nie odważając się rozsupłać zawiązanych rogów.

— Ponad rok temu wyszłam z więzienia w Logroño i odtąd nazywam się Ederra. Na jej cześć — powiedziała Maria. — Nie wiem jednak, jak miała naprawdę na imię.

Mayo zawahała się, pomyślała jednak, że teraz to już nie ma

znaczenia i może wymówić je głośno. Nie stanie się nic złego, gdyż klątwa działała tylko wobec osób żywych. Dobrze, że ktoś oprócz niej pozna imię Ederry, albowiem w gruncie rzeczy istnieje tylko to, co zostało nazwane. Niania istniała zaś w rzeczywistości, nie tylko we śnie.

— Xacobe — szepnęła przygnębiona Mayo. — Nazywała się Xacobe. Ale nie wiedziała, kto i dlaczego nadał jej to imię.

xxx

Obie kobiety odprowadziły ją do furtki. Mayo wyruszyła w drogę, trzymając się mocno Beltrána i czując w środku ten kudłaty kłębek, od którego zapierało dech w piersiach. Po raz pierwszy w życiu dziwna wilgoć pojawiła się na jej policzku, jakby ktoś przesunął po nim ciepłym palcem. Dotknęła twarzy ręką i zobaczyła, że to łza, zwykła, nieduża kropla, ale z całą pewnością łza. Wypłynęła niemrawo z jej lewego oka, a Mayo nawet nie zauważyła, kiedy to się stało. Za tą pierwszą pociekła następna i jeszcze następna... Z prawego oka też zaczęło kapać i Mayo ucieszyła się, że jej łzy nie są wyłącznie lewostronne.

Szła dalej, płacząc i płacząc, najpierw zadziwiona, potem zmarzwiona, jeszcze później zrezygnowana, a na koniec — płakała i śmiała się na przemian, wprawiając tym Beltrána w wielkie zdumienie, bo osioł nie pojmował nic z tego, co się działo, dopóki Mayo nie wyjaśniła, że wreszcie Ederra wyleczyła ją z tego głupiego problemu ze łzami, jak to obiecała przed laty. Bez znaczenia jest fakt, że zrobiła to dopiero teraz, najważniejsze, że śmierć nie stanowi dla niej żadnej przeszkody.

Raz zacząwszy płakać, Mayo długo nie mogła się uspokoić, w kwestii płaczu miała bowiem szesnaście lat zaległości.

XXX

Salazar powrócił do Logroño. Zaraz na wstępie zaznaczył, że nie będzie dyskutował o wynikach swych badań z kolegami Vallem i Becerra, lecz oni uparcie wystawali w korytarzach i pukali do jego drzwi o najmniej stosownej porze, żeby uzyskać jakikolwiek komentarz na temat wizytacji. On jednak milczał; wolał nie powiedzieć, niż zdradzić najdrobniejszy, nieciekawy szczegół, bo potem wykorzystaliby to przeciwko niemu. Zamknął się w swoim pokoju na cztery spusty, żeby uporządkować dokumenty, zapisy rozmów i zgromadzone dowody; obłożył się notatkami, kartkami papieru i piórami, przystępując do zredagowania pierwszej wersji raportu, który zatytułował: *Relacja i epilog tego, co wynikało z wizytacji przeprowadzonej przez Święte Oficjum w górach królestwa Nawarry i na innych terenach zgodnie z edyktem łaski ogłoszonym dla takich, którzy zblądzili, przystępując do sekty czarowników. Spisane według zeznań i dokumentów, które w całości zostały przekazane radzie.*

Wysłał inkwizytorowi generalnemu kopię tego raportu, dołączając zapis przesłuchania czworga fałszywych czarowników. Salazar poinformował Bernarda de Sandovala y Rojasa, że ta grupa — dwaj mężczyźni i dwie kobiety — była tylko narzędziem w rękach innych osób. Dodał, że posiada dowody, które pozwolą zde-maskować prawdziwych winowajców, zna już prawie na pewno tożsamość mężczyzny, który zlecił im to zadanie, i domyśla się, kim jest ten drugi zwany Pryncypałem (ten jest niebezpieczniejszy,

jako że to on pociąga za wszystkie sznurki), ale powie o tym inkwizytorowi generalnemu osobiście, ponieważ nie ma zaufania do poczty. W istocie Salazar obawiał się reakcji swego protektora na ujawnienie nazwisk głównych podejrzanych. Nabrał bowiem niezbitego przekonania, iż odpowiedzialność za śmierć królowej i wszystkie kłopoty oraz nieszczęścia zaistniałe podczas wizytacji ponoszą księżę Lerma i jego sekretarz Rodrigo Calderon. Inkwizytor generalny był wujem księcia Lermy, toteż należało działać ostrożnie i przedstawić mu niepodważalne dowody. Zresztą Salazar wciąż nie potrafił zrozumieć, jakie były motywy głównych winowajców. Dlaczego włożyli tyle wysiłku, żeby zniszczyć jego misję i zachwiać stabilnością religii w tym królestwie. Gdyby się tego dowiedział, wszystko byłoby prostsze.

Cztery miesiące zajęło mu przygotowanie raportu dla Supremy. Był jednak zadowolony ze swej pracy i przekonany, że inkwizytor generalny zgodzi się z jego wnioskami i złoży mu gratulacje. Ku swemu zdziwieniu nie otrzymał żadnej odpowiedzi od Bernarda de Sandovala. Napisał do niego ponownie, pragnąc sprawdzić, czy przesyłka nie utknęła aby w morzu biurokracji, ale Sandoval odpowiedział, że nie miał czasu przeczytać raportu, ponieważ jest bardzo zajęty. Minęły kolejne dwa miesiące i uwzględniając usilne prośby Salazara, obiecał mu spotkanie, kiedy tylko uwolni się od niecierpiących zwłoki spraw, które obecnie pochłaniają całą jego uwagę.

Salazar zaczął podejrzewać, że jego wielki przyjaciel, protektor i mentor zwodzi go tą obietnicą. Mijały tygodnie, wysłał mu dziesiątki listów, nalegając na spotkanie, ale za każdym razem

okazywało się, że coś stoi temu na przeszkodzie albo z kolei Valle i Becerra wyciągali na jaw nowe dowody i Salazar musiał odpowiednio się do nich ustosunkować. Był już zmęczony tym ciągłym obalaniem fałszywych świadectw. Wszystko wskazywało na to, że cały jego wysiłek i poświęcenie, jego zadziwiające odkrycia, które powinny zachwiać fundamentami, na jakich dotąd opierały się procesy Świętej Inkwizycji, pójdą na marne. Kiedy protestował, okazując swe niezadowolenie w listach do inkwizytora generalnego i prosząc o możliwość osobistego poinformowania go o swych odkryciach, ten przysyłał mu w odpowiedzi kilka uspokajających słów w pobłażliwym tonie, jakiego używa się wobec szaleńca, i — serdecznie, lecz stanowczo — proponował przełożenie spotkania na późniejszy, bliżej nieokreślony termin.

Po kolejnej odmowie Salazar postanowił udać się do gmachu Supremy, ponieważ był bardzo zdziwiony, że jego czcigodny przyjaciel nie wykazuje ani krzty zaciekawienia tym, co on ma mu do powiedzenia. Nie rozumiał, dlaczego inkwizytor generalny przestał się nim interesować. Przecież łączyła ich wzajemna sympatia. To Sandoval wplątał go w tę sprawę. Na jego prośbę i polecenie Salazar zaangażował się w to przedsięwzięcie, narażając na szwank własne dobre imię i honor. Nikt tyle nie zaryzykował.

Ujrzawszy z daleka wznoszący się pośrodku placu budynek Supremy, poczuł dreszcz. Nie lubił tu przychodzić z własnej woli, bez wezwania, ale ta sytuacja stawała się nie do zniesienia nawet dla człowieka, który — tak jak on — niejedno w życiu przeszedł i nabrał stoickiej cierpliwości. Zdecydowanym krokiem podszedł do

głównego wejścia, którego strzegł młody żołnierz, sztywny ze strachu na swej pierwszej warcie. Zobaczywszy kątem oka inkwizytora, stanął w drzwiach, zasłaniając wejście. Salazar lekko skłonił głowę na powitanie i zamierzał ominąć go bez słowa, ale chłopak nagle oprzytomniał.

— Nie wolno — powiedział niechętnie.

— Mam pilną sprawę do inkwizytora generalnego — wyjaśnił Salazar.

— Niestety, nie mogę was wpuścić — odparł młodzieniec.

— Jak to nie możesz? Czy nie widzisz, kim jestem? Mam ci to przypomnieć?!

Salazar podniósł głos, żeby jeszcze bardziej zbić z tropu oniesmielonego młodzieńca. Krzyki zwróciły uwagę dominikanina, który właśnie przechodził przez wewnętrzny dziedziniec i zaintrygowany zbliżył się do drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje. Patrząc przez ramię, obrzucił inkwizytora długim, drwiącym spojrzeniem.

— Przykro mi — powiedział — ale Wasza Wielbność ma dziwne poczucie stosowności graniczące z nietaktem.

Don Bernardo de Sandoval y Rojas jest obecnie zajęty sprawami, które wymagają niepodzielnej uwagi. Należało umówić się wcześniej na prywatną rozmowę. Radzę o tym pamiętać przy następnej okazji. Dziękuję.

Dominikanin wyrecytował to jednym tchem, jakby nauczył się na pamięć, po czym zająknął się i zamilkł, bo nie miał nic więcej do dodania.

— Wiesz, kim jestem?

— Inkwizytorem z Logroño. Alonso de Salazar y Frías, nieprawdaż? — odparł tamten, mierząc go aroganckim wzrokiem.

— Świetnie. Więc bądź tak miły i natychmiast zawiadom inkwizytora generalnego o moim przybyciu. Z pewnością zmieni priorytet ważności, kiedy dowie się, co mnie tu sprowadza. — Spojrzał znacząco na pakiet papierów pod swoją pachą. — Jestem w posiadaniu dokumentów dowodzących, iż czarownicy w komitywie z demonem zaplanowali na tę siedzibę zbrojny atak, który rozpocznie się za pół godziny.

Młodzieniec, który do tej pory tkwił w zdyscyplinowanej pozycji wartownika, patrząc przed siebie i udając brak zainteresowania rozmową dwóch zakonników, odwrócił się raptownie w ich stronę z przerażoną miną. Salazar szepnął mu do ucha, zmieniając ton głosu na bardziej tajemniczy:

— Czarownicy będą wyjątkowo okrutni dla młodzieży.

Dominikanin powiedział niechętnie, żeby chwilę zaczekał.

Kiedy wrócił, był pełen pokory i potulnie poprosił Salazara, aby zechciał mu towarzyszyć. Kroczyli po krętych korytarzach dobrze znanego inkwizytorowi budynku, przechodząc obok licznych sal i poczekalni. Dobiegał ich jedynie odgłos własnych kroków. Gabinet Bernarda de Sandovala był pusty. Zakonnik otworzył bez pukania drzwi i wzrokiem dał znak Salazarowi, żeby wszedł.

— Proszę tu zaczekać. — Wpuścił go, a sam się oddalił, zamykając za sobą drzwi.

Gabinet don Bernarda de Sandovala mieścił się w przestronnej sali. Ściany z ciemnego kamienia pokrywały gobeliny przedstawiające ze wszystkimi szczegółami kolejne stacje męki Chrystusa. Pośrodku stało biurko wsparte na czterech spiralnych nogach zakończonych lwimi pazurami. Na nim znajdowały się: brązowa

skórzana teczka, kałamarz inkrustowany srebrem i eleganckie pióro bażanta. Obok biurka stały dwa dębowe krzesła wyściełane aksamitem w kolorze krwistoczerwonym. Na oparciach była wyrzeźbiona scena Ostatniej Wieczery z dwunastoma apostołami i Panem Jezusem. W tym pomieszczeniu, celowo urządzonym tak, aby już w progu onieśmielić wchodzących, Salazar poczuł się strasznie mały.

— Cieszę się, że cię widzę, drogi Alonso.

Inkwizytor generalny wszedł bezszelestnie, sprawiając, że Salazar wzdrygnął się nerwowo przyłapany na wpatrywaniu się w olejny portret Bernarda de Sandovala górującego nad salą.

— Jak ci się podoba? — zapytał, wskazując na obraz. — Namalował go Pantoja de la Cruz na zamówienie mojego bratanka.

— Ładny — odparł lakonicznie Salazar.

Poszukał dłoni inkwizytora generalnego, aby ucałować pierścień, ale ten natychmiast ujął twarz przybysza w swoje ręce, jak ojciec witający syna marnotrawnego. Bernardo de Sandoval y Rojas wskazał wzrokiem krzesło i sam usiadł naprzeciwko.

— Nie powinienes żartować sobie z młodych, drogi Alonso. Ktoś, kto cię dobrze nie zna, nie wyczuje w twoim głosie ironii. Wystraszyłeś mi chłopców pilnujących wejścia. Przez kilka dni będą przerażeni. — Wybuchnął nienaturalnym śmiechem. — Nie wolno robić sobie żartów na temat czarownic. Ludzie są bardzo przewrażliwieni. Kto jak kto, ale ty powinienes to wiedzieć najlepiej.

— Czyżby? — Salazar pozwolił sobie na sarkazm. — Naprawdę sądzicie, że kwestia czarownic budzi aż taki niepokój? Ciekawe,

dlaczego nikt nie chciał ze mną rozmawiać na ten temat.

— Widzę, że jesteś porywczy jak zwykle i że postanowiłeś przyjść do mnie bez uprzedzenia.

— Od ponad siedmiu miesięcy próbuję uzyskać audiencję — odparł zniechęcony.

Bernardo de Sandoval y Rojas zdawał się nie dostrzegać goryczy tych słów. Podał dwa kieliszki wina bursztynowej barwy i ze znanstwem objaśniał, iż wyrób takiego wina wymaga nie lada wirtuozerii i tylko jeden region we Francji posiada odpowiednie pod względem temperatury i wilgoci warunki niezbędne do uzyskania tak cudownego nektaru.

— Spróbuj, proszę. Ma wyborny, zadziwiający smak. Tłoczone ze zgniłych winogron, czy dasz wiarę?

Inkwizytor generalny wyjaśnił, że od śmierci Henryka IV, niech Bóg ma go w swej chwale, stosunki z sąsiedzkim krajem uległy poprawie. Niewątpliwie zyskały na tym oba królestwa w wielu dziedzinach, ale nie pora na dyskusje, może innego dnia, kiedy będzie większy spokój, powrócą do tej sprawy. Mówił dalej takie banały, póki nie trafił na zaskoczony spojrzenie Salazara. Wtedy umilkł, wypił łyk wina i westchnął.

— Czy Wasza Eminencja pamięta, co napisałem o dwóch osobach, które wynajęły oszustów i kazały im udawać czarowników, żeby naprowadzić mnie na błędny trop podczas wizytacji? — zapytał Salazar, patrząc inkwizytorowi generalnemu prosto w oczy. — Ci oszuści mieli wszystkie niezbędne informacje na mój temat.

— Wiem. To jest... to naprawdę straszne, drogi Alonso.

Salazar wstał z krzesła i zaczął chodzić po gabinecie.

— Jak zaznaczyłem w jednym z ostatnich listów, sędzę, że wiem, kim są winowajcy. Zostawili zbyt dużo śladów.

Rzekomi czarownicy otrzymali informacje na papierze, którego używa tylko dwór i Święte Oficjum. Oto ten papier.

Otworzył skórzaną teczkę, leżącą na biurku inkwizytora generalnego, i wyciągnął z niej czystą kartkę. Bernardo de Sandoval y Rojas zbladł, ale nic nie powiedział.

— Długo zastanawiałem się, czemu unikacie rozmowy ze mną — kontynuował Salazar. — Mniemam, że Wasza Eminencja dobrze wie, z czym przychodzę. Zależało mi na tym, abyśmy najpierw porozmawiali w cztery oczy, zanim coś postanowię w tej sprawie. Robię to tylko i wyłącznie z szacunku do was. — Zamilkł z wyrazem zażenowania na twarzy, po czym podjął watek: — Przykro mi to zakomunikować, ale podejrzewam, iż wasz bratanek, książę Lerma, jest odpowiedzialny za śmierć królowej i ataki na wysłanników Świętego Oficjum podczas wizytacji.

— Mój drogi Alonso — inkwizytor generalny mówił powoli — przede wszystkim wiedz, że zawsze byłeś mi bliski jak syn i że nie zrobiłbym nic, co mogłoby ci zaszkodzić. Ale jest coś ważniejszego niż ty i ja, coś większego, co przetrwa w czasie tak jak te kamienne mury, które dają nam schronienie. — Podniósł się z krzesła i założył ręce do tyłu. — Powierzając ci stanowisko trzeciego inkwizytora Logroño, uczyniłem to z całą znajomością sprawy i z przekonaniem, że jesteś właściwym człowiekiem do takiej pracy. — Sandoval patrzył na niego z podziwem. — Jesteś rozważny, staranny i nieskłonny uwierzyć na słowo... Postawiłem na ciebie, gdyż byłem

pewien, że postąpisz tak jak ja, że myślisz podobnie jak ja, że nie dasz się omamić w tej historii z czarownicami.

— Czy to znaczy, że zmieniliście zdanie w tej sprawie?

— To, co ci powiem, usłyszysz tylko raz. Nie będę tego powtarzał. Robię to, ponieważ jesteś do mnie przywiązany, a także dlatego, że mam do ciebie wiele sympatii, choć miałeś prawo w to zwątpić. Proszę tylko o jedno: spróbuj zrozumieć i postaraj się mi wybaczyć.

Bernardo de Sandoval y Rojas, inkwizytor generalny, protektor, mentor i przyjaciel Salazara, opowiedział mu, że królestwo cierpi na poważny kryzys gospodarczy. Pokojowe stosunki z resztą krajów i małżeństwa z rozsądku, zaaranżowane przez księcia Lermę, które miały zaradzić temu problemowi, nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Rada zgromadzeń dokonała analizy sytuacji, dochodząc do wniosku, iż Kastylia, główna i jedyna podpora hiszpańskiego królestwa, nie udźwignie więcej ciężarów. Ludzie głośno protestowali, trzeba było poszukać nowych źródeł finansowych.

— Co to ma z nami wspólnego? — wtrącił Salazar.

— Aby wyrzucić presję podatkową na inne królestwa, trzeba doprowadzić do tego, żeby uznały konieczność podporządkowania się władzy centralnej. Dopóki są w stanie same się bronić, prac własną brudną bieliznę i radzić sobie bez nas... nie zgodzą się na większe podatki. Rozumiesz, przyjacielu?

— Próbuję zrozumieć.

— W ostatnich czasach Nawarra i Kraj Basków przestały nas potrzebować. Wiele jest przyczyn takiej sytuacji, ale nas interesuje

szczególnie jedna sprawa: religia — położył nacisk na to słowo. — Choć tyle wysiłku włożyliśmy w proklamowanie Jedynej Prawdy... sytuacja Kościoła na północy kraju jest wciąż dość niepewna. Odkryliśmy, że mieszkańcy tych regionów pielęgnują dawne wierzenia, które nadal są żywe w ich umysłach. Dużo ważniejsza od Boga Wszechmogącego, którego im głosimy, jest dla nich bogini Mari ze swoim orszakiem górskich i rzecznych duchów. Te niegodziwe idee zatrwały baskijsko-nawaryjski świat. Argumenty wiary katolickiej nie sprowadziły ich na właściwą drogę. Nadal trzymają się wierzeń niezgodnych z religią, której broni nasz pan, król Filip Trzeci. Tak długo, jak ich argumenty będą rozbieżne z naszymi, dystans między terytoriami będzie się powiększał. Nie w sensie fizycznym, rzecz jasna, tylko duchowym. Skoro ich pogańskie bóstwa potrafią przywrócić ład, zapewnić szczęście, pomyślność i zgodę, to niby dlaczego mieliby nas potrzebować? I dlaczego mieliby płacić większe podatki, jeśli mogą obejść się bez naszego monarchy?

— Chcecie powiedzieć, że...

— Należało im wmówić, że wszystkie nieszczęścia, jakie na nich spadają, są dziełem Szatana, Upadłego Anioła, który sprowadza całe zło i niszczy ludzkie życie. Trzeba było ich przekonać do chrześcijańskiej wiary, która mówi, że Szatan istnieje naprawdę, a jego wyznawcy gotowi są zniszczyć wszystko, czego się dotkną. Nikt z nimi nie wygra, tylko inkwizycja i silna władza królewska. Jeśli uwierzą, że demon chodzi bezkarnie po ziemi, wcielając się w ich sąsiadów, jeśli uda nam się podważyć pogańskie rytuały jako domenę złą, to wtedy... Wtedy będą nas potrzebować. Będą

potrzebować tego królestwa naszego, w którym mieszka Bóg niezawodny i prawdziwy.

— No nie! — zawołał Salazar. — Bratanek nakładł wam do głowy takich bzdur, manipuluje wami, czy tego nie widzicie? Książę Lerma próbuje ukryć swoje matactwa i wykorzystuje to, iż Wasza Eminencja jest człowiekiem wielkiej szlachetności...

— Nie gorączkuj się, synu — przerwał mu Bernardo de Sandoval spokojnie. — To ja jestem Pryncypałem.

Salazar pomyślał, że się przesłyszał. Nic nie rozumiał. Te słowa spadły na niego jak piorun z jasnego nieba. Usiadł na krześle, porażony, wbijając wzrok w podłogę.

— Wykorzystaliście mnie.

— Nie sądz tak. — Inkwizytor generalny westchnął głęboko. — Posłałem cię tam, żebyś zapanował nad sytuacją. Zaczynałem się już obawiać, że sprawa czarownic wymyka się nam z rąk. Twoi koledzy z Logroño byli zbyt gwałtowni... musiałem ich utemperować. Prowadziłeś swoje dochodzenie w sposób nadzwyczajny... z dokładnością i rygiorem godnymi pozazdroszczenia. Wiedz, że dla mnie nie ma lepszego inkwizytora niż ty.

— Były ofiary... Juana de Sauri i Pedro Ruiz de Eguino nie żyją — bąkał Salazar.

— Nawet nie wiesz, jak bardzo nad tym ubolewam. Ale to był wypadek, mój drogi Alonso... nieszczęśliwy wypadek. Tę kobietę chciano tylko przestraszyć, niepotrzebnie dała się ponieść nerwom i rzuciła się do rzeki. Natomiast jeśli chodzi o Pedra Ruiza de Eguino... jego rola polegała jedynie na tym, żeby złapać kilka czarownic i zasiać panikę tam, gdzie ty jeszcze nie dotarłeś, ale okazał

się nadgorliwy. Jest w tym trochę i twojej winy, Alonso. — Salazar kręcił głową, jakby nie dawał wiary własnym uszom, a inkwizytor generalny upierał się przy swojej racji. — Zbyt mocno przycisnąłeś go do muru i przestraszył się. Zagroził, że wszystko opowie. Znał nas, widział nas razem, był tu u mnie z Calderonem.

— Jesteście przyjacielem Calderona? — Salazar był oszołomiony; nie poznawał człowieka, którego miał przed sobą.

Bernardo de Sandoval y Rojas zorientował się, że powiedział zbyt wiele, i postanowił zakończyć tę rozmowę.

— Drogi przyjacielu, sytuacja doszła do takiego punktu, że lepiej trzymać się raz obranej drogi. Ludzie nie rozumieją, że życie czasem bywa okrutne, że jest niesprawiedliwe. Trzeba im coś podsunąć, coś, czego mogą się ucześcić, co mogą obwiniać za wszystkie swoje cierpienia. Zaraza, susza, grad, choroby bydła... sam wiesz. Ludzie chcą wiedzieć, dlaczego tak się dzieje, kto jest temu winny i jeśli my im nie podpowiemy, zaczną obwiniać niewłaściwe osoby. Rozumiesz, o co mi chodzi, drogi Alonso?

— Oczywiście, najlepiej ludziom wmówić, że diabeł jest wszystkim winien. Niech zapomną, że rządzący pławią się w luksusach, podczas gdy oni przymierają głodem.

— To brzmi okropnie — jęknął Sandoval — ale z drugiej strony, jeśli uwierzą, że rządzący są w stanie wyeliminować diabła i czarownice za pomocą metod chrześcijańskich, to tak jakby uznali, że Jezus jest Jedynym i Prawdziwym Bogiem Wszechmocnym. Czy nie to jest naszym celem? Czy nie dlatego weszliśmy na drogę naszego powołania, wyrzekając się wszystkiego? Czy nie chcemy wykorzenieć pogaństwa? Głosić chwałę bożą? Czyż nie jest naszą

misją ewangelizować, ratować zbłąkane owieczki i dopomagać im w rozwoju duchowym?

— A więc wszystko jest usprawiedliwione.... aresztowania, tortury, autodafé, epidemia, śmiertelne ofiary... — Salazar spuścił oczy, podparł głowę rękami i wymamrotał: — Bo jeśli Baskowie i Nawarryjczycy nie będą nas potrzebować, to nie zgodzą się zapłacić większych podatków? Prawda.... Wasza Eminencjo?

— Alonso... Już kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem, wiedziałem, że jesteś wyjątkową osobą. Poznałem to po błysku w twoich oczach i postawie pełnej skupienia. Dlatego cię podziwiam. Ale w pewnych sytuacjach, przyjacielu, trzeba umieć dostrzec pozytywną stronę tego, co się dzieje, a ty się temu opierasz. Cyfry mówią, że od kiedy wystąpiły pierwsze przejawy czarownictwa, które spotkały się z natychmiastową interwencją inkwizycji, miejscowi chętniej garną się do Kościoła, wyrzekając się dawnych bożków.

— Zakładam, że cud ten sprawiły niewidzialne ręce waszego bratanka, księcia Lermy, i jemu należy się największa wdzięczność.

Bernardo de Sandoval y Rojas starał się unikać wzroku Salazara.

— Jeśli masz dla mnie choć trochę uczucia... jeśli jeszcze wierzysz memu słowu... — Wydawał się przygnębiony. — Zapewniam cię, że nikt więcej nie zginie na stosie z oskarżenia o czary... Nie pozwolę na to, przynajmniej dopóki jestem inkwizytorem generalnym. Ale też nie uczynię niczego, co mogłoby zaszkodzić mej rodzinie. Apeluję do naszej przyjaźni, do tych wszystkich chwil, kiedy my dwaj też byliśmy jak jedna rodzina... A nade wszystko

apeluję do twojej dyskrecji i proszę o przysługę: nie mów nikomu o naszej rozmowie. Memoriał, który mi przedstawiłeś, złożyłem w bezpiecznym miejscu w archiwum, skąd nigdy nie wyjdzie na światło dzienne.

Salazar spojrział mu w oczy i zrozumiał, że jego przyjaciel, inkwizytor generalny Bernardo de Sandoval y Rojas, uważa tę rozmowę za skończoną. Pochylił się do jego dłoni, zbliżając wargi do purpurowego pierścienia, ale go nie ucałował.

— Nie martwcie się, Eminencjo — rzekł Salazar, zatrzymując się w progu przed wyjściem. — Obiecuję milczeć. Milczeniem odpłacę za wszystko, co dla mnie zrobiliście. Zapomnę to, co widziałem i słyszałem w ciągu ostatnich trzech lat. — Zamknął za sobą drzwi przeświadczony, że było to ich ostatnie spotkanie.

Epilog

Nie sprawdziły się obawy Salazara, że spędzi resztę życia samotny i rozgoryczony i umrze w opuszczeniu. Íñigo de Maestu został przy nim do końca, nawet wtedy, gdy inkwizytor zrobił się nie do wytrzymania, a stało się to wkrótce po wizytacji ziem północnych. Po spotkaniu z inkwizytorem generalnym, ku zdziwieniu Íñiga i Dominga, przestał się upierać przy swych teoriach. Powiedział im po prostu, żeby o wszystkim zapomnieli. Zamknął w wielkim kufrze notatki, zapisy przesłuchań, listy z nazwiskami zeznających... i nie pozwolił nikomu tam zaglądać. Odtąd interesowały go jedynie okoliczności śmierci królowej i z uwagą zapoznawał się z każdą, nawet mało istotną informacją na ten temat. Nie mógł postąpić inaczej.

Dowiedział się, że po otwarciu testamentu Małgorzaty Austriaczki powiało świeżością niewinnej piętnastoletniej dziewczynki, a pomieszczenie wypełniło się zapachem kwiatu pomarańczy. Podobno litery kodycyłu zdawały się przemawiać głosem Małgorzaty, monarcha zaś wzruszył się do łez, kiedy za sprawą

słowa pisanego ukochana małżonka zwierzała mu się zza grobu. W testamencie napisała o swej miłości do niego, o tym, jak pokochała go od pierwszego wejrzenia, gdy tylko zobaczyła, że ukrywa się w orszaku księcia Danii, by ujrzeć wreszcie swą świeżo poślubioną żonę. Ślub odbył się bowiem *per procura*; Małgorzata przybyła do Hiszpanii w samym środku Wielkiego Tygodnia, a doradcy królewscy orzekli, iż pamiątka śmierci Jezusa Chrystusa nie jest najlepszym momentem na rozpoczęcie miodowego miesiąca. Ponadto w swym testamencie Małgorzata mówiła, jak wiele szczęścia dały jej te wszystkie spędzone z nim lata, jak bardzo była dumna, że spośród tylu innych godnych kobiet właśnie ją wybrał na żonę i na matkę swoich dzieci. Zgodnie ze swą skłonnością do mistycyzmu poprosiła, by odprawiono pięćdziesiąt tysięcy mszy za spokój jej duszy. Pragnęła, aby mąż przejrzał wszystkie wartościowe rzeczy, jakie do niej należały, by wybrał jeden z klejnotów, nosił go zawsze przy sobie i żeby nigdy o niej nie zapomniał. Wypełniając ostatnią wolę Małgorzaty, przeprowadzono inwentaryzację, klasyfikację i wycenę wartościowych przedmiotów, które następnie wystawiono w czterech pałacowych komnatach, ogłaszając licytację z udziałem ludu. Tłumy były tak wielkie, że oprócz zwykłych strażników i prowadzącego licytację wezwano na pomoc dwóch żołnierzy gwardii hiszpańskiej, żeby zaprowadzić porządek.

Salazar przybył pierwszy. Nie ukrywał się przed spojrzeniami ludzi; z posępną miną przemierzał komnaty, oglądając należące do królowej przedmioty. Szukał esencji kobiety w srebrnych szcztokach i grzebieniach, w książeczce do nabożeństwa z masy

perłowej i złotymi okuciami, w naszyjnikach z szarych pereł, w jedwabnych rękawiczkach w kolorze kości słoniowej... Zatrzymał się przed jednym z portretów Małgorzaty pędzla Bartolomégo Gonzáleza, który namalował ją w stroju królowej: prawą ręką głaskała ulubionego psa, a w lewej ścisnęła chusteczkę. Zdawała się bardzo pogodna i Salazar pomyślał, że pozując do tego obrazu, musiała być szczęśliwa, miała twarz rozświetloną wewnętrznym blaskiem i pozostanie już taka na wieki, choć tyle w życiu wycierpiała. Przyłączył się do wykonawców jej ostatniej woli, oferując najwięcej za licytowaną broszkę ze szmaragdami w brylantowej oprawie, z której zwisała perła w kształcie łyzy. Choć królowa nie wymieniła go w kodycyli, Salazar także pragnął mieć coś cennego na pamiątkę po niej, żeby móc ją wspominać do końca swego życia. Włożył broszkę do hebanowego kufra z rzeźbieniami obok listów od niej i materiałów z wizytacji.

Śmierć królowej nie pozostawiła nikogo obojętnym. Lud, dla którego najgorsze rzeczy potrafią być inspiracją muzyczną, skomponował przejmujące przyśpiewki, nie zostawiając suchej nitki na księciu Lermie i Rodrigu Calderonie. Odezwały się głosy, że ci dwaj spiskowali przeciwko królowej, że chcieli ją zabić, ponieważ przeszkadzała im w mętnych interesach. Burmistrz Gregorio López Madera dalej prowadził powierzone mu przez królową dochodzenie w związku z konfabulacjami Calderona. Sekretarz księcia Lermy, zaskoczony tak wielkim zainteresowaniem wokół swej osoby, uznał, że pora wyciszyć sprawę za pomocą taktyki, która do tej pory dawała dobre rezultaty. Umówił się dyskretnie

z Gregoriem Lópezem Maderą, zaproponował mu szereg lukratywnych stanowisk, zgodnych z jego kwalifikacjami, i obiecał wiele korzyści materialnych i osobistych dla jego rodziny. Ale uczciwość burmistrza nie była na sprzedaż. Wobec tego Rodrigo Calderon oskarżył go o zniesławienie, ale jego własna reputacja była już wówczas mocno nadwerężona i nikt nie dał wiary jego słowom. Królowa stała się już męczennicą w imię sprawiedliwości, zatem jej kat musiał ponieść karę.

Rodrigo Calderona aresztowano w lutym 1619 roku. Król miał dość tych wszystkich komentarzy i postanowił dotrzeć do sedna sprawy. Chciał się dowiedzieć, ile prawdy jest w pogłoskach krążących po królestwie, a nawet poza jego granicami, że sekretarz głównego ministra odpowiada za śmierć ukochanej królowej. Podczas procesu don Rodrigo został oskarżony o nagromadzenie stanowisk, tytułów, pensji i posiadłości, o udział w rządzeniu monarchią bez odpowiednich kwalifikacji, o korupcję wymiaru sprawiedliwości, o przyjmowanie łapówek od cudzoziemców, którzy szukali łatwych zysków dla swoich rządów, o handel ważnymi stanowiskami państwowymi, o podanie magicznego wywaru Luisowi de Aliadze, księciu Ucedzie i królewiczowi Filipowi, o wydanie nakazu egzekucji co najmniej pięciu osób, które ośmieliły się skrytykować jego lub księcia Lermę. W sumie postawiono mu dwieście czterdzieści cztery zarzuty, mniej lub bardziej związane z posiadaniem dwóch milionów dukatów, choć Calderon próbował ukryć swój majątek przed aresztowaniem. Najcięższe oskarżenia dotyczyły jednak zbrodni obrazy majestatu, i króla tylko to interesowało.

Ktoś podrzucił w gabinecie oskarżyciela fragment listu zmarłej królowej do osoby, której nazwisko pozostało nieznanne. Małgorzata Austriaczka pisała, że podejrzewa, iż Calderon próbuje jej zaszkodzić za pomocą czarnej magii.

Pomijając szereg zarzutów przeciwko don Rodrigowi, sędziowie uznali go za winnego korupcji i zabójstwa Francisca de Juary, człowieka, którego królowa poznała na krótko przed śmiercią i zamierzała go zdemaskować w obecności króla.

Oskarżyciel przypomniał znane w królestwie fakty mówiące o tyranii i wyzysku, jakich dopuścił się książę Lerma wraz ze swymi poplecznikami. Wiedzano również o jego waśniach z królową.

— Antagonizm między nimi osiągnął takie rozmiary, że oskarżony postanowił pozbyć się swej przeciwniczki. Zrobił to w momencie, gdy leżała w połogu po urodzeniu ostatniego dziecka. Mam dowody na potwierdzenie tych słów — powiedział na wstępie.

Wezwał kilku świadków, którzy zapewnili, że don Rodrigo sam zajął się wyszukaniem lekarza dla rodzącej królowej. Specjalnie sprowadził z Valladolid sławnego doktora Mercado. Służba pałacowa potwierdziła, że ten medyk zmienił królowej leki i nie zgodził się na upust krwi mimo sugestii lekarzy dworu.

— Udowodnię, że doktor Mercado namówił aptekarza Espinara, żeby sporządził dla królowej zatrute maści i napoje. Nagrodą za te makabryczne usługi miał być Order Świętego Jakuba. Don Rodrigo Calderon obiecał to doktorowi i synom aptekarza.

Ujawniono, że po śmierci aptekarza Espinara Rodrigo Calderon udzielił wdowie gościny w swoim domu, choć wcześniej, zanim umarła królowa, stosunki między obiema rodzinami nie wskazywały na taką zażyłość. O nikczemności oskarżonego niech świadczy również fakt, że wśród rzeczy osobistych przechowywał portret zmarłej królowej, namalowany na polecenie króla, i oglądał go z wielką satysfakcją jako dowód osiągnięcia makabrycznego celu. Kolejne wystąpienia oskarżyciela wywierały na królu coraz bardziej przygnębiające wrażenie; w pewnym momencie musiano go wyprowadzić z sali, żeby nie zemdłał.

Jednak żadne z tych oskarżeń nie opierało się na niezbitych dowodach. Calderon przyznał się tylko do tego, że nie lubił królowej i wśród przyjaciół pozwalał sobie na wyzwiska w rodzaju: francuzica, pijaczka, łajdaczka i oszustka.

Wobec niemożności udowodnienia zbrodni morderstwa rosły szanse na to, że Rodrigo Calderon zostanie uwolniony od wszystkich zarzutów. Król, przytłoczony bólem wdowieństwa, samotnością, smutkiem i wyrzutami, że nie rządził swym królestwem jak należy, rozchorował się i wszyscy to widzieli, ale żaden lekarz nie potrafił powiedzieć, co mu jest. Pewnego ranka monarcha poczuł, że wstępują weń nowe siły. Specjalnym dekretem zabronił lekarzom zbliżać się do swego łóża, ponieważ miał dość ciągłego obmacywania i upuszczania krwi, od czego bolały go wszystkie żyły. Wedle własnej diagnozy był w doskonałej formie fizycznej, cierpiał jednakże na chorobę duszy i jeśli nic się nie zmieni, umrze w ciągu tygodnia.

— Szczęśliwy, kto nigdy nie był królem! Szczęśliwy, kto urodził się w nędzy! Szczęśliwy, kto żyje w klasztornym zaciszu jako zwykły furtian! Gdyby niebo dało mi jeszcze pożyć, rządziłbym zupełnie inaczej — lamentował.

31 marca, w wieku czterdziestu dwóch lat Filip III opuścił ten ziemski padół. Umarł wśród lekarzy i lokajów otoczony pomrukiem modlitw. Ubolewał, że zostawia królestwo w stanie rozkładu, i to uczucie żalu długo jeszcze unosiło się w pałacowych komnatach. Jego panowanie da się określić jednym słowem: indolencja. Filip III był zbyt apatyczny, by mieć jakieś złe skłonności, ale kohorta jego faworytów nadrobiła to z nawiązką. Prestiż Korony Hiszpańskiej na arenie międzynarodowej mocno podupadł wskutek niekorzystnych traktatów z buntownikami, heretykami i odwiecznymi wrogami królestwa.

Kiedy książę Lerma dowiedział się, że monarcha jest poważnie chory, opuścił Valladolid, pragnąc jak najprędzej znaleźć się u jego boku. Mimo zaistniałych ostatnio nieporozumień monarcha był jedynym człowiekiem, którego Lerma mógł nazwać przyjacielem. Choć woźnica popędzał konie, ile wlezie, książę kardynał przybył za późno: monarcha wydał ostatnie tchnienie dwie godziny wcześniej.

Wiadomość o śmierci Filipa III zastała don Rodriga Calderona w celi.

— Król nie żyje, więc ja też jestem martwy — westchnął.

Ogarnęło go przeświadczenie, że nowy król Filip IV i jego główny minister, książę Olivares uczynią zeń kozła ofiarnego, nie mogąc postawić przed sąd Lermy, zwłaszcza że niezadowolony lud domagał się krwi. Będzie żywym symbolem ogromu degradacji moralnej za panowania poprzedniego króla. I nie pomylił się.

Na nic się zdały prośby o litość i łzy członków rodziny Calderona, którzy przy każdej okazji rzucali się do stóp nowego monarchy i jego faworyta.

11 października 1621 roku, o godzinie jedenastej odbyła się egzekucja Rodriga Calderona na madryckim Plaza Mayor. Tego dnia wstał on wcześniej rano i sam wybrał sobie ostatni strój: długą flanelową sutannę, mocno wyciętą na karku, żeby ułatwić katowi zadanie. Pomodlił się i wysłuchał mszy, ponieważ w ostatnich dniach życia przeszedł wielką przemianę, skłaniając się ku mistycyzmowi i szukając w modlitwie siły, aby znieść to, co mu się przydarzyło.

— Panie — powiedział mu spowiednik — już mówią, że wzywa nas Bóg i pora wyjść mu na spotkanie.

— Ojczy, skoro Bóg nas wzywa, trzeba się pospieszyć — odparł Calderon.

Wypił trochę wody i łyk rosołu, pogadał chwilę z królewskim alkadem don Pedrem de Mansillą, który dawniej był jego przyjacielem, i poprosił go żarliwie, aby zechciał pomóc jego żonie i dzieciom. Wsadzono go na rozchybotany wózek i powieszono na szafot. Trasa wiodła szeroką ulicą św. Bernarda, skwerem św. Dominika, ulicą św. Katarzyny, ulicą Fuentes, przez plac Herradores, wzdłuż ulic Mayor i Boteros. Ludzie wołali na jego widok:

— Niech Bóg ci wybaczy!

— Amen — odpowiadał Calderon.

Mówią, że kiedy dotarł na miejsce straceń, usiadł i zapytał kata, czy to właściwa pozycja, bo nie chciał umierać niegodnie. Następnie złożył mu pocałunek pokoju na znak przebaczenia i poprosił,

żeby przewiązać mu oczy szarfą, którą miał na szyi.

— Nie zostawiajcie mnie samego, drodzy ojcowie, błagam was o to na Boga — rzekł do towarzyszących mu zakonników.

— Nie ruszymy się stąd, Wasza Miłość. Proszę powiedzieć: Jezus.

— Jezus.

Nowa władza nie rozumiała, jak wielkie znaczenie ma gest ła-ski. Lerma zawsze to podkreślał i przypominał swemu królowi. Miast służyć za przestrożę, śmierć Calderona wywołała falę powszechnego oburzenia. Don Rodrigo okazał wiele skruchy, całkowicie powierzając się Bogu w ostatnich chwilach życia, że ludzie chętniej widzieliby odwołanie egzekucji.

xxx

Ksiązę Lerma nie zginął z rąk kata, choć wielu mu tego życzyło. Gdy przyszła jego pora, umarł spokojnie w swym pałacu w Valladolid ubrany w kardynalskie szaty. Nie da się ukryć, że strój ten uratował go wcześniej od kary śmierci. Na ulicach i placach królestwa rozbrzmiewała taka oto przyśpiewka:

*Aby nie zginąć z rąk kata,
największy złodziej w Hiszpanii
chodzi w kardynalskich szatach.*

Nikt nie wie na pewno, czy faworyt królewski, bastion władzy za panowania Filipa III, miał czas pokajać się za swe niegodziwości,

ale nie musiał się martwić, przynajmniej jeśli chodzi o królową. Ta kobieta z duszą dziecka poświęciła ostatni akapit testamentu księciu i jego sekretarzowi Calderonowi. Napisała, że im przebacza.

Kiedy okazało się, że skarbiec królewski świeci pustką i nic nie zapowiada rychłej zmiany na lepsze, nędza i niezadowolenie ludu osiągnęły swe apogeum. Książę Lerma zdecydował się wówczas przejść do stanu duchownego i poprosił papieża o kapelusze kardynalski w nadziei, że uratuje dzięki temu swój honor i autorytet. Paweł V mianował go kardynałem w marcu 1618 roku. Ale to tylko przyspieszyło jego upadek, bowiem król, który po śmierci żony zwątpił prawie we wszystko i we wszystkich, uznał, że teraz ma doskonały powód, aby oddalić go od siebie. 2 października tego samego roku Filip III wezwał Lermę do swego gabinetu. Spędzili razem dwie długie godziny, tak samo jak niegdyś, ale Lerma opuścił pałac ze szklistymi oczami. Dwa dni później, o piątej po południu, wsiadł do powozu i udał się na wygnanie do Valladolid, nie mogąc nawet pożegnać się z królem, który bez najmniejszego żalu przyglądał się temu przez okno ukryty za kotarą. Książę Lerma opuścił dwór na zawsze tajnym wyjściem pałacu San Lorenzo de Escorial przeznaczonym dla osób niepożądanych.

W kapeluszu kardynalskim odprawił swą pierwszą mszę w kościele klasztoru św. Pawła w Valladolid przy ołtarzu z Chrystusem leżącym w grobie wyrzeźbionym przez Gregoria Fernándeza na zamówienie księcia. Kościół znajdował się naprzeciwko Pałacu Królewskiego, który niegdyś odsprzedał swemu monarsze i panu.

Po intronizacji Olivares doradził nowemu władcy przejęcie wszystkich dóbr byłego faworyta. Pragnął zmusić go do walki o majątek nagromadzony za Filipa III. Miał nadzieję, że Lerma przejdzie do defensywy, spróbuje odzyskać utracone posiadłości, a wtedy wszyscy się dowiedzą, jak do tego doszedł. Mówiono, że całe to bogactwo i przywileje zdobywał podstępem, dzięki korupcji. Jednak Lerma, który zęby zjadł na takich rozgrywkach, zareagował ironią i sarkazmem. Publicznie pogratulował nowemu królowi słusznej decyzji, pochwalił go za mądrość i gospodarność. Odparł zarzuty korupcji, przyjmowania łapówek, kupczenia urzędami, korumpowania sędziów i wiele innych, zapewniając nowe władze, że we wszystkim, co robił, przyświecała mu troska o ojczyznę. Przyznał, że król darzył go względami, ale były to dowody wdzięczności za lojalną służbę Koronie przez ponad dwadzieścia lat. Nowy monarcha nie dał się zwieść efektownej retoryce Lermy, stopniowo odbierał mu wszystkie przywileje i zadbał, aby pieniądze wróciły do skarbcza królewskiego. Nie miał wiele okazji do dyskusowania z Lermą o sprawach gospodarczych, ponieważ wszechpotężny niegdyś faworyt jego ojca umarł 17 maja 1625 roku w swej siedzibie w Valladolid.

xxx

Alonso Becerra został mianowany oskarżycielem Supremy w 1613 roku. Sprawował tę funkcję przez cztery lata, a następnie awansował na stanowisko doradcy tejże instytucji. Juan de Valle Alvarado pozostał w Logroño, ale często wyjeżdżał na dłuższą kuraację do któregoś ze sławnych uzdrowisk francuskich, ponieważ

cierpiał na kamice pęcherza moczowego i zaburzenia pracy nerek. Trzej inkwizytorzy trybunału w Logroño utrzymywali poprawne stosunki zawodowe, ale Salazar do końca swych dni zachował dystans wobec swych kolegów mimo dowodów, jakie zyskał na to, że nie byli oni współnikami, tylko narzędziami w rękach Calderona, który wykorzystał ich perfidnie dla osiągnięcia swych celów.

xxx

Ksiądz Juan de la Borda był internowany w klasztorze San Millian do 4 listopada 1613 roku. Zaraz po wyjściu na wolność poprosił inkwizytora generalnego o zdjęcie zakazu sprawowania posługi kapłańskiej. Resztę swych dni spędził w klasztorze nieopodal cieśniny Velate. Z kolei jego kuzyn, zakonnik Pedro de Arburu, był internowany w klasztorze premonstratorskim w Miranda de Ebro do września 1614 roku. Gdy znalazł się na wolności, spłacił dług wobec trybunału w kwocie 537 reali za pobyt w tajnym więzieniu, po czym wrócił do swego klasztoru w Urdax i żył tak samo jak przed owym okrutnym procesem, który zabrał mu matkę i ciotkę.

Po latach został wezwany razem z kuzynem do Elizondo. Jak się okazało, strażnik więzienny z Logroño przywłaszczył sobie kołdrę księdza, wycenioną na pięć dukatów, i należącą do zakonnika poduszkę z dwiema poszewkami o wartości co najmniej dwóch dukatów. W taki subtelny sposób uhonorowano byłych więźniów z Logroño. Obaj umarli w służbie Kościołowi i zostali pochowani wraz z egzemplarzami Biblii, które otrzymali od swych matek za pośrednictwem nieznaney doręczycielki; za życia

codziennie polecali ją Bogu w swych modlitwach.

xxx

Salazar dotrzymał słowa danego inkwizytorowi generalnemu. Nikomu nie powiedział o tym, co usłyszał od niego podczas ostatniej rozmowy. Ale wszystko zapisał. Każdy fakt, każdy podstęp i każdy pretekst procesu, który doprowadził do „autodafé w Logroño”. Przechował te materiały: notatki, listy z nazwiskami, swoje obserwacje i komentarze. Dokumentacja tej sprawy zajęła mu pięć tysięcy sześćset stron, które Íñigo de Maestu kazał oprawić w ośmiu tomach. Salazar dorzucił do nich aneks, w którym próbował wyjaśnić, dlaczego — jego zdaniem — wiara w czarownice była tak potrzebna lokalnym społecznościom. Napisał, że uwalniała człowieka od odpowiedzialności za własne czyny i była balsamem na problemy istniejące w stosunkach międzyludzkich. Czarownica i czarownik ucieleśniali zło, które w przeciwnym razie zachowałoby aurę tego co nieuchwytnie i nieokreślone, a więc może być rzeczywiste lub nie. Dzięki temu, że czarowników stawiano za przykład zachowań niedozwolonych, ludzie starali się postępować w taki sposób, aby sąsiedzi nie posądzili ich o czary. Dużą rolę zaczęła odgrywać akceptacja przez grupę. Czarownicy wyzwalali w ludziach najgorsze cechy i gwałtowne instynkty, które w normalnych okolicznościach trzeba kontrolować. Wiara w czarownictwo istniała naówczas w każdej społeczności, niezależnie od miasta, kraju lub rasy... niezależnie od przynależności do takiej czy innej warstwy społecznej, ponieważ żywiła się ludzkimi namiętnościami. Niezaspokojone pragnienia, dzuma, żądza władzy... wszystko

dawało się usprawiedliwić działaniem czarów. Nawet niesnaski między królem a głównym ministrem.

Alonso de Salazar y Frías stał się bojownikiem o sprawę czarownic. Opracował specjalny przewodnik dla komisarzy Świętego Oficjum ustalający zasady przesłuchiwania oskarżonych i świadków w procesie o czary, który zyskał akceptację inkwizytora generalnego Bernarda de Sandovala y Rojas. Przekazał Supremie wyliczenia kosztów poniesionych w czasie sześcioletniego procesu zakończonego uroczystym autodafé w Logroño; opiewały na łączną sumę 39 460 reali. Zgodnie z istniejącym zwyczajem jedną trzecią wydatków na wyżywienie więźniów pokrywano ze sprzedaży skonfiskowanych im dóbr. A że nie wszyscy więźniowie byli w stanie wywiązać się z tego obowiązku, ich długi wobec trybunału sięgały 19 276 reali. Powołując się na względy humanitarne, Salazar zaproponował umorzenie tej wysokiej sumy. Ale inkwizytor generalny na to się nie zgodził.

— Co innego sprawiedliwość, a co innego pieniądz — orzekł sentencjonalnie.

W 1622 roku Salazar wrócił do Logroño na stanowisko starszego inkwizytora. W 1628 roku awansował na oskarżyciela Supremy, a w 1631 mianowano go członkiem rady. Jednakże wciąż interesowała go sprawa czarownic i śmiało dawał temu wyraz na posiedzeniach z udziałem najwyższych przedstawicieli rady. W 1632 skrytykował nowego inkwizytora generalnego Antonia Zapatę Mendozę za obiecywanie stanowisk, którymi nie mógł dysponować, a rok później, kiedy dekret królewski podzielił Supremę na

dwie izby, wystosował memorandum do króla Filipa IV, opisując w nim szczegółowo wszystkie wady nowego systemu i szkody powstałe w dwóch pierwszych dwóch miesiącach jego funkcjonowania. Król wziął pod uwagę tę opinię i system dwuizbowy przeszedł do historii Supremy jako krótki, nieudany eksperyment.

W miarę upływu lat Salazar stwierdzał coraz częściej, że ból duszy rozwiewa się jak letnia mgła. Znalazł upodobanie w lekturze Arystotelesa. Filozof ten określał dobro jako cnotę, do której dążą wszystkie rozsądne stworzenia. Według niego istnieje coś, co nazywał „złotym środkiem”; jest to punkt styyczny między skrajnościami. Ostygł młodzieńczy zapał Salazara. Stojąc u progu starości, znalazł swój „złoty środek” pomiędzy wierzeniami dzieciństwa i pewnością wieku dojrzałego. Udało mu się osiągnąć swoisty stan łaski, w którym pogodnie dożywał swoich dni. Rozwinał myśl mówiącą o tym, iż jedynym i wyłącznym powodem, dla którego ludzie istnieją na tym świecie, jest to, że Bóg ich potrzebuje. Bóg potrzebuje człowieka, aby być Bogiem, tak samo jak człowiek potrzebuje Boga, aby być człowiekiem. Salazar uznał, że na tym polega sens życia, i zaakceptował to, a wtedy znalazł odrobinę światła w ciemności, bowiem jeśli życie samo w sobie nie jest niczym więcej niż nieprawdopodobnym przypadkiem, tym bardziej trzeba się nim cieszyć bez szukania dziury w całym. Skoro człowiek wyłonił się z nicości, aby iść ku nicości, to najlepiej spędzić ten czas, jaki mu pozostaje, radując się z samego faktu istnienia. Uwolnił Boga od całej ciężkiej na Nim odpowiedzialności, ponieważ już dawno doszedł do wniosku, że człowiek jest tylko tym, kim sam

siebie czyni, a więc nie należy obciążać Boga winą za błędy popełniane przez ludzi. Pojął wreszcie, że jego prawda, ta prawda, którą uznawał za pewnik przez te wszystkie lata, przynosiła mu tylko niepokój, zatem dużo lepsza dla zdrowia duchowego jest prawda religii... jakiegokolwiek religii.

W ostatnim okresie swego życia Salazar spędzał całe godziny na czytaniu od nowa listów od Małgorzaty. Zachował je wszystkie z wyjątkiem jednego; ostatni list, w którym królowa pisała mu o swych podejrzeniach, zostawił anonimowo na stole przewodniczącego sądu nad Calderonem. Przejrzał również swoje listy do Małgorzaty i zrozumiał, że kiedy mężczyzna pisze w ten sposób do kobiety, to w gruncie rzeczy myśli o sobie, a nie o niej. Gdy nadszedł moment pożegnania się z tym światem, myślał przede wszystkim o kobiecie.

W roku 1635, w wieku siedemdziesięciu jeden lat, odszedł na zawsze Salazar, członek Supremy, kanonik katedry w Jaen.

XXX

Domingo de Sardo został wzorowym zakonikiem. Jego zaufanie do Salazara rosło, w miarę jak wizytacja posuwała się do przodu. Po latach sporządził podręcznik dla inkwizytorów, w którym zalecał, aby nie wierzyć ślepo słowom i podejmować ostateczną decyzję na podstawie o konkretnych dowodów. Nigdy nie zrozumiał do końca, dlaczego Salazar zamknął się w sobie po wizycie u inkwizytora generalnego i ani razu już potem nie wspomniał o rzekomych czarownikach. Zapytał go o to pewnego dnia, ale Salazar poprosił, aby jeszcze raz mu zaufała, tak jak kiedyś, i żeby się nie martwił. Na szczęście czas rządzi światem.

— „Nigdy” jest słowem zbyt kategorycznym, aby coś oznaczać. Nikt nie wie na pewno, ile trwa „nigdy”. Nie martw się, czas wszystko ureguluje.

Domingo de Sardo zapamiętał to sobie na resztę życia.

xxx

Salazar, jego praca, jego świta i program wizytacji, wszystko to poszło w zapomnienie, dopóki w roku 1980 pewien Amerykanin Henry Charles Lea nie znalazł przypadkiem w jakiejś starej piwnicy jego memoriałów. Poświęcił im kilka stron swego dzieła o hiszpańskiej inkwizycji i tak oto świat dowiedział się o roli Salazara jako adwokata czarownic — pod tym przydomkiem znany jest on do dziś.

„Nigdy” trwało około dwustu lat.

xxx

Po otrzymaniu święceń kapłańskich Íñigo de Maestu został osobistym sekretarzem Salazara. Nieraz obaj mężczyźni zasiadali do pogawędki o czasach, kiedy doszukiwali się prawdy w pozorach, i musieli przyznać, że działo się coś magicznego, co nie znaczy, że to było złe. Salazar dobrze poznał Íñiga i wiedział, kiedy nachodzą go dziwne myśli, bo wtedy pogrążał się w milczeniu wpatrzony w księżyc.

— Każdy musi mieć swojego niebieskiego anioła, bo inaczej ciężko jest żyć — przypominał mu.

Wyrzeczenia, modlitwy i dobrowolne posty pomogły Íñigowi okiełznać gorący temperament w miarę wcześniej. Uwolnił się od konieczności zaspokajania nagłych potrzeb fizycznych, które tyle

kłopotów przysparzały mu podczas wizytacji na ziemiach północnych. Wciąż sprawiało mu przyjemność wspomnianie tamtych ulotnych chwil, ale nie widział w tym nic złego, ot, co najwyżej drobny grzech powszedni. Wracały mu na myśl rzeczy tak proste, jak: kształt paznokci jego anioła, odgłos pocałunków, delikatna świeżość dziewczęcego uda... Myślał o tym bez lubieżności, jak o niepowtarzalnym cudzie, który tylko on miał szczęście zaobserwować. Wszedł w wiek, kiedy namiętność ustępuje miejsca czułości. Ale pozostało w nim coś z niepokoju artysty, który musi malować niebieskie anioły na każdym skrawku białego muru lub płótna. Jeszcze dziś można znaleźć jego obrazy na ścianach kościołów w regionie baskijsko-nawaryjskim. Nigdy nie żałował, że wybrał życie duchownego; musiał uwierzyć w uniwersalną siłę dobra, ponieważ przez resztę życia jakaś niewidzialna obecność chroniła go przed zniechęceniem, smutkiem i atakami Złego.

Pewnego dnia, kiedy był już staruszkciem o kruchych kościach powleczonej pomarszczoną skórą i często zapominał, jak się nazywa, wrócił jego niebieski anioł. Przyszła boso, w cienkiej, lnianej koszulce w kolorze kości słoniowej, w wianku z białych stokrotek na głowie, Íñigo zobaczył z bliska jej wielkie czarne oczy, takie same jak wiele lat temu. Była śliczna i mimo upływu czasu ani trochę się nie zestarzała.

— Chodźmy — szepnęła mu do ucha.

— Wiedziałem, że przyjdiesz — odpowiedział Íñigo, wymawiając szepem sekretnie imię swojego anioła. — Zawsze to wiedziałem.

Nie pojawił się na porannej mszy, więc zapukano do jego celi; leżał w swym łóżku martwy z radosnym uśmiechem na pogodnej twarzy.

xxx

Mayo przez długi czas myślała o śmierci. O śmierci, która jest końcem, o śmierci, która jest początkiem, o śmierci, która jest częścią życia... i doszła do wniosku, że nie ma się czego bać, gdyż śmierć jest niczym, póki ona żyje. A kiedy śmierć stanie się czymś, jej już nie będzie. Ederra miała rację, mówiąc, że człowiek jest egoistą do szpiku kości, bo kiedy odchodzi ukochana osoba, oplakujemy nie tyle jej śmierć, ile swoją samotność. Odchodząc, Ederra zabrała ze sobą jakąś część Mayo. Tego się już nie odzyska i dlatego się cierpi. Mayo nie była smutna z powodu śmierci Ederry, tylko dlatego, że już w niczyich oczach nie przejrzy się tak jak w oczach Ederry. Nikt już o niej tak nie pomyśli, nie zawoła jej po imieniu, nie wysłucha jej trosk... To właśnie budziło w Mayo nieskończoną żalność. Zaczęła zastanawiać się desperacko, dlaczego właśnie jato spotkało, i przez kilka dni zadreżczała się tym pytaniem, dopóki nie przyszło jej na myśl, że kiedy przydarza się jej coś dobrego, to nie zastanawia się dlaczego. Ederra żyła z godnością, kochała i była kochana, radowała się każdym powiewem wiatru, każdym kwiatem, każdym słowem, pomagała ludziom; jej życie miało sens. Mayo wyliczyła, że śmierć Ederry nastąpiła w czasie rosnącego księżyca, a więc powiedzie się jej po tamtej stronie. A to najważniejsze.

Przemysławszy to wszystko, wyjęła zawiniątko z igielnikiem Ederry, rozwiązała chusteczkę, położyła sobie pude eczko na dłoni

i poczuła, jak przechodzi w nią moc Ederry. Odtąd będzie mogła pomagać innym bez lęku, że jej zakłęcie nie podziała. Teraz będzie w tym równie dobra jak Ederra.

Nie upłynęło wiele czasu, kiedy zorientowała się, że miłosna noc w lesie przyniosła efekt. Spowolniała, przysypiała co chwila, straciła talię, nabrzmiały jej piersi i czuła wstręt do pewnych potraw. Wiedziała, że urodzi na wiosnę, wyda na świat piękną, zdrową dziewczynkę podobną do Ederry. Wybierze dla niej sekretne imię i tylko one dwie będą je znały, żeby nikt nie wyrządził dziewczynce krzywdy. Ciekawe, że po raz pierwszy w życiu Mayo się nie bała.

Z nową energią weszła na wąską, krętą drogę, mając pewność, że za drugim zakrętem znajdzie rzekę, jezioro, źródło albo morze, gdzie zanurzy Beltrána i tym razem się uda. Była pewna, że na drugim końcu tej drogi czeka ją coś ważnego, bo gdy się idzie z podniesioną głową, można spotkać swoje przeznaczenie.

Memoriały Salazara wraz z bogatym zbiorem listów i dokumentów dotyczących procesu w Logroño i sposobów rozwiązywania „problemu czarownic” przez dziesięć kolejnych lat po tym wielkim autodafé znajdują się w dziale inkwizycji Krajowego Archiwum Historycznego w Madrycie.

Ważniejsze dane

Papież Grzegorz XI powołał trybunał Świętej Inkwizycji w roku 1231. Dominikanie i franciszkanie stali się zbrojnym ramieniem organizacji zrodzonej po to, aby utrzymać w ryzach każdego, kto chciałby przekroczyć normy ustanowione przez Kościół katolicki.

Inkwizycja hiszpańska nie podporządkowała się bezpośrednio jurysdykcji Rzymu, jak to miało miejsce w innych krajach, i posiadała własnego inkwizytora generalnego, którego mianował król Hiszpanii. Tym samym przekształciła się w narzędzie państwa w służbie państwa, a kierujący nią duchowni byli funkcjonariuszami państwowymi. Inkwizycja hiszpańska nie karała, tylko wyznaczała karę wymierzaną przez świeckie ramię.

Tysiące osób spłonęło na stosach. Czary były uważane w ówczesnej Europie za jedno z najgorszych przestępstw, a ofiarami prześladowania padły przede wszystkim kobiety. Wbrew powszechnym mniemaniom inkwizycja hiszpańska nie miała szczególnego interesu w polowaniu na czarownice. Zajmowała się głównie heretykami, żydowskimi, a później muzułmańskimi konwertytami. Mimo to w niedzielę 7 listopada 1610 roku miało

miejsce w Logroño wydarzenie, które przeszło do historii jako „autodafé czarownic”. Jedenaścioro więźniów pochodzących z miejscowości Zugarramurdi i Urdax zostało skazanych na śmierć za konszachty z demonem.

Spacerując obecnie po ulicach Zugarramurdi, można wyczuć charakter miasta przygranicznego i podziwiać bajeczne budowle. Wystarczy okazać zainteresowanie i chcieć posłuchać, a poznamy historię sławnych mieszkańców sądzonych przed wiekami przez Święte Oficjum. Może nawet pokażą nam ich domy, bo niektóre jeszcze stoją.

Jaskinie Zugarramurdi i Urdax są wciąż niepokojąco piękne tym naturalnym pięknem. Kilka razy do roku mają miejsce w tej scenerii widowiska o magicznej symbolice. W ostatnią sobotę przed nocą świętojańską w największej jaskini odbywa się święto czarownic, a 18 sierpnia, ostatniego dnia uroczystości odpustowych, przypada święto pieczonego baranka, urządzone w jaskini, i prestiżowy koncert muzyki celtyckiej.

Fakty, opisy miejsc i wydarzeń historycznych w tej powieści są autentyczne, podobnie jak zaklęcia, czary i magiczne rytuały uprawiane w owych latach. Niektóre z nich zachowały się do dziś jako dziedzictwo tradycji, choć współcześnie często nie zastanawiamy się nad ich źródłami.

Podziękowania

Na zakończenie pragnę podziękować Mayte Suárez za miłość, poświęcenie i zaufanie... okazywane im w każdym okresie mego życia; Marisol Asensio, która od początku zaangażowała się w powstawanie *Ars Magica*, pomagając mi w badaniach nad mało znanym epizodem z życia księcia Lermy; moim wiernym towarzyszkom Hurce i Tundrze, które są pierwowzorem postaci Beltrána i utwierdzają mnie w przekonaniu, że zwierzęta obecne w naszym życiu mają wiele z ludzi. I mojej wydawczyni Any Liarás za to, że od początku wierzyła w tę książkę. Z całego serca dziękuję.

Bibliografía

- Allen Paul C, *Felipe III y la Pax Hispánica 1598–1621*, wyd. Alianza Editorial, Madryt, 2001. Autor nieznany, *Las clavículas de Salomon*, wyd. Ediciones Vèdrà, Barcelona, 2003. Autor nieznany, *Manual de mujeres en el cual se contienen muchas y diversas recetas muy buenas*, Biblioteka Wirtualna im. Miguela Cervantesa, 1999. Barandiarán José María de, *Mitología Vasca*, wyd. Txertoa, San Sebastián, 2001. Caro Baroja Julio, *Las brujas y su mundo*, wyd. Alianza Editorial, Madryt, 2003. — *Vidas mágicas e Inquisición*, wyd. Ediciones Istmo, Madryt, 1992. Encausse Gerard (Papus), *Magia práctica. Tratado elemental*, wyd. Humanitas, Bcelona, 2005. Feros Antonio, *El Duque de Lerma. Realeza y privanza en la España de Felipe III*, wyd. Marcial Pons, Ediciones de Historia, Madryt, 2002.

Garmendia Larrañaga Juan, *Rito y fórmula en la medicina popular*

vasca. *La salud por las plantas medicinales*, wyd. Txertoa, San

Sebastián, 1991. Harris Marvin, *Vacas, cerdos, guerras y brujas. Los enigmas de la*

cultura, wyd. Alianza Editorial, Madryt, 1991. Henningsen Gustav, *El abogado de las brujas. Brujería vasca*

e Inquisición, wyd. Alianza Editorial, Madryt, 1983. Kraemer Heinrich i Sprenger Jacob, *Malleus Maleficarum*, Niemcy,

1487 (tłum. 2001). Lancre Pierre, *Tratado de brujería vasca. Descripción de la*

Inconsciencia de los Malos Angeles y Demonios, wyd. Txalaparta, Tafalla, 2004. Martínez de Lezea Toti, *Brujas*, wyd.

Erein, San Sebastián, 2006. Pérez Martín, María Jesús, *Margarita de Austria, Reina de España,*

wyd. Espasa-Calpe, Madryt, 1961. Ramponi Valerio, *La magia blanca*, wyd. Editorial de Vecchi,

Barcelona, 1985. Pismo Święte, Wydawnictwo Herder, Barcelona, 1979. Saint-Martin Karmele, *Nosotras las brujas*

vascas. Relatos y leyendas de Euskal Herria, wyd. Txertoa, San Sebastián, 2003.